



WARKOCZ
ZE
SZMARAGDOWEGO
MORZA

BRANDON
SANDERSON

ZILUSTROWAŁ HOWARD LYON

WARKOCZ ZE SZMARAGDOWEGO MORZA



BRANDON
SANDERSON

ZILUSTROWAŁ HOWARD LYON
PRZEŁOŻYŁA ANNA STUDNIAREK

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2023

Spis treści

Podziękowania

Część pierwsza

1. Dziewczyna

2. Ogrodnik

3. Diuk

4. Syn

5. Narzeczona

Część druga

6. Celniczka

7. Ojciec

8. Pasażerka na gapę

9. Szczur

10. Kielkowacz

11. Złodziej

12. Wrona

Część trzecia

13. Chłopiec okrętowy

14. Dougowi

15. Kwatermistrz

16. Trup

17. Cieśla

18. Drugi trup

19. Mistrz artylerii

20. Sterniczka

21. Piratka

Część czwarta

22. Idiota

23. Asystentka mistrza artylerii

24. Przeklęty człowiek

25. Zdobywca

26. Strzelec wyborowy

27. Zarodnikozerc

28. Wyjątkowo dobra słuchaczka

29. Chowaniec

30. Królewska Mask

31. Esencja Północy

32. Oswobodzicielka

33. Kłamczyni

34. Zbieracz

Część piąta

- 35. Miłośniczka herbaty
- 36. Badaczka
- 37. Uczona
- 38. Uczennica
- 39. Hodowczyni kurczaków
- 40. Kucharka
- 41. Filozofka
- 42. Przewodnik
- 43. Muzyczka
- 44. Zabita
- 45. Obrończyni
- 46. Informator
- 47. Poeta
- 48. Koszmar
- 49. Męczennica
- 50. Morderczyni
- 51. Smok
- 52. Ofiara
- 53. Ocalała

Część szósta

- 54. Lokaj
- 55. Hipokryta
- 56. Zdrajca
- 57. Oczerniona wyrocznia mody
- 58. Potwór
- 59. Więzień
- 60. Czarodziejka
- 61. Mężczyzna
- 62. Łowca
- 63. Pilot
- 64. Bohater

Epilog

Postscriptum

Tytuł oryginału: *Tress of the Emerald Sea*

Copyright © 2023 by Dragonsteel Entertainment, LLC

Brandon Sanderson®, Cosmere® and Dragonsteel Entertainment® are registered trademarks of Dragonsteel Entertainment, LLC

All rights reserved

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce, symbole i ilustracje wewnętrzne: Howard Lyon

Ilustracje howard lyon © dragonsteel entertainment, llc

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67353-93-9

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Emily,
którą kocham całym sercem

Podziękowania

Ale jazda. Kiedy usiadłem, żeby pod wpływem kaprysu napisać tę książkę, nie miałem pojęcia, do czego doprowadzi cały ten projekt. (Koniecznie zajrzyjcie do Postscriptum na końcu książki, gdzie opisuję swoje inspiracje w sposób, który odrobinę za bardzo zdradza fabułę, by umieścić to na początku).

Kiedy myślałem o czterech książkach należących do „Tajnego Projektu” na Kickstarterze z roku 2022, wyobrażałem sobie coś wyjątkowego, ale mój zespół zaszczał. Wyszedł z tego wspaniały tom. Wiem, że wielu z Was będzie słuchać audiobooka, który z pewnością ma swoje charakterystyczne walory artystyczne – ale jeśli będziecie mieli okazję, przejrzyjcie wersję papierową. Bo naprawdę, rany.

Dlatego stosownym wydaje mi się rozpoczęcie od podziękowania Howardowi Lyonowi. Wyobrażałem sobie te książki jako swego rodzaju „wystawę artysty”, to znaczy my wybieraliśmy twórcę i pozwalaliśmy mu nieco zaszczać przy pracy nad oprawą graficzną. Howard zrobił tak wiele. Okładka, wyklejki, ilustracje wewnątrz – ale tak naprawdę cały projekt dużo mu zawdzięcza. Dziękuję, Howardzie, że zgodziłeś się przyjąć tak wielki projekt. Wspaniale sobie poradziłeś.

Nic z tego by się nie udało bez Izaaca Stewarta, naszego kierownika artystycznego w Dragonsteel. Rachael Lynn Buchanan była asystentką. Bill Wearne z American Print and Bindery naprawdę bardzo się postarał, by to wydrukować, biorąc pod uwagę braki. Wielkie dzięki, Bill. Chciałbym podziękować też wszystkim ludziom na każdym etapie pracy, od papierni po dostawców materiałów na okładkę, drukarnię, intrologatornię i dostawców.

Dyrektorem operacyjnym w Dragonsteel jest Emily Sanderson, a w dziale wydawniczym pracują Peter Ahlstrom, Karen Ahlstrom, Kristy S. Gilbert i Betsey Ahlstrom. Korektą zajmuje się Kristy Kugler. Dział operacyjny tworzą Matt „Będziesz to robił w każdej książce, Brandonie?” Hatch, Emma Tan-Stoker, Jane Horne, Kathleen Dorsey Sanderson, Makena Saluone i Hazel Cummings. Dział reklamy i marketing stanowią Adam Horne, Jeremy Palmer i Taylor Hatch.

Ci ludzie zwykle nie zostają odpowiednio docenieni za wszystkie wspaniałe rzeczy, które robią, by umożliwić realizację projektów. Przy tej kampanii na Kickstarterze szczególnie potrzebowałem ich entuzjazmu i cudownych pomysłów. (Na przykład to Adam wpadł przed laty na pomysł subskrypcji). Złożenie tego wszystkiego razem i doprowadzanie do realizacji wymagało mnóstwa pracy, więc jeśli będziecie mieli okazję, osobiście podziękujcie mojemu zespołowi.

I oczywiście musimy wyjątkowo podziękować działowi realizacji zamówień. Ekipa Kary Stewart pracowała całymi dniami, żeby dostarczyć Wam te książki. Wszyscy zasługują na okla-

ski, a są to: Christi Jacobsen, Lex Willhite, Kellyn Neumann, Mem Grange, Michael Bateman, Joy Allen, Katy Ives, Richard Rubert, Sean VanBuskirk, Isabel Chrisman, Tori Mecham, Ally Rep, Jacob Chrisman, Alex Lyon i Owen Knowlton.

Chciałbym podziękować Margot Atwell, Orianie Leckert i reszcie zespołu z Kickstartera. Ponadto na moje podziękowania zasługują Anna Gallagher, Palmer Johnson, Antonio Rosales i reszta ekipy BackerKit.

Przy pracy nad tą książką pomagała nam specjalna konsultantka – Jenna Beacom – i była niewiarygodna. Jeśli kiedykolwiek będziecie potrzebować pomocy w pracy nad książką, jeśli chodzi o kwestię przedstawiania Głuchych i tego, jak stworzyć głuchą postać, zwróćcie się do Jenny. Ona Wam pomoże.

Do czytelników alfa przy tym projekcie zaliczali się Adam Horne, Rachael Lynn Buchanan, Kellyn Neumann, Lex Wilhite, Christi Jacobsen, Jennifer Neal i Joy Allen.

Czytelnikami beta byli Mi'chelle Walker, Matt Wiens, Ted Herman, Robert West, Evgeni „Argent” Kirilov, Jessie Lake, Kalyani Poluri, Bao Pham, Linnea Lindstrom, Jory Phillips, Darci Cole, Craig Hanks, Sean VanBuskirk, Frankie Jerome, Giulia Costantini, Eliyahu Berelowitz Levin, Trae Cooper i Lauren McCaffrey.

Korektorami gamma byli również Joy Allen, Jayden King, Chris McGrath, Jennifer Neal, Joshua Harkey, Eric Lake, Ross Newberry, Bob Kluttz, Brian T. Hill, Shannon Nelson, Suzanne Musin, Glen Vogelaar, Ian McNatt, Gary Singer, Erika Kuta Marler, Drew McCaffrey, David Behrens, Rosemary Williams, Tim Challener, Jessica Ashcraft, Anthony Acker, Alexis Horizon, Liliana Klein, Christopher Cottingham, Aaron Biggs i William Juan.

Ponadto muszę szczególnie podziękować Wam wszystkim, którzy wsparliście ten projekt na Kickstarterze. Nie liczyłem na miejsce na szczycie (ani tym bardziej podwójnie). Chciałem jedynie zrobić coś innego, coś interesującego, coś fajnego. Wasze wsparcie przez cały czas znaczy dla mnie tak wiele. Dziękuję.

Brandon Sanderson



CZĘŚĆ
PIERWSZA

Dziewczyna



Pośrodku oceanu była sobie dziewczyna, która mieszkała na skale.

Nie był to taki ocean, jak sobie wyobraziliście.

I skała też nie była taka, jak sobie wyobraziliście.

Dziewczyna z kolei być może była taka, jak sobie wyobraziliście – zakładając, że wyobraziliście sobie, że jest zamyślona, mówi łagodnym głosem i kolekcjonuje kubki.

Mężczyźni często opisywali, że dziewczyna ma włosy koloru pszenicy. Inni mówili o barwie karmelu, a czasami o odcieniu miodu. Dziewczyna zastanawiała się, dlaczego mężczyźni tak często używają jedzenia do opisywania cech kobiet. W takich mężczyznach krył się głód, którego lepiej unikać.

Jej zdaniem „jasnobrązowe” było wystarczająco opisowym określeniem – choć to nie kolor jej włosów był ich najbardziej interesującą cechą, lecz ich nieokiełznanie. Każdego ranka bohaterko ujarzmiła je szczotką i grzebieniem, kielżnała wstążką i ciasnym warkoczem. Jednakże jakieś kosmyki zawsze się wyslizgiwały i falowały na wietrze, z radością witając wszystkich, których mijała.

Po urodzeniu dziewczynie nadano niefortunne imię Glorf (nie wyzłośliwajcie się, było tradycyjne w jej rodzinie), ale ze względu na czuprynę zyskała imię, którego używali wszyscy – Warkocz. Ten przydomek był, zdaniem samej Warkocz, jej najbardziej interesującą cechą.

Warkocz została wychowana w taki sposób, że zyskała pewien niezbywalny pragmatyzm. To częsta przypadłość tych, którzy mieszkają na surowych, pozbawionych życia wyspach, których nigdy nie opuszczają. Kiedy każdego dnia wita was czarny skalisty krajobraz, wpływa to na wasze podejście do życia.

Wyspa miała kształt przypominający zagięty palec starca, wylaniający się z oceanu i wskazujący w stronę horyzontu. Składała się w całości z jałowej czarnej skały solnej i była na tyle duża, że mogła utrzymać spore miasteczko i rezydencję diuka. Choć miejscowi nazywali wyspę Skałą, na mapach podpisywano ją jako Cypel Diggena. Nikt już nie pamiętał, kim był Digggen, ale musiał być bystrym gościem, bo opuścił Skałę tuż po tym, jak nadał jej nazwę, i nigdy nie wrócił.

Wieczorami Warkocz siadywała na ganku rodzinnego domu, popijała słoną herbatę z jednego z ulubionych kubków i wyglądała na zielony ocean. Tak, powiedziałem, że ocean był zielony. I do tego nie był mokry. Tak, zaraz do tego dojdziemy.

Kiedy słońce zachodziło, Warkocz rozmyślała o ludziach, którzy odwiedzali Skałę na statkach. Choć nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby Skały za atrakcję turystyczną. Czarna solna skała kruszyła się i dostawała do wszystkiego. Uniemożliwiała też uprawę roślin, bo prędzej czy później skaziła każdą ziemię przywiezioną spoza wyspy. Jedyna żywność na wyspie wyrastała w kadziach z kompostem.

Choć Skała miała ważne studnie, które czerpały wodę z położonej głęboko warstwy wodonośnej – coś, czego potrzebowały zawijające do nich statki – urządzenia, które pracowały w kopalniach soli, bez ustanku wypuszczały w powietrze chmury czarnego dymu.

Podsumowując, atmosfera była ponura, ziemia żałosna, a widoki przygnębiające. A, wspominałem o zabójczych zarodnikach?

Cypel Diggena leżał w pobliżu Zielonego Lunageum. Określenie lunageum, co powinniście wiedzieć, oznacza miejsca, w których jeden z dwunastu księżyców otaczających planetę Warkocz wisi na niebie na przytłaczająco niskiej orbicie stacjonarnej. Księżyce są na tyle wielkie, że wypełniają całą jedną trzecią nieba i jeden z dwunastu jest zawsze widoczny, niezależnie od tego, dokąd się udacie. Przystania widok, jak brodawka na gałce ocznej.

Miejscowi oddawali cześć tym dwunastu księżycom jako bogom, co, jak wszyscy możemy się zgodzić, jest o wiele bardziej absurdalne niż cokolwiek, w co wy wierzycie. Łatwo się jednak domyślić, skąd się wziął ten przesąd, ze względu na zarodniki – jak kolorowy piasek – które księżyce zrzuciły na ziemię.

Spadały z góry z lunageum, a Zielone Lunageum było widoczne w odległości pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu mil od wyspy. Lepiej nie zbliżać się bardziej do lunageum – wielkiej, migoczącej fontanny kolorowych pyłków, jaskrawych i skrajnie niebezpiecznych. Zarodniki wypełniały oceany tego świata, tworząc ogromne morza nie wody, ale obcego pyłu. Statki żeglowały po tym pyłu w taki sam sposób, jak żeglują tutaj po wodzie i nie powinniście uznawać tego za coś niezwykłego. Ile obcych planet odwiedziliście? Może wszyscy żeglują po morzach pyłu i to wasz dom jest dziwnym wyjątkiem?

Zarodniki były niebezpieczne jedynie, jeśli zetknęły się z wilgocią. Co było problemem ze względu na to, ile mokrych rzeczy wycieka z ludzkiego ciała, nawet zdrowego. Najmniejsza odrobina wody sprawiała, że zarodniki gwałtownie kiełkowały, a skutki bywały różne, od nieprzyjemnych po zabójcze. Gdybyście na przykład odetchnęli zielonymi zarodnikami, wasza ślina sprawiłaby, że pędy wyrosłyby z waszych ust – a w bardziej interesujących przypadkach wypełniłyby wasze zatoki i wyłoniły się wokół oczu.

Zarodniki mogły zostać unieszkodliwione wyłącznie przez dwie rzeczy – sól lub srebro. Dlatego mieszkańcy Cypla Diggena nie przejmowali się zbytnio słonym posmakiem wody i jedzenia. Uczyli swoje dzieci tej niezmiernie ważnej zasady „srebra i soli drobina zabójcą powstrzyma”. Znośny wierszyk, jeśli jesteście barbarzyńcami, którzy lubią proste rymowanki.

Tak czy inaczej, ze względu na zarodniki, dym i sól można chyba zrozumieć, dlaczego król, któremu służył diuk, musiał wprowadzić prawo nakazujące mieszkańcom pozostanie na Skale. Och, podał powody, wśród których znajdowały się ważne wojskowe terminy w rodzaju „kluczowy personel”, „strategiczne zasoby” i „przyjazne kotwicowisko”, ale wszyscy znali prawdę. Miejsce było tak niegościnne, że nawet smog uważał je za przygnębiające. Od czasu do czasu do brzegu przybijały statki potrzebujące napraw, by zostawić odpadki do kadzi z kompostem albo nabrać świeżej wody. Wszyscy jednak ściśle przestrzegali królewskiego prawa – żaden z miejscowych nie mógł opuścić Cypla Diggena. Nigdy.

I dlatego Warkocz siadywała wieczorami na schodkach, patrzyła, jak odpływają statki, z lunageum opadają kolumny zarodników, a słońce wyłania się zza księżycy i opada w stronę horyzontu. Popijała słoń herbacę z kubka z namalowanymi końmi i myślała: „To miejsce ma tak naprawdę swoją urodę. Podoba mi się tutaj. I wierzę, że spokojnie spędzę tu resztę życia”.

Być może zaskoczyły was te ostatnie słowa. Warkocz chciała zostać na Skale? Podobało jej się?

A gdzie jej pragnienie przygody? Jej tęsknota za nowymi krainami? Zamiłowanie do podróży?

Cóż, to nie jest ta część opowieści, w której zadajecie pytania. Dlatego uprzejmie zachowajcie je dla siebie. Ale skoro już o tym mowa, musicie zrozumieć, że to opowieść o ludziach, którzy są i nie są tacy, jak się wydaje. Jednocześnie. Opowieść o sprzecznościach. Innymi słowy, to opowieść o ludziach.

W tym przypadku Warkocz nie była waszą zwyczajną bohaterką – w tym sensie, że tak naprawdę była zdecydowanie zwyczajna. W rzeczy samej, uważała się za kategorycznie nudną. Lubiła pić niezbyt gorącą herbatę. Wcześniej kładła się spać. Kochała rodziców, czasem sprzeczała się z młodszym bratem i nie śmieciła. Niezłe wyszywała i miała talent do pieczenia, ale poza tym żadnych szczególnych zdolności.

Nie ćwiczyła w tajemnicy szermierki. Nie rozmawiała ze zwierzętami. Nie miała wśród przodków królów ani bóstw, choć jej prababka Glorf podobno raz pomachała do króla. Ze szczytu Skały, kiedy on przepływał obok, w odległości wielu mil, więc Warkocz nie sądziła, by się to liczyło.

Krótko mówiąc, Warkocz była zwyczajną nastolatką. Wiedziała o tym, bo inne dziewczyny często wspominały, że one nie są takie jak „wszyscy pozostali”, a Warkocz po jakimś czasie uznała, że do grupy „wszyscy pozostali” zalicza się tylko ona. Inne dziewczyny musiały mieć rację, bo wszystkie wiedziały, jak to jest być wyjątkową – zaiste, były w tym tak dobre, że robiły to razem.

Warkocz była bardziej zamyślona od większości ludzi i nie lubiła się narzucać, prosząc o to, czego pragnęła. Milczała, kiedy inne dziewczyny śmiały się albo żartowały sobie z niej. W końcu tak dobrze się bawiły. Byłoby nieuprzejme, gdyby w tym przeszkodziła, i aroganckie, gdyby poprosiła, żeby przestały.

Czasami co bardziej niesforni młodzieńcy wspominali o szukaniu przygód na obcych oceanach. Warkocz uważała ten pomysł za przerażający. Jak mogłaby zostawić rodziców i brata? Poza tym miała swoją kolekcję kubków.

Warkocz ceniła swoje kubki. Miała delikatne porcelanowe kubki z malowanym szkliwem, gliniane kubki, szorstkie w dotyku, i drewniane kubki, wytrzymałe i zużyte.

Niektórzy marynarze, którzy często przybijali do Cypla Diggena, wiedzieli o jej zamiłowaniu i czasami przywozili jej kubki ze wszystkich dwunastu oceanów – z odległych krain, gdzie zarodniki były podobno szkarłatne, lazurowe lub nawet złociste. W zamian za prezenty dawała marynarzom paszteciki, składniki na nie kupowała za żałosne pieniądze, jakie zarabiała, szorując okna.

Kubki, które jej przywozili, często były podniszczone i zużyte, ale Warkocz to nie przeszkadzało. Wyszczerbiony lub obtłuczony kubek miał historię. Uwielbiała je wszystkie, bo w ten sposób przychodził do niej świat. Kiedykolwiek popijała z jednego z kubków, wyobrażała sobie, że czuje smak dalekich potraw i napitków, a może nawet odrobinę rozumie ludzi, którzy je stworzyli.

Za każdym razem, kiedy Warkocz dostała nowy kubek, chwaliła się nim Charliemu.

Charlie twierdził, że jest ogrodnikiem w rezydencji diuka na szczycie Skały, ale Warkocz wiedziała, że tak naprawdę był synem diuka. Charlie miał dłonie delikatne jak dziecko, pozbawione odcisków, i był lepiej odżywiony niż ktokolwiek w miasteczku. Zawsze miał starannie przystrzyżone włosy i choć na jej widok zdejmował sygnet, pasek nieco jaśniejszej skóry wskazywał, gdzie go zwykle nosił – na palcu, który oznaczał szlachetnie urodzonego.

Poza tym Warkocz nie była pewna, jakimi „ogrodami” rzekomo zajmował się Charlie. W końcu rezydencja znajdowała się na Skale. Niegdyś rosło w niej drzewo, ale przed kilkoma laty zrobiło jedyną rozsądną rzecz i uschło. Było tam jednak kilka roślin doniczkowych, co pozwalało Charliemu udawać.

Szare pyłki krążyły na wietrze wokół jej stóp, kiedy wspinała się ścieżką w stronę rezydencji. Szare zarodniki były martwe – powietrze wokół Skały zawierało dość soli, by unieszkodliwić zarodniki – ale i tak wstrzymywała oddech. Na rozwidleniu skręciła w lewo – prawa odnoga prowadziła do kopalni – i ruszyła zakosami w stronę nawisu.

Wznosiła się tam rezydencja, jak korpulentna żaba usadowiona na lilii. Warkocz nie była pewna, czemu diukowi podoba się na górze. Było bliżej smogu, więc może cieszyło go towarzystwo o podobnym temperamencie. Wspinaczka na samą górę była trudna – ale patrząc na to, jak na członkach rodziny diuka leżały ubrania, może uznali, że przyda im się trochę ćwiczeń.

Terenu rezydencji pilnowało pięciu żołnierzy – choć w tej chwili na służbie byli tylko Snagu i Lead – i dobrze wykonywali swoją pracę. W końcu minęło strasznie dużo czasu, od kiedy ktokolwiek w rodzinie diuka zginął z powodu rozlicznych niebezpieczeństw, jakim musieli sta-

wiać czoło szlachetnie urodzeni mieszkający na Skale. (Zaliczały się do nich nuda, obicie palców u nóg i zadławienie się plackiem z owocami).

Rzecz jasna, przyniosła żołnierzom paszteciki. Kiedy jedli, zastanawiała się, czy pokazać im swój nowy kubek. Był cały z cyny i zdobity go wytłoczone litery języka, w którym słowa pisano od góry do dołu, nie od lewej do prawej. Ale nie, nie chciała zwracać im głowy.

Pozwolili jej przejść, choć nie był to dzień, kiedy myła okna w rezydencji. Znalazła Charliego na tyłach, był zajęty ćwiczeniem szermierki. Kiedy ją zobaczył, odłożył miecz do ćwiczeń i szybko zsunął sygnet.

– Warkocz! Dziś się ciebie nie spodziewałem!

Charlie, który właśnie skończył siedemnaście lat, był od niej o dwa miesiące starszy. Miał mnóstwo uśmiechów, a ona rozpoznawała każdy. Na przykład te wyszczerzone zęby, które widziała teraz, oznaczały, że ogromnie cieszył go pretekst do przzerwania ćwiczeń szermierki. Nie lubił jej aż tak bardzo, jak powinien, przynajmniej zdaniem jego ojca.

– Szermierka, Charlie? – spytała. – Czy to zadanie ogrodnika?

Uniósł wąskie ostrze pojedynkowe.

– To? Ależ to służy do ogrodnictwa. – Zamachnął się bez entuzjazmu w stronę jednej z roślin doniczkowych na tarasie. Roślina nie była jeszcze do końca martwa, ale liść, który Charlie właśnie rozplątał, z pewnością nie poprawi jej szans.

– Ogrodnictwo. Mieczem.

– Tak to się robi na królewskiej wyspie. – Charlie znów się zamachnął. – Wiesz, tam ciągle trwa wojna. Więc jak się nad tym zastanowić, to naturalne, że ogrodnicy uczą się przycinać rośliny mieczem. Lepiej nie wpaść w zasadzkę, kiedy jest się bezbronnym.

Nie był dobrym kłamcą, ale była to jedna z rzeczy, które Warkocz w nim lubiła. Charlie był prawdziwy. I nawet kłamał w autentyczny sposób. A ponieważ kiepsko sobie z tym radził, nie można mu było mieć tego za złe. Jego kłamstwa były tak oczywiste, że lepsze od prawdy wielu innych osób.

Jeszcze raz zamachnął się w kierunku rośliny, po czym spojrzął na Warkocz i uniósł brew. Pokręciła głową. Dlatego posłał jej uśmiech „przyłapałaś mnie, ale nie mogę się przyznać” i wbił miecz w ziemię w doniczkę, po czym klapnął na niski murek.

Synowie diuków nie powinni kłapać. Można więc uznać Charliego za młodzieńca obdarzonego niezwykłymi talentami.

Warkocz usiadła obok niego, na kolanach miała koszyk.

– Co mi przyniosłaś?

Wyjęła nieduży pasztecik.

– Gołąb i marchewka. Z sosem doprawionym tymiankiem.

– Szlachetne połączenie – stwierdził.

– Sądzę, że syn diuka, gdyby tu był, nie zgodziłby się.

– Synowi diuka wolno jeść wyłącznie potrawy, które mają dziwnie akcentowane obce litery w nazwie. I nie wolno mu przerywać ćwiczeń szermierki, żeby coś zjeść. Całe szczęście więc, że nim nie jestem.

Charlie odgryzł kęs. Obserwowała jego uśmiech. I oto był – uśmiech zachwytu. Cały dzień spędziła na rozmyślaniach, co może zrobić ze składników, które były na wyprzedazy na portowym targowisku, z nadzieją, że uda jej się zasłużyć na ten szczególny uśmiech.

– To co jeszcze przyniosłaś?

– Ogrodniku Charlie, właśnie dostałaś całkowicie darmowy pasztecik, a teraz ośmielasz się przypuszczać, że mam coś jeszcze?

– Ośmielam się? – powiedział z pełnymi ustami. Wolną ręką trącił jej koszyk. – Wiem, że jest tam coś jeszcze. Dawaj.

Uśmiechnęła się szeroko. W przypadku większości ludzi nie odważyłaby się narzucać, ale Charlie był inny. Odsłoniła cynowy kubek.

– Ach. – Charlie odstawił pasztecik i z szacunkiem uniósł kubek obiema rękami. – To coś wyjątkowego.

– Wiesz coś o tym piśmie? – spytała z przejęciem.

– To stary irialski. Wiesz, oni zniknęli. Cały lud: bach! Jednego dnia jeszcze byli, następnego zniknęli, a ich wyspa pozostała bezludna. To było trzysta lat temu, więc nikt z żyjących ich nigdy nie spotkał, ale podobno mieli złote włosy. Jak twoje, w kolorze promieni słońca.

– Moje włosy nie są w kolorze promieni słońca, Charlie.

– Twoje włosy są w kolorze promieni słońca. Gdyby promienie słońca były jasnobrazowe.

Można by powiedzieć, że Charlie doskonale panował nad słowami. A raczej to one panowały nad nim.

– Założyłbym się, że ten kubek ma niezłą historię – mówił dalej. – Wykuty dla szlachetnie urodzonego Iriali dzień przed tym, jak on... wraz ze wszystkimi rodakami... został zabrany przez bogów. Kubek pozostał na stole i zabrała go biedna rybaczka, która jako pierwsza przybyła na wyspę i odkryła z przerażeniem, że cały lud zniknął. Kubek odziedziczył po niej jej wnuk, który został piratem. W końcu zakopał swój nieuczciwie zdobyty skarb głęboko pod zarodnikami. Został odzyskany dopiero teraz, po eonach w ciemności, i trafił w twoje ręce. – Uniósł kubek do światła.

Słuchając go, Warkocz się uśmiechała. Kiedy myła okna w rezydencji, słyszała czasami, jak rodzice Charliego besztają go za to, że tak dużo mówi. Uważali, że to głupie i nie przystoi komuś o jego pozycji. Rzadko pozwalali mu dokończyć. Warkocz sądziła, że to wielka szkoda. Bo choć, owszem, czasami się rozgadywał, zrozumiała, że to dlatego, że Charlie lubił opowieści tak, jak ona lubiła kubki.

– Dziękuję, Charlie – szepnęła.

– Za co?

– Za to, że dajesz mi to, czego pragnę.

Wiedział, co miała na myśli. Nie były to ani kubki, ani historie.

– Zawsze. – Położył dłoń na jej dłoni. – Zawsze to, czego pragniesz, Warkocz. I zawsze możesz mi powiedzieć, co to jest. Wiem, że z innymi zwykle tego nie robisz.

– A czego ty chcesz, Charlie?

– Nie wiem – przyznał. – To znaczy poza jedną rzeczą. Jedną rzeczą, której nie powinienem chcieć, a chcę. Tymczasem powinienem marzyć o przygodach. Jak w opowieściach. Znasz te

opowieści?

- Te z pięknymi dziewczętami, które zawsze zostają pochwycone i nic nie robią poza siedzeniem w więzieniu? I może od czasu do czasu wołają o pomoc?

- Pewnie tak bywa.

- Dlaczego to są zawsze piękne dziewczęta? Czy istnieją takie, które są niepiękne? Może mają na myśli „pyszne”, jak jedzenie. Mogłabym być taką dziewczyną. Dobrze sobie radzę z jedzeniem. - Skrzywiła się. - Cieszę się, że nie żyję w opowieści, Charlie. Z pewnością zostałabym pochwycona.

- A ja pewnie szybko bym zginął. Jestem tchórzem, Warkocz. Taka jest prawda.

- Bzdura. Po prostu jesteś zwykłą osobą.

- Czy... widziałas, jak reaguję w obecności diuka?

Milczała. Bo widziała.

- Gdybym nie był tchórzem, mógłbym powiedzieć rzeczy, których nie potrafię ci powiedzieć. Ale, Warkocz, gdybyś została pochwycona, i tak bym pomógł. Włożyłbym zbroję. Lśniąca zbroję. A może matową zbroję. Wydaje mi się, że gdyby ktoś, kogo znam, został pochwycony, nie marnowałbym czasu na polerowanie zbroi. Myślisz, że ci bohaterowie robią sobie przerwę na jej wypolerowanie, kiedy ludzie są w niebezpieczeństwie? To nie brzmi szczególnie pomocnie.

- Charlie, czy ty w ogóle masz zbroję?

- Znalazłbym jakąś - obiecał. - Z pewnością coś bym wymyślił. Nawet tchórz byłby odważny w porządnej zbroi, prawda? W tych historiach jest mnóstwo martwych ludzi. Na pewno udałoby mi się zabrać ją...

Z wnętrza rezydencji dobiegł krzyk. To był ojciec Charliego, który gderał. Na ile Warkocz umiała to ocenić, wrzeszczenie było jedynym zadaniem diuka na wyspie, a on traktował je bardzo poważnie.

Charlie spojrział w stronę rezydencji i stężał, a jego uśmiech zniknął. Ale kiedy krzyki się nie zbliżyły, znów spojrział na kubek. Chwila minęła, ale inna zajęła jej miejsce, jak to bywa. Nie była już tak intymna, ale wciąż cenna, bo był to czas spędzony z nim.

- Przepraszam, że wspominam o takich głupotach jak pyszne dziewczęta i okradanie trupów ze zbroi - powiedział cicho. - Ale lubię, że i tak mnie słuchasz. Dziękuję ci, Warkocz.

- Lubię twoje opowieści. - Wzięła kubek i obróciła go w dłoniach. - Myślisz, że cokolwiek z tego, co powiedziałeś o tym kubku, jest prawdą?

- Może być prawdą. To najwspanialsza rzecz o opowieściach. Popatrz na to pismo... mówi, że kiedyś należał do króla. Tu jest jego imię.

- A nauczyłeś się tego języka w...

- ...szkołe ogrodniczej. Na wypadek gdybyśmy musieli przeczytać ostrzeżenia na opakowaniach pewnych niebezpiecznych roślin.

- A teraz nosisz dublet i rajtuzy lorda...

- ...bo dzięki temu jestem doskonałym wabikiem, gdyby przybyli tu skrytobójcy i spróbowali zabić syna diuka.

- Skoro tak mówisz. Ale w takim razie czemu zdejmujesz sygnet?

- Yyy... - Spuścił wzrok na dłoń, a później spojrzął jej w oczy. - Cóż, pewnie wolałbym, żebyś ty mnie nie pomyliła z kimś innym. Z kimś, z kim nie chcę być.

I wtedy uśmiechnął się swoim nieśmiałym uśmiechem. Swoim „proszę, ustąp mi w tej kwestii, Warkocz” uśmiechem. Bo syn diuka nie mógł się otwarcie bratać z dziewczyną, która myła okna. Ale arystokrata udający, że jest z pospólstwa? Udający poślednie urodzenie, by poznać mieszkańców swojej krainy? Ależ tego się spodziewano. Pojawiało się to w tak wielu opowieściach, że było wręcz instytucją.

- To ma mnóstwo sensu - powiedziała.

Sięgnął znów po pasztecik.

- Opowiedz mi o swoim dniu. Muszę o tym usłyszeć.

- Poszłam na targowisko, żeby kupić składniki. - Założyła luźny kosmyk włosów za ucho. - Kupiłam funt ryby. Łososia, importowanego z Wyspy Erika, gdzie mają wiele jezior. Poloni obniżył cenę, bo myślał, że się psuje, ale tak naprawdę popsuka się ryba w sąsiedniej beczce. Czyli dostałam rybę za nic.

- Fascynujące. Nikt nie dostaje ataku, kiedy przychodzisz? Nie wołają dzieci i nie zmuszają cię, żebyś uścisnęła ich dłonie? Opowiedz mi więcej. Proszę, chcę wiedzieć, jak się zorientowałeś, że ryba nie jest zepsuta.

Za jego namową zaczęła objaśniać przyziemne szczegóły swojego życia. Zmuszał ją do tego za każdym razem, kiedy go odwiedzała. On ze swej strony słuchał uważnie. To był dowód, że jego zamiłowanie do mówienia nie było wadą. Słuchać umiał równie dobrze. Przynajmniej jej. W rzeczy samej, z jakiegoś nieodgadnionego powodu Charlie uznał jej życie za interesujące.

Mówiąc, Warkocz poczuła, że jest jej ciepło. Często się tak zdarzało, kiedy go odwiedzała - bo wspięła się wysoko na górę i była bliżej słońca, więc tu było cieplej. To oczywiste.

Tyle tylko że właśnie trwał księżycocień, kiedy słońce chowało się za księżycem i robiło się o kilka stopni chłodniej. A tego dnia zaczynała mieć dosyć pewnych kłamstw, które opowiadała sama sobie. Może był inny powód, dlaczego było jej ciepło. Krył się w obecnym uśmiechu Charliego i w jej własnym też.

Nie słuchał jej tylko dlatego, że fascynowało go życie chłopów.

Ona nie odwiedzała go tylko dlatego, że chciała słuchać jego opowieści.

Właściwie, na najgłębszym poziomie w ogóle nie chodziło o kubki ani historie. Tak naprawdę chodziło o rękawiczki.



Warkocz zauważyła, że para porządnych rękawiczek znacznie ułatwiała jej codzienną pracę. Miała na myśli dobre rękawiczki, uszyte z miękkiej skóry, która dopasowywała się do rąk. Takie, które – jeśli dobrze je się natuszczało i nie zostawiało na słońcu – nigdy nie sztywniały. Takie, które są tak wygodne, że idziecie umyć ręce i z zaskoczeniem stwierdzacie, że wciąż macie je na sobie.

Para doskonałych rękawiczek jest bezcenna. A Charlie był jak dobre rękawiczki. Im dłużej z nim przebywała, tym bardziej właściwy wydawał się ich wspólnie spędzony czas. Nawet księżycocienie stawały się jaśniejsze, a jej ciężary lżejsze. Warkocz uwielbiała ciekawe kubki, ale częściowo dlatego, że każdy dawał jej pretekst, by go odwiedzić.

To, co wzrastało między nimi, wydawało się tak dobre, tak cudowne, że Warkocz wahała się przed nazwaniem tego miłością. Rozmowy innych młodych ludzi wskazywały, że „miłość” jest niebezpieczna. Wydawało się, że ich miłość wiąże się z zazdrością i brakiem pewności siebie. Chodziło w niej o namiętne przekrzykiwanie się i jeszcze bardziej namiętne godzenie. Mniej przypominała parę wygodnych rękawiczek, a bardziej rozgrzany węgiel, który parzył dłonie.

Miłość zawsze przerażała Warkocz. Ale kiedy Charlie znów położył dłoń na jej dłoni, zrobiło jej się gorąco. Ogień, którego zawsze się bała. Okazało się, że węgiel jednak tam był, ale zamknięty – jak w dobrym piecu.

Wbrew wszelkiej logice chciała wskoczyć w jego gorąco.

Charlie zmarł. Rzecz jasna, dotykali się wiele razy wcześniej, ale to było inne. Ta chwila. To marzenie. Zarumienił się, ale na chwilę zatrzymał rękę. W końcu uniósł ją i przeczesał włosy palcami, uśmiechając się z zawstydzeniem. Ponieważ to był Charlie, ten gest nie zepsuł chwili, tylko uczynił ją jeszcze słodsza.

Warkocz szukała doskonałych słów. Ten moment mógłby zrodzić wiele zdań. Mogłaby powiedzieć: „Charlie, czy mógłbyś to potrzymać, kiedy będę spacerować po ogrodzie” – i znów podać mu dłoń.

Mogłaby powiedzieć: „Pomocy, nie mogę oddychać. Patrzenie na ciebie zaparło mi dech w piersi”.

Mogłaby nawet powiedzieć coś zupełnie szalonego, na przykład: „Lubię cię”.

Tymczasem powiedziała:

– Hm. Ręce są ciepłe.

Następnie roześmiała się, ale urwała w połowie, pełnym przypadkiem doskonale naśladowując okrzyk mirungi.

Można by powiedzieć, że Warkocz doskonale panowała nad słowami. A raczej nie potrafiła ich z siebie wypuścić.

W odpowiedzi Charlie posłał jej uśmiech. Cudowny uśmiech, coraz bardziej pewny siebie, im dłużej trwał. Nie widziała go nigdy wcześniej. Mówił: „Myślę, że cię kocham, Warkocz, pomimo mirungi”.

Uśmiechnęła się do niego. I wtedy ponad jego ramieniem dostrzegła stojącego w oknie diuka. Wysoki i wyprostowany, nosił ubranie w militarnym stylu, które wyglądało, jakby przypięto je do jego ciała za pomocą licznych medali na piersi.

Nie uśmiechał się.

Właściwie tylko raz widziała jego uśmiech, kiedy karano starego Lotariego – który próbował uciec z wyspy, ukrywając się na pokładzie statku kupieckiego. Wydawało się, że to jedyny uśmiech diuka – może Charlie wykorzystał cały przydział dla rodziny. Tak czy inaczej, jeśli diuk miał tylko jeden uśmiech, nadrabiał to pokazywaniem stanowczo zbyt wielu zębów.

Diuk zniknął w cieniach domu, ale jego obecność przytłaczała Warkocz, kiedy pożegnała się z Charliem. Schodząc po stopniach, spodziewała się, że usłyszy krzyki, tymczasem ścigała ją złowroźna cisza. Pełna napięcia cisza, jaka następuje po błyskawicy.

Podążała za nią ścieżką i dalej do jej domu, gdzie Warkocz mruknęła do rodziców, że jest zmęczona. Udała się do swojego pokoju i czekała, aż cisza się skończy. Aż żołnierze zapukają i pytają, dlaczego dziewczyna, która myła okna, odważyła się dotknąć syna diuka.

Kiedy nic takiego się nie stało, odważyła się mieć nadzieję, że zbyt wiele się doszukiwała w wyrazie twarzy diuka. A później przypomniała sobie jego jedyny uśmiech. Potem przez całą noc dręczyły ją niepokoje.

Wstała wcześniej rano, z trudem ściągnęła włosy w kucyk i powlokła się na targowisko. Tam zamierzała przejrzeć wczorajsze i prawie popsute składniki w poszukiwaniu czegoś, na co mogła sobie pozwolić. Mimo wczesnej godziny na targowisku panował duży ruch. Mężczyźni zmiatali martwe zarodniki ze ścieżki, a ludzie gromadzili się w rozgadanych grupkach.

Warkocz przygotowała się w duchu na wieści, po czym uznała, że nic nie może być gorsze niż koszmarnie oczekiwanie, które znosiła przez całą noc.

Myliła się.

Diuk wysłał deklarację – on i jego rodzina zamierzali tego właśnie dnia opuścić wyspę.

4

Opuścić.
Opuścić wyspę?

Ludzie nie opuszczali wyspy.

Logicznie rzecz biorąc, Warkocz wiedziała, że to nie do końca prawda. Królewscy urzędnicy mogli odejść. Diuk czasami wybierał się złożyć raporty królowi. Poza tym zdobył te wszystkie wyszukane medale, zabijając ludzi z odległego miejsca, którzy wyglądali odrobinę inaczej. Najwyraźniej był całkiem bohaterski w czasie tych wojen – świadczył o tym fakt, że mnóstwo jego żołnierzy zginęło, a on przeżył.

Ale w przeszłości diuk nigdy nie zabierał rodziny.

„Spadkobierca diuka osiągnął dorosłość” głosiła proklamacja „i dlatego przedstawimy go jako potencjalnego narzeczonego różnym księżniczkom cywilizowanych mórz”.

Warkocz była pragmatyczną młodą kobietą. I dlatego tylko pomyślała, żeby z frustracji rozszarpać na strzępy swój koszyk na zakupy. Jedynie rozważała, czy byłoby stosowne, gdyby zaczęła przeklinać na całe gardło. Zaledwie zastanowiła się nad pomazzerowaniem do rezydencji diuka i zażądaniem, by zmienił zdanie.

Miast tego w otępieniu kontynuowała zakupy, wykorzystując znajomą czynność, by nadać pozory normalności gwałtownie walącemu się życiu. Znalazła trochę czosnku, co do którego była prawie pewna, że da się go ocalić, kilka ziemniaków, które nie były jeszcze całkiem zeschnię, i nawet zboże z wólkami na tyle dużymi, że dało się je wybrać.

Poprzedniego dnia byłaby szczęśliwa z powodu tego łupu. Dziś myślała jedynie o Charliem.

To wydawało się tak niewiarygodnie niesprawiedliwe. Dopiero co przyznała, co do niego czuje, i już wszystko zostało wyrzucone do góry nogami? Tak, powiedziano jej, że powinna się

spodziewać tego bólu. Miłość wiązała się z bólem. Ale to była sól w herbacie – czy nie powinno być też odrobiny miodu? Czy nie powinno być – odważyła się zapragnąć – namiętności?

Miała doznać wszelkich niedogodności związanych z romansem bez jakiegokolwiek korzyści.

Niestety, jej zmysł praktyczny zaczął zaznaczać swoją obecność. Jak długo oboje udawali, prawdziwy świat nie miał do nich prawa. Ale dni udawania minęły. Czego ona się właściwie spodziewała? Że diuk pozwoli jej poślubić swojego syna? A co ona mogła zaoferować komuś takiemu jak Charlie? Była niczym w porównaniu z księżniczką. Pomyślcie tylko, na ile kubków mogli sobie pozwolić!

W udawanym świecie w małżeństwie chodziło o miłość. W prawdziwym świecie chodziło o politykę. Słowo obciążone rozlicznymi znaczeniami, choć większość z nich sprowadzała się do: „To kwestia do omawiania przez szlachetnie urodzonych – i (niechętnie) bardzo bogatych. Nie chłopów”.

Skończyła zakupy i ruszyła ścieżką w stronę domu, gdzie przynajmniej mogła liczyć na współczucie rodziców. Wydawało się jednak, że diuk nie marnował czasu, bo zobaczyła procesję się wijącą się w stronę nabrzeża.

Odwrociła się i ruszyła z powrotem inną drogą. Dotarła na miejsce tuż za procesją – która zaczęła ładować dobytek rodziny na statek kupiecki. Nikomu nie było wolno opuścić wyspy. Chyba że przypadkiem byli kimś. Warkocz martwiła się, że nie będzie miała szansy porozmawiać z Charliem. A później martwiła się, że będzie ją miała, ale on nie będzie chciał jej widzieć.

Całe szczęście zobaczyła go, jak stał na uboczu i przypatrywał się gromadzącym się ludziom. W chwili gdy ją zauważył, podbiegł do niej.

– Warkocz! O, na księżyce. Martwiłem się, że nie znajdę cię na czas.

– Ja... – Co mogła powiedzieć?

– Pyszne dziewczę. – Złożył jej ukłon. – Muszę się pożegnać.

– Charlie... – powiedziała cicho. – Nie próbuj być kimś, kim nie jesteś. Znam cię.

Skrzywił się. Miał na sobie płaszcz podróżny i nawet kapelusz. Diuk uważał kapelusze za nieestosowne we wszystkich sytuacjach poza podróżą.

– Warkocz, obawiam się, że cię okłamałem – powiedział ciszej. – Widzisz... nie jestem ogrodnikiem. Jestem... no... synem diuka.

– Zadziwiające. Kto by pomyślał, że ogrodnik Charlie i następca diuka Charles są tą samą osobą, jeśli wziąć pod uwagę, że są w tym samym wieku, wyglądają tak samo i noszą to samo ubranie.

– No tak. Jesteś na mnie zła?

– Złość stoi teraz w kolejce. Jest siódma, wciśnięta między niepewność a zmęczenie.

Za ich plecami ojciec i matka Charliego wkroczyli na pokład. Służący podążyli za nimi z resztą bagażu.

Charlie wbił wzrok w ziemię.

– Wydaje się, że mam się ożenić. Z księżniczką tego czy innego narodu. Co o tym myślisz?

- Ja... - Co powinna powiedzieć? - Życzę ci wszystkiego najlepszego?

Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie.

- Zawsze, Warkocz. Pamiętasz?

Było jej trudno, ale po chwili macania na ślepo znalazła słowa ukryte w kącie i próbujące przed nią uciec.

- Chciałabym, żebyś tego nie robił - powiedziała, ściskając je mocno. - To znaczy się żenił. Z kimś innym.

- Och? - Zamrugał. - Naprawdę?

- To znaczy jestem pewna, że one są bardzo miłe. Księżniczki.

- Mam wrażenie, że to należy do ich obowiązków. Jak... Słyszałaś o rzeczach, które robią w opowieściach? Reanimowanie płazów? Informowanie rodziców, że ich dziecko zmoczyło łóżeczko? Trzeba być dość miłym, żeby robić coś takiego.

- Tak. Ja... - Odetchnęła głęboko. - I tak wołałabym... żebyś nie poślubił jednej z nich.

- Cóż, w takim razie tego nie zrobię.

- Wątpię, żebyś miał wybór, Charlie. Twój ojciec chce, żebyś się ożenił. To polityka.

- Ach, ale widzisz, ja mam tajną broń. - Wziął ją za rękę i się nachylił.

Za jego plecami jego ojciec przeszedł na dziób statku i patrzył z góry z nachmurzoną miną. Charlie jednak uśmiechnął się krzywo. To był jego uśmiech „popatrz, jaki jestem przebiegły”. Używał go, kiedy nie był szczególnie przebiegły.

- Jaka... tajną broń, Charlie?

- Potrafię być niewiarygodnie nudny.

- To nie broń.

- Być może nie na wojnie, Warkocz. Ale podczas zalotów? To równie doskonała broń jak najostrejszy rapier. Wiesz, jak potrafię gadać. I gadać. I gadać.

- Ja lubię, jak ty gadasz, Charlie. Właściwie zupełnie mi to nie przeszkadza. A czasami nawet całkiem się podoba.

- Ty jesteś szczególnym przypadkiem. Ty jesteś... no, to trochę głupie... ale jesteś jak para rękawiczek, Warkocz.

- Naprawdę? - spytała, krztusząc się.

- Tak. Nie poczuć się urażona. Chodzi o to, że kiedy muszę ćwiczyć z mieczem, noszę te rękawiczki i...

- Rozumiem - szepnęła.

Stojący na pokładzie ojciec Charliego krzyknął do niego, każąc mu się pośpieszyć. Warkocz uświadomiła sobie wtedy, że - podobnie jak Charlie miał różne rodzaje uśmiechów - jego ojciec miał różne rodzaje grymasów. Nie za bardzo podobało jej się, co obecny sugerował na jej temat.

Charlie ścisnął jej dłonie.

- Posłuchaj, Warkocz. Obiecuję ci. Nie ożenię się. Udam się do tych królestw i będę tak nieznośnie nudny, że żadna z dziewcząt mnie nie zechce. Nie jestem w niczym szczególnie dobry. Nigdy nie zdobyłem nawet jednego punktu przeciwko ojcu w szermierce. W czasie oficjalnych kolacji rozlewam zupę. Gadam tak dużo, że nawet mój lokaj - który dostaje pieniądze za to,

żeby słuchać – wymyśla kreatywne powody, by mi przerwać. Parę dni temu opowiadałem mu historię o rybie i mewie, a on udał, że obił sobie palec u nogi i...

Diuk znowu krzyknął.

– Uda mi się, Warkocz – upierał się Charlie. – Zrobię to. W każdym miejscu, w którym się zatrzymamy, wybiorę kubek dla ciebie, w porządku? A kiedy zanudzę obecną księżniczkę na śmierć, zaś mój ojciec uzna, że musimy ruszać dalej, wyślę ci kubek. Jako dowód, wiesz. – Jeszcze raz ścisnęła jej dłoń. – Zrobię to, nie tylko dlatego, że ty słuchasz. Ale ponieważ mnie znasz, Warkocz. Zawsze mnie dostrzegałaś, a inni tego nie robią.

Zaczął się odwracać, by w końcu odpowiedzieć na okrzyki ojca. Warkocz ścisnęła jego dłoń. Nie chciała, by to się skończyło.

Charlie poślą jej ostatni uśmiech. I choć próbował udawać pewność siebie, znała jego uśmiechy. Ten był niepewny, pełny nadziei, ale zmartwiony.

– Ty też jesteś moimi rękawiczkami, Charlie – powiedziała do niego.

Później musiała go puścić, żeby mógł wbiec po trapie. Już i tak wystarczająco się narzucała.

Diuk zmusił syna do wejścia pod pokład, kiedy statek prześlizgnął się przez martwe szare zarodniki najbliższej Skąły i wypłynął na prawdziwy zielony ocean. Złapał wiatr w żagle i wyruszył w stronę horyzontu, zostawiając za sobą poruszony szmaragdowy pył. Warkocz wspięła się do domu, a później patrzyła z klifu, aż statek stał się mały jak kubek. Później jak pyłek. I zniknął.

Później zaczęło się czekanie.

Powiadają, że oczekiwanie jest najbardziej nieznośną udręką w życiu. „Oni” oznacza w tym przypadku pisarzy, którzy nie mają nic użytecznego do zrobienia, więc wypełniają czas rozmyślaniami o tym, co powiedzieć. Każda pracująca osoba powie wam, że czas na oczekiwanie to luksus.

Warkocz miała okna do umycia. Posiłki do ugotowania. Młodszego brata do pilnowania. Jej ojciec, Lem, nigdy nie wrócił do pełni zdrowia po wypadku w kopalni, i choć próbował pomagać, ledwie chodził. Pomagał matce Warkocz, Ulbie, całymi dniami robić skarpetki na drutach. Sprzedawali je marynarzom, ale ze względu na cenę włóczki zarabiali na tym bardzo niewiele.

Dlatego Warkocz nie czekała. Pracowała.

Mimo wszystko przybycie pierwszego kubka było wielką ulgą. Dostarczył go chłopiec okrętowy Hoid. (Tak, to ja. Skąd wiecie? Może dzięki imieniu?). Piękny porcelanowy kubek bez najmniejszego wyszczerbienia.

Tego dnia świat pojaśniał. Warkocz niemal słyszała głos Charliego, kiedy czytała towarzyszący kubkowi list, w którym opisywał ze szczegółami uczucia pierwszej księżniczki. Z bohaterską monotonią wylizywał odgłosy, jakie wydawał jego żołądek, kiedy w nocy leżał w różnych pozycjach. A gdyby tego było za mało, następnie wyjaśnił, że zachowuje obcięte paznokcie u stóp i nadaje im imiona. To zadziało.

Walcz dalej, moja gadatliwa miłości, pomyślała Warkocz, kiedy następnego dnia szorowała okna rezydencji. Bądź dzielny, mój nieco obrzydliwy wojowniku.

Następny kubek był z czystego czerwonego szkła, wysoki i smukły, i wyglądał, jakby mieściło się w nim więcej płynu niż w rzeczywistości. Może pochodził z wyjątkowo skąpej gospody. Charlie zniechęcił tę księżniczkę, wyjaśniając ze wszystkimi szczegółami, co zjadł na śniadanie – policzył kawałki jajecznicy i podzielił je ze względu na rozmiar.

Trzeci kubek był ogromnym, masywnym kuflem z cyny z ołowiem. Może pochodził z jednego z tych miejsc, które wymyślił Charlie, gdzie ludzie zawsze musieli nosić broń. Warkocz była prawie pewna, że mogłaby pozbawić napastnika przytomności, gdyby zamachnęła się kuflem. Najnowsza księżniczka nie wytrzymała długiej rozmowy na temat korzyści płynących z użycia różnych znaków przestankowych, w tym kilku, które Charlie wymyślił.

Na kartce w czwartej paczce nie było listu, jedynie niewielki rysunek – ściskające się dwie dłonie w rękawczkach. Na kubku wymalowano motyla unoszącego się nad czerwonym oceanem – uznała za dziwne, że motyl nie bał się zarodników. Może był więźniem, zmuszonym, by polecieć nad oceanem i spotkać swój los.

Piąty kubek nigdy nie dotarł.

Warkocz próbowała to zbyć, mówiła sobie, że musiał zaginąć w drodze. W końcu statkowi płynącemu po zarodnikach mogło się przytrafić wiele rzeczy. Piraci albo... no wiecie... zarodniki.

Ale mijały miesiące, każdy bardziej nużący od poprzedniego. Za każdym razem, kiedy do nabrzeża przybijał statek, Warkocz pytała o pocztę.

Nic.

Robiła to przez wiele miesięcy, aż minął cały rok od odejścia Charliego.

I w końcu wiadomość. Nie od Charliego, ale od jego ojca, wysłana do całego miasta. Diuk powracał w końcu na Cypel Diggena, z żoną, dziedzicem i... synową.



Warkocz siedziała na ganku, opierała się o matkę i wpatrywała w horyzont. Trzymała ostatni kubek, który przysłał jej Charlie. Ten z motylem-samobójcą.

Jej ciepła herbata smakowała łzami.

- To nie było zbyt praktyczne - szepnęła do matki.

- Miłość rzadko jest - odparła matka.

Była krzepką kobietą o pocieszająco obfitej sylwetce. Przed pięcioma laty była chuda jak patyk. Wtedy Warkocz dowiedziała się, że matka oddaje część swojego jedzenia dzieciom - i od tej pory przejęła robienie zakupów, sprawiając, że pieniądze starczało im na więcej.

Na horyzoncie pojawił się statek.

- W końcu pomyślałam o tym, co powinnam powiedzieć. - Warkocz odsunęła włosy z oczu.

- Kiedy wyruszała. Nazwałam go rękawiczką. To nie jest tak złe, jak się wydaje. Widzisz, on wcześniej tak nazwał mnie. Miałam rok na zastanowienie i uświadomiłam sobie, że mogłam powiedzieć coś więcej.

Matka ścisnęła jej ramię, gdy statek nieuchronnie się zbliżał.

- Powinnam powiedzieć, że go kocham - szepnęła Warkocz.

Matka dołączyła do niej, kiedy pomaszerowała, jak żołnierz w pierwszym szeregu stawiający czoło ostrzałowi armatniemu, by powitać statek. Jej ojciec został w domu ze względu na chorą nogę - i dobrze. Warkocz obawiała się, że zrobiliby scenę, tak bardzo przez ostatnie miesiące zrzedził na diuka i jego syna.

Ale Warkocz nie potrafiła mieć pretensji do Charliego. To nie jego wina, że jest synem diuka. Coś takiego mogło się przytrafić każdemu, naprawdę.

Zebrał się tłum. W liście diuk napisał, że chce świętować – i przywiezie jedzenie i wino. Cokolwiek ludzie myśleli o nowej przyszłej diuszesie, nie zamierzali zrezygnować z darmowego alkoholu. (Jak zawsze, tajemnica popularności kryje się w prezentach. Jak również prawa do obcięcia głowy każdemu, kto was nie lubi).

Warkocz i jej matka przybyły na tyłach tłumy, ale piekarz Holmes przywołał je na stopnie swojego sklepu, skąd widziały wszystko lepiej. Był życzliwym człowiekiem, zawsze zachowywał ostatnie bochenki i sprzedawał je jej za drobniaki.

I dlatego Warkocz dobrze widziała księżniczkę, kiedy ta pojawiła się na pokładzie. Była piękna. Zaróżowione policzki, błyszczące włosy, delikatne rysy twarzy. Była tak doskonała, że najlepszy malarz wszystkich mórz nie udoskonaliliby jej portretu.

Charliemu w końcu udało się stać częścią opowieści. Warkocz czuła się szczęśliwa z jego powodu – z wysiłkiem.

Następny pojawił się diuk. Pomachał ręką, by ludzie wiedzieli, że mają wiwatować na jego cześć.

– Przedstawiam swojego dziedzica! – krzyknął.

Na pokład obok księżniczki wyszedł młody mężczyzna. I z całą pewnością nie był to Charlie.

Ten młodzieniec był mniej więcej w tym samym wieku co Charlie, ale miał sześć i pół stopy wzrostu i tak męską szczękę, że na jej widok inni mężczyźni zaczęli wątpić w swoje preferencje. Był bardzo umięśniony – do tego stopnia, że kiedy uniósł rękę, żeby pomachać, Warkocz mogłaby przysiąc, że szwy jego koszuli błagają o litość.

Co, na dwanaście księżyców? – pomyślała.

– Na skutek nieszczęśliwego wypadku zostałem zmuszony, by adoptować mojego bratanka Dirka i ogłosić go swoim nowym następcą – ogłosił diuk pośród zapadłej ciszy i zrobił chwilę przerwy, by jego słowa dotarły do tłumy. – Jest doskonałym szermierzem i odpowiada na pytania jednym zdaniem. A czasami nawet jednym słowem! A poza tym jest bohaterem wojennym. Stracił dziesięć tysięcy ludzi w Bitwie o Jeziorowygódkę.

– Dziesięć tysięcy? – powtórzyła matka Warkocz. – Ojej, to bardzo dużo.

– Będziemy teraz świętować ślub Dirka z księżniczką Uśpienia! – wykrzyknął diuk i uniósł wysoko rękę.

Tłum milczał, wciąż zdezorientowany.

– Przywiozłem trzydzieści beczulek! – wykrzyknął diuk.

Rozległy się wiwaty. I tak zaczęła się zabawa. Mieszkańcy miasta ruszyli w stronę sali bankietowej. Komentowali urodę księżniczki i byli pod wrażeniem tego, jak dobrze Dirk zachowywał równowagę podczas chodzenia, zważywszy, że jego środek ciężkości musiał się znajdować gdzieś na wysokości mostka.

Matka Warkocz powiedziała jej, że zdobędzie odpowiedzi, i ruszyła za tłumem. Kiedy jednak Warkocz otrząsnęła się z szoku, zobaczyła, że Flik – jeden ze służących diuka – macha do niej z miejsca obok trapu. Był życzliwym mężczyzną o szerokich uszach, które wyglądały, jakby czekały na właściwą chwilę, żeby się zerwać i odlecieć.

– Fliku? – szepnęła. – Co się stało? Wypadek? Gdzie jest Charlie?

Flik spojrział na rzędy ludzi idących w stronę sali bankietowej. Diuk i jego rodzina dołączyli do nich i znajdowali się na tyle daleko, że wszelkie grymasy utraciłyby moc ze względu na opór wiatru i wpływ grawitacji.

- Chciał, żebym ci to dał.

Flik podał jej niewielki woreczek. Zabrzączał, kiedy go wzięła. W środku znajdowały się kawałki ceramiki.

Piąty kubek.

- On tak bardzo się starał, panienko Warkocz - szepnęła Flik. - Och, powinnaś widzieć młodego panicza. Robił wszystko, żeby zniechęcić te kobiety. Zapamiętał osiemdziesiąt siedem rodzajów sklejki i jej zastosowanie. Opowiadał każdej księżniczce, którą poznał... ze szczegółami... o zwierzętach, które miał w dzieciństwie. Mówił nawet o religii. Myślałam, że w piątym królestwie będą go mieli, bo księżniczka była głucha, ale młody panicz zwymiotował na nią podczas obiadu.

- Zwymiotował?

- Prosto na jej kolana. - Flik zerknął na boki, po czym gestem kazał jej podążyć za sobą, kiedy wziął kilka sztuk bagażu z nabrzeża. Zaprowadził ją w bardziej ustronne miejsce. - Ale jego ojciec się zorientował, panienko Warkocz. Domyślił się, co robi młody panicz. Diuk wpadł we wściekłość. Prawdziwą wściekłość.

Wskazał na potłuczony kubek, który niosła w torebce.

- Tak, ale co stało się z Charliem? - spytała Warkocz.

Flik odwrócił wzrok.

- Proszę. Gdzie on jest?

- Wyplłynął na Północne Morze, panienko Warkocz. Pod księżycem Thanasmii. Czarodziejka go zabrała.

Te nazwy przeszły Warkocz dreszczem. Północne Morze? Kraina Czarodziejki.

- Czemu miałby to zrobić?

- Myślę sobie, że to dlatego, że ojciec go zmusił. Czarodziejka jest niezamężna. A król od dawna chciał sprawić, by była mniejszym zagrożeniem. Więc...

- Król wysłał Charliego, by spróbował poślubić Czarodziejkę?

Flik nie odpowiedział.

- Nie. - Do Warkocz nagle dotarła straszna prawda. - Wysłał Charliego na śmierć.

- Niczego takiego nie powiedziałem. - Flik oddalił się pośpiesznie. - Jeśli ktokolwiek spyta, niczego takiego nie powiedziałem.

Warkocz usiadła odrętwiała na jednym ze słupów nabrzeża. Słuchała poruszających się zarodników, dźwięk ten przypominał osypujący się piasek. Nawet na tak odległej wyspie ludzie słyszeli o Czarodziejce. Regularnie wysyłała okręty, by złupić granice Zielonego Morza, a walka z nią była niewiarygodnie trudna. Jej twierdza kryła się gdzieś na odległym Północnym Morzu, najbardziej niebezpiecznym z nich wszystkich. Żeby do niego dotrzeć, trzeba było przebyć Szkarłatne Morze, niezamieszkałe morze, które było jedynie odrobinę mniej zabójcze.

Dowiedzenie się, że Charlie został przez nią pojmany, było jak dowiedzenie się, że udał się na jeden z księżyców. Warkocz nie mogła uwierzyć na słowo jednemu człowiekowi. Nie w takiej kwestii. Nie odważyła się niepokoić innych pytaniami, ale słuchała, jak służba rozmawia przyciszonymi głosami z dociekliwymi robotnikami portowymi, którzy chcieli jak najszybciej rozładować statek, by wziąć udział w zabawie. Wszyscy mówili to samo. Tak, Charlie został wysłany na Północne Morze. Diuk i król podjęli razem tę decyzję, więc to musiał być dobry pomysł. W końcu ktoś musiał spróbować powstrzymać Czarodziejkę przed napaściami. A Charlie był... no... oczywistym wyborem... z... różnych powodów.

Implikacje przeraziły Warkocz. Diuk i król zorientowali się, że Charlie nie chciał współpracować, a ich rozwiązaniem było pozbycie się go. Dirk został uznany za dziedzica kilka godzin po tym, jak przyszły wieści, że statek Charliego zniknął.

W oczach szlachetnie urodzonych to było eleganckie rozwiązanie. Diuk dostał spadkobiercę, z którego w końcu mógł być dumny. Król zyskał korzystny sojusz poprzez małżeństwo Dirka z księżniczką z innego królestwa. A wszyscy mogli zrzucić kolejną śmierć na Czarodziejkę, podburzając ludzi do wywołania kolejnej wojny.

Po trzech dniach Warkocz w końcu odważyła się narzucić Brunswickowi – zarządcy diuka – z prośbą o dalsze informacje. Ponieważ lubił jej paszteciki, przyznał, że dostali od Czarodziejki żądanie okupu. Ale diuk w swej mądrości uznał, że to sztuczka mająca na celu ściągnięcie kolejnych statków na Północne Morze. Król oficjalnie uznał Charliego za zmarłego.

Mijały dni. Warkocz była oszołomiona, kiedy uświadomiła sobie, że nikogo to nie obchodziło. Nazwali to „polityką” i żyli dalej. Choć nowy dziedzic miał potencjał intelektualny porównywalny z kawałkiem rozmiękłego chleba, był popularny, przystojny i bardzo dobrze sobie radził z doprowadzaniem innych do śmierci. Charlie zaś był... cóż, Charliem.

Warkocz przez wiele tygodni zbierała odwagę, po czym poszła poprosić diuka, by zapłacił okup. Taki odważny czyn był dla niej trudny. Nie była tchórzem, ale narzucanie się innym ludziom... cóż, ona po prostu taka nie była. Jednakże zachęcana przez rodziców przebyła daleką drogę i cicho wyraziła swoją prośbę.

Diuk w odpowiedzi nazwał ją „ładacznicą o orzechowych włosach” i zabronił jej mycia okien gdziekolwiek w miasteczku. Musiała zająć się robieniem skarpetek razem z rodzicami, co przynosiło znacznie mniej pieniędzy.

W miarę upływu czasu Warkocz popadła w apatię. Czuła się mniej jak istota ludzka, a bardziej jak człowiek, który po prostu istniał.

Dla wszystkich innych życie na Skale powróciło do normalności, tak po prostu. Nikogo nie obchodziło. Nikt nie zamierzał nic zrobić.

Dwa miesiące po powrocie diuka Warkocz podjęła decyzję. Był ktoś, kogo to obchodziło. Naturalnie to ta osoba musiała coś zrobić. Warkocz nie mogła się nikomu narzucać.

Zamierzała sama uratować Charliego.



CZEŚĆ
DRUGA

Celniczka



Kiedy Warkocz podjęła decyzję, miała wrażenie, że w jej wnętrzu rozplątał się węzeł – jakby w końcu udało jej się rozczesać uparty kołtun we włosach.

Zrobi to. Nie miała pojęcia jak, ale znajdzie sposób, by wydostać się z wyspy, przebyć straszliwe Szkarłatne Morze, wypłynąć na Północne Morze i uratować Charliego. Tak, każdy z tych problemów wydawał się równie niemożliwy. Ale jakimś sposobem mniej niemożliwy niż wyobrażenie sobie reszty życia bez niego.

Najpierw jednak Warkocz porozmawiała z rodzicami. (Coś, co ludzie w opowieściach takich jak ta powinni robić częściej). Poprosiła ich, żeby usiedli, po czym opisała swoją miłość do Charliego, świadomość, że nikt mu nie pomoże, i determinację, by go odnaleźć – choć jednocześnie wyraziła troskę, że jej nieobecność może utrudnić im życie.

Oboje słuchali jej w milczeniu. Częściowo dlatego, że upiekła im paszteciki z przepiórczymi jajami. Z pełnymi ustami trudniej jest sprzeciwić się tymczasowemu atakowi szaleństwa własnej córki.

Kiedy skończyła, Lem poprosił o dokładkę. To była trudna sytuacja, która wymagała dwóch pasztecików. Ulba zjadła zaledwie połowę posiłku, odchyliła się do tyłu i zostawiła resztę niektkniętą. To była również trudna sytuacja, która wymagała pół pasztecika.

Ojciec Warkocz zjadł drugi pasztecik z dużym namysłem, zaczął od góry, później na zewnątrz, a ciasto zostawił sobie na koniec. W końcu je również schrupał. A później przez dłuższą, niezręczną chwilę wpatrywał się w talerz.

Czy to była... być może... trudna sytuacja, która wymagała trzech pasztecików?

– Myślę, że będziemy musieli jej na to pozwolić – powiedział w końcu, zwracając się do Ulby.

- To szaleństwo! - odparła matka Warkocz. - Opuścić wyspę? Udać się na Północne Morze? Wykraść więźnia Czarodziejce?

Lem otarł serwetką najeżone wąsy, oczyszczając je z resztek posiłku.

- Ulbo, powiedziałaabyś, że nasza córka jest bardziej praktyczna od nas?

- Tak, normalnie bym tak powiedziała.

- I powiedziałaabyś również, że jest bardziej zamyślona od nas?

- Ona ciągle myśli - zgodziła się matka.

- Jak często narzuca się ludziom albo o coś prosi?

- Prawie nigdy.

- Jeśli weźmiemy to pod uwagę, odejście musi być właściwą decyzją - stwierdził ojciec. - Z pewnością rozważyła wszystkie inne rozwiązania. Opuszczenie wyspy, by ocalić mężczyznę, którego kocha, może brzmieć jak szaleństwo, ale jeśli wszystkie inne rozwiązania zostały odrzucone jako niemożliwe, to szaleństwo może być... w tym przypadku... praktyczne.

Warkocz poczuła delikatny dreszcz. Zgodził się?

- Warkocz... - powiedział ojciec, pochylił się i oparł niegdyś potężne ręce na blacie stołu - ...zatroszczymy się o twojego brata i ciebie, jeśli odejdziesz. Proszę, nie martw się o nas, pod tym względem jesteś zbyt uczynna. Ale żadne z nas nie może udać się z tobą. Rozumiesz to?

- Tak, ojcze.

- Zawsze się zastanawiałem, czy ta wyspa nie okaże się za mała dla kogoś takiego jak ty.

Te słowa sprawiły, że Warkocz zmarszczyła czoło.

- Dlaczego się tak zachowujesz? - spytał ją.

- Nie chcę być niegrzeczna.

- W takim razie zażądam, żebyś mi powiedziała, bo wtedy brak odpowiedzi byłby jeszcze bardziej niegrzeczny.

Nachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Dlaczego mówisz, że wyspa jest dla mnie za mała, ojcze? We mnie nie ma nic niezwykłego. Jeśli już, to ja jestem za mała dla niej.

- Wszystko w tobie jest wyjątkowe, Warkocz - powiedziała jej matka. - Dlatego właśnie nic się szczególnie nie wyróżnia.

Cóż, rodzice są zobowiązani do mówienia takich rzeczy. Wymaga się od nich, by widzieli w swoich dzieciach wszystko, co najlepsze, bo inaczej życie z tymi małymi socjopatami doprowadziłoby ich do szaleństwa.

- Mam w takim razie wasze błogosławieństwo? - spytała ich Warkocz.

- Wciąż uważam, że to koszmarny pomysł - zauważyła Ulba.

Lem pokiwał głową.

- Owszem. Ale błyskotliwie zrealizowany koszmarny pomysł musi być lepszy niż koszmarnie zrealizowany błyskotliwy pomysł. Popatrzcie tylko na pelikany.

- To prawda - przyznała matka. - Ale czy jesteśmy zdolni do obu rodzajów błyskotliwości?

- Nie - powiedziała Warkocz. - Ale może uda się nam zrobić mnóstwo małych kroczków, które połączone razem będą się wydawać błyskotliwe dla kogoś, kto nas nie zna.

I tak oto zabrali się do dzieła. Warkocz była boleśnie świadoma, że Charlie mógł cierpieć, ale zdecydowała się nie śpieszyć. Jeżeli miała zrobić coś tak głupiego jak opuszczenie wyspy, uznała, że powinna podejść do tego drobiazgowo. Może to rozrzedzić głupotę w czasie, podobnie jak dobra mąka mogła rozrzedzić stęchłą i poprawić smak wypieku.

Zaczęła robić skarpetki na szczycie klifu, by móc obserwować statki, które przyplływały i wypływały. Jej matka zaczęła robić skarpetki na stoliku w pobliżu nabrzeża, by móc robić notatki. Każdego wieczoru porównywały swoje odkrycia, a ojciec Warkocz słuchał i dzielił się swoimi przemyśleniami.

Choć Warkocz zawsze była zainteresowana mechanizmami żeglugi, teraz miała powód, by poznać szczegóły. Istniały dwa typy ludzi, którzy regularnie opuszczali wyspę. Do pierwszego zaliczały się, rzecz jasna, załogi różnych statków. Kiedy zacumowali, wychodzili na brzeg, by zrobić zakupy albo odwiedzić miejscowe tawerny. Skala nie miała szczególnych atrakcji, ale piwo Cegły było znane jako jedno z lepszych w regionie. Poza tym, kiedy wypilo się go dość dużo, reszta udogodnień robiła o wiele lepsze wrażenie.

Drugim typem ludzi, którzy opuszczali Skalę, byli urzędnicy państwowi. Nie tylko diuk i jego rodzina, ale też inni królewscy zarządcy, tacy jak poborcy podatkowi, królewscy posłańcy i celnicy. Wolno im było odpłynąć, kiedy uznali to za stosowne. Odwiedzający wyspę szlachetnie urodzeni również mieli prawo ją opuścić – i zwykle robili to szybko, kiedy tylko uświadomili sobie, jak koszmarny błąd popełnili.

Największym wyzwaniem Warkocz miała być obecna celniczka. Surowa kobieta potwierdziła listy przewozowe przyplływających kupców i sprawdzała ładunek w poszukiwaniu uciekinierów. Jak na miejsce, w którym nikt nie chciał mieszkać, na Skale znajdowało się wiele rzeczy, których ludzie pragnęli. Sól z kopalni, piwo Cegły, nawet pióra i puch mew.

Mieszkańcy miasteczka mogli sprzedawać te rzeczy jedynie statkom, które miały pełnomocnictwo od króla. Celnicy nadzorowali to wszystko. Kiedy obecna przybyła wcześniej tego roku, nie przedstawiła się imieniem i nalegała, by zwracano się do niej „Celniczko”. Twierdziła, że nie zostanie na Skale dość długo, by imiona się liczyły.

Warkocz nie pamiętała równie wymagającego celnika. Ta kobieta zawsze obserwowała, wymachiwała prętem, który nosiła, szukając pretekstu do wymierzenia kary. Wydawała się zbyt surowa, by być w pełni człowiekiem. Zupełnie jakby, zamiast się urodzić, namnożyła się – a zamiast dorosnąć, przerzutowała.

Warkocz i jej matka poświęciły wiele godzin na ukradkową obserwację tego, jak celniczka przeszukiwała wypływające statki. Worki piór były ważone, a w beczki z solą wbijano ostrza, by odnaleźć ewentualnych pasażerów na gapę. Ale niektórych ze sprzedawanych towarów – na przykład dużych beczulek miejscowego piwa – nie dawało się otworzyć, żeby ich zawartość się nie popsowała. A gdyby ktoś ukrył się w beczulce? Czy mogliby uzupełnić ją czymś w rodzaju soli, żeby miała odpowiedni ciężar rozłożony we właściwy sposób?

Niestety, celniczka miała odpowiedź na takie potencjalne plany ucieczki. Sprawdzając beczulki, wykorzystywała specjalne urządzenie do słuchania, podobne do tego, za pomocą którego medycy słuchali serc. Zatrzymywała się na dłużej przy każdej beczce, nasłuchując poruszeń lub oddechów w środku. Podobno celniczka miała doskonały słuch i słyszała nawet bicie serca uciekinierów.

Czy istniał jakiś sposób, by to obejść? By wykorzystać sytuację?

Pewnego wieczoru, dwa tygodnie po tym, jak podjęła decyzję o odejściu, Warkocz usiadła z notesem pełnym pomysłów. Szmaragdowy Księżyc świecił jasno jak zwykle, stoicki i nieruchomy na niebie. Na horyzoncie opadały zarodniki, niczym skryształizowany księżycowy blask.

Jej ojciec przykuśtykał bliżej, usiadł i gestem poprosił ją, żeby pokazała mu plany. Przeczytał je uważnie i pokiwał głową.

– To może się udać.

– Może. – Warkocz ziewnęła. – Ale wątpię, żeby tak się stało. Być może udałoby mi się oszukać bandę marynarzy, ale nigdy nie oszukam Cegły, Gremmy'ego ani Sora. Oni będą wiedzieli, że coś jest nie tak. – Przetarła oczy. Nie spała, bo była tak pełna napięcia. (Można by powiedzieć, że zmartwienie jest jak padlinożerca uczuć. Przyciągane do innych, lepszych emocji jak wrony na pole bitwy).

– Może nie musisz ich oszukać – powiedział ojciec. – Może zechcą ci pomóc.

– Nie mogłabym ich o to prosić. A jeśli celniczka mnie złapie? Inni wpakowaliby się w zbyt wielkie tarapaty.

Ojciec znów pokiwał głową. Oczywiście, takie słowa były typowe dla Warkocz. Dlatego zaproponował, żeby się położyła. Warkocz wyglądała, jakby miała zasnąć w połowie rozmowy – a to coś znaczyło, jeśli wziąć pod uwagę, jak wiele opowieści Charliego przetrwała bez jednego ziewnięcia.

Kiedy poszła na górę, Lem wziął łaskę, włożył płaszcz i wyszedł, żeby zająć się zaawansowanym ojcostwem.



Lem nie był biednym człowiekiem.

Teraz pewnie moglibyście powiedzieć mi: „Hoidzie, ta cała opowieść świadczy, że jest wręcz przeciwnie. Rodzina Lema ciągle zaciska pasa, żeby przetrwać”. A ja odpowiedziałbym: „Proszę, nie przerywajcie”.

Lem nie był biedny, po prostu nie miał dużo pieniędzy.

Tej nocy, kiedy Warkocz spała, Lem pokuśtykał w dół długą drogą do tawerny Cegły. Był pewien, że Gremmy i Sor tam będą. W końcu tawerna zamykała się dopiero o drugiej.

Lem wszedł, kuśtykając, do środka. Wciąż było na tyle wcześnie, że u Cegły panowała radosna, hałaśliwa atmosfera. Jak wiecie, wieczory w tawernach są jak ogień w palenisku. Mają dwa życia.

Jest ta część kiedy są hałaśliwe, wesole i radosne. A później wieczór zaczyna dryfować. Tawerna staje się zimniejsza, ciemniejsza i cichsza. Ci, którzy wypełniają tawernę w czasie jej drugiego życia, nie chcą koleżeństwa. Jedynie towarzystwa.

Od tej części dzieliło ich kilka godzin, więc Lem mijał roześmianych górników stawiających sobie nawzajem kolejkę i rozmawiających o swoich nudnych nudach. Zauważył Gremmy'ego i Sora razem, jak to się często zdarzało. Doker i zarządca portu wyglądali jak dwa końce pinezki. Gremmy był krępy, miał płaską głowę i fryzurę, która wręcz krzyczała: „Co jest najtańsze?”. Sor był zasadniczo szefem Gremmy'ego, ale rzadko o tym wspominał, żeby przypadkiem nie zabrzmiało to, jakby proponował, że zapłaci rachunek. Wysoki i wyprostowany popijał piwo, bo nie chciał, żeby ktoś zobaczył, jak pije wino, na które mógł sobie pozwolić.

Cegła, rzecz jasna, znajdował się za barem, stał na stołeczku, żeby móc patrzeć klientom w oczy. Warkocz potrzebowała pomocy wszystkich trzech mężczyzn, ale Lem nie podszedł do

żadnego z nich. Zajął za to miejsce w pobliżu tarczy do gry w strzałki. Jule grał i zaproponował Lemowi kolejną partyjkę, co on przyjął z radością.

Lem wbił pierwszą strzałkę kilka stóp pod tarczą, trafiając w jeden z dwóch sęków, w których widniały otwory pozostawione przez liczne strzałki.

Jule spojrzął na to z aprobatą i sam rzucił, trafiając obok Lema.

– Słyszałem, że znowu pomogłeś Gremmy'emu zapłacić rachunek – powiedział Lem, zamierzając się do drugiego rzutu. – To naprawdę miłe z twojej strony.

Jule z wdzięcznością pokiwał głową.

Następnie Lem zagrał ze starym Rodem, karczmarzem. Niestety pierwsze dwa razy spudłował. Jeden rzut był tak kiepski, że wręcz trafił w tarczę. Ale trzeci uderzył dużo poniżej niej.

– Nieźle – powiedział Rod. – Laska pomaga ci z równowagą, Lem? Przysięgam, że od czasu wypadku lepiej grasz w rzutki.

– Laska nie pomaga w rzutki, Rod. Za to fakt, że nie mam nic do roboty...

Rod chrząknął.

– Nadał w weekendy pomagasz Cegle w warzeniu? – spytał Lem.

– Dość często – odparł Rod i rzucił.

Później Rod odszedł, ustępując kolejnemu graczowi, i następnemu. Kiedy mężczyźni podchodzili, by zagrać z Lemem, odczytywali niepisany scenariusz jego pytań.

Przypomnieli sobie ten raz, kiedy Rod się upił, a Lem pomógł mu wrócić do domu. A kiedy Jule stracił dach w czasie wichury, Lem pomógł mu położyć nowy. Podobnych historii były dziesiątki. Lem był ludzkim odpowiednikiem głębokiej, czystej studni, zawsze pełnej wody, kiedy człowiek jej potrzebował. Proponował im to, co było im potrzebne, i nie prosił o nic w zamian. Właściwie nigdy więcej o tym nie wspominał.

Chyba że było to pilne.

Chyba że było to ważne.

W takich przypadkach, cóż, Lem mógł być biedny w walucie, którą płaciło się podatki. Ale był wręcz bogaczem, kiedy chodziło o walutę, która się liczyła.

Tego wieczoru rozeszły się wieści. Lem czegoś potrzebował, a dokładnie od Gremmy'ego, Sora i Cegły. Lem – człowiek bez długów – potrzebował tej przysługi tak bardzo, że niemal o nią poprosił. W języku mężczyzn takich jak ci był to odpowiednik błagania.

Lem nadal grał w strzałki i zdobywał całkiem sporo punktów. Jeśli zastanawiacie się nad dziwnymi celami, z których korzystali, należy w tym miejscu zauważyć, że – pewnego wieczoru kilka lat wcześniej – ktoś dostrzegł, że grupa sęków wysoko na ścianie bardzo przypominała twarz. A dokładniej twarz diuka, jeśli wyobrazić sobie, że słoje drewna to jego włosy, a tarcza do gry to herb rodowy na jego piersi.

I, no cóż, gdzieś poniżej znajdowały się te dwa duże sęki w ścianie. Dokładnie tam, gdzie byłyby nogi.

Lem rzucił, a stojący w pobliżu mężczyźni się skrzywili.

– Nieźle – zauważył jeden.

W miarę upływu nocy podliczano ciche, niewidzialne księgi rachunkowe. Podejmowano decyzje, ale o nich nie mówiono. Nie trzeba było, bo następnego ranka – stanowczo za wcze-

śnie dla każdego z nich – Warkocz ujrzała na swoim progu karczmarza, zarządcę portu i dokera. Zażądali, by pomóc jej w tym, co robiła.

I tak oto niewiele ponad tydzień później na nabrzeżu pojawiła się duża beczka do sprawdzenia. Gremmy postawił ją obok pięciu innych.

Do portu przybił doskonały statek do realizacji planu Warkocza, jednostka zwana *Marzeniem Oota*. Musiał to być statek, którego załoga rzadko odwiedzała Cypel Diggena i musiał mieć królewskie pełnomocnictwo zezwalające na zakup piwa Cegły.

Marynarze z *Marzenia Oota* niemal wzięli beczki na pokład bez inspekcji, ale kapitan przeczytał uważnie pełnomocnictwo.

– Ma zostać przeprowadzona inspekcja, czyż nie? – spytał ostro. – Bez niej nie możemy opuścić portu.

Wezwano więc celniczkę. Na jej twarzy malował się grymas, który mógłby zabić zarodniki, a pręt w jej dłoni był gotów do wymierzania sprawiedliwości. Obejrzała pierwszą beczkę, a później wykorzystwała urządzenie do słuchania.

Stojący w pobliżu Sor spojrzął na zegarek kieszonkowy i liczył sekundy, a serce waliło mu w piersiach. Gremmy ocierał głowę, gdy celniczka szła wzdłuż szeregu beczek. Cegła trącił go, próbując go skłonić, by nie robił wrażenia tak podejrzanego.

W końcu celniczka wsłuchiwała się w ostatnią dużą beczkę. Na tyle dużą, by zmieściła się w niej dziewczyna. Celniczka wsłuchiwała się uważnie i odkryła... nic.

Machnęła, by załadowano towar. Trzej spiskowcy wymienili spojrzenia. Ale wtedy celniczka zawałała się i odwróciła. I gwałtownym kopnięciem przewróciła ostatnią beczkę.

Rozległ się łoskot. A później jęk.

– Tak myślałam! – Celniczka złapała za leżący na nabrzeżu łom i wyłamała pokrywę beczki, ukazując prawdę... kruczowłosą dziewczynę ukrytą w środku, próbującą wyslizgnąć się z wyspy. – Pióra jako izolacja! – wykrzyknęła celniczka. – Myśleliście, że to stłumi dźwięki wystarczająco, by oszukać moje ucho?

Później wszystko zaczęło się walić.

– To nie udało jej się bez pomocy! – warknęła celniczka do zarządcy portu. – To nie udało się bez spisku!

Biedny Gremmy nie mógł tego znieść i zaczął zawodzić. Cegła próbował go uciszyć, a Sor zastanawiał się na głos, czy może mógłby polecić Gremmy'emu, by wziął na siebie jego karę.

– Król martwił się waszym brakiem lojalności – powiedziała celniczka z szyderstwem w głosie. – Ostrzegaliśmy przed mieszkańcami tego miasta. Usłyszeli o tym, że wszyscy współpracowaliście, by obejść jego prawa. Zapłać jedynie za pięć beczek, kapitanie.

Pozostałe pięć beczek załadowano na statek, który następnie wypłynął w stronę Głównego Archipelagu Szmaragdowego Morza, by dostarczyć piwo. Celniczka popłynęła z nimi – zostawiając w porcie swojego asystenta – by osobiście poinformować króla o zdradzie w Cyplu Diggena.

Być może zauważyliście, że młoda kobieta w beczce nie była Warkocz i być może uznaliście, że ta znajdowała się w jednej z innych beczek. Tak nie było.

Warkocz nie ukrywała się w jakiejś innej części ładunku.

Warkocz wcale się nie ukrywała.

Warkocz była celniczką.

Pasażerka na gapę



Warkocz wydawało się, że z daleka widzi prawdziwą celniczkę przybywającą do portu. Drobną rozwścieczoną sylwetką, która gestykulowała ze złością w stronę uciekającego statku. Usłyszy, że kapitan upierał się, by odpłynąć bez sprawdzenia ładunku. W tym czasie Gret – córka zarządcy portu – wyszła już z pustej beczki i zniknęła. Na Skale nie pozostali żadni inni świadkowie, poza Cegłą, Gremmym i Sorem – których długi zostały teraz spłacone.

I w ten prosty sposób Warkocz była wolna. Tym razem to Cypel Diggena coraz bardziej malał na horyzoncie. Właściwie wszyscy i wszystko, co znała Warkocz, żyło na tej wyspie. A wkrótce nie będzie już jej widziała.

Opuszczenie tego miejsca nie wydawało się ekscytujące. Wydawało się ciężkie. Każde dziecko nie mogło się doczekać dnia, kiedy wybierze inną drogę życiową niż ta, którą kroczyli jego rodzice. Warkocz miała szczerą nadzieję, że nie wybrała takiej, która poprowadzi ją prosto na skraj klifu.

Ale była wolna. Uciekła bez problemów. Zastanawiała się, czy może inne zadania uda jej się wypełnić z podobną łatwością. Mogła się tak zastanawiać, ponieważ jako osoba pozbawiona formalnego wykształcenia, nie znała pojęcia dramatycznej ironii.

Zwróciła wzrok w stronę nieba. Tutaj, z dala od kopalnianego smogu, było takie niebieskie. To wydawało się w pewnym sensie niemoralne, jakby oglądała niebo bez ubrania. Powietrze pachniało... już nie solą, ale czysto. I niebezpiecznie. Brak soli oznaczał swobodne zarodniki.

Na szczęście reling statku wyłożono srebrem. A ludzie z pewnością nie podróżowali by po Szmaragdowym Morzu, gdyby nie było to względnie bezpieczne. Żagle wyduły się i zakołysały, kiedy statek zmienił kurs, a marynarze wołali do siebie przy pracy. Byli zmuszeni ją zabrać – królewskie pełnomocnictwa zmuszały kapitanów do przewożenia urzędników państwowych, którzy chcieli opuścić Skalę.

Dlatego załoga zostawiła Warkocz w spokoju, kiedy stała na tyłach statku, na pokładzie rufowym, w pobliżu koła, przy którym kapitan rozmawiał ze sternikiem. Warkocz miała na sobie mundur celniczki, z czerwono-złotym płaszczem, który sięgał jej za kolana. Ukradli go poprzedniej nocy – to był zapas z szafy celniczki. Matka przerobiła go w taki sposób, że wyglądał, jakby został uszyty na Warkocz. Zaś „przez pomyłkę” w księdze portowej znajdującej się w pokoju celniczki znalazła się błędna godzina wypłynięcia *Marzenia Oota*, więc kobieta się spóźniła.

Warkocz zabrała ze sobą jedynie niewielki węzełek ubrań i torbę kubków. Jej ulubionym wśród nich był czwarty kubek, który przysłał Charlie. Ten z motylem. Coś w tym prostym wzorze przemawiało do niej.

Cieszyła się, że marynarze ją ignorowali, bo trudno było jej ukryć, jak bardzo gapiła się na ocean zielonych zarodników. Warkocz nie miała pojęcia o nauce, która pozwalała statkowi się unosić, choć była ona całkiem interesująca. Kominy termalne głęboko na dnie oceanu wypuszczały gwałtowne podmuchy powietrza. To wzburzenie sprawiało, że zarodniki zachowywały się jak płyn. Zjawisko to jest możliwe na każdym świecie, również na waszym. Fluidyzacja, tak to się nazywa. Jeśli zaczniecie pompować powietrze pod skrzynką z piaskiem, zobaczycie coś podobnego do tego, co widziała Warkocz.

Wszędzie wokół między zarodnikami pękały bańki, sprawiając, że ocean burzył się i falował. Uderzał o kadłub statku i odpływał, rozchlapując się i falował. Nie wyglądał całkowicie jak woda – był zbyt gęsty, a szczyty fal rozpadały się w chmurki zielonych zarodników. Właściwie morze było niewłaściwe w sposób, do którego zdolne jest tylko coś, co jest niemal właściwe. Znajome, ale obce. Jakby to był niegrzeczny kuzyn płynu, który opowiada niestosowne dowcipy na pogrzebie babci.

Statek płynął jak każdy statek po wodzie. Ale poruszał się tak długo, jak powietrze wznosiło się z dołu – mieszkańcy świata Warkocz nazywali to zjawisko „kipieniem”. Pojawiało się i znikało w sposób przypadkowy, fluidyzując całe oceany przez wiele dni. Od czasu do czasu znikało, a wtedy wszystkie żeglujące po nich statki utykały. Przerwy zwykle były krótkie, ale z rzadka trwały wiele godzin albo nawet dni.

O burtę statku rozbijała się wysoka fala, wyrzucając chmurę zarodników. Warkocz wykrzyknęła wbrew sobie i cofnęła się, ale zarodniki poszarzały, umierając.

– Nie żeglowała pani wiele, co? – spytał stojący w pobliżu kapitan. Paskudnie śmierdziało mu z ust, miał ogorzałą skórę i pozlepiane, matowe włosy. Wyobraźcie go sobie jak odpowiedź na pytanie: „Co by było, gdyby ta maź z odpływu prysznicza nagle ożyła?”

Mimo to był najlepszym rozwiązaniem, na jakie Warkocz natrafiła przez tygodnie obserwacji, więc nie zamierzała narzekać. Nawet jeśli znów ją wyśmiał, kiedy zarodniki po raz kolejny wzniosły się w powietrze.

– Mamy dość srebra. – Kapitan machnął ręką w stronę listwy wzdłuż relingu i na deskach pokładu. Kolejny pas biegł wzdłuż masztu. – Zabija wszystkie zarodniki, które za bardzo się zbliżą, celniczko. Jest pani bezpieczna.

Warkocz pokiwała głową, próbując sprawiać wrażenie, że się nie przejmuje. Ale zapięta płaszcz pod szyję, oddychała płytko i żałowała, że nie ma maski namoczonej w soli.

Tymczasem wyjęła notatnik i pracowała nad planem. Udało jej się opuścić wyspę. Później musiała tylko czekać. Statek zabierze ją na wyspę króla na Głównym Archipelagu. Tam Warkocz musiała znaleźć drogę do pałacu, by zdobyć kopię żądania okupu za Charliego.

To byłby najłatwiejszy sposób, by go uwolnić. Tak, samodzielne zapłacenie przez nią okupu było prawie niemożliwe, ale wydawało się łatwiejsze niż prześlizgnięcie się przez Północne Morze, by stawić czoło Czarodziejce. Miała nadzieję, że jeśli uda jej się znaleźć sposób, żeby zapłacić – albo przekonać króla, by zapłacił – Charlie wróci bezpiecznie do niej.

Pokład zatrzeszczał, kiedy kapitan podszedł bliżej.

– Ma pani piękne włosy, celniczko. Koloru porządnego pitnego miodu!

Warkocz zatrzasnęła notatnik.

– Chciałabym się udać teraz do kajuty.

Uśmiechnął się. Był typem człowieka, który sądził, że każda kobieta w pomieszczeniu myśli o nim. I tak było, bo każda miała rozpaczliwą nadzieję, że ten mężczyzna skieruje się w inną stronę. Gestem wezwał Warkocz, by zeszła razem z nim z pokładu rufowego w stronę kajut poniżej.

Na szczęście kapitan zostawił ją w spokoju, nie musiała mu nawet wydawać poleceń. Kajuta była mała, ale zapewniała prywatność, a drzwi wyposażono w zamek. Warkocz poczuła się znacznie lepiej, kiedy znalazła się bezpiecznie w środku. Nalała trochę wody do kubka z motylem i usiadła na koi, żeby pomyśleć.

Wszystko wydawało się teraz o wiele bardziej prawdziwe. Naprawdę to zrobiła? Naprawdę opuściła dom? Czym były te dziwne kolorowe gołębie i dlaczego do niej mówiły?

To ostatnie było efektem ubocznym trucizny, którą kapitan polecił dodać do jej wody. Niestety, w tej opowieści nie ma gadających gołębi. Są jedynie gadające szczury.



Warkocz się obudziła. To było miłe.

Bardzo ceniła fakt, że nie umarła pierwszego dnia przygody. Jednak koszmarnie bolała ją głowa i widziała tylko czerni. Czy można widzieć czerni, czy była to oznaka niewidzenia? Czy można usłyszeć ciszę? Posmakować nic?

Cóż, skrzypienie drewna wskazywało, że znajduje się w ładowni statku. Jęknęła i usiadła, po czym zaczęła macać dookoła. Jej palce natrafiły na pręty. Była w klatce.

- Nie znajdziesz drogi wyjścia - powiedział ktoś cicho. Głos brzmiał męsko, ale był jakby ściśnięty, jakby ktoś wziął słowa mówiącego i wyciskał z nich sok.

- Kim jesteś? - wyszeptwała.

- Innym więźniem. Słyszałem, jak rozmawiają o tobie. Jesteś celniczką?

- Tak - skłamała Warkocz. - Królewską. Nie wierzę, że odważyli się na mnie napaść.

W duchu Warkocz panikowała. Kapitan musiał przejrzeć jej podstęp. Statek powróci na Cypel Diggena, by znaleźć prawdziwą celniczkę, i wszystko legnie w gruzach.

Nie. Już legło w gruzach.

Usiadła, opierając się o kraty.

- Podjęłaś szaloną decyzję, celniczko. Samotnie weszłaś na pokład statku? Czego się spodziewałaś? Zamierzałaś sama jedna pokonać ich wszystkich?

- Pokonać? W czym?

- Ty... nie wiesz?

Na wypadek gdybyście nie mieli doświadczenia, po takim pytaniu nigdy nie następuje nic dobrego.

- To statek przemytników. Podrobili królewskie pełnomocnictwa. Pozwala im to kupować i sprzedawać towary, nie płacąc cła.

Warkocz jęknęła i uderzyła głową o kraty.

- I myśleli, że ich podejrzewam. Myśleli, że z tego powodu weszłam na pokład ich statku.

- A tak nie było? - powiedział jej rozmówca, po czym rozległ się śmiech. A raczej Warkocz sądziła, że to był śmiech. Zabrzmiał jak seria wysokich pisków... jak odgłos wydawany przez hiperwentylującego osła. - To był zupełny przypadek? Och, biedaczko.

Warkocz mocno objęła się ramionami w ciemności, znosząc szyderstwo. Przynajmniej nie zostanie zabrana z powrotem na Cypel Diggena i oddana w ręce diuka. Miast tego przemytnicy bez wątpienia ją zamordują i pozbędą się ciała.

Postanowiła nie płakać. Płacz byłby całkowicie niepraktyczny. Decyzja została podjęta. Absolutnie żadnego płaczu.

Jej oczy zawetowały tę rezolucję.

- Hej, wszystko będzie dobrze. Przynajmniej zesłaś z Cypla, co?

- Skąd wiesz o Cyplu? - Warkocz otarła oczy. Głupie rzeczy. Pewnie po prostu chciały mieć coś do roboty, skoro nic nie widziały i w ogóle.

- Wybierałem się tam w odwiedziny, zanim marynarze mnie odkryli. Zamknęli mnie tutaj.

- Dlaczego miałbyś odwiedzić Cypel Diggena? - zapytała ostro Warkocz.

- Mam swoje powody. Mój gatunek jest tajemniczy.

- Twój gatunek?

- Zaraz ci pokażę. Może lepiej osłoń oczy.

Po chwili do pomieszczenia wpadło światło, wlewając się przez niewielki otwór w kadłubie. Warkocz zamruwała, odsunęła zmierzwiione włosy z czoła i rozejrzała się. Znajdowała się w celi zajmującej część ładowni statku, mającej może cztery stopy w każdą stronę i niewiele wyższej.

Naprzeciwno niej na stercie skrzyni przywiązano znacznie mniejszą klatkę. Siedział w niej zwykły czarny szczur. Wyciągnął łapkami korek z otworu.

- Zamykam go, żeby się o nim nie dowiedzieli - wyjaśnił. - Wiesz, nie chciałem, żeby poruszyli klatkę. Ja...

Szczur urwał, kiedy się odwrócił i zobaczył ją po raz pierwszy, po czym przechylił łebek.

- O co chodzi? - spytała Warkocz.

Szczur milczał. Słychać było jedynie odgłos kołysania statku na zarodnikach i tupot butów na pokładzie nad nimi. Warkocz się cofnęła. Nie podobał jej się sposób, w jaki szczur gapił się na nią tymi swoimi paciorkowatymi oczkami.

- O co chodzi? - spytała ostrzej.

- Nie miałem okazji ci się przyjrzeć, kiedy sprowadzili cię na dół. Nie uświadamiałem sobie... Nie spodziewałem się, że będziesz taka młoda. Nie jesteś królewską celniczką.

- Wyglądam młodo.

- Z pewnością.

Szczur podszedł do krańca klatki i usiadł na tylnych łapach. Złożył przednie łapki i pochylił się. To była bardzo szczurza poza, co zdaniem Warkocz miało mnóstwo sensu.

- Uciekasz z wyspy - zauważył. - Dlaczego, na księżycy, miałabyś to zrobić?

- Mówiłam ci - rzuciła ostro Warkocz. - Nikt nie chce być na Cyplu Diggena. Tak czy inaczej, marynarze to kupili, więc nie musisz się tak na mnie gapić. Mój plan ucieczki się powiodł.

- Pomijając całą tę część obejmującą „przypadkowe przestraszenie bandy przemytników”, jak zakładam.

Warkocz znów otarła oczy.

- Może nieco byśmy się cofnęli w tej rozmowie? Wydaje mi się, że przegapiliśmy główną drogę. Nie chcę być niegrzeczna, ale jesteś szczurem.

- To się wydaje oczywiste.

- Ale mówisz.

- Ponownie, oczywiste.

- Tak, ale... jak?

- Przez usta. Oraz patrz: moja poprzednia odpowiedź.

Warkocz zagryzła wargę. O stanie jej umysłu wyraźnie świadczył fakt, że tak bardzo niego naciskała. Czy pytanie mówiącego szczura o to, jakim sposobem umiał mówić, było nieuprzejme? Ona pewnie czułaby się obrażona, gdyby ktoś spytał ją, jakim sposobem umie mówić.

Szczur podniósł korek.

- Cóż, pewnie w tym, dlaczego umiem mówić, kryje się opowieść. A ja nie mam ochoty się nią podzielić.

- Hm.

- Co?

- Po prostu... nie jestem przyzwyczajona, że ktoś mówi takie rzeczy.

Szczur przez chwilę obgryzał korek, po czym przeniósł go w stronę otworu.

- Mógłbyś go jeszcze nie zamykać? Przez chwilę?

Szczur westchnął, bo prawie umieścił korek na właściwym miejscu. Ale znów opuścił go na dno klatki. Kroki na górze przyśpieszyły. Może zmieniali kurs?

- Czyli... przemytnicy - odezwała się Warkocz.

- Przemytnicy - zgodził się szczur i poniuchał powietrze. - Przyłapali mnie na podgryzaniu ich racji i musiałem zdradzić swoją tajemnicę i się odezwać albo wyrzuciliby mnie za burtę jako szkodnika. Okazuje się, że ich zdaniem mówiący szczur jest coś wart. Zastanawiałem się, czy nie ostrzec ich, że nie mam nic interesującego do powiedzenia, ale uznałem to za niemądre. Lepiej nie dawać im powodów, by wątpili w moją wartość. - Szczur znów zaczął obgryzać korek. - Ze względu na nadchodzącą wojnę, w dzisiejszych czasach co drugi kapitan jest przemytnikiem. Nie powinnaś więc czuć się źle, że na nich wpadałaś.

- Wojna? - spytała Warkocz.

- Z Czarodziejką. Wysyła coraz więcej statków na wyprawy łupieżcze, a król powiększa swoje siły... rekwiruje statki kupieckie jak dziecko wyciągające ręce po słodycze. Ponieważ ostatnimi czasy tak łatwo zostać zwerbowanym, nic dziwnego, że tak wielu marynarzy cierpi z powodu wypadającej moralności, jeśli można tak powiedzieć.

- Myślisz, że mogłabym się z nimi dogadać? Wyjaśnić, że w rzeczywistości nie jestem celniczką?

- O, nagle nią nie jesteś?

- Mogę być czymkolwiek, co wydostanie mnie z tej klatki. Mój przyjaciel wpakował się w tarapaty, a ja muszę go uratować.

- On? Opuściłaś dom ze względu na mężczyznę?

Warkocz milczała.

- Kochana, żaden mężczyzna nie jest wart tego, żeby dać się za niego zabić – powiedział szczur. – Jeśli uda ci się uciec, powinnaś wrócić do domu na swojej skale.

- To nie jest zwyczajny mężczyzna. A...

Urwała, kiedy na zewnątrz rozległ się głośny trzask. Warkocz przechyliła głowę. Cóż to za dziwny odgłos na oceanie. Co to mogło być?

Los odpowiedział jej, posyłając kulę armatnią, przesyłką priorytetową, prosto w kadłub statku.



Kula armatnia przebiła się przez przeciwną ścianę i poszybowała przez środek ładowni. Kiedy uderzyła w przeciwną ścianę, rozpadła się na kawałki mokrej ceramiki i czegoś, co wyglądało jak metalowe paciorki. Te rozsypały się po deskach, mieszając się z kawałkami połamanego drewna. Na pokładzie na górze rozległy się szybkie kroki i krzyki.

- Co się dzieje?! - krzyknęła Warkocz do szczura.

Przycisnął się do tylnej ścianki klatki, kulił się i drżał.

- Zostaliśmy zaatakowani!

- Chodziło mi o to, co tam widzisz? Wyjrzyj przez otwór!

Choć kula armatnia zostawiła całkiem spory drugi otwór, nie był na tyle blisko Warkocz, by mogła zobaczyć coś ze świata na zewnątrz. Co niepokojące, za każdym razem, kiedy statek przebijał się przez falę, nowy otwór opadał tak nisko, że do środka wlewały się zarodniki. Je widziała bardzo wyraźnie.

- Widzę jeden inny statek - powiedział szczur. - Nie widzę bandery.

- Piraci? - spytała Warkocz.

- Piraci nie powinni strzelać, a w każdym razie najpierw powinni zażądać poddania się. Jaki sens ma zatopienie potencjalnej zdobyczy w głębinach oceanu zarodników? To musi być królewski okręt, który odkrył, że ta banda to przemytnicy, i postanowił zająć się nimi w cywilizowany sposób.

- Cywilizowany?! - wykrzyknęła Warkocz, kiedy na zewnątrz rozległ się kolejny wystrzał. Wydawało się, że ten na całe szczęście nie trafił.

- Skonstruowanie armaty wymaga cywilizacji. Co? Myślałaś, że wyrastają same z siebie gdzieś w lesie?

Każdy trzask armaty sprawiał, że się krzywiła, ale bezpośrednim zagrożeniem były te zarodniki. Statek się kołysał, i coraz więcej z nich wpadało do ładowni, przykrywało deski i rozlewało się w jej stronę jak zielona kałuża. Niektóre z zarodników umierały i szarzały, ale srebro w pokładzie powyżej było na tyle daleko, że wiele przetrwało. Za każdym razem, kiedy statek wspinał się na falę i przechylał podłogę w jej stronę, zbliżały się cał po calu do jej klatki.

Choć zarodniki eterowe bywają opisywane jak kurz, tak naprawdę są większe – przypominają raczej drobny piasek. Dlatego nie unoszą się w powietrzu jak pył, chyba że na silnym wietrze. Warkocz i tak zasłoniła usta kołnierzem płaszcza i wpatrywała się w nie z przerażeniem.

Bo zarodniki przesuwały się w stronę fragmentów rozbitej kuli armatniej – a całą ścianę zachlapała woda. W tej chwili Warkocz przeszła przyspieszony kurs prowadzenia walki na morzach zarodników. Tak, wróg mógłby użyć mało interesujących metalowych kul armatnich. Tymczasem jednak wykorzystywali takie, które rozpadały się i rozchłapywały wodę, przez co każdy strzał był bardziej interesujący. (Zakładając, że, podobnie jak ja, uważacie kreatywne śmierci za interesujące).

Niektóre z żywych zarodników w końcu dotknęły wody.

Gwałtownie urosły. Wyobraźcie sobie błyskawicę, ale stworzoną z pędów. Rozrastały się, owijały się wokół siebie i niemal natychmiast wzniosły się na wysokość około dziesięciu stóp. W ciągu kilku chwil w ładowni wyrosła płatanina pędów – przypominająca nieco kształtem drzewo. „Korzenie” z pędów wbijały się w drewno na dole, a „gałęzie” z pędów napierały na pokład powyżej.

Warkocz nic nie mogła na to poradzić, od razu wyobraziła sobie, jak niektóre z tych zarodników wyrastają z jej ust lub nosa. W paru aspektach się pomyliła, ale podstawy zrozumiała.

Na wypadek gdybyście mieli bardziej ograniczoną wyobraźnię, zaczyna się to od uczucia, jakby ktoś na siłę otwierał wam szczękę. Później pędy wypełniają wasze gardło, rosną wszędzie, gdzie mogą znaleźć miejsce, wpełzają do płuc. Wybijają zęby i przebijają się przez podniebienie miękkie do zatok. Zwykle nie docierają jednak do mózgu, więc macie przyjemność powoli się dusić, a jednocześnie czuć, jak pędy wyrrywają wasze oczy z oczodołów.

Nie ma za co.

Na całe szczęście dla Warkocz, wkrótce po schodach zszedł marynarz z latarnią. Na twarzy miał maseczkę z tkaniny i niósł dziwaczne wyposażenie. Wśród nich było niezwykle urządzenie nazywane lubkoskrzynią. (Urządzenie, które – co wiem czystym przypadkiem – ma idealną wielkość, by przenieść w nim ludzką głowę).

Marynarz uniósł lubkoskrzynię obok otworu w kadłubie, po czym ostrożnie wlał od góry kilka kropli wody. Z przodu pudełka wyrosła tafla czerwono-różowego kamienia. Był przezroczysty, jak zamglony kryształ, i połączył się z drewnem po obu stronach, zamykając otwór.

Marynarz srebrnym nożem wyciął taflę z przodu skrzynki. Na pokładzie każdego statku w świetle Warkocz był przynajmniej jeden marynarz przeszkolony, jak radzić sobie z zarodnikami i jak z nich korzystać, zwany kielkowaczem.

Warkocz przyglądała się oszołomiona. Słyszała o tej substancji zwanej rozeitem. Wyrastała z różowo-czerwonych zarodników z Różanego Morza, które graniczyło z jej Szmaragdowym Morzem. W przeciwieństwie do Szkarłatnego Morza lub Północnego Morza, Różane Morze było zamieszkane – co znaczyło, że jego zarodniki nie były aż tak zabójcze jak inne. Mimo to

wydawało się jej całkiem niebezpieczne. Pędy wyrastające z ust były wystarczająco paskudne. Kryształ wydały się jeszcze gorsze.

Jednakże marynarz wykorzystał je do naprawienia statku, pozostawiając rozciętą ranę w otworze jak bandaż.

Można było wykorzystać zarodniki? Do celów praktycznych?

I tak oto lekcja Warkocz na temat prowadzenia walki na morzu została odsunięta na bok przez lekcję gospodarki użytecznej.

Po załatwieniu otworu kielkowacz zdjął urządzenie, które niósł przerzucone przez ramię. Wyglądało jak pręt z płytką na końcu. Kiedy pomachał nim nad podłogą, pozostałe zielone zarodniki poszarzały. Warkocz zrozumiała, że płytka musiała być ze srebra.

Mężczyzna posłał krótkie spojrzenie rozrośniętym pędom, ale najwyraźniej uznał, że w tej chwili nie narobią większej szkody, więc zostawił je i ruszył w stronę schodów na pokład.

– Zaczekaj! – zawołała do niego Warkocz, ściskając pręty klatki. – Tamten statek musi być królewski, tak? Jeśli do nas strzela, zamiast zażądać okupu albo poddania się? Są tutaj, by pozbyć się przemytników.

– Lepiej miej nadzieję, że tego nie zrobią – powiedział do niej marynarz. – Zginiesz razem z nami, nawet jeśli jesteś celniczką. – Zrobił wulgarny gest, co na jej planecie oznaczało machnięcie palcami w jej stronę, jakby chciał ochlapać ją wodą.

– I dokładnie o to mi chodzi! Gdyby wiedzieli, że na pokładzie jest królewska celniczka, myślisz, że tak chętnie by do nas strzelali?

Kielkowacz wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym ruszył pośpiesznie po kluźce do jej celi.



Widok, który ujrzała Warkocz, kiedy wyłoniła się z ładowni, mógłby wytrącić z równowagi smoka. Statek, który do nich strzelał, znajdował się o wiele bliżej, niż się spodziewała – na tyle blisko, że widziała marynarzy na pokładzie.

Wrogi statek miał dwie armaty, jedną na pokładzie dziobowym i jedną na rufowym. Może słyszeliście opowieści o wielkich żaglowcach z tuzinem lub więcej armat na każdej burcie. W świecie Warkocz nie doszli do tego poziomu – wiele statków miało tylko jedną armatę, trzymaną na obrotowej platformie. Często w załodze był mistrz artylerii, którego zadaniem było celowanie.

Marzenia Oota miało jedną małą armatę na pokładzie dziobowym. W tej chwili statek przemytników płynął mocno przechylony, próbując unikać ostrzału, zamiast strzelać.

Warkocz nie znała się na mechanice żeglugi, po prostu widziała w pobliżu wrogi okręt i patrzyła z otwartymi ustami, jak ich przednia armata wyrzuciła kulę w stronę *Marzenia Oota*. Pocisk trafił w sterburtę na wysokości śródkręcia i – w przeciwieństwie do kuli, która wcześniej przebiła pokład – rozbił się przy pierwszym uderzeniu, wylewając ładunek wody między zarodniki.

Nagle kilka cali od Warkocz wyrosła płatanina pędów o kształcie drzewa. Była bardziej skomplikowana niż życie miłosne bibliotekarki (uwierzcie mi, to dziwna gromadka) i składała się z wijących się pnączy. Przypominała Warkocz jej włosy każdego ranka, zanim sięgnęła po szczotkę.

Powykręcane pędy chwyciły statek za nadburcie. Pnącza, które za bardzo zbliżyły się do srebra, szarzały i umierały, jak zarodniki, ale i tak trzymały się mocno. Wydawało się, że ten rodzaj ostrzału mógł rozerwać statek, nawet wyposażony w srebro. Albo też pędy złapią go mocno i unieruchomią, pozostawiając go na pastwę łupieżców.

Warkocz została odepchnięta na bok, kiedy marynarze z siekierami podbiegli, by zaatakować pędy, próbując uwolnić statek.

– Za blisko było! – powiedział kapitan i krzyknął do sternika: – Manewruj dalej, Gustalu! – Stał tak blisko, że Warkocz – niestety – czuła jego oddech, gdy odwrócił się do marynarza, który pociągnął ją w górę schodów. – Na księżycu, co ty robisz z tą kobietą, Dorp?!

– To królewska celniczka, kapitanie. – Dorp wskazał na Warkocz. – Ja sobie pomyślał, że jak ją zobaczę, nie będę tak do nas strzelać. Kapitanie, sir!

Z twarzy kapitana zniknęła złość i zastąpiła ją ekscytacja.

– Dorp, to pierwszy dobry pomysł, jaki miałeś w życiu. Zaciągnij ją na pokład rufowy. Jeśli będziesz musiał, podciągnij ją wysoko i módlmy się do księżyców, by ci wylegający się zastanowili!

Warkocz zniosła to traktowanie z największą możliwą godnością. Wkrótce stała na skraju pokładu rufowego i machała ze wszystkich sił, z nadzieją, że czerwony płaszcz skłoni ich do powstrzymania ostrzału.

Niestety, atakujący albo jej nie zauważyli, albo ich to nie obchodziło, bo następna kula armatnia uderzyła w gródz pokładu rufowego, przebiła się przez nią i wywołała spore zamieszanie w kajucie kapitana.

Kiełkowacz zaklął.

– Co za głupi pomysł – warknął.

Szarpnął Warkocz za kołnierz i pociągnął ją znów pod pokład, żeby sprawdzić, czy nie ma więcej przecieków, i wepchnął ją z powrotem do klatki. Nagle i niespodziewanie, chwilę po tym, jak dotarli do ładowni, statek podskoczył.

Było to tak gwałtowne, że Warkocz potknęła się i padła twarzą w martwe zarodniki, które pokrywały podłogę ładowni. Podniosła się na kolana i w panice, gorączkowymi ruchami wytarła twarz. A jeśli pozostało kilka żywych?

Kiełkowacz puścił jej kołnierz.

– Nie – powiedział i odwrócił się w stronę stopni. – Nie, nie, nie.

Statek skrzypiał wokół nich, aż powoli się zatrzymał. I ucichł. Nawet kroki znieruchomiały – i Warkocz dopiero po chwili zorientowała się, co się dzieje. Kipienie – bąbelki, które fluidyzowały zarodniki – ustało.

Statek zasadniczo wpadł na mieliznę na samym oceanie. Do chwili ponownego rozpoczęcia kipienia byli uwięzieni. Utknęli w jednym miejscu.

– Nienienienie! – krzyknął kiełkowacz i zapominając zupełnie o Warkocz, wbiegł po schodach.

Warkocz natychmiast zrozumiała przyczynę jego paniki. Wroga armata była wycelowana prosto w nich. A oni już się nie poruszali.

Chwilę później kadłub rufowy przebił pocisk armatni, który wyrwał duży otwór. Warkocz wrzasnęła i zasłoniła głowę, kiedy kula poszybowała nad nią i przebiła się przez dziób statku, nie rozpadając się, jak powinna.

Warkocz skuliła się na podłodze, czekając na kolejny nieunikniony strzał. Jednakże po chwili jej zmysł praktyczny wygrał z przerażeniem. Odwróciła się, zrzucając odłamki drewna

z pleców, i wyrzała przez nowy duży otwór w kadłubie. Popatrzyła ponad oceanem na wrogi okręt, który również utknął w miejscu w odległości kilkuset stóp.

Morze stało się, zasadniczo, stałe. A przynajmniej tak stałe jak wydma. Składało się z zabójczych zarodników, ale można było po nim przejść. I choć ludzie na tamtym wroгим okręcie mogli jej źle życzyć, ci na *Marzeniu Oota* życzyli jej źle z całą pewnością.

Po krótkim czasie podjęła decyzję. Poderwała się na równe nogi i przecisnęła obok pędów wypełniających ładownię, kierując się w stronę otworu.

– Uwważaj! – zawołał za jej plecami szczur, kiedy coś na nią spadło.

Kiełkowacz, który zobaczył ją z góry, zeskokczył z połamanych stopni i obalił ją na ziemię.

– No, no – powiedział. – To naprawdę dobry pomysł. Oddasz mi ten płaszcz, a ja będę błagał tamtych gości o życie.

Zaczął szarpać jej ubranie, a ona gorączkowo macała wokół w poszukiwaniu broni. Jej palce zacisnęły się na czymś metalowym. Zamachnęła się do góry i uderzyła marynarza w głowę. Opadł na ziemię jak spodnie ekshibicjonisty.

Warkocz z trudem złapała oddech, a później spojrzała na to, co właściwie chwyciła. Kubek z cyny z ołowiem.

Jej kubek z cyny z ołowiem.

Hm, pomyślała. Nie spodziewałam się, że będę miała rację w tej kwestii.

Rozejrzała się i zobaczyła w pobliżu swoje rzeczy, jak również kilka innych przedmiotów, które zostały rozrzucone przez wybuch. Później krzyknęła, kiedy kolejny pocisk uderzył w statek gdzieś na górze, a ludzie zaczęli krzyżeć. Złapała swój worek, a później podeszła do klatki szczura.

– Prawie o tobie zapomniałam. Przepraszam.

– To częsta ludzka wada. I nie wspominajmy lepiej o tym, jak ludzie mówią o moim gatunku.

– Przygotuj się. Nie mam niczego, czym mogłabym rozciąć klatkę, więc... – Uniosła ciężki metalowy kubek, po czym zamachnęła się nim i wyłamała malutki zamek.

Szczur wysunął pysk, wskoczył na jej rękę i wspiał się na ramię. Uznała, że nie może mieć do niego pretensji – na ziemi było tyle zarodników, że chciał wejść jak najwyżej.

– Nazywam się... – Szczur zakaszłał. – Nazywam się... Huck. To wystarczy, bo moje prawdziwe imię raczej nie przejdzie.

– Coś w języku szczurów, czego człowiek nie umiałby powiedzieć?

– Zasadniczo – powiedział, kiedy odwróciła się i podeszła do otworu w kadłubie. – A ty?

– Warkocz.

– To co, Warkocz, jesteś gotowa zrobić coś absolutnie szalonego? – zapytał Huck.

– Obawiam się, że staje się to motywem przewodnim mojego życia – odparła Warkocz i wyszła na zarodniki.





Zarodniki chrzęściły pod jej stopami.

Warkocz próbowała oddychać powoli i płytko. Mimo że znów osłoniła usta koszulą, czuła się odsłonięta. Wystarczyłby jeden zarodnik.

Kolejna kula armatnia przeleciała ze świstem nad jej głową i wbiła się w statek. Warkocz jednak szła ostrożnie, powoli, żeby nie wzbijać zarodników w powietrze. Powoli i miarowo, to był najlepszy sposób. Mimo że jej ciało było napięte ze świadomością, że kipienie mogło w każdej chwili zacząć się ponownie – a ona utonie.

– A to jest niezły widok – powiedział cicho Huck z jej ramienia.

Warkocz odważyła się obejrzeć. Z jakiegoś powodu wokół *Marzenia Oota* zaczęło się zbierać stado mew. W czasie ostatniego ostrzału kilku marynarzy zostało rannych, a jeden wypadł za burtę.

Krwawił.

Biedny mężczyzna szarpał się i wrzeszczał, ochlapując krwią zarodniki – które gwałtownie wzrastały, falowały i czepiały się statku jak ogromne macki niewidzialnego lewiatana. Marynarz zniknął pośród powykręcanej eksplozji pędów, ale słyszała dochodzące z ich wnętrza krzyki, gdy był miażdżony, a wypływająca krew karmiła głodny ocean. Mewy zanurkowały w stronę pędów i zaczęły je energicznie dziobać. O co w tym chodziło?

Warkocz znów spojrzała przed siebie i szła dalej, krok po kroku, w stronę wrogiego statku. Choć z ładowni wydawał się bliski, tu robił wrażenie oddalonego o wiele mil.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłem – powiedział Huck z jej ramienia. – No wiesz. Nie wyszedłem na nie.

- Ja też nie. - Warkocz próbowała się powstrzymać przed hiperwentylowaniem. Idź. Wciąż. Naprzód.

- Nie chcę cię niepokoić, ale kipienie najpewniej zacznie się za chwilę - powiedział Huck.

Warkocz pokiwała głową. Od czasu do czasu, codziennie albo co drugi dzień, zdarzały się długie okresy bezruchu, kiedy kipienie cichło na kilka godzin. Bywało nawet, że zanikało na dzień albo dłużej, ale to była rzadkość.

Większość okresów bezruchu trwała zaledwie kilka minut. Jakby kipienie było pieśnią-rzem w głębi oceanu, który zrobił sobie chwilę przerwy, żeby zaczerpnąć tchu.

Próbowała przyspieszyć, ale chodzenie po zarodnikach tylko z pozoru było proste. Jej stopy się ślizgały, i, na księżycy, nie zawiązała wystarczająco ciasno butów. Czowała, że zarodniki dostają się do jej butów, prześlizgują między włóknami skarpet i ocierają o skórę.

Ile potu było trzeba, żeby jeden z nich wykiełkował?

„Idź naprzód”, powiedziała sobie.

Usłyszała zbliżające się chrzęczenie i obejrzała się. Jeden z przemytników zobaczył, co robi, i ruszył biegiem w stronę wrogiego okrętu. Wyrzucił w powietrze tak wiele zarodników. Spięła się i przygotowała zaniepokojona...

Trzask. Kłębowisko pędów wystrzeliło z jego oczu i męczyzna przewrócił się targany drgawkami, a wokół niego wyrastały kolejne pnącza. Warkocz szła dalej, ale wtedy minął ją kolejny marynarz, poruszający się pewnym siebie, swobodnym krokiem. Szybciej, niż ona sama się odważyła.

Przeszli już ponad połowę drogi do drugiego statku.

„Proszę, Szmaragdowy Księżycu”, modliła się. „Proszę. Jeszcze tylko trochę czasu”.

Widziała marynarzy zbierających się na pokładzie dziobowym drugiego statku. Przestali strzelać. Już nie potrzebowali broni. Za jej plecami statek przemytników zgrzytał i trzaskał, kiedy przytłaczająca masa pędów wyrastała zza burty, gdzie spadł ranny marynarz.

Warkocz czuła na sobie spojrzenia wrogich marynarzy. Szczególnie jedna postać - stojąca na samym dziobie, nosząca kapelusz z wysokim czarnym piórem - robiła złowrogie wrażenie. Spowita cieniem postać uniosła długi muszkiet i wycelowała prosto w Warkocz.

Następnie odwróciła się nieco. Muszkiet zakołysał się, a sekundę później rozległ się trzask. Marynarz, który kroczył w stronę statku, upadł, a z jego krwi wyrosła kolejna niepokojąca iglica ze spletanych pędów.

Warkocz zatrzymała się i przygotowała na kolejny strzał. Kiedy się nie rozległ, znów ruszyła naprzód. Było za późno, żeby zawrócić, a poza tym za jej plecami i tak czekała na nią śmierć.

Dlatego kroczyła naprzód, czując straszliwe napięcie, jak cięciwa naciągana coraz bardziej, i bardziej, i jeszcze bardziej. Wciąż czekała na ten trzask albo na to, że ziemia pod jej stopami zacznie się trząść. Albo na zarodnik, który wślizgnie się do jej nosa lub dotknie jej oka.

Kiedy w końcu znalazła się w cieniu unieruchomionego wrogiego okrętu, miała wrażenie, że szła przez całą wieczność z nożem przyciśniętym do gardła.

Marynarze zebrali się przy relingu i patrzyli na nią z góry. Nie zauważyła mundurów, może poza tą postacią pośrodku. Kapelusz z czarnym piórem sprawiał, że jej twarz kryła się w cie-

niu, gdyż słońce świeciło znad horyzontu, zmieniając marynarzy w sylwetki.

Nikt nic nie mówił. Marynarze nie zaproponowali Warkocz miejsca na swoim statku, ale też do niej nie strzelali. Dlatego z braku innych rozwiązań przymocowała torbę z kubkami do pasa i spróbowała znaleźć sposób, by wspiąć się na górę. Niestety, kil i kadłub statku były z gładkiego brązowego drewna i po kilku próbach Warkocz zorientowała się, że wspinaczka jest niemożliwa.

– Przepraszam – powiedział Huck. – Sądzę, że musiałem się mylić. Ci na górze nie wyglądają na ludzi króla, Warkocz. Żałuję... żałuję, że ja...

Warkocz zastanowiła się nad sytuacją. Następnie wytarła palec, by pozbyć się wszelkich zarodników, po czym uniosła go do ust. Umieściła kroplę śliny na paznokciu, odetchnęła głęboko i rzuciła nią w stronę zarodników oddalonych o kilka stóp.

Spomiędzy zarodników wyrosło średniej wielkości „drzewo” z pędów, które owijały się wokół siebie i wznosiły w niebo. Warkocz chwyciła je i poczuła pod palcami szorstkie zwoje, jak sznury.

I zaczęła się wspinać.

– Tak jest! – Huck zsunął się z jej ramienia i wspiął wyżej po pędach. – Dalej, Warkocz. Pośpiesz się!

Dawała z siebie wszystko i podciągnęła się na wysokość dziesięciu stóp, aż z wysiłkiem dosięgnęła bulaja na burcie statku. Huck znów wspiął się na jej ramię, kiedy złapała się i zawiśła na kadłubie. Zobaczyła nazwę statku, wymalowaną złotymi literami. *Pieśni Wrony*.

Na górze marynarze śmiali się i z radosną nonszalancją komentowali jej wysiłki. Zarodniki spływały z jej butów, kiedy wisiała tam, próbując znaleźć podparcie dla stóp na niedużej półce biegnącej wokół statku pod bulajami.

– Nadchodzi – powiedział Huck. – Posłuchaj.

Zaczęło się jako niskie brzęczenie, od którego statek zawibrował. Po chwili zarodniki wzburzyły się, kiedy między nimi wzniosło się powietrze. Statek podskoczył – i prawie zrzucił Warkocz. Na górze załopotaly stawiane żagle.

Drabinka z pędów zniknęła, zatoneła w oceanie, który nagle stał się płynny. Warkocz spojrzała na *Marzenie Oota*, które przechyliło się obciążone przez pędy, które owijały się wokół niego. Całość zakołysała się, wywróciła do góry dnem i w końcu zatoneła.

Wokół znikającego wraku gwałtownie wyrosły pędy, gdy mężczyźni krzyczeli, a stadko mew się rozproszyło. Obecny statek Warkocz przepłynął obok wraku, ale *Marzenie Oota* zniknęło, zanim do niego dopłynęli. Pozostali tylko trzej samotni członkowie załogi. Dwaj na kawałkach drewna i jeden w malutkiej szalupie ratunkowej. Wszyscy trzej zasłonili usta szalikami i zaciskali powieki.

Na pokładzie rozległy się dwa strzały, zabijając tych dwóch na deskach. Z jakiegoś powodu *Pieśni Wrony* zostawiła mężczyznę w szalupie przy życiu. Jedyne pozostały z przemytniczej załogi. Nędzny koniec pierwszego rejsu Warkocz.

Trzymała się kadłuba *Pieśni Wrony*. Palce ją piekły, ramiona bolały. Ale na górze nie było żadnych uchwytów dla rąk – a poza tym wystawał tam bok pokładu i nadburcie. Dziewczyna

wątpiła, by miała siłę albo umiejętności, by je przebyć, nawet gdyby udało jej się do nich dotrzeć.

Dłatego się trzymała. Z całej siły, gdy statek podskakiwał i się kołysał. Od czasu do czasu na górze pojawiały się twarze. Mężczyźni patrzyli w dół, by sprawdzić, czy ona wciąż tam jest. Później wykrzykiwali do towarzyszy, by przekazać, jak wygląda sytuacja.

Nadal tam jest.

Nadal tam jest.

- Idź - szepnęła do Hucka. - Jesteś szcurem. Uda ci się po tym wspiąć.

- Wątpię.

- Mógłbyś spróbować.

- To fakt. Mógłbym.

Trzymali się razem. Przez całą wieczność, jak się wydawało. W końcu zaczęła się zsuwać. Jej mięśnie przesywał ból i...

W drewno obok niej uderzyła lina. Warkocz wpatrywała się w nią otepiąta, zastanawiając się, czy ma siłę, by się po niej wspiąć. W końcu złapała ją, ścisnęła i oparła głowę o ramię.

Sznur zaczął się poruszać, ciągnięty przez kilku marynarzy na górze. Kiedy znalazła się wystarczająco wysoko, ogromny mężczyzna o czarnych dredach pochylił się, złapał ją pod pachami i rzucił na pokład. Ostatnie zarodniki na jej ubraniu obumarły, zabite przez srebro na pokładzie tego statku.

- Kapitan Wrona powiedziała, że możemy cię wyciągnąć, jeśli przetrwasz piętnaście minut - powiedziała inna marynarz, niższa kobieta. - Nie wierzę, że ci się udało. Jesteś silna.

Warkocz zakaszłała. Leżała na pokładzie, przyciskając wyczerpane ręce do ciała. Piętnaście minut? To było tylko piętnaście minut? Wydawało się, że minęły całe godziny.

- Nie silna - powiedziała chrapliwie. - Tylko uparta.

- To nawet lepiej - stwierdziła kobieta.

Huck zachował dość rozsądku, by milczeć, choć kłapał zębami w stronę marynarza, który próbował go złapać.

- Kim jesteście? - spytała Warkocz marynarzy. - Ludźmi króla? Korsarzami?

- Ani tym, ani tym - odparł inny z marynarzy. - Wkrótce wywiesimy królewską banderę, ale to kłamstwo. To nasza śliczna twarz. Doug szyje nam porządną banderę, żebyśmy byli gotowi na następny raz. Czarną na czerwonym tle.

Czarna na czerwonym tle? To jednak byli piraci. Czy to był postęp w porównaniu z przebywaniem wśród przemytników, czy nie? I dlaczego zatopili tamten statek, nie próbując go złupić?

Między marynarzami precyzyjnie się krępa postać. Kapitan Wrona - o czym świadczyło pióro w jej kapeluszu - miała szorstkie rysy twarzy, ogorzałą skórę i zmarszczki na czole głębokie jak ocean. Wrona była... cóż, znałem parę osób takich jak ona. Wydawała się zbyt surowa. Zbyt pełna złości. Była jak pierwszy szkic istoty ludzkiej, zanim dodano łagodzące efekty w rodzaju poczucia humoru i litości.

- Wyrzucicie ją za burtę - powiedziała kapitan.

- Ale mówiliście, że możemy ją wyciągnąć! - sprzeciwiła się niska kobieta.

– Owszem, i to zrobiliście. A teraz ją wyrzucicie.

Nikt się nie ruszył.

– Popatrzcie, jaka jest chuda – warknęła kapitan. – Celniczka? Znałam parę osób z jej fachu... Wybierają tę robotę ze względu na to, jaka jest łatwa. Ta kobieta nie przepracowała jednego dnia w całym swoim życiu, a na *Pieśni* nie ma miejsca dla kogoś, kto się nie przyda.

Piraci wciąż wydawali się niechętni. Dlaczego mieliby się nią przejmować? Ale ich wahanie było okazją. Dlatego Warkocz – choć kręciło jej się w głowie z wyczerpania – podciągnęła się po pokładzie i uniosła na kolanach. Zauważyła wiadro i szczotkę, i metodycznie – tak szybko, jak mogła z bolącymi rękami – wyjęła szczotkę i zaczęła szorować pokład.

Kapitan Wrona patrzyła na nią z ukosa. Jedynymi dźwiękami były odgłosy kipiących zarodników i szczotki przesuwającej się w jedną i drugą stronę.

W końcu kapitan wyjęła zza pasa manierkę i pociągnęła długi łyk. Manierka wyglądała bardzo ładnie, na zewnątrz pokrywała ją skóra z wytłoczonymi wzorami przypominającymi pióro. Nawet tak wyczerpana Warkocz umiała docenić porządne naczynie do picia.

Wrona odeszła – i nie wydała dalszych rozkazów dotyczących Warkocz. Piraci wrócili na swoje stanowiska i nikt jej nie wyrzucił.

I tak pracowała. Szorowała, a Huck szeptał jej zachęty do ucha. Pracowała nawet po nadejściu nocy, aż w końcu – odrętwiała ze zmęczenia – zwinęła się w kłębek w kącie pokładu i usnęła.



CZĘŚĆ
TRZECIA



Warkocz obudziła się następnego dnia z włosami na twarzy. Czowała się zeszytywniała, jak szmata do sprzątania, którą już dawno należało wyprać. Podniosła się z pokładu i spróbowała związać włosy. Niewyraźnie przypominała sobie, że w czasie nocy została kopnięta i kazano jej się przenieść, żeby nie plątała się pod nogami. Zrobiła to, ale została obudzona kopniakiem z tego samego powodu jeszcze dwa razy. Wydawało się, że na pokładzie nie było miejsca, gdzie nie plątałaby się pod nogami.

Jej następna myśl nie dotyczyła jedzenia. Nie dotyczyła picia ani innych potrzeb biologicznych.

Dotyczyła Charliego.

Nigdy wcześniej nie czuła się tak naiwna. Myślała, że może po prostu opuścić dom i kogoś uratować? Choć nigdy wcześniej nie postawiła stopy na pokładzie statku? Czowała się głupia. Co gorsza, czuła ból z powodu Charliego, który musiał być gdzieś przerażony, uwięziony i samotny. Jego udręka była jej udręką.

Może się wydawać, że osoba, która czuje emocje innych, jest przegrana. Czy ból jednej osoby nie wystarczy? Dlaczego ktoś taki jak Warkocz musi czuć za dwie osoby albo więcej? Odkryłem jednak, że najszczęśliwsi są ci ludzie, którzy najlepiej nauczyli się czuć. Wiedzą, to wymaga ćwiczeń. Wysiłku. A ci, którzy (późno w życiu) czują za dwoje, troje albo tysiąc różnych ludzi... cóż, okazuje się, że oni od początku mieli przewagę nad innymi.

Empatia to uczuciowy lider strat. W końcu okazuje się, że się opląca.

Jednakże w tamtym czasie nie było to duże pocieszenie dla Warkocz, która siedziała żalśnie na pokładzie, uświadamiając sobie, że – zanim będzie mogła choćby zacząć myśleć o tym, że pomoże Charliemu – musiała znaleźć sposób, by uratować samą siebie. Kuliła się przy nad-

burciu i usłyszała kogoś wrzeszczącego spod pokładu, że „pierwsza wachta” może przyjść do mesy.

Huck szepnęła coś do niej i odszedł, by to zbadać. Burczenie w brzuchu przypomniało Warkocz, że ostatnim, co zjadła lub wypiała, była woda, przez którą widziała gołębie. Dlatego, obołała, podniosła się z trudem. „Mesa” oznaczała jedzenie na statku, prawda? Może nie zauważa, jeśli...

Stanąła przed nią chuda postać w rozpiętym wojskowym płaszczu. Mężczyzna był łysy, zarośnięty, nosił miecz u boku i miał dwa pistolety zatknięte za pas. Laggart, mistrz artylerii, był pierwszym oficerem na statku. Miał mięśnie jak postronki, zaś długa szyja i łysa głowa sugerowały, że gdzieś wśród jego przodków krył się być może sęp.

Obrzucił Warkocz uważnym spojrzeniem.

– Pierwsza wachta może zjeść – powiedział. – To mężczyźni i kobiety, którzy przygotowują się do żeglowania w ciągu tego dnia. Będiesz dziś pracować przy żaglach albo olinowaniu, miodowe włosy?

– ...Nie – szepnęła Warkocz.

– Później je druga wachta. Pracowali przez całą noc i będą mogli zjeść, kiedy tylko przybędą ich zmiennicy.

– A... którą wachtą jestem ja? – spytała cicho Warkocz.

– Kapitan mówi, że jesteś trzecią wachtą. – Laggart uśmiechnął się i odszedł.

W końcu wezwano drugą wachtę i marynarze się wymienili. Warkocz czekała, senna i zeszytniała. I czekała. I czekała. Można by powiedzieć, że tego ranka było z niej niezłe czekadełko.

Trzeciej wachty nie wezwano. Warkocz przypuszczała, że była jedyną, którą do niej „zapisano”. Dlatego starała się ignorować żołądek i zamiast tego obserwowała piratów przy pracy. Może gdyby nauczyła się, co robią, udałoby się jej przewidzieć, jak nie wchodzić im w drogę.

Cały ranek spędziła tak zajęta i na całe szczęście wydawało się, że większości z nich nie przeszkadza. Nie była to wesoła załoga, ale wyraźnie oddana. Warkocz kilka razy zauważyła, że kapitan Wrona obserwuje ją, stojąc na uboczu i popijając z manierki. Jej spojrzenie sprawiło, że Warkocz poczuła się jak uporczywa plama na oknie.

Lepiej wziąć się do roboty. Sięgnęła do worka, sprawdziła kubki, po czym wyjęła szczotkę. Kiedy zmusiła włosy do posłuszeństwa i uwięziła je w warkoczu, podniosła wiadro i szczotkę – i uświadomiła sobie, że nie ma już wody ani mydła.

Stała tak z głupią miną, aż ktoś podszedł do niej z nowym wiadrem. Podziękowała mu, po czym – z zaskoczeniem – uświadomiła sobie, że go rozpoznaje. To był Hoid, chłopiec okrętowy ze *Świszczącego łuku*. Z niczym nie dało się pomylić jego tyczkowatej sylwetki i całkiem białych włosów. Choć wszyscy nazywali go „chłopcem”, choć z wyglądu był po trzydziestce i zdrowy na umyśle – do chwili, gdy otworzył usta.

– Moje dżiąsła z pewnością lubią oblizywanie! – powiedział do niej i odszedł na krzywych nogach, krokiem kojarzącym się z pijanym pingwinem.

Tak, to ja.

Nie, nie chcę o tym rozmawiać.

Kiedy odszedłem, by wepchnąć sobie sznurowadła do nosa, Warkocz wspięła się na pokład rufowy, bo wydawało się, że tam jest mniejszy ruch. I znów zabrała się do pracy. Jak się okazało, była całkiem niezła w szorowaniu pokładów. Przypominało to szorowanie okien, tyle tylko że po zakończeniu nie trzeba było przez nie patrzeć. Właściwie było to zbyt łatwe, może ubliżało jej talentom do mycia. Jak zatrudnienie światowej klasy chirurga, by odciął skórki z kanapki.

W czasie przerw obserwowwała załogę. Udało jej się zauważyć kilka twarzy, które znała – podobnie jak Hoida – choć niezbyt dobrze. Statki mijające Skalę często pozostawiały kilku członków załogi. Ci dostawali zgodę od celniczki i znajdowali zatrudnienie na kolejnej jednostce.

Nie wyglądali na szczególnie brutalną gromadę – załoga była mieszana, składała się z przedstawicieli różnych narodowości, a kobiet było niemal tyle samo, co mężczyzn. Na morzach zarodników zdarzało się to dość często. Zatrudniano każdego chętnego. Dyskryminacja ze względu na płeć ograniczała zyski.

Jak taka normalna załoga skończyła jako piraci? I to nie tacy zwyczajni, ale żądni krwi, którzy zatopili statek, nie żądając wcześniej łupów?

Oni nawet nie zasłaniają nazwy, pomyślała Warkocz. I zostawili jednego marynarza przy życiu. W tym statku było coś dziwnego.

– Chciałem wyplukać gardło koszulami! – powiedziałem, przechodząc obok. Wskazałem na nią obiema rękami i mrugnąłem. – Ale zjadłem je tydzień temu.

Warkocz przechyliła głowę i odprowadzała mnie wzrokiem. Kiedy to zrobiła, Huck przebiegł przez pokład i wspiął się na jej ramię.

– Co jest nie tak z tym gościem? – spytał cicho szczur.

– Nie jestem do końca pewna – odszepnęła Warkocz. – Ale spotkałam go wcześniej. Jest miły. Choć... dziwny.

– Ludzie, którzy zbierają znaczki, są dziwni, Warkocz. Temu mężczyźnie brakuje kilku jajek do tuzina... i nie ma pojęcia, że pozostałe dziesięć, które zebrał, to tak naprawdę kamienie.

Ech.

W porządku, widzicie, chodzi o to. Kilka lat wcześniej spotkałem się – cóż, bardziej zderzyłem – z Czarodziejką. Powiedzmy tylko, że miała coś, czego potrzebowałem, ale wyzwolenie tego okazało się trudniejsze, niż zakładałem. Skutek? Czarodziejka rzuciła na mnie jedną ze swoich słynnych klątw. Posłuchajcie, nawet najbardziej zwinny tancerz od czasu do czasu się potknie.

Klątwa odebrała mi zmysł smaku i, no cóż, pozostałe cztery zmysły też.

– Czego się dowiedziałeś? – Warkocz zwróciła się do szczura.

– Zwinąłem trochę jedzenia, ale to były porcje jak dla szczura. Przepraszam. Poza tym rzeczywiście szyją piracką flagę. Wydaje mi się, że są w tym nowi. Może dlatego przypadkiem zatopili ten drugi statek.

– Nie – szepnęła Warkocz, wracając do szorowania. – Celowo zostawili jednego marynarza przy życiu i nie zasłonili nazwy statku. Nie zatopili tamtego statku z powodu braku doświad-

czenia...

- ...zrobili to jako deklarację - zgodził się Huck. - Piracką wersję wysłania obwoływacza, żeby ogłosił wyprzedaż u szewca. Na księżycocienie. Zabili prawie trzydziestu ludzi.

Warkocz spojrzała na załogę pracującą na swoich stanowiskach. Wcześniej dostrzegła w ich poruszeniach zdecydowanie i skupienie. Teraz zauważyła coś innego. Swego rodzaju dojmujące pragnienie zatopienia się w pracy. Może po to, by uniknąć myślenia o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

Coś jest bardzo nie w porządku z tym statkiem, pomyślała znowu.

Niestety, zanim mogła się nad tym dłużej zastanowić, jej uwagi zaczęły się domagać inne kwestie - bardziej skatologicznej natury.



Pieśń *Wrony* była o wiele większym statkiem niż ten, na którym Warkocz płynęła wcześniej. *Marzenie Oota* było dwumasztowcem, podobnym do tego, co wy nazwalibyście brygantyną. *Pieśń Wrony* była czteromasztowcem, stworzonym, by pływać szybko, ale wyposażonym w obszerną ładownię i kilka pokładów. Był to odpowiednik tego, co wy nazwalibyście niedużym galeonem – i miał całkiem sporą załogę, jak na świat Warkocz, składającą się z sześćdziesięciu ludzi.

Nie oczekuję od was, że zapamiętacie ich wszystkich. Głównie dlatego, że ja ich wszystkich nie pamiętam.

I dlatego, zarówno dla uproszczenia narracji, jak i zachowania przez nas wszystkich zdrowych zmysłów, wymienię imiona jedynie najważniejszych członków załogi *Pieśni Wrony*. Pozostałych, niezależnie od płci, będę nazywał „Doug”.

Bylibyście zaskoczeni, jak bardzo często spotyka się to imię w różnych światach. Owszem, niektórzy zapisują je „Dug” albo „Duhg”, ale zawsze jest w pobliżu. Niezależnie od miejscowej lingwistyki, rodzice w końcu zaczynają nadawać swoim dzieciom imię „Doug”. Spędziłem kiedyś dziesięć lat na planecie, gdzie jedyną inteligentną formą życia były istoty przypominające placki, które wyrażały się, puszczając wiatry. I nie żartuję – jedno nazywało się „Doug”. Choć trzeba przyznać, że kiedy „wypowiadano” to słowo, towarzyszyła mu bardzo charakterystyczna woń.

„Doug” to odpowiednik ewolucji zbieżnej w nazewnictwie. A kiedy raz się pojawi, zostaje. To lingwistyczny Wielki Filtr, pobudka. Kiedy społeczeństwo osiągnie szczyt Douga, nadchodzi pora, by usiadło sobie w kąci i zastanowiło się nad tym, co zrobiło.

Tak czy inaczej, w załodze *Pieśni Wrony* była co najmniej jedna kobieta, która naprawdę miała na imię Doug, ale nie pamiętam, kim była – dlatego na potrzeby tej opowieści wszyscy

są Dougami.

Warkocz podeszła do jednego z nich i spytała – z wahaniem – gdzie jest ubikacja. Doug wskazał w stronę schodów prowadzących na dół i wyjaśnił, że ta na pokładzie środkowym jest przeznaczona dla niższych rangą członków załogi.

Z Huckiem na ramieniu poszła się rozejrzeć. Statek miał cztery poziomy. Dougowie nazywali ten najwyższy – który był otwarty – „górnym pokładem”. Na „pokładzie środkowym” znajdowały się miejsca w rodzaju mesy i zbrojowni, jak również nieduże kajuty oficerów. „Dolny pokład” był ciasną przestrzenią, gdzie spała większość marynarzy.

Poniżej znajdowała się ładownia, wielka przestrzeń na obfite łupy, które piraci z całą pewnością zdobędą, kiedy nauczą się, jak przestać posyłać je na dno oceanu.

Było kilka pomieszczeń toaletowych, z działającą kanalizacją, chwała księżycom. Zajrzała do jednej, która była wolna, i zobaczyła ubikację, ale żadnej wanny. Jak załoga się kąpała? Warkocz rozpaczliwie tego pragnęła, bo ciągle znajdowała martwe zarodniki w fałdach ubrania. Skóra ją mrowiła na myśl, jak wiele z nich musiała mieć na sobie.

Załatwiła się w ciasnym pomieszczeniu z malutkim bulajem jako jedynym źródłem światła. Huck z własnej woli zaczął na zewnątrz, nie musiała go o to nawet prosić – okazał się wyjątkowo uprzejmy jak na szczura. Czując się nieco lepiej, Warkocz wyslizgnęła się na zewnątrz i pozwoliła, by znów wskoczył jej na ramię. Co oni robili z ludzkimi odchodami, tutaj, na oceanie? Zbierali wszystko, by następnie wykorzystać jako kompost na wyspach? A co w przypadku długich rejsów? Wyrzucanie tego za burtę wydawało się niebezpieczne, a do tego obrzydliwe. Niebrzydliwe?

W drodze powrotnej na górny pokład usłyszała głos dochodzący z pomieszczenia w pobliżu toalety. Zawahała się, a kiedy zajrzała do środka, zobaczyła mężczyznę za ladą – tego wielkiego mężczyznę z dreadami, który wciągnął ją na pokład. Kiedy mówię „wielki”, być może wyobraziliście go sobie jako mocno zbudowanego albo muskularnego. Oba te określenia do niego pasowały, ale żadne słowa nie oddawały sprawiedliwości Fortowi, kwatermistrzowi.

Fort nie był wielki jak „ej, może lepiej weź sałatkę” ani nawet wielki jak „ej, czy ty w ogóle uprawiasz sport”? On był wielki jak „ej, jak ty przeszedłeś przez te drzwi?” Nie chodziło o to, że był gruby, choć mógłby swobodnie pozbyć się kilku funtów. Wyglądał raczej jak osoba, którą zbudowano według innej skali niż resztę ludzkości. Można by sobie wyobrazić, że po stworzeniu go Odpryski powiedziały „Może miejscami trochę przesadziliśmy” i postanowiły obciążyć dziesięć procent ze wszystkich innych ludzi, żeby oszczędzać zasoby.

Fort trzymał ceramiczną kulę armatnią, która w jego rękach wydawała się mała. Palce obu jego dłoni były powykręcane, co albo wynikało ze starych obrażeń, albo było wrodzone. Musiało to wpływać na jego zręczność.

Towarzyszyła mu tyczkowata kobieta ubrana w kamizelkę i spodnie, o bardzo krótko przystrzyżonych włosach. Ann (cieśla na statku) miała nos jak strzałka i nosiła nie jeden, nie dwa, ale trzy pistolety zamocowane w różnych miejscach na ciele.

Fort podał Ann kulę i choć w jego uchwycie wydawała się lekka, sposób, w jaki trzymała ją kobieta, świadczył, że jest inaczej. Następnie podniósł coś, co wyglądało jak drewniany znak z czarnym przodem, o szerokości dwóch stóp i nieco mniejszej wysokości.

– Sprawdziłeś każdą w zbrojowni? – spytała Ann.

Fort spojrzął na tył swojej tabliczki i pokiwał głową.

– Nie natrafieś na inne, które były wadliwe? – spytała Ann.

Fort postukał w tył drewnianego znaku, a wtedy z przodu pojawiły się słowa.

Ani jedna głosił znak. Każdą, którą sprawdziłem, miała właściwy lont, ustawiony, by wybuchła, nim zatopi statek, by można go było zatrzymać i złupić.

Ann z hukiem opuściła kulę na blat.

– Cóż, jeśli żadna z pozostałych nie jest wadliwa, nie musimy się przejmować, że kogoś jeszcze przypadkiem zatopimy.

Fort znów postukał w coś na tyłach deski, wykorzystując kostkę palca wskazującego. Kiedy to zrobił, słowa się zmieniły.

Nie podoba mi się to, Ann. Mieliśmy wystrzelić kule armatnie, które tylko unieruchomią statek, nie zatopią go. Żałuję, że zabiliśmy tamtych ludzi i naprawdę nie podoba mi się to, jak się później zachowała kapitan. To nie ma sensu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Mówię, że wcale mi się to nie podoba. Nie na takie piractwo się pisaliśmy.

– Mnie też to się nie podoba. Ale za późno, żeby zmienić zdanie. To i tak jest lepsze niż zostanie zwerbowanym.

Ale czy tak jest? Naprawdę? Nie chcę dźwigać ciężaru śmierci tych ludzi, Ann.

Ann nie odpowiedziała. W końcu wyprostowała się i podeszła do drzwi. Warkocz wpadła w panikę, bo nie chciała zostać przyłapaną na podsłuchiwanie, i znów ukryła się w toalecie.

Słuchała, jak Ann wspina się po schodach na zewnątrz.

– Co o tym myślisz, Huck? – szepnęła.

– Nie wiem. Brzmi to tak, jakby nie zamierzali zatopić *Marzenia Oota*, co ma sens. Ale po tym, jak pierwsza kula armatnia przebiła kadłub i statek zaczął tonąć, piraci musieli uznać, że trzeba dokończyć robotę.

Warkocz pokiwała głową, choć nie wiedziała, co myśleć o tym wszystkim.

– Ale i tak są winni – dodał Huck. – Czego się spodziewali, kiedy zostali piratami i zaatakowali? Nie może im być tak po prostu smutno, że kogoś zabili po tym, jak próbowali go obrabować. Ci piraci są teraz wyjęci spod prawa, Warkocz.

– To się nie wydaje sprawiedliwe. Król powiesiłby kwatermistrza, nawet jeśli to nie on strzelał z armaty?

– Prawo stanowi jasno. A dokładniej chodzi o zabójstwo kwalifikowane. Jeśli popełnisz przestępstwo i ktoś umrze? To morderstwo. Nawet jeśli wcale nie miałas takiego zamiaru. Królowa marynarka będzie polować na tę bandę... i lepiej, żeby nie było nas na pokładzie, kiedy zostaną złapani. Na wszelki wypadek, gdyby urzędnicy nie uwierzyli, że jesteś jeńcem.

To była mądra sugestia. Ten statek był pułapką – albo kapitan w końcu będzie miała jej dosyć, albo zginie w czasie nieuniknionej walki. Miała zadanie uratować Charliego i nie mogła marnować czasu.

Ale jak uciec? Nie mogła tak sobie wyskoczyć za burtę. Poza tym suchość w gardle ostrzegała ją, że miała ważniejsze zmartwienia. Jeśli kapitan nie pozwoli jej czegoś zjeść, nie przeżyje dość długo, by uciec.

Znów podkraǳła się do kajuty kwatermistrza, a kiedy zajrzała do środka, zobaczyła, że potężny mężczyzna odwrócił się plecami do drzwi. Układał rzeczy w licznych skrzyniach i pudłach za ladą. Czy udałoby jej się ukraść coś do jedzenia? A może Huck zrobiłby to dla niej? Spojrzała na niego.

- Co? - spytał.

Warkocz spiorunowała go wzrokiem i uciszyła gestem.

- Myślę, że on jest głuchy - powiedział Huck. - Kiedy wcześniej krążyłem, ktoś wspomniał, że kwatermistrz nie słyszy.

I rzeczywiście, Fort nie przerywał pracy, wciąż odwrócony do nich plecami. Nie zauważył, że rozmawiają.

- Kiedyś spotkałem głuchego człowieka - dodał Huck. - To była tancerka, jedna z najlepszych pod księżycami... a w każdym razie najlepsza, jaką widziałem. To były bardzo miłe chwile, lecz zostały dość gwałtownie przerwane. Wielka szkoda, ale tak bywa w życiu. Poza tym nie mogłem sobie pozwolić, by z nią porozmawiać, bo... no wiesz, kwestie związane z tym, kim i czym jestem. Nie chciałem się zdradzić.

- Może to kolejna dobra okazja, by nie mówić - zasugerowała Warkocz. - O ile nie chcesz, żeby piraci zorientowali się, że mają na pokładzie wygadanego szczura, którego potencjalnie można sprzedać.

- Jasne, słuszna uwaga. Ja po prostu spędziłem całe tygodnie, ukrywając się na statku przemytników, zanim mnie złapali. Poczułem się trochę samotny. Dobrze jest mieć z kim porozmawiać...

Spojrzała na niego.

- ...co przestanę teraz robić.

Warkocz odwróciła się, by odejść - ale kiedy to zrobiła, jedna z desek zaskrzypiała pod jej stopami. Fort natychmiast odwrócił się w jej stronę i zmrużył oczy na jej widok. Być może nie słyszał, ale każdy kwatermistrz, jakiego kiedykolwiek poznałem, ma swego rodzaju szósty zmysł i wyczuwa, kiedy ludzie skradają się w pobliżu jego towarów.

Warkocz poczuła na sobie spojrzenie ogromnego mężczyzny i miała ochotę uciec. Ale to on wyciągnął ją na pokład. Stała więc w miejscu, aż uniósł dziwną tabliczkę.

Podejdz tu, dziewczyno przeczytała.

Ucieczka nic by jej nie dała. Dlatego, czując się, jakby wchodziła do jaskini smoka, Warkocz wkroczyła do kajuty.



Fort obejrzał ją od góry do dołu, drapiąc się po brodzie grubymi palcami. W końcu postukał w tył deski, a wtedy pojawiły się na niej słowa.

Masz jakieś imię?

– Warkocz, sir.

I naprawdę jesteś królewskim celnikiem?

– Ja... – Przełknęła ślinę. – Nie. Płaszcz nie należy do mnie. Ukradłam go.

Jesteś teraz piratką napisał Fort. To, co ukradniesz, należy do ciebie.

– Nie jestem piratką.

Jesteś, tak długo, jak chcesz oddychać. Nie mów nikomu, że nie zamierzasz do nas dołączyć. Takie gadanie sprawia, że człowiek ląduje za burtą.

Warkocz pokiwała głową.

– Dziękuję, sir.

Nie mów do mnie „sir”. Porzuciłem ten tytuł dawno temu. Nazywam się Fort. Ktoś cię już nakarmił?

W odpowiedzi zaburczało jej w brzuchu. Pokręciła głową.

Fort sięgnął pod ladę i wydobyl spod niej talerz, trzymając cienką krawędź ceramiki między kciukiem a palcem wskazującym. Wcześniej Warkocz sądziła, że będzie mu brakowało zręczności ze względu na jego palce – które wyglądały, jakby zostały połamane w kilku miejscach, a później zrosły się bez łubek. Jednak radził sobie całkiem dobrze. Niektóre czynności wymagały więcej wysiłku i dłonie mu drżały, ale wyraźnie był sprawny, nawet jeśli niektóre rzeczy robił inaczej niż pozostali ludzie.

Umieściwszy przed nią naczynie, wydobył kociołek, podrapał dno i wyrzucił na talerz trochę przypalonych smażonych ziemniaków. Dorzucił do nich rzadką jajecznicę.

Pozostałości ze śniadania, pomyślała Warkocz. Resztki, których inni nie zjedli.

Odczekała chwilę, zanim cokolwiek zjadła. Mężczyzna przyjrzał jej się i w końcu rzucił widelec na talerz. Uznała to za pozwolenie i zaczęła jeść.

Posiłek był koszmarny.

Przypalone ziemniaki miały konsystencję skorupki żuków – i dobrze pasowały do jajek, które kojarzyły się z tym, co można znaleźć wewnątrz tych skorupki. Nie trzeba być doskonałym kucharzem, by stwierdzić, że to jedzenie było koszarne, ale dla kogoś takiego jak Warkocz było to gorsze. Nakarmienie jej zimnymi i przypalonymi resztkami – kawałkami, na których nie było żadnych przypraw – przypominało zamknięcie wirtuoza fortepianu w pokoju, a później zmuszenie go do słuchania arcydzieł muzyki wygrywanych na rozstrojonej piszczałce.

Warkocz nie skarżyła się. Musiała zjeść i nie zamierzała zrezygnować z jedynego, co dostała. Mimo że smakowało mniej jak jedzenie, a bardziej jak to, w co jedzenie się zmieniało.

By nie myśleć o „posiłku”, skinęła na tabliczkę, którą Fort wykorzystywał do porozumiewania się.

– To dziwne urządzenie.

Podał jej kubek wody (ładny, z brązu, pozbawiony ozdób, ale błyszczący w promieniach światła). Woda przynajmniej smakowała czysto i świeżo. Warkocz wypila ją z chęcią.

Prawda? napisał Fort. Twoje słowa pojawiają się dla mnie z tyłu, kiedy mówisz. Umie nawet rozróżnić głosy i umieszcza z przodu znaczek, żeby wskazać, że odezwał się ktoś nowy.

– A niech mnie.

Możecie się zastanawiać, czemu Fort nie czytał z ruchu warg. Ja, podobnie jak wielu słyszących ludzi, zakładałem kiedyś, że to magiczne rozwiązanie dla ludzi radzących sobie w świecie słyszących. Ale, na wypadek gdybyście o tym nie słyszeli – gra słów zamierzona – czytanie z ruchu warg nie działa jak w opowieściach. To jeden wielki bałagan, dużo trzeba się domyślać i wymaga ogromnego wysiłku. Nawet w przypadku ekspertów.

Fort i tak kiedyś na nim polegał, znosząc niską dokładność. Aż udało mu się dotrzeć do tego urządzenia. Miało wiele funkcji – w tym takie, o których jeszcze nie wiedział. Na przykład słowa były większe, jeśli wypowiedział ich mniej, zajmując całą przestrzeń na desce. Ale kiedy pisał dłuższe wiadomości, słowa się kurczyły, by zmieściło się ich więcej.

Jest cudowne. powiedział Fort. Dostałem je przed kilku laty od czarodzieja.

– Czarodzieja?

Spoza gwiazd. Bardzo dziwny gość. Wykorzystywał je do tłumaczenia naszego języka. Dużo dałem, żeby je dostać. Wyraźnie go zaskoczyło, kiedy zorientował się, jak bardzo mi pomoże. Trudno mi pisać w sposób typowy dla słyszących, bo nie mogę stworzyć niektórych kształtów.

Tak na marginesie, tym „czarodziejem” spoza gwiazd nie byłem ja. Zawsze się zastanawiałem, kto wymienił się na to urządzenie z Fortem. To technologia z Nalthis, z Przebudzonymi obwodami predyktywnymi opartymi na Związku.

Fort odwrócił deskę i pokazał jej tył, gdzie mógł stukać w litery i wywoływać listy popularnych słów. Deska przewidywała jego potrzeby, podsuwając mu możliwe rozwiązania. Działała z nadnaturalną szybkością, jakby przewidywała jego myśli.

Muszę raz na tydzień wystawić ją na słońce albo przestaje działać napisał Fort. A jej magia nie reaguje na nikogo poza mną. Nie próbuj jej więc ukraść.

- Nie odważyłabym się - powiedziała Warkocz i wzdrygnęła się. - To znaczy... jesteś dla mnie taki życzliwy.

To nie życzliwość. To wymiana.

- Na co?

Jeszcze nie zdecydowałem. Wracaj do jedzenia, dziewczyno.

Zrobiła to. Niestety.

Kiedy próbowała dzielnie jeść dalej, do środka weszła inna z marynarzy. Była to niższa kobieta, która poprzedniego dnia rzuciła wyzwanie kapitan. Miała bardzo kręcone czarne włosy. Weszła do środka i rzuciła coś na ladę, niemal nie zwracając uwagi na Warkocz.

Jak opisać Salay, sterniczkę? Była tej samej narodowości co Fort i podobnie jak on pochodziła z Wysp Lobu na Szafirowym Morzu, gdzie zefirowe zarodniki wypuszczają podmuch powietrza, kiedy zostają podlane. Miała delikatne rysy twarzy, ale nie była bynajmniej krucha.

- W porządku, Fort - powiedziała. - Dam ci trzy.

Umieściła na blacie trzy małe kolczyki.

Mówiłem ci, Salay napisał Fort. Na nic mi kolczyki. Uszy mnie od nich swędzą.

- W takim razie cztery. - Salay umieściła na ladzie kolejny. - Wygrałam je w karty od Douga, ale to wszystko, co mam. Czyste złoto. Nigdzie nie znajdziesz lepszej okazji.

Na słowo „okazja” Fort wyraźnie się ożywił. Przyjrzał się kolczykom.

- Dalej, Fort. Muszę wracać na wachtę.

Fort rozmasował brodę, a później podrapał się po dredach. Następnie wyjął coś spod lady i położył na blacie - zegarek kieszonkowy.

- W końcu - powiedziała Salay, zsunęła go z blatu i wyszła pośpiesznie.

Fort oglądał kolczyki, jeden po drugim, i uśmiechał się. Rzeczywiście kolczyki do niczego by mu się nie przydały, ale... to była dobra okazja. A dla Forta dobre okazje były nagrodą samą w sobie.

Warkocz udało się wmusić w siebie resztę jedzenia. Czuliła, że zasłużyła na medal. Fort jedyne dał jej kolejny kubek wody, a później ją wygonił - ale najpierw napisał:

Wróć po tym, jak wszyscy inni zjedzą kolację. Może będę miał dla ciebie coś do jedzenia.

Warkocz pokiwała z wdzięcznością głową. Wychodząc, minęła mnie. Lekko podskakiwałem, aż w końcu usadowiłem się na zydłu przed ladą Forta. Kwatermistrz wyjął więcej „jedzenia” i dał je mnie.

- Moje ulubione! - powiedziałem.

Postaraj się nie zjeść tym razem talerza, proszę napisał Fort.

Zacząłem jeść, mamrocząc pod nosem zachwycony smakiem.

Co? Tak, czułem smak. Dlaczego miałbym nie...

Ach, pięć zmysłów? Tak, powiedziałem, że klątwa Czarodziejki pozbawiła mnie zmysłu smaku. Myśleliście... myśleliście, że chodziło mi o ten zmysł smaku. O, święta naiwności.

Odebrała mi drugi zmysł smaku. Ten ważny.

A razem z nim odeszło poczucie humoru, poczucie przyzwoitości, poczucie celu i poczucie tożsamości. To ostatnie bolało najbardziej, bo wydaje się, że moje poczucie tożsamości wiąże się bezpośrednio z moim trafnym dowcipem. Jak sama nazwa wskazuje.

W efekcie przedstawiam wam Hoida, chłopca okrętowego.

W każdym razie to już koniec ludzi, których na razie musicie zapamiętać. Kapitan Wrona. Pierwszy oficer (i mistrz artylerii) Laggart. Kwatermistrz Fort, cieśla Ann i sterniczka Salay. Wszyscy inni byli Dougami, tak sądzę...

O, racja. Prawie zapomniałem o Ulaamie. Ale ponieważ on był martwy, to właściwie się nie liczył.



Z żołądkiem pełnym „jedzenia” Warkocz mogła wrócić na górny pokład i z nową energią zająć się szorowaniem. Nie wiedziała, ile czasu minęło od dnia, w którym ktoś po raz ostatni porządnie umył ten pokład, ale pokrywała go warstwa martwych zarodników, która poczerniała od brudu. Dotarcie do drewna wymagało dużo pracy, więc posuwała się powoli.

- A niech mnie - rzekł Huck z jej ramienia, porównując brudne drewno z przodu z brązowymi deskami, które wyczyściła. Między częścią z nich błyszczały srebrne pasma. - To naprawdę dużo zmienia.

- Osad z zarodników przyczepia się właściwie do wszystkiego - wyjaśniła, nie przerywając szorowania. - Nigdy nie znalazłam lepszego sposobu od mydła i wysiłku. Ale kiedy skończę, to drewno będzie potrzebowało nasmołowania.

Warkocz wiedziała całkiem sporo o marynarzach jak na kogoś, kto nie wiedział właściwie nic o żeglowaniu. Przysłuchiwała się, jak mężczyźni i kobiety skarżą się na życie, które - zgodnie z ich słowami - było mozolną egzystencją. Wielu z marynarzy odpoczywających w tawernie wcześniej zajmowało się szorowaniem, więc Warkocz wiedziała, że smoła na deskach uszczelni je i wypełni luki - a poza tym dzięki temu były znacznie mniej śliskie. I zawsze szorowało się w poprzek desek, nigdy wzdłuż, żeby nie wydrapać rowków.

Jej głowa była pełna takich mądrości - mądrości narzekań. Nauczyły ją również hierarchii załóg. Większość marynarzy była sobie równa, poza oficerami. Poznała ich wszystkich poza dwojgiem - okrętowym chirurgiem i okrętowym kiełkowaczem. Nie rozumiała tego drugiego określenia, dopóki nie zobaczyła, jak tamten mężczyzna wykorzystywał zarodniki na poprzednim statku.

Minęło południe i Warkocz ignorowała żołądek, który znów zaczął się skarżyć. Powinien być rozsądniejszy po tym, co zrobiła mu w porze śniadania. Na szczęście odkryła, skąd wziąć

nową wodę – z beczek w ładowni – i wolno jej było wypić kubek za każdym razem, kiedy szła, żeby znów napełnić wiadro.

Poza tym szorowała. Co tragiczne, ta praca – podobnie jak mycie okien – sprzyjała rozmyślaniu. A umysł Warkocz, jak już chyba ustaliliśmy, często był pełen myśli.

To jeden z wielkich błędów, które popełniają ludzie – zakładanie, że ktoś, kto wykonuje niewdzięczną pracę, nie lubi myśleć. Praca fizyczna jest doskonała dla umysłu, bo często zostawia dużo czasu, by rozważać świat. Inna praca, jak prowadzenie ksiąg rachunkowych czy pisanie, wymaga niewiele od ciała – ale wysysa energię z umysłu.

Jeśli chcecie zostać gawędziarzami, oto mała wskazówka – sprzedawajcie swoją pracę, ale nie umysł. Dajcie mi dziesięć godzin szorowania pokładów i, och, jakie opowieści mógłbym sobie wyobrazić. Dajcie mi dziesięć godzin dodawania sum, a pod koniec będę sobie wyobrażał jedynie ciepłe łóżko i wieczór wolny od myślenia.

Umysł Warkocz krążył wokół tego, co kwatermistrz mówił o kulach armatnich. Co poszło nie tak? Była tak zaintrygowana, że kiedy wybrała kolejny odcinek do szorowania, ustawiła się w pobliżu armaty dziobowej.

Po chwili zawołał ją Doug.

– Ej, ty! Nowa dziewczyno! Tak, ty. Chodź, potrzebuję twojej pomocy.

Warkocz była zaniepokojona, ale zbyt uprzejma, by odmówić, więc schowała wiadro i szczotkę. Otrzepała kolana i poszła za Dougiem na dół do ładowni. Tam mężczyzna wyjął kilka kul armatnich z kosza.

– Zanieś to – powiedział, wskazując niedużą beczkę w pobliżu ściany.

Warkocz podniosła ją z wahaniem i odkryła, że jest lżejsza, niż się spodziewała.

– Co to? – spytała.

– Zefirowe zarodniki. Z Szafirowego Morza.

Była tak wstrząśnięta, że niemal upuściła beczkę. Zarodniki? Cała beczka. Nie dziwiło jej, że zażądał jej pomocy. I rzeczywiście, mężczyzna z radością wybrał dzwiganie znacznie cięższych kul armatnich, jej pozostawiając zadanie przeniesienia zarodników.

– Dlaczego mamy niedużą beczkę zarodników? – spytała.

– Do strzelania z armat – wyjaśnił Doug. – Nie można tak po prostu wrzucić kuli armatniej do środka. Coś musi zrobić „puf” i wyrzucić kulę.

Zarodniki? Używali zarodników do strzelania z armat? Z dużą ostrożnością zaczęła wnosić beczkę po schodach.

– Normalnie to by była robota starego Weeva, no bo jest z zarodnikami i w ogóle – powiedział Doug.

– Weev? To okrętowy kielkowacz?

– Był nim. – Doug spochmurniał. – Miły gość. Lubilem go. Wiesz, zupełnie nie umiał blefować, więc zawsze ogrywałem go w karty.

– Co się stało?

– Nie chciał zostać piratem.

– Więc zszedł z pokładu w porcie?

– Och, zszedł z pokładu. Ale nie było portu... – Doug spojrzął na kapitan Wrone, która stała na pokładzie rufowym i popijała z manierki, a wiatr szarpał czarne pióro w jej kapeluszu.

– Kapitan go zabiła? – szepnęła Warkocz.

– On jedyny się jej sprzeciwił, kiedy zaproponowała, żebyśmy zmienili warunki zatrudnienia. Cóż, Weev znalazł nowe warunki na dnie oceanu. Kiełkowacze to banda wariatów, zawsze spędzają za dużo czasu z zarodnikami. Ale nie zasłużył na to. Po prostu zapytał na głos o to, co my wszyscy myśleliśmy.

Umilkł. Przynajmniej teraz Warkocz wiedziała, dlaczego nie poznała jeszcze okrętowego kiełkowacza. A wy wiecie, dlaczego nie kazałem wam zapamiętać jego imienia. Oraz, nie, to nie on jest trupem. Cóż, jest trupem. Ale nie jest tym trupem na statku. Postarajcie się nadążyć.

Doug zaprowadził Warkocz do stanowiska mistrza artylerii. Laggarta tam nie było, a armata dziobowa została przywiązana w miejscu razem z całym oprzyrządowaniem. Doug zaczął wyładowywać kule armatnie do kosza.

– W porządku – powiedział do Warkocz. – Ja pójdę po jeszcze parę kul, żeby uzupełnić zapasy. Widzisz tę dużą beczkę, o tam? Jest wyłożona, podobnie jak ta beczułka, co to ją trzymasz, czymś, co chroni zarodniki przed naszym srebrem. Potrzebujemy żywych zarodników, żeby wystrzeliwać kule armatnie w innych ludzi. Ale mistrz artylerii potrzebuje mieć te zarodniki w małych woreczkach, które w czasie walki może łatwo wepchnąć do armaty. W beczce znajdziesz puste woreczki. Musisz przesytać te zarodniki do tych woreczków... nie rozsypując ich... i zawiązać je. I musisz zrobić to wewnątrz większej beczki, z powodu wyściółki, która chroni zarodniki.

Doug przestąpił niezręcznie z nogi na nogę i popatrzył na nią. Ręce trzymał w kieszeniach.

– Dobrze – powiedziała Warkocz.

– Żadnych sprzeciwów?

Pokręciła głową. Wolałaby tego nie robić, bo naprawdę bała się zarodników. Ale nie mogła też pozwolić, by jej strach sprawił kłopot innym. W końcu była najnowsza na statku. Nic dziwnego, że powinna wykonywać niebezpieczną pracę, której nikt inny nie chciał.

Warkocz podeszła do beczki i zdjęła wieko. Na dole leżało trochę napełnionych woreczków, a puste znajdowały się w niedużej siatce przymocowanej na zewnątrz.

– Naprawdę... nie zamierzasz się sprzeciwić? – spytał Doug. – Ja się sprzeciwiałem, kiedy mnie do tego zmusili.

– Pewnie jesteś bystrzejszy ode mnie. Jakieś wskazówki?

– Tam są gogle, lejek i maska. Poza tym... spróbuj się nie przejmować. To nie są najbardziej niebezpieczne zarodniki. Powinnaś być bezpieczna.

Wiele zagrożeń mieści się między dźwiękami słów „powinnaś być”. Ale Warkocz żyła, bo załoga nie chciała wyrzucić jej za burtę, kiedy zażądała tego kapitan. Pozostanie w ich łaskach wydawało się najrozsądniejsze. Dlatego Warkocz jedynie skinęła głową i zabrała się do pracy.



Niebieskie zarodniki fascynowały Warkocz. To były pierwsze zarodniki z innego księżycy, innego morza, które widziała z bliska. Były piękne, niemal krystaliczne. Fakt, że najpewniej mogły ją bez trudu zabić, sprawiał jedynie, że wydawały się jeszcze bardziej urzekające. Niczym mistrzowski miecz, wykuty przez kowala z miłością, oddaniem i mnóstwem potu, byście pewnego dnia mogli robić najpaskudniejsze rzeczy w najpiękniejszy możliwy sposób.

Cichym słowem odesłała Hucka, by nie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Później wyszeptwała modlitwę do księżyców i pomyślała o Charliem. Jeśli chciała zrealizować swój cel, najlepszym sposobem było sprawienie, by załoga jej zaufała. Wykonywanie pracy, na którą oni nie mieli ochoty, musiało dać jej szansę. Nawet mycie okien dało jej szansę. Przede wszystkim na spotkanie Charliego.

Pamiętając o tym wszystkim – i z maską na ustach oraz goglami na oczach – czuła się jedynie odrobinę przerażona, kiedy włożyła mniejszą beczkę do dużej beczki. Z boku wystawały haki, na których mogła ją zamocować, a kran na dnie beczki – jak do nalewania piwa – sprawiał, że zarodniki opuszczały ją z rozsądną szybkością. Warkocz i tak drżały ręce, kiedy trzymała lejek i napełniała pierwszy woreczek świetlistymi niebieskimi zarodnikami.

Zawiązała go i umieściła ostrożnie na dnie beczki w pobliżu innych woreczków. Wkrótce nabrała wprawy i napełniała je, starając się nie zgubić nawet jednego zarodnika. Ta praca wymagała skupienia i, w przeciwieństwie do szorowania pokładu, nie sprzyjała zbyt myśleniu. Ale Warkocz – jak to Warkocz – nie mogła zupełnie uniknąć myślenia.

Zastanawiała się, w jaki dokładnie sposób zarodniki sprawiały, że armata strzelała. Zastanawiała się, czy w zbrojowni statku są inne zarodniki – i kto się nimi zajmował, skoro kiełkowacz nie żył.

Zastanawiała się też, dlaczego duża beczka miała drugie dno.

Rozpoznała je bez trudu. W końcu poświęciła kilka tygodni, by stać się specjalistką od urządzeń w beczkach i wiedzieć, jak ukrywać w nich różne rzeczy. Na jednej, którą przygotowała do opuszczenia Skały, umieścili ukrytą zasuwkę, umieszczoną dokładnie... tutaj.

Znalazła ją w pobliżu okucia beczki. Nieduży kawałek metalu, którym mogła pokręcić. Kiedy go poruszyła, w dnie beczki pojawił się otwór – niewiele większy od pięści. Kilka woreczków z zarodnikami wpadło do środka, a jej zaparło dech w piersi. Kiedy sięgnęła, by je wyciągnąć, jej palce musnęły coś innego.

Kula armatnia. Ukryta w przestrzeni pod drugim dnem beczki. W środku było miejsce na trzy lub cztery.

Szybko wyciągnęła woreczki i zamknęła otwór. Kiedy wróciła do pracy, ręce drżały jej jeszcze bardziej. Jej myśli pędziły tak bardzo, że wkrótce miały potrzebować nowych opon.

Zrozumiała to.

Wiedziała, co się wydarzyło.

Do obowiązków mistrza artylerii należało załadowanie armaty, celowanie i strzelanie. Dostawał wiadro kul armatnich, ale kto obserwował go na tyle uważnie, by dostrzec, że wyciągnął jedną z ukrytej przestrzeni? Pewnie nikt.

Założyłaby się, że te ukryte kule armatnie nie przeszłyby inspekcji Forta – nie były przeznaczone do unieruchomienia celu pędami. Mistrz artylerii Laggart celowo zatopił tamten drugi statek.

Ale dlaczego? Cała sytuacja nie miała sensu z wielu powodów. Nie chodziło jedynie o brak łupienia. Po co ukrywać fakt, że zamierzało się zatopić statek? Po co te podstępny?

Miało to sens jedynie jeśli...

– Robota przy zefirowych zarodnikach – odezwał się ktoś zza pleców Warkocz. – Zastanawiałam się, kogo zmuszą do tego Dougowie, skoro Weev nie żyje.

Warkocz odwróciła się i zobaczyła krótko obcięta, chudą kobietę o ostrym nosie, która wcześniej rozmawiała z Fortem. Ann, cieśla okrętowa.

Każdy statek potrzebuje dobrego cieśli. Owszem, kielkowacz może załatać kadłub szybkim wybuchem zarodników – ale srebro po jakimś czasie eroduje nawet w pełni utwardzony rozeit. Człowiek na morzu szybko zaczyna się zastanawiać, jak cienka bariera dzieli go od pewnej śmierci. Jedynie deska. Jeśli kiedykolwiek mielibyście ochotę stanąć twarzą w twarz ze swoją śmiertelnością, znajdziecie taką okazję na pokładzie statku w nocy, wpatrując się w niekończącą się ciemność wokół siebie – kiedy uświadamiacie sobie, że ciemność poniżej jest jakimś sposobem jeszcze cięższa, jeszcze obszerniejsza i jeszcze bardziej przerażająca.

Wtedy uświadamiacie sobie, że dobry cieśla na pokładzie wart jest tego, by płacić mu więcej niż podwójną stawkę. Właściwie to całkiem niezła okazja.

– Nie przeszkadza mi to. – Warkocz napełniła kolejny woreczek. – Zrobiłabym to ponownie, gdyby mnie poprosili.

W duchu poczuła niepokój, widząc, jak Ann podeszła do armaty i przeciągnęła palcem po metalu. Rozmawiała z Fortem o kulach armatnich. Po której stronie była? Jak wiele stron było? W co się wpakowała Warkocz?

Niestety nie wiedziała nawet połowy.

- Nie mów takich rzeczy, Warkocz - powiedziała Ann. - Marynarze nie zgłaszają się na ochotnika. To absolutnie sprzeczne z tradycją.

- Znasz moje imię?

- Na statku wieści szybko się rozchodzą. Jestem Ann. Okrętowy cieśla. Asystentka mistrza artylerii.

Asystentka Laggarta? Warkocz nerwowo oblizała wargi - i zatrzymała się. Oblizywanie nie było dobrym pomysłem, kiedy miało się do czynienia z zarodnikami. Zrobiła kolejny woreczek.

Czy Ann widziała, jak znalazła ukrytą komorę?

- Co myślisz? - Ann usiadła na pobliskiej skrzyni i położyła dłoń na jednym z pistoletów, jakby to ją uspokajało. - Jesteś teraz piratką, Warkocz. Niespodziewany zwrot w twoim życiu.

- Lepszy niż niespodziewany zwrot w dół.

- Ano. To fakt.

Warkocz chciała zadać więcej pytań, ale wydawało jej się, że to zbyt wielkie narzucanie się. Ci ludzie ją oszczędzili. Jakie miała prawo stawiać im żądania? Dlatego powiedziała tylko:

- Wygląda na to, że wszyscy łatwo się przyzwyczailiście do bycia piratami.

- Łatwo się przyzwyczailiśmy? Co to za gadanina? - Ann pochyliła się. - Chcesz wiedzieć dlaczego, prawda? Jak skończyliśmy w taki sposób?

- Ja... tak, panno Ann. Chcę.

- Dlaczego nie spytasz?

- Nie chciałam być nieuprzejma.

- Nieuprzejma? Wobec piratów?

Warkocz się zarumieniła.

- Nie przeszkadza mi mówienie o tym. - Ann spojrzała na morze. Przed nimi dziób statku przebiegał się przez zarodniki. - Kapitan dobrze to wymyśliła. Mogliśmy albo walczyć w nadchodzącej wojnie króla, albo wziąć sprawy w swoje ręce i odrzucić wszystkie prawa związane z pełnomocnictwami i cłami. Poza tym kapitan powiedziała, że będziemy wykonywać szlachetne i ważne zadanie.

- ...Ważne? - spytała Warkocz.

- Kluczowy element gospodarki.

- ...Yyy, rozumiem.

- Naprawdę?

- Tak szczerze to nie - przyznała Warkocz.

- To dlaczego tak nie powiedziałaś, dziewczyno? - Ann pokręciła głową. - Tak czy siak, nasza robota jest ważna. Wiesz, jacy są ci bogacze... Zarabiają całe te pieniądze na ludziach żeglujących wokół, którzy sprzedają i kupują w ich imieniu. A później co robią z tymi pieniędzmi? Zamykają je. A na co się przydadają pieniądze w zamknięciu? Nikt się nimi nie nacieszy, jeśli są uwięzione w skarbcu razem z obrączką babci. Dlatego musimy zabrać część. Wprowadzić je z powrotem do gospodarki, jako bodziec. Żeby pomóc lokalnym kupcom, zwykłym ludziom, którzy próbują tylko przeżyć. Świadczymy ważną usługę.

- Poprzez... kradzieże.

– Święta prawda. – Ann wyprostowała się i poruszyła dłonią na pistolecie. – A w każdym razie tak miało być. Nie mieliśmy być trupiarzami. Pewnie wszyscy znaleźliśmy ryzyko. Ale nie spodziewaliśmy się, że zawieziemy tak bardzo w czasie naszego pierwszego aktu piractwa.

Warkocz przechyliła głowę, z trudem powstrzymując się przed pokusą podrapania się w miejscu, gdzie gogle dotykały jej twarzy. Mimo srebra na pokładzie zarodniki na jej palcach mogły przeżyć dość długo, by jej zaszkodzić.

– Ja... nie rozumiem – powiedziała Warkocz. – Trupiarze?

– Nie wiesz? To jaki z ciebie marynarz?

– Taki... który nie wie, kim jest trupiarz? – Czula się głęboko zirytowana, że najpierw została zbesztana, kiedy powstrzymywała się od pytań, a później wyszydzona, kiedy tego nie zrobiła.

– Istnieją dwa rodzaje piratów – wyjaśniła Ann. – Są zwyczajni i są trupiarze. Zwykli piraci rabują, ale nie zabijają, chyba że ktoś zacznie do nich strzelać. Wystarczy żeglować dość dobrze, by pochwycić statek, który się goni, a wtedy oni się poddają i płacą okup. Następnie oni odpływają z życiem, a ty odpływasz bogatsza. Tak to powinno działać. To się zmienia w rodzaj zawodów, rozumiesz? Wyścig, z odrobiną wymuszenia, żeby go trochę urozmaić. Królewscy szeryfowie prowadzą rejestr. Jak długo puszczasz ludzi, jak długo nie mordujesz załóg... Cóż, jeśli cię złapią, to cię zamkną. Ale cię nie powieszają.

– To brzmi wyjątkowo cywilizowanie – zauważyła Warkocz.

Ann wzruszyła ramionami.

– Cywilizacja istnieje, bo wszyscy chcą zachować bebechy w bebeczu. Nie walisz nikogo w twarz na powitanie, bo nie chcesz za każdym razem dostać w twarz na powitanie. Król to wie. Dopóki daje piratom powód, żeby nie szli na całość, będą się hamować.

Poza tym, kto nie woli pościgu od bitwy? Biedni głupcy na statkach kupieckich nie chcą tracić życia dla pieniędzy ich panów. Panowie nie chcą, żeby ich statki zostały zatopione lub ukradzione. A ty nie przetrwasz długo jako pirat, jeśli przy każdej zdobyczy musisz szorować pokład własną krwią. Chyba że, no wiesz, zabijesz kogoś przypadkiem.

– Albo wszystkich na statku – dokończyła Warkocz.

Ann pokiwała głową.

– Bo wtedy stajesz się trupiarzem. Jeśli cię złapią, nie ma litości. Nawet inni piraci będą cię nienawidzić. Nikt nie weźmie załogi z trupiarza. Musisz radzić sobie sama, samotna jak jedna fasolka w zupie biedaka.

Na księżyc, to miało sens. Warkocz zmieniła zdanie na temat Ann. Ta nieszczęśliwa mina, ten żal... oznaczały, że ktokolwiek uczestniczył w spisku mającym zatopić statek przemytników, Ann nie była jego częścią.

Alte Laggart był. I najpewniej kapitan. Chcieli zostać trupiarzami. Stąd ukryte kule armatnie, zatopienie *Marzenia Oota*. Inaczej, dlaczego kapitan zostawiłaby jednego z marynarzy przy życiu, by o wszystkim opowiedział?

Warkocz była tak zaabsorbowana tymi myślami, że się zapominała i w roztargnieniu podrapała swędzącą skórę przy goglach. I zamarła. Na księżycocienie.

Cóż, przynajmniej...

I wtedy twarz Warkocz wybuchła.



Warkocz odkryła, że leży na pokładzie, gogle spadły z jej twarzy. Co to był za dźwięk?
Krzyki bólu?

Nie.

Śmiech.

Ann śmiała się na całe gardło. Warkocz natychmiast uniosła dłoń do policzka. Był obolały, ale na szczęście wciąż połączony z jej twarzą. Umieściła jeden albo dwa zefirowe zarodniki pod krawędzią gogli, gdzie dotknęły kropli potu. Całe szczęście tak mała ilość zarodników nie była dość silna, by ją zabić.

- To nie jest zabawne - powiedziała Warkocz, siadając.

(Miała rację. Było prześmieszne).

- Chodź, zarodnikowa dziewczyno. - Ann złapała Warkocz za ramię i pomogła jej wstać. - Lepiej, żeby obejrzał cię chirurg.

Krzyknęła do Douga, który polecił Warkocz wykonywać to zadanie, i kazała mu posprzątać. Później pomogła zdezorientowanej dziewczynie zejść na pokład środkowy.

- Naprawdę z tym pracujesz? - Warkocz zwróciła się do Ann. - Jako asystentka mistrza artylerii?

- Cóż, kiedy mi pozwolą.

- Dlaczego armaty nie wybuchają?

- Wybuchają. To sprawia, że wylatują z nich kule.

Warkocz postanowiła zastanowić się nad tym później, bo na razie nie miało to jeszcze sensu. Mycie okien, należy przy tym zauważyć, nie jest zatrudnieniem, które zapewnia dogłębne wykształcenie w dziedzinie balistyki.

Kawałek od mesy, w pobliżu dziobu, znajdowały się drzwi, które były zamknięte, kiedy Warkocz odwiedziła ten pokład wcześniej. Teraz Ann otworzyła je i wprowadziła dziewczynę do środka. Przebywał tam mężczyzna w szykownym garniturze o kroju, którego nie widziała nigdy wcześniej. Jakims sposobem był mniej ostentacyjny, ale bardziej elegancki niż mundury, które nosili diuk i Charlie. Idealnie czarny, starannie wyprasowany i pozbawiony guzików z przodu.

Mężczyzna miał włosy czarne jak obsydian i rysy, które wydawały się zbyt ostre, by były prawdziwe. Jakby był obrazem albo rysunkiem. Jego skóra była szara jak popiół, a oczy miał krwistoczerwone. Gdyby świat podziemny dysponował radcą prawnym, byłby nim ten mężczyzna. Warkocz powinna się go bać, ale miast tego czuła podziw. Co takie stworzenie robiło na statku pirackim? Z pewnością była to boska istota spoza przestrzeni, czasu i rzeczywistości.

W pewnym sensie Warkocz miała rację.

I nie, nadal nie oddał mi garnituru.

– Ojej! – powiedział doktor Ulaam wytwornym, ale podekscytowanym głosem. – Co ty mi przyprowadziłaś, Ann? Świeże mięso?

– Ładowała zefirowe woreczki i trochę dostało jej się pod gogle – wyjaśniła Ann i zaprowadziła Warkocz do krzesła z boku niewielkiego pomieszczenia.

– Biedne dziecko – powiedział Ulaam. – Nowa na statku, co? Masz bardzo ładne oczy.

– Jeśli poprosi, żebyś mu je sprzedała, targuj się – szepnęła Ann. – Zwykle możesz dostać dwa razy więcej niż początkowa oferta.

– Moje oczy? – Warkocz podniosła głos. – On chce zabrać moje oczy?

– Po twojej śmierci, naturalnie – powiedział Ulaam. Pomieszczenie było wypełnione komodami i szufladami. Otworzył jedną, wyjął nieduży słoiczek maści i odwrócił się do dziewczyny. – Chyba że wolałabyś zrobić to teraz? Mógłbym zaproponować kilka doskonałych zastępników. Nie? A może choć jedno?

– Kim... kim jesteś? – spytała Warkocz.

– To nasz zombie – wyjaśniła Ann.

– Cóż za prostackie określenie – sprzeciwił się Ulaam. – I nieszczególnie precyzyjne, jak ci mówiłem.

– Nie bije ci serce. A twoja skóra jest zimna jak mokra ryba.

– Obie te adaptacje zmniejszają moje zapotrzebowanie na kalorie. Moja metoda jest wydajna. Myślę, że wszyscy będą chodzić bez serc, kiedy już rozwiążę problem związany z faktem, że ich brak zabija ludzi. – Podał Warkocz maść. – Nałóż ją na skórę, dziecko, a złagodzi ból.

Dziewczyna przyjęła ją i ostrożnie nałożyła odrobinę na palec.

– Przyjęła ją bez wahania – powiedział Ulaam. – Jest odważna czy głupia?

– Jeszcze do tego nie doszliśmy – odparła Ann.

– Ja... pomyślałam, że to musi być jakiś rodzaj próby – odezwała się Warkocz. – Bo Ann ciągle się uśmiecha. Równie dobrze mogę mieć to z głowy. Gdyby któreś z was chciało mojej śmierci, i tak wylecę za burtę.

- Ooo - powiedział Ulaam. - Ona mi się podoba. Będę miał na ciebie oko, dziewczyno. Masz, potrzyмай.

Upuścił coś na jej drugą dłoń.

To było ludzkie oko.

Pisnęła i upuściła je, ale Ulaam szybko je złapał.

- Bądź ostrożna! To jedno z moich ulubionych. Popatrz na ciemnoniebieski kolor. Doskonalne by wyglądało zamienione z twoim lewym okiem... byłyby heterochromatyczne, niebieskie i zielone. Całkiem uderzające.

- Ja... Nie, dziękuję.

- Cóż, niech będzie. - Ulaam odłożył oko. - Może kiedy indziej. Użyj maści, to nie jest dowcip. Prawdopodobnie jestem najmniej niebezpieczną rzeczą na tym statku.

- Ty dosłownie zjadasz ludzi, Ulaamie - zauważyła Ann.

- Martwych. Ojej! Jakże to niebezpieczne! Jak potężny robak albo bakterie rozkładu. To moi koledzy po fachu.

Warkocz z wahaniem przyłożyła maść do policzka. Ból zniknął niemal natychmiast. Zaskoczona skutecznością wtarła ją wokół policzka. Kiedy Ulaam uniósł lusterko, jej skóra nie była nawet zaczerwieniona i nie było śladu rany.

- Nie bez powodu trzymamy go na pokładzie - powiedziała Ann. - Choć jest dziwny jak dwugłowy wąż.

- Jako jedyne prawdziwe źródło nowoczesnej medycyny w tej zacofanej krainie uważam twoje malownicze porównanie za nietrafione. Niekompletna bifurkacja osiowa zdarza się u gadów o wiele częściej niż u innych zwierząt, więc jeśli chcesz nazwać mnie dziwnym, dla lepszego efektu wybierz dwugłowego ptaka albo ssaka.

Obie kobiety patrzyły na niego, próbując zinterpretować to zdanie.

- Zjadłem kilka dwugłowych węży - zauważył Ulaam. - I naśladowałem ich formy. Nie jestem więc dziwny jak jeden z nich, bo dosłownie nim byłem. Niestety nie mogłem podzielić świadomości i myśleć dwa razy szybciej. Czy to nie byłoby zabawne? - Odebrał Warkocz maść.

- Tak czy inaczej, w przyszłości spróbuj uniknąć wysadzenia się, hm? To zniekształca trupa i nadaje mu metaliczny posmak.

Jeśli się zastanawiacie, wiem z dobrego źródła, że Ulaam dobrze się bawił w czasie smutnego okresu mojej niedyspozycji. Nie spróbował zdjąć mojej kłątwy, a za to stworzył wyjątkowo zawstydzające opisy moich działań i wysłał je kilku naszym bliskim znajomym.

Owszem, zasady kłątwy uniemożliwiały mi udzielenie bezpośrednich wyjaśnień, jak ją zdjąć. Ale naprawdę spodziewałem się po nim czegoś więcej. Tymczasem, kiedy przybył, żeby mnie odnaleźć i odkrył moje... dolegliwości, po prostu zamieszkał na statku. Zawsze chciał zostać badaczem. „Trzeba mieć fantazję, hm?”, jak powiedział.

Żałoga z początku nie wiedziała, co o nim sadić. Kapitan Wrona postrzeliła go kilka razy, co on opisuje jako „pobudzające” doświadczenie. Przedstawiciele jego gatunku właściwie nie da się zabić. Poza kwestią zjedania trupów, dobrze mieć ich pod ręką - jak żałoga wkrótce odkryła.

Od tamtej pory po prostu się z nim pogodzili. Coś jak wysypka, która od czasu do czasu ratuje przed zagrażającą życiu raną. Nie prosił o zapłatę, jeśli pominąć – czasami – poza tym bezużytecznego trupa. To makabryczne, owszem, ale okazuje się, że można znieść całkiem sporą dozę ekscentryczności u osoby, która dosłownie dokonuje cudów dla waszego dobra.

Warkocz – naturalnie wstrząśnięta pierwszym zetknięciem z okrętowym chirurgiem – została odprowadzona na pokład w pobliżu wiadra i szczotki. Ann ruszyła do pracy, więc Warkocz pomacała całkowicie wygojony policzek i postanowiła wrócić do szorowania.

Nie poczyniła wielkich postępów, kiedy podbiegł do niej Huck.

– Coś się dzieje.

– Co? – spytała Warkocz. – Atak?

– Nie, nie. Widzisz, odesłałaś mnie, więc pomyślałem, że pójde ukraść trochę jedzenia. Już zjadłem, ale tego nigdy za dużo, prawda? Byłem w ładowni, gdzie, jak powinnaś wiedzieć, nic nie jest dostępne, jeśli nie przegryzie się worków. A ludzie nienawidzą, kiedy przegryzamy worki. Jeśli tak bardzo tego nienawidzą, dlaczego nie zostawia ich rozwiązanych? Wtedy workom nie stałaby się krzywda i...

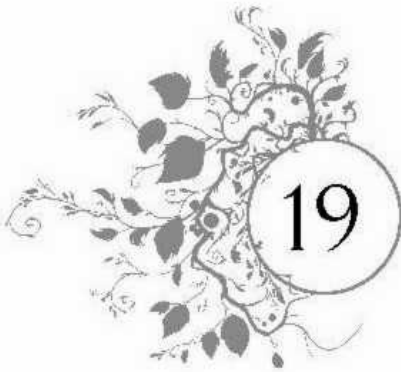
– Co chciałeś mi powiedzieć, Huck? – przerwała Warkocz. – Co się dzieje?

– Racja, właśnie do tego zmierzałem. Laggart zszedł na dół i przeglądał zapasy. I, Warkocz, wziął parę kul armatnich. Widziałem, jak chowa je do torby.

Interesujące. Pora sprawdzić jej teorię.

Zabrała się za szorowanie w pobliżu armaty dziobowej. Nie za blisko, ale na tyle blisko, by wszystko widzieć. A później znów stała się na chwilę czekadełkiem i wyglądała Laggarta.

Nie trwało to długo.



Laggart podszedł do armaty i wyciągnął długą szyję nad beczką, spoglądając na woreczki Łazarodników. W końcu ogłosił, że praca została wykonana dobrze, i pochwalił Dougów.

W tej właśnie chwili odkryli cuda podzlecenia – luksus przypisania sobie wszystkich zaślóg, brak konieczności wykonywania pracy, ale na wszelki wypadek możliwość zrzucenia winy.

Warkocz to nie przeszkadzało. Wołała, by Laggart nie zwracał na nią uwagi.

Dougowie pobiegli do innych zadań, a Laggart z wielką teatralnością zaczął własnoręcznie oczyszczać armatę – coś, na co nie pozwalał nikomu innemu.

Warkocz szorowała pokład w pobliżu, niewidzialna na widoku. Za każdym razem, kiedy Laggart odwracał się w jej stronę, pracowała z opuszczoną głową. Jednak uważnie się przyglądała i dostrzegła, kiedy ukradkiem wyjął z torby kulę armatnią wielkości pięści i ukrył ją pod drugim dnem beczki.

Miała rację. W ukrytej przestrzeni trzymał kule armatnie, przy których majstrował. Kule, które miały zatapiać statki. Ale dlaczego? Bycie trupiarzami było o wiele bardziej niebezpieczne, pozbawiało ich też łupów. Czy to nie był kluczowy element, który definiował piratów? Poza, no wiecie, łódkami i tak dalej.

Chciał, żeby załoga została trupiarzami. Wbrew ich pragnieniom i bez ich wiedzy.

Laggart skończył pracę, nakrzyczał na kilku pobliskich Dougów, że się lenią, po czym zrzucił torbę na ramię. Ruszył w stronę kajuty kapitan, a Wrona wpuściła go do środka – i ustawiła marynarza przy drzwiach, nim je zamknęła. Krępy Doug nie przypominał wyglądem strażnika, ale sposób, w jaki stał, kojarzył jej się z kuzynem Cegły, który pełnił straż przy drzwiach tawerny, kiedy spodziewano się, że będzie zamieszanie.

- Muszę się dowiedzieć, o czym oni tam rozmawiają - powiedziała Warkocz.

- Tak, to by było wspaniałe, prawda? - odparł Huck z jej ramienia. - Założę się, że to coś bardzo sekretnego.

- Ktoś musi się wślizgnąć do środka.

- Może moglibyśmy poprosić jednego z Dougów?

- Ktoś, kto jest mały, szybki i nikt nie zauważy, że podsłuchuje.

- A niech to. Nie wiem, czy Dougowie będą wystarczająco podstępni. Słyszałaś, jak tupią po pokładzie? Wczoraj w nocy próbowałem spać i przysiągłbym, że w butach mają ołów. To...
- Urwał, dostrzegając jej wściekle spojrzenie. - Oooch. Szczur. Racja, racja. Rozumiem.

Zeskoczył z jej ramienia i podbiegł do nadburcia, a później przemknął w jego cieniu do kajuty kapitan. Doug na straży nie zauważył, kiedy Huck prześlizgnął się po niedużej półce na zewnątrz statku i wszedł przez okno kapitan.

Może się zastanawiacie, dlaczego Huck tak szybko zaprzyjaźnił się z Warkocz. Cóż, jest wiele rzeczy, które mógłbym wam powiedzieć - ale niech wam wystarczy, że w krótkim życiu szczura Hucka każdy człowiek, którego spotkał, próbował go zabić, złapać albo sprzedać. Każdy człowiek poza Warkocz. Nie wiedział dużo o ludziach, bo większość życia spędził w izolacji - ale lubił Warkocz. Wolałby, żeby nie umarła. I dlatego szpiegował.

Warkocz zaczęła gorączkowo szorować, żeby poradzić sobie z niepokojem. Minuty mijały, długie jak godziny, kiedy martwiła się, że wysłała Hucka w niebezpieczne miejsce, by zaspokoić swoją ciekawość. Czegoś takiego normalnie by nie zrobiła. Życie piratki już odcisnęło na niej swoje piętno.

Jednakże Charlie gdzieś tam był, przestraszony, cierpiący. Musiała znaleźć sposób, żeby uciec i kontynuować wyprawę. Może więc nauczenie się, jak odrobinę się narzucać, nie było niczym złym.

- Hej, masz coś do jedzenia? - zapytał Huck, biegnąc po relingu naprzeciwko niej. - Szpiegowanie wzmaga apetyt.

Warkocz spiorunowała go wzrokiem, a jej żołądek zaburczał.

- Tylko pytam. Na księżycu, dziewczyno, nie musisz patrzeć na mnie, jakbym zjadł środek bochenka i zostawił ci piętki.

- Słyszałaś coś?

Huck zmarszczył nos w taki sposób, jakby myślał, że ona to zrozumie, a później zeskoczył i podbiegł do bardziej osłoniętej części pokładu. Podążyła za nim odwrócona plecami do Dougów. Dla postronnych obserwatorów robiła swoje, szorowała. Nie mogli zobaczyć Hucka.

- W porządku - odezwał się szczur z pokładu przed nią. - Powiem ci, co mówili. Pozwól, że się wczuję w rolę.

- Rolę?

Huck wspiął się na tylne łapy, uniósł małe szczurze przednie łapki przed sobą i zadarł nos.

- Jestem kapitan Wrona. - Całkiem dobrze naśladował jej arystokratyczny akcent. - Hop, hop, rób, co mówię. Ależ ta woda z manierki jest smaczna. Laggarcie, jak armata? Wszystko gotowe?

Warkocz czekała z przechyloną głową.

- Ty bądź Laggartem – syknął Huck.
- Nie było mnie tam! Nie wiem, co powiedział.
- Poradzisz sobie. – Huck machnął łapą w jej stronę. – Dalej. Bądź Laggartem.
- Yyy... armaty są... gotowe?
- Więcej suchości w głosie – szepnął Huck. – I wyciągnij szyję w ten sposób. To pozwoli ci się wczuć w rolę.

- Ale...

- Doskonale, Laggarcie – powiedział Huck głosem kapitan. – Ale dostałam pożałowania godne wieści wysłane krukiem przez mój kontakt w Królewskim Porcie. Odnaleziono pozostałości statku, który zatopiliśmy, ale nie było ocalałych, tylko jeden trup. Mężczyzna, którego pozostawiliśmy przy życiu, najwyraźniej odrzucił moją hojność i ubliżył mi, umierając z powodu obrażeń, o których nie wiedzieliśmy.

- Ona to powiedziała? – szepnęła Warkocz. – Dokładnie tymi słowami?

- To udramatyzowana rekonstrukcja – syknął Huck. – A co, myślisz, że to zapisałem? Tym?

- Machnął łapkami w jej stronę. – Tak to zapamiętałem. A teraz zrób Laggarta.

- Yyy... to smutne?

- Warkocz, on nie tak powiedział. Powiedział: „Cała ta praca na nic? W takim razie musimy zatopić kolejny!”. – Machnął łapą w jej stronę.

Warkocz westchnęła.

- Cała ta praca na nic. W takim razie musimy zatopić kolejny.

- Na księżycocienie, mogłabyś włożyć w to mniej uczucia? Odnoszę wrażenie, że nie traktujesz poważnie swojej roli.

- Ja nie...

- To problem, Laggarcie – powiedział Huck głosem kapitan, opadł na cztery łapy i zaczął krążyć po pokładzie, unosząc wysoko nos. – Załoga jest zaniepokojona. Martwię się, że niektórzy z nich uciekną.

- Ale dlaczego? – spytała Warkocz.

- Zbliżamy się do tego. Posłuchaj, może ja odegram też rolę Laggarta? Ty zrób sobie przerwę. Następnym razem zapamiętaj swoją rolę, dobrze?

- Ale...

Huck wyciągnął szyję i odezwał się niepokojącym, chrapliwym głosem.

- I powinnaś, pani kapitan. Fort może sprawić kłopoty, i Salay pewnie też. Potrzebujemy krwi wiążącej ich z tym statkiem, jeżeli mamy zrobić to, czego pragniesz.

Huck przeszedł kawałek i zmienił się w kapitan, stanął na tylnych łapach z przednimi łapkami na nadburciu, naśladując kapitan wyglądającą przez okno.

- Załoga nigdy nie wyruszy z nami na niebezpieczne morza, o ile nie pozbawimy ich wyboru. O ile nie będą zdesperowani. Zatopimy kolejny statek, Laggarcie, i tym razem pozostawimy paru marynarzy przy życiu.

Huck odwrócił się i przyjął bardziej szczerzą pozę.

- I tyle.

- Niebezpieczne morza – szepnęła Warkocz.

Zielone Morze było jednym z bezpieczniejszych, ale kapitan Wrona najwyraźniej zamierzała opuścić te zarodniki i skierować się w stronę miejsca, do którego załoga by się nie udała, jeśli tylko miałyby inną możliwość.

- To co myślisz? - spytał Huck. - Ma jakąś specjalną klątwę dla załogi, co? Krew wiążąca ich ze statkiem?

- To nie klątwa - szepnęła Warkocz, nie przerywając szorowania, żeby nie wyglądać podejrzanie.

- Ale Laggart powiedział...

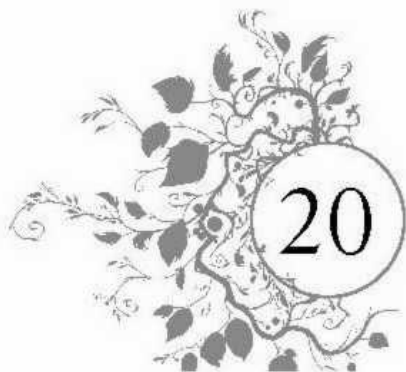
- To była przenośnia, Huck. Nie rozumiesz? Kapitan nie jest pewna lojalności swojej załogi. Chce wypłynąć na niebezpieczne morza, ale martwi się, że opuszczą ją, jeśli spróbuje ich do tego zmusić. Więc...

- Więc zmienia ich w piratów, a później „przypadkowo” zatapia kilka statków. Zmieniając ich w trupiaryzy. Ścigani przez prawo, odrzucani przez innych piratów, nie będą mieli wyboru, jak tylko wypełniać jej rozkazy. - Huck zmarszczył nos, co najwyraźniej było jego wersją potaknięcia. - Rozumiem. Tak, pewnie masz rację. Ale... wyglądasz posępnie.

- Nie posępnie. Jestem tylko rozproszona.

- Dlaczego?

- Bo właśnie wymyśliłam sposób, w jaki uciekniemy z tego statku.



Kapitan Wrona wkrótce wyłoniła się ze swojej kajuty. Laggart ruszył dostojnym krokiem w stronę dziobu, ona zaś wspięła się na pokład rufowy. Warkocz zeszła na dół, by ponownie napełnić wiadro, i zostawiła Hucka, by znalazł sobie coś do jedzenia. Powrót na górny pokład dał jej okazję do zmiany lokalizacji, więc przeszła na pokład rufowy, w pobliżu miejsca, gdzie kapitan stała obok Salay – sterniczki, która wcześniej wymieniła się z Fortem na kolczyki.

Warkocz nie zamierzała wzbudzać podejrzeń, więc początkowo nie realizowała swojego planu. Szorowała, czując, jak statek kołysze się na zarodnikach. Słuchała, jak Dougowie wołają do siebie nawzajem, a deski skrzypią. W odgłosach statku na morzu kryje się pewna swoboda. Wrażenie ruchu, udawania się w jakieś miejsce. Na oceanie – nawet na oceanie zarodników, jak długo trwa kipienie – trudno pozostać w miejscu. Człowiek albo nagina fale i wiatr do swojej woli, albo zostaje przez nie nagięty. Zwykle te dwa elementy pozostają w chwiejnej równowadze.

Kiedy Warkocz wstała, żeby się przeciągnąć, spojrzała ponad jaskrawozielonym morzem. Czuła się dziwnie, bo księżyc znajdował się w niewłaściwym miejscu – wcześniej zawsze wznosił się niemal bezpośrednio nad jej głową, ale odplynęli na tyle daleko, że teraz opadł kilkanaście stopni niżej.

Nie mogła nie dostrzec urody morza. Zarodniki, jaskrawe w blasku słońca, kłębiły się i migotały. Niekończący się przestwór bujnej śmierci, czekającej, by wybuchnąć życiem. Podobnie jak wcześniej zefirowe zarodniki, tak i teraz to piękno ją sparaliżowało. Nasze umysły chcą, by niebezpieczne rzeczy były brzydkie, jednak Warkocz uświadomiła sobie, że te fale są zachęcające. Przez chwilę wyobrażała sobie wzburzone zarodniki na swojej skórze, lecz zamiast się wzdrzygnąć, poczuła zaciekawienie.

Niebezpieczeństwo nie sprawia, że coś staje się mniej piękne – w rzeczywistości działa wręcz wzmacniająco. Podobnie jak świeca wydaje się najjaśniejsza w najciemniejszą noc. Zabójcze piękno jest najbardziej wyraziste. I nigdy nie spotkacie morderczyni bardziej upajającej, bardziej urzekającej niż morze.

– Na północ – powiedziała kapitan, unosząc kompas. – Na północ, Salay. W stronę Siedmiu Cieśnin.

– W stronę szlaków kupieckich?

– Najlepsze miejsce na znalezienie naszego kolejnego celu. – Kapitan schowała kompas.

Warkocz wyczuła okazję. Skuliła się, zaczęła znów szorować, i mruknęła pod nosem:

– Znowu będziesz zabijać, co?

Usłyszała, że kapitan za jej plecami się poruszyła. Warkocz nie podnosiła głowy. Po chwili jednak wymamrotała:

– Zabiłaś dobrych ludzi. Biedny Kaplan. I Marple. I Mallory. Rzuceni na pożarcie zarodnikom.

Pokład zaskrzypiał, kiedy kapitan Wrona podeszła bliżej. To był niebezpieczny plan, ale... cóż, Warkocz otaczali piraci żeglujący po morzu zarodników. Kiedy dorastała, nie znała niebezpieczeństwa, ale szybko się ze sobą zaznajomili.

– Mamrociesz coś, dziewczyno? – spytała Wrona. – Może jesteś niewdzięczna za życzliwość, jaką okazała ci ta załoga, co?

Warkocz zamarła, jakby przestraszona, upuściła szczotkę i podniosła wzrok.

– Pani kapitan! Nie wiedziałam, że pani... to znaczy...

– Czy jesteś niewdzięczna? – spytała Wrona.

– Cieszę się, że żyję – szepnęła Warkocz, wbijając wzrok w pokład.

– Ale?

– Ale na tym statku płynęła moja rodzina, pani kapitan. Kochałam ich.

– Jesteś królewską celniczką. Dlaczego podróżowałaś z rodziną?

– To? – prychnęła Warkocz. – Jakaś celniczka zostawiła ten płaszcz w tawernie, w której się zatrzymaliśmy, a ja zaczęłam go nosić, bo to bawiło resztę rodziny. A teraz... teraz oni wszyscy nie żyją...

Pozwoliła, żeby jej słowa wybrzmiały. Następnie podniosła na chwilę wzrok. Kapitan wyglądała na zamyśloną. Pełną zrozumienia.

Nie, nie zabiłaś wszystkich na pokładzie *Marzenia Oota*, pomyślała Warkocz. Zostawiłaś jedną osobę przy życiu. A gdyby udało jej się uciec, a później opowiedzieć wszystkim o tym, że *Pieśni Wrony* zabiła jej rodzinę...

Kapitan odwróciła się do Salay i otworzyła manierkę. Wedle tego, co Warkocz podsłuchiwała u załogi, w środku była zwykła woda, co wyjaśniało, dlaczego kobieta nie była przez cały czas pijana.

– Zmieniłam zdanie, sterniczko. – Wrona pociągnęła łyk. – Skieruj nas na wschód, w stronę Migotliwej Zatoki. Powinniśmy uzupełnić zapasy wody.

– Skoro tak mówicie, pani kapitan. Sądziłam jednak, że mamy dosyć.

- Wody nigdy za dużo. Moja manierka nie może wyschnąć, prawda? Poza tym mamy szczyry na pokładzie. Musimy wziąć okrętowego kota.

Salay szybko wykrzyknęła rozkazy do załogi na ożaglowaniu i obróciła koło sterowe, i skierowali się w stronę wolności. Warkocz poczuła przyływ ekscytacji.

Oczywiście większość ludzi zgodziłaby się, że istoty ludzkie nie są zdolne do telepatii. Nie potrafimy wysyłać swoich myśli i uczuć bezpośrednio do umysłów innych. A jednak słuchacze mojej opowieści i wyobrażacie sobie rzeczy, jakie opisuję – te same, które wyobrażam sobie w swoim umyśle. Czyż to nie jest forma telepatii?

Poza tym są wśród nas osoby obdarzone niesamowitą zdolnością odczytywania uczuć innych. Nie dzięki magii, mitycznemu Związkowi czy innym bzdurom. Nie, są po prostu badaczami natury ludzkiej. Odczytują nastrój innych dzięki subtelnyom wskazówkom kryjącym się w mowie ciała – w sposobie, w jaki poruszają się ich oczy i drgają mięśnie.

Niektórzy z nich są lekarzami, których interesuje uzdrawianie umysłu. Inni trafiają w szeregi kapłanów, próbując znaleźć sposób, by pomóc ludzkiej duszy. I są też tacy jak kapitan Wrona, którym zdolność odczytywania innych zapewnia... inny rodzaj przewagi.

W tej chwili na pokładzie część umysłu Wrony podchwyciła, że Warkocz jest podekscytowana. Że Warkocz cieszy się, że statek zmienił kurs na Migotliwą Zatokę. Wrona nie była świadoma tego, co wiedziała ani w jaki sposób to wiedziała, ale – podobnie jak można wyczuć nadchodzący atak niestrawności – wiedziała, że nie jest zadowolona, a przyczyną tego jest Warkocz. Jeśli chcecie zepsuć dzień kapitan Wrony, zwróćcie jej uwagę, że kogoś uszczęśliwiła. Jeśli chcecie zepsuć cały jej tydzień, dodajcie, że zrobiła to przypadkowo.

Wrona nie zmieniła decyzji o skierowaniu się do portu. Nie była typem osoby, która wąpiła w swoje decyzje. Za to cofnęła stopę i mocno kopnęła Warkocz prosto w brzuch ciężkim butem.

Niespodziewany cios sprawił, że dziewczyna jęknęła, a z jej oczu popłynęły łzy, kiedy zwinęła się w kłębek w kałuży mydlin. Wrona odeszła swobodnym krokiem, pogwizdując od niechcienia, i zakręciła manierkę. Można przy tym zauważyć, że była doskonałym przykładem, dlaczego słowo „drań” ma tak wiele ordynarnych synonimów. Można wykorzystać wszystkie dostępne możliwości, wymyślić kilka trafnych nowych, a i tak nie udałoby się opisać jej do końca. Zaiste, prawdziwe natchnienie dla wulgarnego poety.

Salay z kolei to zupełnie inna kwestia. Ludzie uważali niską stercniczkę za surową, ale w swoim czasie została kilka razy bez powodu skopana. Po krótkiej chwili zastanowienia zablokowała koło sterowe – czego nie powinna robić, z wyjątkiem sytuacji awaryjnych – i podeszła do Warkocz.

- Hej – powiedziała Salay łagodnie, przekręcając dziewczynę na bok. – Chciałabym to obmacać. Jeśli masz pęknięte żebro, będziemy musieli zaprowadzić cię do okrętowego chirurga.

- Nie! On chce wyciąć kawałki mnie!

- Bzdura. Ulaam nie skrzywdziłby synogarlicy.

- Naprawdę?

– Owszem. Nie mają rąk, które mógłby zabalsamować. – Mrugnęła do Warkocz, której po chwili, mimo bólu, udało się uśmiechnąć.

Salay obmacała dolne żebra Warkocz i słuchała, jak dziewczyna wyjaśnia, co boli, a co nie. To przekonało je obie, że kopniak zaszkodził jedynie dobremu nastrojowi Warkocz, więc Salay wróciła na miejsce i odblokowała ster.

Przez dłuższą chwilę obserwowała Warkocz siedzącą jak kupka nieszczęścia na pokładzie. W końcu zawołała:

– Stałaś kiedyś za sterem statku?!

Warkocz podniosła się z wahaniem i popatrzyła na nią pytająco. Salay cofnęła się i wskazała ster.

Jasne, wiem, że na waszej planecie stanie za sterem statku nie jest niczym szczególnym. W wielu miejscach są gotowi oddać koło sterowe pierwszemu dzieciakowi, który ma standardową liczbę palców i przynajmniej jeden z nich wyciąga na dłuższą chwilę z nosa. Ale na morzach zarodników traktują to inaczej. Kierowanie statkiem jest przywilejem, a sternik to oficer i ma poważne obowiązki.

Zatem, nawet gdyby Warkocz spędziła dużo czasu na statkach – jak udawała – najprawdopodobniej nigdy nie dotknęłaby steru. Oszołomiona podeszła bliżej i upewniła się, nim zaciśnęła dłonie na kole na miejscach wskazanych przez sterniczkę.

– Dobrze – powiedziała Salay. – A teraz trzymaj je stabilnie. Czujesz te wibracje? To kipienie wstrząsa sterem. Musisz być ostrożna i nie pozwolić, by potrząsało całym statkiem. Mocno trzymaj koło, a jeśli nim poruszasz, rób to powoli i gładko.

– A jeśli kipienie się zatrzyma?

– Obróć koło, by wyprostować ster, żeby zarodniki go nie wyrwały. Ale ponownie, musisz być ostrożna. Nagły ruch sterniczki może sprawić, że marynarze spadną z olinowania.

Warkocz pokiwała głową i pomyślała, że może powierzenie tak ważnego obowiązku właśnie jej nie było najlepszym pomysłem. Salay jednak odrobinę przypominała kapitan Wronę – to znaczy była przeciwieństwem kapitan tak bardzo, jak może być tylko ktoś bardzo podobny.

Salay miała również dobre wyczucie tego, co czują inni ludzie, i zauważyła, z jakim oddaniem Warkocz szoruje pokład. Kobieta, która wykonywała tak proste zadanie z taką dokładnością... cóż, doświadczenie nauczyło Salay, że takie rzeczy skalują w górę. Podobnie jak wy bylibście bardziej skłonni pożyczyć swój najlepszy flet komuś, kto traktował swój stary i zniszczony z szacunkiem.

Warkocz mocno trzymała koło, czując, jak chaotyczne kłębienie się zarodników przenosi się w górę po linach rumpla i przez drewno aż

do jej rąk. Stojąc tam, czuła głębszy związek z morzem i – jeśli nie władzę nad nim – zdolność do unoszenia się na nim. W byciu tym, który steruje, kryła się siła. Wolność, której nigdy wcześniej nie zaznała i nie uświadamiała sobie, że jej potrzebuje. Jedną z wielkich tragedii życia jest wiedza, jak wielu ludzi na świecie zostało stworzonych, by szybować, malować, śpiewać albo sterować – ale nigdy nie dostali szansy, by się tego dowiedzieć.

Kiedy ktoś dostaje chwilę radości, na świecie pojawia się piękno. My, istoty ludzkie, nie potrafimy tworzyć energii, umiemy ją jedynie ujarzmić. Nie potrafimy tworzyć materii,

umiemy ją jedynie kształtować. Nie potrafimy nawet tworzyć życia, umiemy je jedynie pielęgnować.

Ale potrafimy stworzyć światło. To jeden ze sposobów. Rozbłysk odkrytego celu.

Wtedy jednak Warkocz zobaczyła kapitan idącą przez pokład i powrócił ból brzucha – w tym taki, który nie był bezpośrednim skutkiem kopniaka.

– Kapitan nie będzie zła, jeśli mnie tu zobaczy?

– Możliwe. Ale nic na to nie poradzi. Zgodnie z tradycjami starymi jak morze to sternik decyduje, kto steruje statkiem. Nawet Wrona nie odważyłaby się zasugerować, że jest inaczej. Gdybym chciała, mogłabym zakazać dostępu do koła nawet jej.

Jakby dla podkreślenia swoich słów, Salay pokazała Warkocz kompas i mapę nieba, przechowywane w szafce w pobliżu steru. Kazała dziewczynie zmienić kurs o kilka stopni, dzięki czemu ominęli od wschodu grupę dużych skał wystających z oceanu przed nimi.

– Zadaniem sterniczki jest ochrona statku. – Mówiąc to, Salay miała zamyśloną minę. – Trzymanie steru pewną ręką i omijanie niebezpieczeństwa. Omijanie sztormów i wybuchów zarodników. Zapewnienie bezpieczeństwa, jakoś...

Warkocz podążyła za spojrzeniem Salay. Kobieta patrzyła z góry na kapitan Wronę.

– Ona popycha członków załogi... – Warkocz ostrożnie dobierała słowa – ...by posunęli się dalej, niż chcą.

– Wszyscy podjęliśmy razem tę decyzję. Jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny.

– Ona jest bardziej lekkomyślna niż wszyscy pozostali. Ona... – Warkocz omal nie wyjawiała, czego dowiedziała się o kapitan i Laggarcie. Rzucenie takiego oskarżenia wydawało się nieostrożne. Ledwie знаła Salay i innych członków załogi.

– Wrona jest szorstka. To prawda. Ale może tego właśnie potrzebuje ta załoga. Skoro już zostaliśmy trupiarzami.

Tak przynajmniej brzmiały słowa Salay. Ale w sposobie, w jaki piorunowała kapitan wzrokiem, nie było szczególnie dużo szacunku.

– Nie rozumiem, czemu wy to zrobiliście – powiedziała cicho Warkocz. – Staliście się... tym, kim jesteście.

– Uczciwe pytanie. Pewnie wszyscy mamy swoje powody. Ja miałam do wyboru zrobić albo przestać żeglować. Może powinnam była tak właśnie postąpić. Po prostu... stanie na pokładzie statku i trzymanie steru ma coś w sobie. Coś wyjątkowego. Na księżycu, brzmie jak wariatka, kiedy tak mówię. Ja...

– Nie – przerwała jej Warkocz. – Rozumiem.

Salay przyglądała jej się przez chwilę, po czym pokiwała głową.

– Tak czy inaczej, muszę kogoś znaleźć na tych morzach. Prędzej czy później wpłynę do portu i odkryję, że mój ojciec tam jest. Spłacę jego długi i zabiorę go do domu. Z pewnością to już następny port... – Uniosła kompas i wpatrzyła się w horyzont.

Warkocz poczuła nagłe ukłucie wstydu, choć nie była pewna powodu. Tak, rozumiała coś w głosie Salay – tę tęsknotę za kimś, kto wpakował się w tarapaty. Tę determinację, by coś z tym zrobić, bo nikt inny nie zamierzał. Ale nie było powodu, by czuć wstyd...

Koło podskoczyło w jej rękach i cały statek zaczął się trząść. Warkocz ścisnęła je mocno, a później – przerażona, że zrzuci marynarzy z olinowania – delikatnie skręciła koło w prawo, prostując ster. *Pieśń Wrony* przestała się trząść i – podczas gdy dziewczyna walczyła z kołem – powoli się zatrzymała. Kipienie ucichło.

Warkocz, spocona i zdyszana, spojrzała na Salay. Sterniczka, zawsze niewzruszona, jedynie pokiwała głową.

– Mogło być gorzej – powiedziała. Później, widząc, jak nagle zatrzymanie się wzbudziło przerażenie dziewczyny, dodała: – Może idź odpocząć.



Laggart polecił popołudniowej wachcie zejść na kolację, kiedy przeczekiwali bezruch. Warkocz nie chciała ściągnąć na siebie gniewu kapitan, więc wróciła do pracy i szorowała, kiedy wszyscy inni odpoczywali.

Jak zawsze, spędzała ten czas na myśleniu. Nazwałbym dar zamyślenia obosiecznym mieczem, ale zawsze uważałem tę metaforę za niedoskonałą. Większość mieczy ma dwa ostrza i – jak się dowiedziałem – wcale nie ranią swoich właścicieli częściej niż te, które mają tylko jedno ostrze. To przenikliwość szermierza, a nie klingi, zwiastuje nieszczęście.

Umysł Warkocz był przenikliwy jak miecz, lecz w tej chwili okazało się to niefortunne, ponieważ, choć znalazła drogę do wolności, nie mogła nie podsłuchiwać Ann, która oparta o pobliski maszt rozmawiała z Laggartem.

– Ta, która załadowała zarodniki do twojej armaty? – Ann wskazała kciukiem za plecy. – To nie byli Dougowie. Tylko ona. Powinieneś o tym wiedzieć.

Proszę, nie wstawiaj się za mną, pomyślała Warkocz, czując kolejne ukłucie poczucia winy. Proszę, nie przypominaj mi, jak miła jesteś.

Zapadła noc i powróciło kipienie, a statek ponownie skierował się w stronę portu. Warkocz próbowała szorowaniem pozbyć się frustracji, ale poczucia winy nie da się zmyć tak łatwo jak osadu zarodników. A wkrótce podszedłem do niej ja.

– Masz ładny płaszcz – szepnąłem do niej. – Ale wyglądałby lepiej, gdybyś pomalowała połowę na pomarańczowo.

– Pomarańczowo? To... chyba będzie się gryzło.

– Gryzienie się to szczyt mody, uwierz mi. Och, Fort powiedział, że masz zajrzeć do niego po jedzenie. – Mrugnąłem. – Muszę poobgryzać trochę palce u stóp. Smakują jak przeznacze-

nie.

Warkocz próbowała zignorować propozycję, ale wkrótce podbiegł do niej Huck.

– Hej. Głodna jesteś? Ja jestem głodny. Spróbujemy zdobyć trochę jedzenia czy coś?

Westchnęła i pozwoliła mu wspiać się na ramię, a później powlokła się do kajuty kwatremistrza. Tam, w blasku niedużej latarni, Fort podał jej kolejny talerz jedzenia. Nie smakowało tak paskudnie jak poprzednio – ale może dlatego, że tak wiele jej kubków smakowych poppełniło rytualne samobójstwo po apokaliptycznym śniadaniu.

Warkocz usiadła na stołeczku przed Fortem, który nalegał, poprzez swoją niewiarygodną tabliczkę piszącą, że nie wyświadczał jej przysługi i to była wymiana. Warkocz to przejrzała. Widziała to w sposobie, w jaki dolewał wody do jej kubka (tego samego z brązu, z którego korzystała wcześniej), kiedy jej brakowało, i w tym, że zachował dla niej kawałek ciasta na deser. Było koszarne, stare i zeschłe jak cała reszta, ale liczyła się intencja.

Na księżycu, bolało. Nie jedzenie, jej własna zdrada. Znała tych ludzi zaledwie jeden dzień, ale i tak uśmiechnęła się, kiedy do środka wkroczył Ulaam i zaczął się targować o kości mewy, które Fort dla niego zachował z obiadu. Jej uśmiech wzbudziło nie samo targowanie, tylko pełen sympatii sposób, w jaki się droczyli. Ten statek był rodziną. Skazaną na zagładę rodziną prowadzoną przez matkę, która się o nich nie troszczyła. Warkocz musiała coś zrobić.

– Forcie – powiedziała, spoglądając z góry na talerz i przesuwając po nim ostatni kawałek czegoś, co, jak miała nadzieję, było mięsem mewy. – Wydaje mi się, że kapitan Wrona nie ma na względzie waszego dobra.

Fort zamarł, unosząc kubek, który wycierał. Ładny cynowy kubek z uroczymi zadrapaniami wokół krawędzi, powstałymi wskutek częstego używania. Warkocz nie wiedziała, czy pochodzi z siódmego wieku ze szkoły Horgswallow, czy jest tylko udaną kopią, ale był to doskonały egzemplarz.

– Ja... podśluchałam ją – mówiła dalej Warkocz. – Kiedy ona i Laggard...

Wystarczy napisał Fort. Cokolwiek więcej powiesz, zostaniesz wyrzucona za burzę, Warkocz. Żadnego podżegania do buntu.

– Ale, Forcie... – Zniżyła głos. – Przejmowałeś się kulami armatnimi, a ja odkryłam...

Uderzył w blat, żeby jej przerwać. Później bardzo starannie napisał wielkimi literami.

DOSYĆ.

Na księżycocienie... wyglądał na przerażonego, a jego połamane palce drżały, kiedy stukał w tabliczkę.

Kapitan przyszła i spytała, dlaczego jestem taki wścibski. Nie powinienem nic mówić. Ty nic nie mów. To zbyt niebezpieczne. ONA jest zbyt niebezpieczna.

Szybko wymazał te słowa, spoglądając w stronę drzwi. Pocił się, kiedy potrząsnął tabliczką, upewniając się, że nie pozostało na niej nic obciążającego.

Skończ jeść.

– Dlaczego wszyscy się jej tak boicie? – spytała Warkocz. – Ona jest tylko człowiekiem.

Fort otworzył szeroko oczy.

Nie wiesz napisał. Oczywiście, że nie wiesz. A ja nie powiem, nie moja sprawa. Ale ona mogłaby zabić nas wszystkich, Warkocz. Bez trudu. Więc ugryź się w język i DAJ SOBIE SPO-

KÓJ. Podkreślił te słowa, odkładając tabliczkę i odwracając się od niej.

To tyle, jeśli chodzi o ostrzeżenie załogi o planach kapitan. Warkocz zmusiła się, by zjeść ostatni kęs posiłku, po czym wyslizgnęła się z kajuty kwatermistrza. Ospale wróciła na górny pokład, brzuch miała pełny, a nogi jakby skute łańcuchami.

- Na księżycu - szepnął Huck z jej ramienia. - Musimy się stąd wydostać, zanim sytuacja zrobi się paskudna. Jak uciekniemy? Nigdy mi nie powiedziałaś.

W odpowiedzi Warkocz uniosła palec i wskazała. Zielony Księżyc zrzucił zarodniki w sporej odległości, ale był dość blisko, by oświetlać pokład zielonym blaskiem. Z przodu wznosił się duży cień. Łąd i port, Migotliwa Zatoka. Wolność.

- Ja mógłbym uciec bez trudu, ale ciebie będą obserwować - powiedział Huck. - Kapitan wystawi strażę, Warkocz. Nie puszczą cię.

- Ależ to zrobią. - Było jej niedobrze.

Kapitan kazała załodze udać się na noc do kajut, twierdząc, że to szybki postój i każdy, kto spróbuje się wyslizgnąć, zostanie wychłostany. Później zostawiła Laggarta na straży. Jednakże Warkocz spała na pokładzie jak poprzedniej nocy - a ponieważ nie żeglowali, nikt się o nią nie potykał.

Około północy Laggart udał się do wygodki. Tupął głośno po schodach, żeby obudzić Warkocz - która nie spała, choć doceniła gest. Wstała, cicho podniosła worek kubków i przeszła przez opustoszały pokład.

- Hm - mruknął Huck. - Jeśli nie chcieli, żeby ktokolwiek zszedł z pokładu... po co zostawili trap prowadzący na nabrzeże?

- Bo Wrona chce, żebym rozpowiedziała historię o zatopieniu *Marzenia Oota* - odparła szeptem Warkocz. - Pamiętaj, kapitan chce, żeby ta załoga została trupiarzami. Zakłada, że jeśli pozwoli mi się wyslizgnąć, to rozpowiem wszystkim. A wtedy załoga wpadnie w pułapkę zastawioną przez kapitan. Za bardzo się jej boją, żeby się zbuntować, a jak długo będą czuć zbyt wielki strach przed prawem, żeby uciec, będą musieli wypełniać jej polecenia. Żeglować po niebezpiecznych zarodnikach, właściwie jako jej niewolnicy.

- Biedni szaleńcy - powiedział Huck. - Cóż, lepiej zjeźdźmy, zanim skończymy jak oni.

Warkocz zawahała się na szczycie trapu. Migotliwa Zatoka znajdowała się w sporej odległości od Królewskiego Portu, ale mogła tam dotrzeć. Dalej realizować plan dowiedzenia się, czego Czarodziejka chciała od Charliego, a później znalezienia sposobu, by go uwolnić.

- Warkocz, nie mogę nie zauważyć, że się nie ruszasz - odezwał się Huck.

- Powinam zostać - szepnęła. - I pomóc załodze.

- Co?! - wykrzyknął Huck. - Nie, nie powinnaś.

- Byli dla mnie tacy dobrzy.

- Dopiero co ich poznałaś! Nic im nie jesteś winna.

- Uratowałam cię, choć dopiero cię poznałam. Nic ci nie byłam winna.

- No tak, to znaczy... - Szczur zatarł łapki. - Tak... ale... no... hm.

Nie wiedziała, czy uda jej się uratować Charliego. Tak bardzo tego chciała, ale jego ból - choć ją przeszywał - nie był czymś, czemu mogła od razu zapobiec.

Członkowie tej załogi byli inni.

- Może jeśli uda mi się pomóc załodze, zabiorą mnie na Północne Morze, po Charliego - powiedziała.

- Są piratami.

- Są rodziną. - W głowie Warkocz pojawił się zarys planu. Sposób, w jaki mogłaby w tajemnicy powstrzymać Wronę. - I ja... Huck, ja muszę zrobić, co mogę. Dla nich.

Kiedy podjęła decyzję, kamień spadł z jej serca. Nie porzucała Charliego. Ale to było coś, co musiała zrobić.

- Ojej - powiedział Huck, kiedy Warkocz zawróciła i znów położyła się na pokładzie.

- Powinieneś uciec - zwróciła się do niego. - Wydostać się. Nie będę miała do ciebie pre-
tensji. To sprytne posunięcie.

Stuknęła zębami, a Warkocz uznała, że może to szczurza wersja wzruszenia ramionami.

- Mam dobre przecucia co do ciebie. Ale... to znaczy... jesteś pewna?

Oczywiście, że nie, pomyślała Warkocz. Nie była pewna niczego od chwili, kiedy opuściła Skalę.

Mrok nocy rozjaśnił płomień. Zapałka. Warkocz poczuła strach, kiedy zobaczyła ognik oświetlający postać siedzącą na stopniach prowadzących na pokład rufowy. Kapitan Wrona, z twarzą zalaną pomarańczowym blaskiem, kiedy zapalała fajkę.

Czy widziała? Czy słyszała, jak Warkocz rozmawia z Huckiem? Kapitan zaciągnęła się i machaniem zgasiła zapałkę, przez co jej twarz znalazła się w ciemności - podświetlona od tyłu blaskiem wielkiego księżyca.

- Pani kapitan? - spytała Warkocz.

- Powinnaś uciekać, dziewczyno. Przez te dwa dni potwierdziłaś swoją wartość i uważam, że zasłużyłaś na życie. Dlatego ruszaj. Zniknij w mroku nocy.

- Ja... - Warkocz odetchnęła głęboko. - Chcę się do was zaciągnąć.

- Zaciągnąć się? - Wrona się roześmiała. - Jeszcze całkiem niedawno przeklinałaś nas za to, że zabilimy twoją rodzinę.

- Skłamałam, pani kapitan. Chciałam wzbudzić wasze współczucie, żebyście się nade mną ulitowali i nakarmili mnie. Wiem, że pani to przejrzała. Potwierdził to kopniak. Nie powinienam kłamać.

- Na statku nie było twojej rodziny?

- Byłam uciekinierką. To nie było moje miejsce, podobnie jak Migotliwa Zatoka nie jest moim miejscem. Myślę, że może moje miejsce jest tutaj.

Wrona początkowo nie odpowiedziała. Odkręciła manierkę, co w mroku nocy zabrzmiało głośno. Warkocz wydawało się, że może śledzić myśli kapitan. Jeśli Warkocz nikogo nie utraciła, jeśli nie była zła na załogę...

Kapitan Wrona wstała, była cieniem w nocy.

- I tak uciekaj. Nie ma tu dla ciebie miejsca. Nie potrzebujemy, żebyś całymi dniami szorowała pokład, włączając pod nogi. Traktuję tę pracę jako karę, a robiąc to, odebrałaś mi jedno z narzędzi utrzymywania dyscypliny na statku. Wszyscy na tym statku muszą mieć swoje miejsce, a ty go nie masz. Chyba że chciałaś pełnić funkcję naszej kotwicy.

Wrona odwróciła się w stronę kajuty, z jej fajki unosił się dym. Warkocz prawie uciekła, jak jej kazano. A jednak...

W głębi duszy nie znosiła znęcania się. Nie znosiła go tak bardzo, że przemogła swoją niechęć do narzucania się. Nienawidziła tego, jak diuk znęcał się nad Charliem. Nienawidziła, jak celnicy znęcali się nad robotnikami portowymi. A jeszcze bardziej nienawidziła tego tutaj, gdy stała naprzeciwko kobiety, która sądziła, że może robić, cokolwiek zechce, komukolwiek zechce.

– Nie macie okrętowego kielkowacza – zauważyła Warkocz.

Kapitan Wrona zatrzymała się w drzwiach kajuty.

– On nie żyje – mówiła dalej. – Potrzebujecie kogoś, kto będzie pełnił tę funkcję, ale Dougowie tego nie zrobią. Inaczej już zmusilibyście do tego jednego z nich. Kazali mi napełniać zefirowe woreczki. Boją się zarodników.

– A ty nie? – spytała Wrona z ciemności.

– Oczywiście, że tak. Ale tak sobie myślę, że zdrowy szacunek wobec nich pomaga kielkowaczowi utrzymać się przy życiu.

Cisza. Wrona była cieniem w nocy, patrzyła na nią, oceniała ją, a dym wznosił się w szmaragdowe niebo.

– Ano. Masz rację. Pewnie jest tu dla ciebie miejsce. Pieszko przeszłaś przez zarodniki. Zefiry wybuchły ci w twarz, a ty to przeżyłaś. Nadal jesteś gotowa pracować z zarodnikami, co? Tak, zaiste... możesz mi się przydać. Właściwie mogę mieć dla ciebie doskonałe miejsce.

Warkocz zmarszczyła czoło. Czy prowadziły tę samą rozmowę?

– W takim razie witaj na pokładzie *Pieśni Wrony*, okrętowy kielkowaczu – powiedziała kapitan, wchodząc do kajuty. – Nie dostaniesz swojej części naszych pierwszych trzech łupów, ale później będziesz mogła wziąć udział oficera. Nie możesz też jeść z pozostałymi. Kielkowacze to dziwacy i nie chcą, żeby zarodniki trafiały do jedzenia.

– Ja... tak, pani kapitan.

– I nie okłamuj mnie więcej. Albo dowiemy się, co dzieje się z człowiekiem, kiedy połknie woreczek zefirowych zarodników. Doktor Ulaam zawsze się nad tym zastanawiał. – Wrona uniosła manierkę do ust i zamknęła za sobą drzwi kajuty.

Z kolanami jak ze smalcu, Warkocz opadła na pokład i mocniej otuliła się czerwonym płaszczem celniczki. Była przerażona na myśl o tym, co zrobiła, ale zdeterminowana. Wiedziała, że to właściwe – czuła to.

Na dobre czy na złe, Warkocz została piratką.



CZEŚĆ
CZWARTA



Następnego dnia kapitan Wrona obudziła Warkocz krzykiem. To powinna być dla dziewczyny pierwsza wskazówka, że dzieje się coś dziwnego, bo nie towarzyszyło mu kopnięcie. Wrona przepuszczała okazję do zadania fizycznego bólu niemal równie często, jak banki rozdają darmowe próbki. Tymczasem Wrona poprowadziła Warkocz przez środkowy pokład do kajuty z bardzo dużą kłódką na drzwiach. Taką, którą wykorzystuje się jako deklarację.

– Naprawdę nie boisz się zarodników, dziewczyno? – spytała Wrona, przeliczając klucze na kółku.

– Powiedziałam, że się boję, pani kapitan. Ale ostatnio wydaje się, że wszystko i wszyscy próbują mnie zabić. Myślę więc, że zarodniki to po prostu kolejna z tych rzeczy, godna nie większej uwagi od pozostałych.

– Godna nie większej uwagi? – Wrona wybrała właściwy klucz. – Cóż, to zachęcające nastawienie. Zaiste zachęcające, moja kielkowaczko w czerwonym płaszczu.

Trzask klucza w zamku zabrzmiał złowieszczo. Jak odgłos zatrzaszkującej się pułapki. Wrona zdjęła klucz z kółka i podała go Warkocz.

– Teraz jest twój, dziewczyno.

Warkocz przyjęła go, ale nie przegapiła, że na kółku był drugi, identyczny klucz. Wrona otworzyła drzwi, a Warkocz spojrzała w głąb korytarza, gdzie kilkoro Dougów patrzyło po sobie i szeptało. Kiedy drzwi się otworzyły, cofnęli się.

Warkocz zacisnęła zęby i weszła za Wroną do kajuty. Nie wydawała się aż tak przerażająca, by wywołać taką reakcję Dougów. Nieduże pomieszczenie, głębokie i wąskie, miało na końcu jeden bulaj wychodzący na morze. Wzburzone zarodniki wznosiły się w powietrze i od czasu do czasu zasłaniały okno, sprawiając, że w kajucie na krótką chwilę robiło się ciemno.

Na jednym końcu znajdowała się koja, która dla Warkocz była czystym luksusem, bo wyposażono ją w koc, materac i poduszkę. Jasne, materac robił wrażenie nierównego, poduszka była mała, a koca pewnie nie prano od czasu wynalezienia samogłosek. Ale kiedy śpi się na pokładzie, człowiek uczy się dostosowywać swoje oczekiwania.

Przy ścianie naprzeciwko koi znajdował się mały stół roboczy. Nad nim w ścianę wbudowano szuflady. Poza tym jedynym interesującym elementem wyposażenia było duże lustro wiszące nad stołem, które sprawiało, że kajuta wydawała się większa – i ukazało Warkocz, jak bardzo jest rozczochrana. Jej włosy kojarzyły się z przedwiecznym bytem, który, przebudziwszy się z długiego snu, przeciągał macki we wszystkie strony, poszukując dziewic, i żądał w ofierze stu butelek drogiej odżywkii.

Wrona podeszła do drzwi wciśniętych w rogu, w pobliżu wezglowia koi. Otworzyła je i wskazała gestem wewnątrz, ukazując kabinę – tak niską, że z trudem można by się było w niej wyprostować, z podłogą zagłębioną na dwie stopy i tworzącą misę. Z odpływem? I kurkiem wysoko na ścianie?

Kąpiel? Jeśli koja była luksusem, pomysł kąpieli był rajem.

– Ten kurek jest podłączony do beczki wypełnionej wodą – wyjaśniła Wrona. – Daj nam znać, kiedy trzeba ją będzie napełnić ponownie. Weev zawsze potrzebował jej dużo do swoich eksperymentów.

– Eksperymentów?

– Z zarodnikami. – Wrona westchnęła. – Musisz nadażać, dziewczyno, jeśli masz zamiar zostać naszą kielkowaczką. Z zarodnikami wolno ci pracować jedynie w tej kajucie, o ile nie dostaniesz pozwolenia ode mnie. Wolałabym nawet, żebyś napełniała tu woreczki zefirowych zarodników do armaty.

– Rozumiem.

– Lepiej, żeby tak było. Cała twoja kajuta jest wyłożona aluminium, ale za nim jest warstwa srebra, na wypadek gdyby coś się przebiło. Mimo tej ochrony możesz rozerwać mój statek, jeśli będziesz nieostrożna.

Warkocz kiwnęła głową.

– Nie wiesz, co? – spytała Wrona. – Co robisz? Co będzie od ciebie wymagane? Nie masz pojęcia, jak niebezpieczna będzie twoja praca. Naprawdę chcesz to zrobić?

– Czy będę spała w tym łóżku?

– Tak.

– W takim razie wchodzę w to.

Wrona się uśmiechnęła. Te błyszczące zęby i to wygięcie warg wyglądałyby mniej nienaturalnie w przypadku prawdziwej wrony.

– Przyślę Ulaama, żeby cię poinstruował. Ale zanim za bardzo polubisz swoją nową kwaterę, przyjrzyj się podłodze.

Kapitan odeszła, popijając z manierki. Warkocz usiadła na materacu, próbując zrozumieć, o co chodziło w ostatniej uwadze kapitan. Podłoga wyglądała normalnie. Deski, trochę zakurzone, bo wydawało się, że nikt nie sprzątał w tej kajucie od śmierci Weeva.

Kiedy się nad tym zastanowiła, zaniepokoiło ją to. Dlaczego nikt nie przejął tej kajuty? Łóżko, lustro i bieżąca woda? Kiedy Weev umarł, marynarze powinni walczyć o szansę...

I wtedy do niej dotarło. W podłodze nie było srebra.

Zauważyłaby to wcześniej, gdyby miała większe doświadczenie w życiu na statku. Poza jedynym małym fragmentem w pobliżu armaty wszystkie pokłady – pomijając ładownię – *Pieśni Wrony* były wyłożone srebrem. Był to porządny, wartościowy statek kupiecki (mogli sobie pozwolić nawet na aluminium, które nie było już tak drogie jak kiedyś, ale wciąż swoje kosztowało) i miał zapewniać jego mieszkańcom wygodę oraz – co najważniejsze – bezpieczeństwo.

Poza tym miejscem. W którym kielkowacz musiał pracować z zarodnikami. Warkocz spojrziała na bulaj i kłębiące się zielone zarodniki. Za każdym razem, kiedy statek podskakiwał na falach i w kajucie robiło się ciemno, serce dziewczyny biło trochę szybciej.

Na księżyc. Nic dziwnego, że nikt inny nie chciał kajuty. Trzeba być szaleńcem, żeby w niej spać.

Kiedy Huck dotarł do niej po krótkim czasie, pochrapywała cicho. Nie można mieć do niej o pretensji. Spanie na pokładzie nie zapewniło jej dużo snu.

– Warkocz? – szepnęła Huck. – Co to? Twoja własna kajuta?

Usiadła rozespana.

– Aha. To pułapka, ale wygodna. Gdzie się podziewałeś?

– Wzięli kota, Warkocz – jęknął Huck, spoglądając z ukosa na drzwi. – Prawdziwego kota. To naprawdę poważna obelga. Znaczą się, z całą powagą mogę stwierdzić, że doprowadzi mnie do śmierci...

– Trzymaj się blisko mnie. Postaram się utrzymać cię z dala od niego.

Huck zadrżał.

– Nie cierpię kotów – szepnął. – Poza tym trzeba być naprawdę głupim, żeby wziąć kota z powodu jednego szczura. W końcu, kto zje więcej waszej żywności? Ja czy to coś, co jest dziesięć razy większe ode mnie? Ludzie to idioci. Yyy. Inni ludzie. Którzy nie nazywają się Warkocz.

– Ja też jestem idiotką, Hucku. Skoro nadal przebywam na tym statku.

Podniosła się z westchnieniem i poszła na górę po worek kubków. Wróciła do kajuty i zaczęła ustawiać kubki na stole do pracy, myśląc o historiach, które Charlie jej opowiadał, kiedy mu je pokazywała.

Czuła się jak zdrajczyni. Została, żeby pomóc ludziom, których właściwie nie знаła? Zamiast szukać sposobu, by go ocalić? Ustawiając kubki, szeptała modlitwy do księżyców i obiecała sobie, że znajdzie sposób. Jeśli uda jej się pomóc tej załodze, a oni nie będą gotowi w zamian zabrać jej na Północne Morze, to być może pomogą jej w jakiś inny sposób? Na przykład zbierając pieniądze na okup?

Na tę myśl zrobiło jej się niedobrze. Nie chciała rabować ludzi, żeby pomóc Charliemu. W tej chwili, kiedy trzymała w ręku kubek z motylem, przyznała coś wobec samej siebie. Nie mogła zapłacić okupu – nie zamierzała uciec się do piractwa, żeby to zrobić. Musiała znaleźć inny sposób, by uratować Charliego.

Ale jak? Co mogła zrobić?

Kiedy się nad tym zastanawiała i z trudem powstrzymywała się przed płaczem, od strony drzwi dobiegł wesoły głos.

- Potrzebujesz pomocnej dłoni? Hm?

- Nie przyniosłeś mi dosłownie dłoni, prawda, Ulaamie? - spytała Warkocz.

Ulaam ukradkowo schował jedną rękę za plecami.

- Sądzisz, że byłbym tak prostacki, panienko Warkocz?

- ...Tak? Dlatego spytałam?

Mężczyzna (osoba? istota?) o szarej skórze uśmiechnął się szeroko i wszedł do kajuty. Zajął do niej zza jego pleców - ale ponieważ Warkocz nie miała żadnych marmozet, chwilowo nie byłem zainteresowany.

- Wiedziałeś o tym wszystkim, doktorze? - Warkocz machnęła ręką w stronę niewielkiego pomieszczenia z miednicą i kurkiem. - Kapitan powiedziała, że to do eksperymentów.

- Tak, Weev uwielbiał eksperyment pod hasłem „Jak mogę oszukać wszystkich, żeby móc kąpać się w ciepłej wodzie?”. Trzymają beczkę z wodą na słońcu, więc, choć wątpię, byś mogła nacieszyć się gorącą kąpielą, nie odmroziś sobie żadnego kawałka ciała. - Posłał jej spojrzenie. - A jeśli to zrobisz, zachowaj go dla mnie, hm?

- Czyli to jest łaźienka.

- Cóż, Weev rzeczywiście potrzebował pomieszczenia, w którym mógłby manipulować zarodnikami... i czasami aktywować je... nie stanowiąc zbyt wielkiego zagrożenia dla załogi. To wymagało ceramicznej miski, która utrzyma wodę. On jedynie ekstrapolował. Był przebiegłym gościem. Poza samą końcówką. - Ulaam pokręcił głową. - Co za marnotrawstwo trupa.

- Kapitan mówi, że będę musiała przejąć niektóre obowiązki Weeva, jeśli mam zostać na statku. Czy chodziło o coś więcej poza pracą z zefirowymi zarodnikami?

- Powinnaś poćwiczyć z rozeitem, który w nagłych przypadkach służy do zamykania wyłomów. Jak również hodowanie zielonych w sposób, który niczego nie uszkodzi, bo pędy w razie potrzeby mogą stanowić pożywienie. Tak, są jadalne. Pewnie wszystko jest, jeśli jest się wystarczającym optymistą!

- Ja jestem optymistą! - powiedziałem, znów zaglądając do środka. - Kiedyś zjadłem cały kamień. Ale najpierw musiałem odpędzić jego rodzinę. - Warknąłem i odszedłem.

Warkocz w większości zignorowała moje słowa, bo skupiała się na moich dolegliwościach.

- Czy wiesz, na czym polega jego... problem, doktorze? - spytała.

- Hoid ma tyle problemów, że nie da się ich zliczyć. - Ulaam przeglądał zawartość szuflad nad stołem. - Na twoim miejscu nie kłopotałbym się jego sytuacją. On niemal radzi sobie z rozwiązywaniem węzłów równie dobrze jak z ich tworzeniem.

Pokiwała głową i spojrzała z ukosa na koję. Kiedy Ulaam wyjdzie, czy mogłaby się znów zdrzemnąć? Czy też dostałaby naganę za obijanie się?

- Tak... - rzucił w zamyśleniu Ulaam. - Hoid powinien wiedzieć, że nie należy wtrącać się w sprawy Czarodziejki. Właściwie pewnie wiedział. To przerażające, jak rzadko pozwala, by wywierało to jakikolwiek wpływ na podejmowane przez niego decyzje.

Warkocz przeszedł dreszcz, który odpędził wszelkie myśli o drzemce.

- Czarodziejki?

- Hm? Tak, a jak myślisz, co się z nim stało? Robi dobrą minę do złej gry i udaje, że jest zwyczajnym idiotą, ale zapewniam cię, że jest niezwykle. Naprawdę nadzwyczajny. Zawsze powtarzam, że kiedy kłopotczą cię kłopoty, należy trzymać plecy prosto! Najlepiej więcej niż jedno.

- Na tym statku jest ktoś... - Warkocz ostrożnie dobierała słowa - ...kto zna drogę do Czarodziejki? Kto był tam wcześniej i uszedł z życiem?

- Zasadniczo tak. Ale nie mam bladego pojęcia, jak Hoid to zrobił... Znalazłem go w takim stanie, kiedy przybyłem na tę planetę w odpowiedzi na jego list.

- Na... planetę? To znaczy pochodzisz z gwiazd?

Słyszała opowieści o gościach z gwiazd, ale uważała je za fantazje. Nawet jeśli wydawało się, że jest ich coraz więcej, w każdym razie tak mówili marynarze.

- Hm? Och, owszem. Tak naprawdę nie z gwiazdy, ale z planety, która krąży wokół niej. W każdym razie wątpię, by udało ci się wyciągnąć coś użytecznego z Hoida, dopóki działa ta kłątwa.

Warkocz odsunęła na bok myśli o tak odległych miejscach - i kubkach, które musieli tam mieć. Istniał... ktoś, kto mógł pomóc jej odnaleźć Charliego! Hoid mógł być jej rozwiązaniem! Poczula nagły przypływ ulgi, a później gwałtowne przerażenie. Gdyby zeszła ze statku, nigdy by się nie dowiedziała.

Usiadła z oszołomioną miną, uświadamiając sobie, że to ja byłem kluczem, którego potrzebowała. W końcu wymyśliła realny plan, taki, który może udałoby jej się zrealizować. Dowiedzieć się ode mnie, jak dotrzeć do Czarodziejki, a być może również, jak sobie z nią poradzić.

Wciąż była to onieśmielająca perspektywa. Ale lepsza niż to, co miała wcześniej. I kiedy tak siedziała, doszła do wniosku, że być może ta załoga - życzliwi ludzie na pokładzie, uwięzieni we własnym więzieniu - była dokładnie tym, czego potrzebowała, by uratować Charliego.



Istnieje dwanaście mórz – wyjaśniała Ann, siedząc na relingu i miarowo stukając piętami w drewno. – I stąd dwanaście rodzajów zarodników. Jak mogłaś tego nie wiedzieć?

– Całe życie spędziłam w małym górniczym miasteczku – wyjaśniła Warkocz. – Tak, zawsze rozmawialiśmy o tym, że jest dwanaście mórz i dwanaście księżyców. Ale w ciągu ostatnich kilku dni do-wiedziałam się tak wiele, że uznałam, że powinnam potwierdzić takie rzeczy.

Ona ma rację, że pyta. Fort uniósł tabliczkę. W końcu istnieje trzynaście rodzajów zarodników.

– Wcale nie – sprzeciwiła się Ann. – Nie rozpowiadaj tego kłamstwa.

To nie kłamstwo. To legenda. Coś zupełnie innego.

– Właściwym określeniem jest bzdura. Ludzie nie umieją się nawet zdecydować, jaki kolor mają te „kostne zarodniki”. Są czarne czy białe? A może takie i takie? Posłuchaj, Warkocz. Istnieje dwanaście rodzajów zarodników.

Warkocz pokiwała głową. Znajdowali się na dziobie statku, na górnym pokładzie, w pobliżu przedniej armaty. Warkocz nie była zaskoczona, że znalazła tam Ann – tyczkowata cieśla często kręciła się w pobliżu armaty i posyłała jej spojrzenia jak zakochana nastolatka. Warkocz zaskoczyło jednak, kiedy tego ranka zobaczyła Forta, który siedział na pokładzie i cerował skarpetki. Częściowo zdążyła go już uznać za element stałego wyposażenia jego kajuty.

Warkocz starannie przeliczała woreczki z zefirowymi zarodnikami w beczce przy armacie. Spytała Laggarta, a on powiedział, że powinni mieć pod ręką czterdzieści. Uznała, że przeliczanie ich było dobrym pretekstem, żeby przenieść je z beczki do aluminiowej skrzynki, która chroniła je przed srebrem na statku.

– Dwanaście mórz – powiedziała Warkocz. – Ile z nich widziałaś, Ann?

- Trzy - odparła z dumą. - Szmaragdowe Morze, Szafirowe Morze i Różane Morze.

Imponujące napisał Fort.

- Wiem.

Ja odwiedziłem dziesięć.

- Co takiego? - Ann usiadła prosto. - Kłamca.

Dlaczego miałbym kłamać?

- Całkiem dosłownie jesteś piratem. Wszyscy wiedzą, że tym typom nie można ufać.

Fort przewrócił oczami i wrócił do cerowania skarpetek. Warkocz zawahała się i spojrzała na skrzynkę z woreczkami. Ten ostatni był dwudziesty drugi czy dwudziesty trzeci? Z cichym jękiem włożyła je wszystkie z powrotem do beczki i zaczęła od początku.

- Które dwa? - spytała Ann, trącając Forta, żeby podniósł wzrok. - Których dwóch nie odwiedziłeś?

Nietrudno to zgadnąć.

- Północne i Szkarłatne?

Pokiwał głową.

- Północne Morze - powiedziała Warkocz, nie przerywając liczenia. - To tam mieszka Czarodziejka.

- Ano - zgodziła się Ann. - A Szkarłatne Morze to dziedzina smoka. Ale nie z tego powodu ludzie je omijają. Chodzi o zarodniki, Warkocz. Musisz to wiedzieć, jeśli masz kielkować. Większość typów zarodników jest śmiertelnie niebezpieczna, ale te dwa są wręcz mordercze. Trzymaj się z dala od szkarłatnych i północnych zarodników, dobrze?

- Dobrze. Ale żeby dostać się do Północnego, trzeba przepłynąć przez Szkarłatne, prawda? Więc mało prawdopodobne, żebym to kiedyś zrobiła. - Warkocz zmarszczyła czoło. - Dlaczego trzeba przepłynąć przez jedno, żeby dotrzeć do drugiego? Nie można opłynąć Szkarłatnego, żeby znaleźć się na Północnym?

- Nie, chyba że potrafisz przepłynąć przez kilka łańcuchów górskich - wyjaśniła Ann. - Cóż, pewnie mogłabyś opłynąć cały świat, a później dostać się na Północne od tyłu.

To jeden z powodów, dla których zamieszkała tam Czarodziejka dodał Fort. Ona kontroluje handel w tym rejonie - przejście łączące planetę. Tylko jej statki mogą pływać po Północnym.

- Ale od wielu lat nie ma już handlu - zauważyła Ann. - Król nie chce płacić ceł, więc trwa wojna.

Jakby on myślał, że może ją pokonać. Fort pokręcił głową. Nie udało mu się nawet przepłynąć Szkarłatnego. To zbyt niebezpieczne.

Warkocz pokiwała głową. To brzmiało jak rzeczy, które powinna już wiedzieć. Musiała nadrobić zaległości, ale po raz drugi ucieszyła się, że nie opuściła tych ludzi. Uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej tylko jeden członek załogi osobiście zetknął się z Czarodziejką - ale wszyscy mieli informacje mogące jej pomóc.

- Jest tu dwadzieścia pięć woreczków - powiedziała, kończąc pracę. - Czyli muszę zrobić jeszcze piętnaście.

- I nie zdmuchnąć sobie przy tym twarzy - dodała Ann.

- Nie zdmuchnęłam jej.

- Formalnie rzecz biorąc, jestem pewna, że niektóre jej kawałki zostały usunięte. Szkoda, że dostałaś tę maść. Wyglądałabyś na prawdziwą twardzielkę z paroma bliznami na twarzy.

Na te słowa Warkocz wzruszyła niezobowiązująco ramionami. Później, kiedy Ann znów zaczęła zameczać Forta, dziewczyna cichutko podniosła zasuwkę otwierającą drugie dno beczki i policzyła. Pięć ukrytych kul armatnich, każda odrobinę większa od jej dłoni.

Z pomocą Hucka, który stał na warcie, Warkocz wzięła kilka zwykłych kul z ładowni statku. Nikt ich nie pilnował. Kto by je ukradł? Ale teraz, starając się powstrzymać przed spoceniem się z nerwów, zaczęła wysuwać je z worka i wymieniać na te pod drugim dnem beczki.

Była pewna, że ktoś ją zauważy. Ale ludzie rzadko obserwują was tak uważnie, jak wam się wydaje - są za bardzo pochłonięci przejmowaniem się, że to wy ich obserwujecie. Dlatego Warkocz udało się wymienić, jedna po drugiej, tajne kule Laggarta na zwyczajne. Później zamknęła drugie dno i umieściła na nim dwadzieścia pięć woreczków z zarodnikami.

Kiedy to zrobiła, wytarła starannie ręce i nie dotknęła maski. Każdy może przypadkiem wybuchnąć sobie w twarz - komu w końcu się to nie przytrafiło? - ale jeśli zrobi to dwa razy z rzędu, wychodzi na głupka.

Warkocz mocno zacisnęła wiązanie worka. Nadal nie wiedziała, co zrobić z kulami, przy których majstrowano. Ukryć je w swojej kajucie? W tajemnicy wyrzucić ze statku?

- Hej, Warkocz - powiedziała Anna. - Kiedy będziesz robić woreczki, mogłabyś zrobić kilka dodatkowych dla mnie? Żebym mogła poćwiczyć?

- Czemu nie - odparła Warkocz. - Zakładając, że kapitan się zgodzi.

- Jasne. Oczywiście. - Ann powiedziała to tonem kojarzącym się ze sposobem, w jaki wy moglibyście mówić o projekcie, który zamierzacie dokończyć „jutro”. Odeszła, ale wcześniej musnęła palcami armatę.

Fort skupiał się na pracy, więc przegapił ich rozmowę. Choć jego stan wiąże się z wieloma trudnościami, muszę powiedzieć, że zawsze zazdrościłem mu zdolności do - poprzez odwrócenie wzroku - całkowitego wycięcia ze swojego życia większości głupot, które mówią ludzie.

Warkocz usiadła na pokładzie przed nim, przyciągając jego uwagę.

- O co chodzi z Ann i armatami? Myślałam, że jest asystentką okrętowego mistrza artylerii?

Pewnie nadal nią jest napisał Fort. Nie została oficjalnie usunięta ze stanowiska. Ale w najbliższym czasie nie będzie z nich strzelać.

Warkocz zapało dech w piersi.

- Co ona zrobiła? - szepnęła, nachylając się.

Szepczesz? odpisał Fort.

- No... tak.

To urocze.

- Ann. Opowiesz mi o niej czy nie?

A co mi dasz za tę informację?

- Czy my musimy za każdym razem negocjować, Forcie? Nie możemy porozmawiać jak przyjaciele?

Ale negocjacje to najciekawsza część! Chodzi o to, czego dowiaduję się o tobie. Czy jesteś gotowa oddać to, co jest dla ciebie cenne. No dalej. Nie ekscytuje cię próba dobicia najkorzyst-

niejszego targu?

– Ja... nie wiem.

Co mi powiesz, żeby skłonić mnie do opowiedzenia o Ann? Informacja za informację. Wiesz, odwracasz moją uwagę od reperowania skarpetek. Nie mogę jednocześnie szyć i patrzeć na tablicę. Czyli jesteś mi coś winna.

– Ale ja nie mam nic ciekawego na wymianę.

Ach tak? A dlaczego tu jesteś? Co opętało miłą dziewczynę z małego miasteczka, że ukradła płaszcz celniczki i udaje piratkę?

Pochyliła się i odezwała cicho, ignorując to, co powiedział wcześniej.

– Moja niewiedza jest aż tak oczywista?

Dziewczyno, jeśli zanim cię znaleźliśmy, żeglowałaś po morzu zarodników dłużej niż przez tydzień, zjem to, co sam ugotowałem. Więc dlaczego tu jesteś?

– Szukam kogoś. Kogoś, kto jest mi bardzo drogi.

Ach. Czyli przeszukujesz morza, jak Salay. Masz nadzieję, że w kolejnym porcie w końcu znajdziesz skarpetkę, którą... Wykasował to ostatnie. Przepraszam. Tabliczka nie zawsze dobrze przewiduje. Masz nadzieję, że znajdziesz OSOBE, którą utraciłaś.

Warkocz spojrzała ponad statkiem na sterniczkę, która stała niewzruszona jak maszty, unieruchomiona w swoim miejscu na pokładzie rufowym, z obiema rękami na kole sterowym. Jak zwykle jej ciemne oczy wpatrywały się w horyzont z tego rodzaju głębokim skupieniem, które ludzie zazwyczaj rezerwują dla najważniejszych zadań, jak znalezienie ostatniego cukierka w torebce pełnej papierków.

Nieprzerwanie poszukiwała ojca. W obliczu determinacji Salay wyprawa Warkocz wydawała się śmieszna.

– To... nie jest to samo – powiedziała Fortowi. – Salay nie ma pojęcia, gdzie znajdzie ojca. Ja doskonale wiem, gdzie jest Charlie.

Fort trzącił ją po chwili.

Ach tak? napisał. W takim razie potrzebujesz tylko oszczędzić trochę pieniędzy, żeby do niego dotrzeć?

– Obawiam się, że jest gorzej. Ma go Czarodziejka. Zaatakowała jego statek. Wzięła go do niewoli.

Fort się przygarbił.

Och. Przykro mi.

– Ano. Właściwie nie wiem, co robię, Forcie. Ale muszę do niego dotrzeć. – Skrzywiła się. – Powiedziałam, że najpewniej nigdy nie dopłynę na Północne. To było w pewnym sensie kłamstwo. Jestem zdeterminowana, by tam dotrzeć. Jakoś.

Jeśli Czarodziejka zaatakowała jego statek, jest martwy. Przykro mi. Najpewniej powinnaś o nim zapomnieć.

– On żyje. Zażądała okupu od króla za uwolnienie Charliego. Pomyślałam... że może udałoby mi się zarobić dosyć, żeby przekonać króla do zapłacenia go.

Warkocz, Czarodziejka nie żąda pieniędzy jako okupu. Domaga się dusz, zwykle z królewskiego rodu. Zwykle pieniądze by jej nie zadowolily.

Warkocz zarumieniała się i poczuła się jak całkowita wariatka. Już wcześniej sobie uświadamiała, że nigdy nie uda jej się kupić jego wolności, ale mimo to głębia jej ignorancji była niepokojąca. Jak ryba, która dokładała wszelkich wysiłków, by wyskoczyć ze zbiornika, by uciec, próbowała rozwiązać problem, zanim zastanowiła się, czy w ogóle rozumie swoją sytuację.

Posłuchaj, jeśli ten Charlie został zakładnikiem, najpewniej jest szlachetnie urodzony. Zgadza się?

- Tak - szepnęła Warkocz.

Tej bandy nie obchodzą ludzie tacy jak my. Przykro mi, ale to prawda. Najlepiej zapomnij o nim.

- Może.

Cóż, dałaś mi informację. To uczciwe, jeśli w zamian dam ci to, czego pragniesz. Mogę ci opowiedzieć o Ann.

- Nie musisz mi mówić niczego ważnego, Forcie. Nie musisz przyjmować tego w zamian.

Ach. Ale informacje o Ann nie mają większej wartości. Wszyscy je znają. I tak wkrótce byś się dowiedziała.

- Zachowywałaś się, jakby to była wielka tajemnica!

Nie. Spytałem jedynie, na co chcesz się wymienić. Uśmiechnął się, trącił jej ramię knykiem i pisał dalej. Nie rób tak oburzonej miny. Okazywanie emocji ułatwia ludziom dobitcie z tobą targu, który jest korzystny dla nich. Tę informację daję ci za darmo. Ann dostała pracę asystentki mistrza artylerii, bo poprosiła o nią po tym, jak poprzedni umarł. Ale nikt nie pomyślał, żeby najpierw kazać jej wystrzelić z jednej z tych przeklętych armat.

- I...?

Ta kobieta celuje gorzej niż pijak jadący na trzynogiej lamie. Raz strzelała z pistoletu do celu, a udało jej się prawie trafić we MNIE - a ja stałem obok niej. Kiedy po raz pierwszy stanęła przy armacie, wycelowała tak źle, że jedynym, co nie znalazło się w niebezpieczeństwie, był jej cel.

- Na księżycze. Może... musi tylko trochę poćwiczyć?

W takim razie pozwolę, byś ją uczyła. Będę siedział bezpiecznie zamknięty w swojej kajucie, może założę też pancerz. Fort spojrział na nią z ukosa. Niektóre rzeczy nie są człowiekowi przeznaczone. Czasami trzeba to po prostu zaakceptować.

- Mówisz o mnie. I Charliem.

Może. Posłuchaj, Warkocz. Nawet jeśli on wciąż żyje, Czarodziejka z pewnością przekłęta go jak biednego starego Hoida. Wykorzystuje dużo różnych typów klątw, ale zawsze rzuca je na swoich jeńców, by poddać ich swoim wpływom.

- Skąd wiesz tak dużo na ten temat?

Kapitan mi powiedziała wyjaśnił Fort. Kiedy kazała mi dobić targu, żeby wziąć Hoida na nasz statek.

- Kapitan chciała mieć Hoida na statku? Dlaczego?

Nie wiem. Usłyszała o jego klątwie i wyprawie do Czarodziejki. Zdobycie go było kiepską okazją, bo jego dawni towarzysze z radością się go pozbyli. Ale kapitan nalegała.

Fort pokręcił głową, rozważając uszczerbek dla swojej reputacji, kiedy ludzie dowiedzą się, ile dał za to, żeby szaleniec został ich chłopcem okrętowym.

Tymczasem Warkocz była coraz bardziej zaciekawiona. Kapitan Wrona manipulowała członkami załogi, by zmienić ich w piratów, później zmusiła ich do zostania trupiarczami – bo chciała, żeby wypłynęli na niebezpieczne morza. I rozglądała się za kimś przeklętym przez Czarodziejkę?

Czyżby kapitan sama chciała odwiedzić Czarodziejkę?

Warkocz spojrzała w stronę Wrony. A później zrobiła jeden krok, który odróżnia ją od ludzi w większości opowieści. Można by powiedzieć, że ten akt zdefiniował ją jako bohaterkę. Zrobiła coś tak niewiarygodnego, że z trudem potrafię wyrazić majestat tego.

Powinam się nad tym zastanowić, pomyślała Warkocz, i nie wyciągać pochopnych wniosków.



Może nie jesteście pewni, dlaczego ja, wasz skromny gawędziarz, robię o to tak wiele hałasu. Warkocz zatrzymała się, zaczęła mieć wątpliwości, czy przypadkiem nie wyciągnęła pochopnych wniosków i postanowiła ponownie rozważyć sytuację? Nic szczególnego, prawda?

Błąd. Wielki, miażdżący duszę błąd.

Dawcy Światów tacy jak ja całe dziesięciolecia przeszukują ludowe klechdy, legendy, mity, historie i pijackie przyspiewki, próbując odnaleźć najbardziej wyjątkowe opowieści. Poszukujemy odwagi, sprytu, bohaterstwa. Tych cnót nie brakuje. W legendach jest ich mnóstwo.

Ale osoba, która jest skłonna ponownie rozważyć swoje przekonania? Bohater, który potrafi usiąść i zastanowić się nad swoim życiem? Cóż, to jest klejnot, który naprawdę się skrzy, przyjaciele.

Może wolelibyście opowiedzieć o kimś, kto stawia czoło smokowi. Cóż, to nie jest tego rodzaju historia. (Co jeszcze bardziej wyjątkowe, Warkocz w końcu to zrobi. Ale lepiej, żebym przestał wybiegać naprzód). Rozumiem, dlaczego pragniecie usłyszeć opowieści o ludziach takich jak Linji, który próbował opłynąć świat bez Aviara.

Ja jednak wymienilibym dziesiątki Linjich na jedną osobę, która jest gotowa usiąść na jedną przeklętą minutę i zastanowić się nad tym, co robi. Wiecie, jak wielu wojnom można by zapobiec, gdyby choć jedna osoba u władzy zastanowiła się przez chwilę: „Wiecie co, może powinniśmy to sprawdzić, może mrugnienie dwa razy w ich kulturze nie jest obelgą”?

Wiecie, jak wiele wspaniałych romansów uniknęłoby tragedii, gdyby bohater pomyślał: „Wiecie co, może powinienem ją najpierw spytać, czy w ogóle mnie lubi”?

Wiecie, jak wiele przedłużających się przygód mogłoby się skrócić, gdyby bohaterka dała sobie chwilę na zastanowienie: „Wiecie co, może powinnam bardzo starannie się upewnić, czy tego, czego poszukuję, nie miałam przez ten cały czas przy sobie”?

Tonę w odwadze, sprycie i bohaterstwie. I grzecznie proszę, żebyście zamiast tego dali mi odrobinę zdrowego rozsądku. W tej chwili Warkocz była wręcz majestatyczna.

Potrzebuję więcej informacji, pomyślała. Zanim uznam, że wiem, na czym polega plan kapitan. Muszę znaleźć sposób, by ją szpiegować. Może znów skorzystam z pomocy Hucka.

Pokiwała głową – i w tej właśnie chwili Warkocz oszczędziła sobie ogromnych problemów. Plan kapitan ostatecznie nie miał nic wspólnego z Czarodziejką, ale za to wiązał się z tym, dlaczego załoga tak bardzo się jej bała.

Warkocz podniosła swój worek – udając, że nie jest pełen kul armatnich, co było równie trudne, jak się wydaje – i zniosła go do armaty rufowej, która znajdowała się na pokładzie rufowym. Tam dokonała podobnej podmiany (umieszczając kule, które wyjęła, w osobnej torbie wewnątrz większego worka), licząc jednocześnie zefirowe woreczki.

Później zaciągnęła torbę pod pokład i schowała ją w swojej kajucie. A następnie wyruszyła na poszukiwanie mnie. Zazwyczaj byłaby to jasna oznaka jej zdrowego rozsądku. Każdemu przyda się odrobinę więcej Trefnisia w ich życiu. Poza mną. Mógłbym zrzucić funt albo dwa.

Niestety, w czasie tego rejsu nie byłem w najbardziej korzystnym stanie umysłu. Kiedy mnie znalazła, grałem w karty z grupą Dougów. Na szyi nosiłem but, wiszący na sznurówkach, bo uznałem, że w następnym sezonie będzie to absolutny krzyk mody. Zapomniałem włożyć spodnie, jak to bywa, a mojej bieliznie przydałoby się pranie. Właściwie dotyczyło to całego mnie.

Próbowałem grać w grę, którą sam wymyśliłem i nazwałem „Królowie”, w której wszyscy trzymają karty odwrotnie, więc nie wiecie, co się wam trafiło, za to wiedzą to pozostali gracze. Teraz mogę sobie wyobrazić kilka ciekawych zastosowań tego pomysłu – ale wtedy jedyną interesującą rzeczą było, jak szybko Dougowie wygrali ode mnie całą wypłatę, a później but.

Nadal nie mam pojęcia, co zrobiłem z drugim.

Kiedy Dougowie skończyli oskubywanie mnie z resztek tego, co miałem, poszli sobie, żeby znaleźć inną ofiarę. Ja siedziałem i zastanawiałem się, czy może powinienem zacząć nosić skarpetkę na szyi, aż Warkocz usiadła obok mnie.

– Chciałabyś zagrać w Królów? – spytałem, szczerząc zęby. – Nadal mam bieliznę, którą mogę postawić!

– Nie, dziękuję. Hoidzie, wiem, że odwiedziłeś Czarodziejkę. Czy... pamiętasz cokolwiek z tego?

– Aha!

– Doskonale! Co możesz mi powiedzieć?

– N... n... n... nie mogę! – Postukałem się w głowę. – Słowa tak nie działają, dzieciaku. Ona zmienia je w coś innego!

– Nie rozumiem.

– Ja też nie! – odpowiedziałem. – I w tym problem! Nie mogę powiedzieć zupełnie nic o tym, o czym mogłabyś pomyśleć! To z... z... z... – Wzruszyłem ramionami, bo nie potrafiłem

wykrztusić słowa.

– Twoja... kłątwa nie pozwala ci mówić o kłątwie? – domyśliła się Warkocz.

Mrugnąłem. Głównie dlatego, że coś mi wpadło do oka. Ale w tym przypadku Warkocz dobrze zgadywała. Każde *geas* Czarodziejki było bardzo szczegółowe – jeśli ktoś próbował coś o nim powiedzieć, jąkał się albo słowa zamierały mu na wargach. Nie można nawet było powiedzieć ludziom, że jest się przeklętym, o ile sami już tego nie wiedzieli.

– Czyli jeśli chcę, żebyś zaprowadził mnie do Czarodziejki, muszę znaleźć jakiś sposób, żeby zdjąć z ciebie kłatwę... choć nic o niej nie wiem. Poza tym muszę to zrobić bez żadnej pomocy z twojej strony.

Wzięłam ją za ręce. Spojrzałem jej w oczy. Odetchnąłem głęboko i zadrżałem.

– Raz zjadłem całego arbuza za jednym posiedzeniem – powiedziałem jej. – I dostałem biegunki.

Warkocz westchnęła i uwolniła ręce.

– Dobrze, dobrze. Pewnie znalezienie sposobu na zdjęcie z ciebie kłątwy jest odrobinę mniej niemożliwe niż samodzielne znalezienie przeze mnie drogi do Czarodziejki. To już coś.

Część mnie – ukryta głęboko – wciąż wiedziała, co się dzieje. Takie było okrucieństwo Czarodziejki. Owszem, uczynienie z człowieka głupka to niezła zabawa – ale prawdziwa tortura kryje się w pozostawieniu mu dość świadomości, by był przerażony.

Ta świadoma część mnie próbowała znaleźć jakiś sposób, żeby pomóc. Ulaam, rzecz jasna, okazał się bezużyteczny. Na tym polega problem z nieśmiertelnymi – są przyzwyczajeni do siedzenia i czekania, aż ich problemy rozwiążą się same.

Ale oto pojawił się ktoś gotów pomóc. Co mogłem powiedzieć? Co mogłem zrobić? Jedynie skrawek mnie był wciąż świadomy i właściwie nie miał nad niczym kontroli. Poza tym za każdym razem, kiedy próbowałem powiedzieć coś o swoim kłopotliwym położeniu, kłątwa się uruchamiała, cofając mnie i skłaniając do zrobienia czegoś potwornego, na przykład noszenia skarpetek do sandałów.

Ten przebłysk świadomości zaczął gasnąć. A ja to pochwyciłem. Moja własna głupota. Kłątwa, jak wiele podobnych rodzajów magii, zależała od tego, co myślał jej obiekt – od jego Intencji. Wiedziałem, że mogę to wykorzystać.

Iskra rozgorzała, niczym ogień o północy, kiedy poruszyć węgle. Sięgnąłem do Warkocz i oczyściłem umysł, jednocześnie zmuszając się do wypowiedzenia szeregu słów.

– Posłuchaj, to ważne – powiedziałem do niej. – Obiecuję. Musisz sprowadzić mnie na swoją planetę, Warkocz. Powtórz to.

– Sprowadzić cię... na moją planetę.

– Tak, tak! Mogę cię ocalić, jeśli to zrobisz.

– Ale ty już jesteś tutaj!

– Tutaj co? – spytałem, bo celowo zapomniałem, co powiedziałem wcześniej. – Planety nie mają znaczenia. Na razie poszukaj grupy sześciu gwiazd, Warkocz!

Dziewczyna się zawahała. Sześć gwiazd? Niestety, ten okrzyk wyczerpał moją siłę. Znów usiadłem, uśmiechnąłem się głupkowato i postanowiłem przeprowadzić doświadczalne badania smaku poszczególnych palców u moich stóp.

Warkocz z westchnieniem wróciła do swojej kajuty. Zostawiła drzwi otwarte dla Hucka, nie była więc zaskoczona, kiedy przybyła i usłyszała... Skomlenie?

Wpadła do kajuty i zobaczyła, że pokładowy kot – Łomot – kuca i wpatruje się w przestrzeń pod łóżkiem, machając miarowo ogonem. Warkocz wyrzuciła go za drzwi i zatrzasnęła je, a w ciszy, która później nastąpiła, wyraźnie usłyszała odgłosy wydawane przez hiperwentylującego szczura.

– Huck? – spytała, przypadła do podłogi i zajrzała pod łóżko.

Dostrzegła go w kącie, wciśniętego w przestrzeń między drewnianą nogą łóżka a ścianę. Na jej widok podszedł do niej niepewnie, a ona podniosła go i poczuła, jak drży w jej dłoniach.

– Nie ma go – powiedziała. – Przepraszam, Hucku.

Nie odzywał się – była to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy wydawało się, że kompletnie zabrakło mu tchu i słów. Kulił się w jej dłoniach i wyglądał bardziej... cóż, bardziej jak szczur niż kiedykolwiek wcześniej.

W końcu się odezwał, a jego głos drżał.

– Może od tej pory zamykaj drzwi. W podłodze jest pęknięcie, ja się mogę przez nie przecisnąć, jeśli wejdę po słupku w korytarzu poniżej.

– W porządku. Czy... nic ci nie będzie?

Huck spojrział na drzwi.

– Jasne – szepnęła. – Daj mi trochę czasu. Ja... wciąż nie wierzę, że wzięli kota na pokład.

– Jesteś inteligentny, Hucku. Poradzisz sobie ze zwykłym kotem.

– Pewnie. Jasne. Żaden problem. Ale, Warkocz... ja sam nie wiem. On ciągle obserwuje. Krąży. Koty podobno śpią dwadzieścia sześć godzin na dobę. Jak mogę używać inteligencji, jak mogę planować, wiedząc, że on mnie obserwuje?

Po kilku minutach wyraźnie się rozluźnił. Skinał jej, więc postawiła go na wezłowskiu, a sama położyła się na łóżku i wpatrzyła w sufit – którym był górny pokład statku. Słyszała chodzących po nim marynarzy, tupot ich stóp. Skrzywienie drewna, kiedy statek się kołysał. Zarodniki wydawały nieustannie ciche, stłumiony odgłos, kiedy przesuwwały się obok. Jak szept. Ktoś podrapał część sufitu nożem. Prymitywne wzorki przecinających się linii.

– Mam nadzieję, że twój dzień był lepszy od mojego. – Huck siedział na wezłowskiu. Całe łóżko otaczała niska barierka, żeby uniemożliwić wypadnięcie, kiedy statek się kołysał.

– Był nieco frustrujący. Ale nie wydarzyło się nic zagrażającego mojemu życiu. – To, czego chciała, nie było aż tak ważne jak to, czego potrzebował on, i poczuła się winna, że skupia się na sobie. – Twój problem z kotem jest pilniejszy. Możemy lepiej go karmić, żeby nie miał ochoty na ciebie polować?

– Koty nie przestają polować dlatego, że są najedzone, Warkocz. W tej kwestii przypominają ludzi.

– Przepraszam. Na Skale nie mieliśmy kotów.

– To brzmi jak cudowne miejsce.

– Było słodkie i spokojne. I choć smog nad miasteczkiem jest koszmarny, ludzie zwykle odnoszą się dobrze do siebie nawzajem. To dobre miejsce. Uczciwe miejsce.

- Chciałbym kiedyś się tam udać. Wiem, że jesteś żadna przygód, ale ja miałem ich już dosyć.

- Mógłbyś odejść. Nie musisz ze mną zostawać, Hucku.

- Już masz mnie dosyć?

- Co takiego?! - Usiadła. - Nie to miałam na myśli!

- Jesteś zbyt uprzejma, dziewczyno. - Zmarszczył nos. - Założę się, że o szczurach wiesz mniej niż o kotach. Spróbuj sobie wyobrazić, że jesteś rozmiarów mniej więcej kanapki i większość świata uważa cię za coś równie smacowego. Zaufaj mi, zrobiłabyś wtedy to, co ja.

- To znaczy?

- Chciałabyś znaleźć sobie pełnego współczucia człowieka i trzymać się blisko niego. Poza tym mam dobre przecucia co do ciebie, pamiętasz?

- Chyba musisz mieć gdzieś rodzinę?

- Owszem, ale oni się mną zbyt nie przejmują.

- Czy są... tacy jak ty?

- To znaczy, czy umieją mówić? Tak. - Huck zawahał się i przechylił łebek, jakby szukał najlepszego sposobu, by to wyjaśnić. - Pochodzę z miejsca bardzo podobnego do tego, z którego przybyłaś. Tacy jak my mieszkali tam od pokoleń. Ale moi krewniacy uznali, że czas odejść. Zobaczyć świat. Wyciągnęli mnie dla mojego własnego dobra. Nie poszło dobrze. Nie spodobałoby im się, że zostałem twoim towarzyszem. Widzisz, nie powinienem rozmawiać z takimi jak wy. Mimo to, jak mówiłem, mam dobre przecucia co do ciebie. I dlatego trzymam się blisko. Ale z pewnością nie miałbym nic przeciwko, gdybyś zdecydowała... z własnej i nieprzymuszonej woli... że skierujesz się do jakiegoś mniej ekscytującego miejsca...

Warkocz próbowała to sobie wyobrazić. Kraina pełna gadających szczurów? To brzmiało egzotycznie i interesująco. Dwanaście mórz było dziwnym i niewiarygodnym miejscem, pełnym cudów. Huck wciąż mówił, opowiadał jej o swoim życiu jako szczur. A jego głos brzmiał uspokajająco. Łagodził jej niepokój i zaczęła się rozluźniać, a jej wzrok przesunął się po rzeźbieniach na suficie. Ktoś - być może jej poprzednik - poświęcił dużo czasu, by je zrobić. Właściwie... czy te przecinające się linie nie wyglądały... jak gwiazdy?

Warkocz usiadła, przerywając Huckowi. Przebiegł po barierce łóżka obok niej.

- O co chodzi?

Gwiazdy. Wyrzeźbione w małych grupkach. Pojedyncza gwiazda tam, dalej dwie gwiazdy blisko siebie obok. Następnie trzy... na całym drewnianym suficie, jakby ktoś stał na łóżku z nożem i drapał je czubkiem ostrza.

Ale nie ma grupy sześciu gwiazd, pomyślała.

- O co chodzi? - spytał Huck. - W co się tak wpatrujesz?

- Nic takiego. - Warkocz znów opadła na łóżko. - Przez chwilę myślałam, że Hoid powiedział coś ważnego.

- Słuchałaś go? Warkocz, myślałem, że jesteś bystra, jak na człowieka. Hoid jest... sama wiesz.

- Powiedział coś o sześciu gwiazdach. Ale nie ma grupy sześciu gwiazd.

- Widzę. Mówiłem ci, że to szaleniec, Warkocz. Nie ma sensu zastanawiać się, co miał na myśli.

- Pewnie tak.

- Poza tym to wygląda bardziej na wybuchy - zauważył Huck. - Gwiazdy są pod łóżkiem.

Warkocz zamarła, po czym zeskoczyła z łóżka i wciągnęła się pod nie. Dno ramy również było rzeźbione - i te wzory rzeczywiście bardziej przypominały gwiazdy. Wśród nich znajdowała się jedna grupa sześciu gwiazd. Czując się tak, jakby sama poddawała się szaleństwu, dziewczyna nacisnęła na nie.

Rozległ się trzask i z boku ramy otworzyła się niewielka klapka. Wewnątrz Warkocz znalazła nieduży aluminiowy pojemnik wielkości pudełka zapalek. Huck wspiał się na jej ramię, kiedy je otworzyła.

W środku znalazła zarodniki czarne jak północ.



S kąd o tym wiedziałem?

Chyba już słyszeliście. Jestem mistrzem znajdowania się w miejscach, w których nie powinno mnie być. Mam wrodzony szósty zmysł wyczuwania tajemnic. W obecnym stanie być może uważałem, że kamizelka bez koszuli pod spodem jest absolutnym szczytem mody, ale wciąż byłem w pełni zdolny do odrobiny konstruktywnego węszenia.

Warkocz zaparło dech w piersi. Huck syknął cicho.

Północne zarodniki. Jakimś cudem Weev dostał w swoje ręce północne zarodniki. Przypomniały jej się słowa kapitan, że wszyscy kielkowacze byli – w mniejszym lub większym stopniu – szaleni.

Weev, jak pomyślała, mógł być odrobinę bardziej. (Warkocz była tu uprzejma. Ja nazwałbym go bardziej szalonym od koktajlu z nitrogliceryną).

– Odlóż je – powiedział Huck. – Nie, lepiej, rozsmaruj je na srebrze. Zabij je, Warkocz. Północne zarodniki są niebezpieczne.

– W jaki sposób? Co robią?

– Straszliwe rzeczy.

– Wszystkie zarodniki robią straszliwe rzeczy. Co takiego robią te w szczególności?

– Ja... nie wiem – przyznał Huck. – Ale wydaje mi się, że trzymasz je stanowczo zbyt swobodnie.

Możliwe. Ale niebezpieczeństwo jest jak lodowata woda – można się do niego przyzwyczaić, jeśli robi się to powoli. Schowała pudełeczko zarodników z powrotem do ukrytej komory. Musiała sprawdzić, czy Ulaam wiedział...

Podskoczyła, kiedy na górze zabrzmiał dzwon. Trzy szybkie uderzenia, ostrzeżenie dla wszystkich na pokładzie. Na horyzoncie spostrzeżono statek i kapitan postanowiła go gonić.

Warkocz wyszła ze swojej kajuty, ale później stanęła w korytarzu, nie chcąc stać na drodze Dougów, którzy śpieszyli na górny pokład. Oczekiwanie było nieznośne, bo nie chciała niczego przegapić.

Nie musiała się przejmować.

Kiedy w końcu dotarła na pokład, zobaczyła Dougów tłoczących się niepewnie w pobliżu relingu i spoglądających na odległy statek. Jak zwykle, na maszcie *Pieśni Wrony* łopotała bandera królewskiego statku kupieckiego. Nie zamierzali ogłosić swojej pirackiej natury aż do odpowiednio dramatycznej chwili. Niczym zwrot akcji w trzecim akcie sztuki, z dodatkiem zuchwałej kradzieży.

Nastąpiła długa pogoń, która zajęła pięć godzin.

Pieśni Wrony była szybsza od większości statków, szczególnie kiedy zrzuciła balast, który wykorzystywała, by zanurzyć się głębiej wśród zarodników, naśladując statek kupiecki z ładownią wypełnioną towarami. Ale „szybkość” była pojęciem względnym na morzu zarodników, gdzie kipienie mogło się w każdej chwili skończyć albo zacząć.

Warkocz nie uświadamiała sobie, jak niezwykle było to, że jej pierwsza jednostka została zaskoczona. Druga pogoń wymagała ciężkiej pracy załogi i sterniczki, powoli, ale nieubłaganie doganiających zdobycz.

Godziny sprawiały, że Warkocz wypełniało narastające napięcie. To było to. Ostateczna próba jej planu podmienienia kul armatnich. Robiła się coraz bardziej przekonana, że jej się nie udało. Z pewnością ktoś odkrył, co zrobiła. Z pewnością nie była dość sprytna, by oszukać doświadczonych zabójców w rodzaju Laggarta i kapitan.

Serce niemal wyskoczyło jej z piersi, kiedy Wrona wykrzyknęła rozkaz:

– Wycelować armatę dziobową! Wszyscy marynarze, do broni!

Dougowie pobiegli po muszkiety – choć statek, który gonili, wciąż był daleko. Warkocz nie próbowała się uzbroić. Biorąc pod uwagę, że właściwie nigdy nie strzelała z muszkietu, doszła do wniosku, że jeśli zamierza zachować wszystkie palce, najlepiej będzie utrzymać ten stan rzeczy.

– Strzał ostrzegawczy, mistrzu artylerii! – krzyknęła Wrona.

Warkocz wstrzymała oddech. Laggart z trzaskiem przekręcił armatę i spojrział przez lunetę, po czym za pomocą innej dźwigni uniósł lufę armaty o kilka cali. Kontynuował ten proces, dokładnie i szczegółowo, nanosząc poprawki. W końcu z wiadra obok jego stanowiska wyciągnął mokrą laskę strzelniczą.

Dotknął nią panewki, co wywołało gwałtowny wybuch zefirowych zarodników. Kula poszybowała prosto w stronę uciekającego statku. To nie był strzał ostrzegawczy – to miało być kolejne „przypadkowe” bezpośrednie trafienie – które miało zatopić, nie przestraszyć. Warkocz słyszała, jak Ann mamrocze, wpatrując się w trajektorię kuli.

Warkocz zacisnęła zęby i czuła coraz większe przerażenie na myśl o biednych marynarzach na tym statku.

A później, właściwie w ostatniej chwili, kula armatnia się rozpadła. Zaprojektowana, by detonować jak pocisk mózdzierzowy, zalała wodą burtę statku-zdobyczy, ale pozostawiła kadłub nietknięty. Odpowiedź morza była, rzecz jasna, oczywista. Z oceanu zarodników wyrwały się olbrzymie macki z pędów, które owinęły się wokół mokrej burty statku i pochwyciły go w morderczym uścisku. Nawet z tej odległości Warkocz była przekonana, że słyszy skrzypienie desek.

Ale kadłub statku nie pękł. Precyzyjny strzał unieruchomił jednostkę, zamiast ją zniszczyć.

Choć załoga wiwatowała – to oznaczało łatwe plądrowanie – Laggart zaklął cicho, a jego twarz poczerwieniała. Miała odcień paleniska tuż przed tym, jak wyciągacie z niego żelazo, a następnie zaczynacie walić w nie ze wszystkich sił.

Kapitan Wrona ruszyła przez pokład do armaty. Jej wściekłe spojrzenie mogłoby obedrzeć kota ze skóry, ale powiedziała tylko:

– Nie do końca nazwałabym to strzałem ostrzegawczym, mistrzu artylerii. Ale... bardzo czysto go pochwyciłeś.

– Dziękuję, pani kapitan. Przepraszam, że nie spełniłem waszej prośby. – Akcentował każdą sylabę, jakby chłostał dźwięki za opuszczenie jego warg.

Warkocz prawie zaczęła hiperwentylować z niepokoju. Czy Laggart patrzył na nią z miną bardziej niechętną niż zwykle? Czy wiedział? Jeśli podejrzewał podstęp, mogła być tylko jedna sensowna winna.

Kapitan sprawiała wrażenie, jakby chciała wydać rozkaz kolejnego strzału, ale wtedy spojrziała na wiwatujących Dougów. Nawet w głębi powykęcanego kawałka tłącego się węgla, którym było jej serce, rozumiała potrzebę dobrego morale na pokładzie. Szybki i łatwy łup mógł do tego doprowadzić.

– Wywieś piracką flagę, marynarzu Dougu – rozkazała.

W odpowiedzi ich zdobycz wystrzeliła w powietrze jasną flarę. Poddawali się. Dougowie znów wiwatowali. Warkocz zaczęła się uspokajać. To... to działało.

Niestety, kiedy *Pieśni Wrony* zbliżyła się do unieruchomionego statku, kipienie ucichło. *Pieśni Wrony* się zatrzymała, a to natychmiast popsulo humor wszystkim. Warkocz popatrzyła z niepokojem na Dougów. Na czym polegał problem? Takie przerwy zdarzały się każdego dnia.

– Ann? – Warkocz przysunęła się do niej. – Co się stało?

– Statek się poddał, bo wiedzieli, że zostali pokonani – powiedziała z napięciem cieśla. – Kiedy przytrzymywały ich pędy, my mogliśmy manewrować, a oni nie. Ale teraz my też utknęliśmy. Morze właśnie wyrównało tę rozgrywkę. I oni pewnie zastanawiają się, czy może nie powinni po prostu...

Urwała, kiedy z rufy drugiego statku uniosła się chmura niebieskich zefirowych zarodników. A później rozległ się trzask.

Następnie zaś świst i loskot, kiedy kula armatnia trafiła *Pieśni Wrony* prosto w dziób, w miejscu, w którym zarodniki stykały się z drewnem.



Dougowie krzyknęli i się rozbiegli. Ann wypowiedziała niezwykle paskudne przekleństwo powiązane z tym, co wychodzi z drugiego końca mewy.

- Świetnie strzelają – mruknął Laggart. – Trafic nas pierwszym strzałem? Mają naprawdę dobrego mistrza artylerii.

Wrona odsunęła na bok kilku Dougów i spokojnie uniosła broń. Wyglądała na... smuklejszą od starszych muszkietów, które nosili Dougowie, i miała inny celownik.

Choć *Pieśń Wrony* zbliżyła się do drugiego statku, Warkocz wciąż patrzyła oszołomiona, jak kapitan celuje z muszkietu we wroga, zamyka jedno oko i strzela. Mężczyzna na odległym statku – ten trzymający mokrą laskę strzelniczą, gdy jego asystenci ładowali armatę – upadł w fontannie krwi.

- Cóż – powiedział Laggart. – Pewnie mieli naprawdę dobrego mistrza artylerii.

- Cieśla i kielkowaczka – powiedziała głośno kapitan, opuściła muszkiet i zaczęła go ponownie ładować, wrzucając do wylotu lufy nieduży woreczek zefirowych zarodników. – Zostaliśmy trafieni. Kiedy znów zacnie się kipienie, nabierzemy pół morza... a wszyscy na tym statku dowiedzą się, jak smakują zarodniki. Może wykonałybyście swoją pracę i zapobiegły temu?

- Tak jest, pani kapitan! – Ann uniosła pistolet. – Dajcie mi tylko raz wystrzelić, zanim...

Co najmniej pół tuzina Dougów złapało ją za rękę, próbując wyrwać jej broń. Kapitan zignorowała ich, znów wycelowała i zabiła marynarza, który unosił kulę armatnią, żeby załadować nią wrogą armatę.

Warkocz nigdy nie widziała, żeby ktoś tak dobrze strzelał. Oczywiście nigdy wcześniej nie widziała, jak ktoś strzela. Mimo wszystko przyznam, że Wrona była jednym z najlepszych

strzelców, jakich ja widziałem. A jeśli wziąć pod uwagę, że prymitywne muszkiety zachowują się jak wąż, którego potraktowano prądem elektrycznym, to coś znaczy.

– Do roboty, Ann – powiedziała kapitan, spokojnie, a jednocześnie groźnie, głosem, który aż trząsał od lodu. – Albo mój następny pocisk nie będzie musiał dotrzeć do sąsiedniego statku.

– Na księżycocienie. – Ann zatoczyła się w stronę Warkocz. – Ci Dougowie naprawdę chcieli skorzystać z mojego pistoletu, co? Chodźmy wypełnić rozkaz kapitan. Przestań zwlekać, Warkocz! – Zeszła pod pokład, a Warkocz podążyła za nią.

– Masz swoje narzędzia? – spytała cieśla, kiedy dotarły na środkowy pokład.

– Jakie narzędzia? Ann, ja zostałam kielkowaczką dziś rano! Nie mam pojęcia, co robię.

– Racja, racja. – Ann otarła czoło. Nad ich głowami rozległ się wystrzał z armaty. – Potrzebujemy różanych zarodników. W kajucie Weeva powinno być ich mnóstwo.

Warkocz skinęła głową. Zaprowadziła Ann do kajuty, ale cieśla zatrzymała się w progu. Dziewczyna weszła do środka i zdjęła pokrywę z niedużej beczułki pełnej różanych zarodników.

– Weź ich trochę i umieść je w jednym z tych metalowych pudełek – poradziła Ann. – Tych, w których przenosi się zarodniki. Tak, to. Yyy... widziałam, że Weev używał też innego sprzętu. Naprawdę nie wiem o tym zbyt wiele, dzieciaku.

Warkocz skończyła napełniać metalowe pudełko zarodnikami. Następnie otworzyła szafę, ukazując rząd metalowych narzędzi wiszących na kołkach po wewnętrznej stronie drzwi. Nie widziała niczego przypominającego pudełko, którego używał kielkowacz na tamtym statku. Trzeba tu zauważyć, że Weev był purystą. Wolał używać klasycznych narzędzi swojej profesji, nie nowoczesnych.

– Czy coś z tego wygląda odpowiednio? – spytała Warkocz.

– Och! To z płaską stroną, jak talerz. I ta kielnia. Bierz je.

Drugie narzędzie rzeczywiście wyglądało jak niewielka łopata, ale pierwsze mniej przypominało Warkocz talerz, a bardziej tarczę. Niedużą okrągłą tarczę – płaską z przodu, z uchwytem do trzymania z tyłu.

Narzędzia miały zaczepy do mocowania na pasie, ale nie było na to czasu. Warkocz wzięła je, jak również zarodniki i buteleczkę wody z kroplomierzem, po czym wyszła na spotkanie Ann – która cofnęła się, unosząc ręce.

– No tak – powiedziała Ann. – Zazwyczaj pozwałam kielkowaczowi zająć się początkowym łataniem, sama zaś zbieram w tym czasie drewno, ale pomyślałam, że może przyda ci się trochę pomocy, co?

– Dzięki.

Warkocz pozwoliła, by Ann zaprowadziła ją do ładowni. Zwykle mroczne wnętrze wypełniały jaskrawe promienie słońca, wpadające przez otwór w pobliżu sufitu. Ładownia była wyższa od innych pokładów, przez co dziura znajdowała się na wysokości około dziewięciu stóp.

– Pójdę po drabinę – powiedziała Ann. – Tym, co musisz zrobić, jest wyhodowanie zarodników w tej dziurze. Nie muszą wyglądać ładnie... ja zrobię ładną drewnianą łatę w ciągu najbliższych kilku dni. Musimy po prostu zamknąć ten otwór. Rozejt nieźle opiera się srebru,

a umieszczony na miejscu trzyma się całkiem długo. Co oznacza, że jest z niego w miarę porządna zatyczka, zakładając, że ... no wiesz... wcześniej nie zginięsz.

- Jakież rady, jak uniknąć tego ostatniego? - Głos Warkocz zabrzmiał piskliwie.

- Żałuję, ale nie. To są właściwe dwa narzędzia, ale trzymałam się z dala, kiedy Weew wyciągał zarodniki. Ten gość był bardziej stuknięty od kołatki. Bez obrazy.

Ann ustawiła drabinę i się cofnęła. Nie powiedziała już nic więcej, ale Warkocz i tak była wdzięczna. Wspięła się na szczyt drabiny i spojrzała na ocean zarodników.

W tej chwili były spokojne, płaskie, stabilne. Ale gdy rozpocznie się kipienie, statek szarpnie się do przodu - a zielone zarodniki wpadną przez otwór. Nawet jeśli ładownia była wykładana srebrem, statek szybko przyjmie zbyt duży ciężar i przestanie się unosić.

Warkocz nie słyszała więcej okrzyków na górze. Udawała, że to dobry znak, kiedy umieściła swoje wyposażenie na pobliskiej półce przeznaczonej na worki. W końcu otworzyła aluminiowe pudełko z zarodnikami. Wyglądały jak ziarna różowej soli. Drżącymi rękami przechyliła skrzyneczkę, aż kilka wypadło na skraj połamanego drewna.

Niestety, nim otworzyła buteleczkę i przygotowała się do wylania wody, zarodniki poszarpały. Zabiło je srebro z pokładu na górze. Czując się głupio, zamknęła pudełko - wcześniej jednak część z tych w środku zdążyła obumrzeć.

Odetchnęła głęboko. Następnie, zmuszając się do podjęcia kolejnej próby, najpierw zwilżyła drewno - a następnie otworzyła pudełko. Wychyliła się i osłaniając twarz, wysypała kilka zarodników na wodę.

Było to porządne wykonanie koszmarnego planu.

Z różanych zarodników wyrosły grube kryształy rozeitu - jak wielkie kawały kwarcu. Choć nie były ostre, niektóre wbiły się w sufit, a jeden wystrzelił po skosie obok głowy Warkocz i omal nie trafił jej w twarz.

Nie zamknęły otworu - pozostało zbyt wiele przestrzeni między kryształami, a ich ciężar sprawiał, że odrywały się od drewna i spadały w dół - połowa do morza, a połowa na dno ładowni. Warkocz sapnęła z opóźnieniem.

- Warkocz! - zawołała Ann. - Bądź ostrożna!

Na księżycocienie... co ona wyprawiała? Cały statek polegał na niej, ale ona wiedziała na ten temat mniej więcej tyle samo, co na temat zmilitaryzowanej weksylogologii. (Strzeżcie się jednolitych flag. One was dopadną).

Wiedziałaś tego kiełkowacza na *Marzeniu Oota*, przypomniała so-bie. Zamknął otwór. Narzędzia były inne, ale wiesz, jak powinna wyglądać łata.

Kiedy manewrowała narzędziami, coś zauważyła. Rozeit wciąż rósł. Kiedy duże kryształy się odłamały, pozostawiły małe kawałki przyłączone do kadłuba - a te, dotykając wody, rozstały się powoli. Jak pleśń.

Czy to samo działo się z zielonymi zarodnikami? Czy pędy rosły dalej, jeśli dodało się więcej wody? Nie wiedziała. Ale zakropiła rosnące rozeitowe zarodniki. I owszem, choć wzrost był powolny, nadal się powiększały.

Stanowczo zbyt powoli, żeby wypełnić otwór, pomyślała. Jednak jak przysłowiowy polityk na śmietniku, to był dobry początek.

Wzięła narzędzie przypominające tarczę i przycisnęła je do rozeitu. Kryształy natychmiast zareagowały, wyciągając się w stronę metalu, który (o czym świadczył jego szary odcień) był najpewniej zwykłym żelazem. Drugie narzędzie, kielnia, sprawiało, że kryształy się od niego cofały. Był to wypolerowany srebrzysty metal. (Stal, dla tych, którzy obsesyjnie zwracają uwagę na takie rzeczy).

Racja, czyli każde narzędzie wpływało na wzrost zarodników. To miało sens. Może...

Na zewnątrz kadłuba rozległ się niski, dudniący odgłos. Wibrująca groza. Dźwięk kłębiących się zarodników. Znów zaczynało się kipienie.

– Warkocz! – krzyknęła Ann.

Nie było czasu na zastanowienie. Gdyby te zarodniki wpadły do środka, Warkocz zginęłaby jako pierwsza. Wzięła narzędzie-tarczę do lewej ręki i przycisnęła je do otworu. Drugą ręką chwyciła malutką szczyptę – dwa albo trzy zarodniki – nie było czasu martwić się, czy jej dłonie są wystarczająco suche – i upuściła je na mokrą krawędź zniszczonego drewna.

Wybuchły, ale zostały przyciągnięte przez tarczę, która jednocześnie uniemożliwiła im wzrost w nieprzewidzianym kierunku. Siła niemal zrzuciła Warkocz z drabiny. Ann krzyknęła i chwyciła drabinę od dołu, żeby ją podtrzymać, co pomogło.

Kiedy kryształy rozeitu zaczęły wyrastać wokół krawędzi tarczy, Warkocz chwyciła za kielnię i odepchnęła je. Udało jej się skierować je w stronę boków otworu, jakby używała zaprawy, która rosła w wyznaczonym przez nią kierunku.

Wiatr w żaglach sprawił, że statek zakołysał się do tyłu, a dziób się unióś. Warkocz ledwie zdążyła skłonić kryształy do zapieczętowania ostatniej krawędzi otworu, kiedy statek się pochylił. Jej korek zadrżał i zatrzeszczał. Po drugiej stronie była woda, ale pędy, które wykiełkowały, nie zdołały się przebić – a było jej za mało, by udało im się rozrosnąć i uwięzić statek.

Chwila trwała, pełna niepokoju, drżąca i wstrzymująca oddech.

Łata się utrzymała.

– Och, na księżycy – powiedziała Ann. – Naprawdę to zrobiłaś. Czy mogłabyś... może położyć następną warstwę albo...

– Nie kuśmy losu. – Warkocz próbowała uwolnić narzędzie-tarczę. Rozeit obrósł je i unieruchomił. – Pewnie będę potrzebowała srebrnego noża, by je wyciąć. Może spróbujemy to zrobić, kiedy zakotwiczymy w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Jasne, pewnie. – Ann przytrzymała drabinę, kiedy Warkocz schodziła. – Cieszę się, że tu jesteś. Dopóki nie przyjąłeś tej funkcji, to ja musiałabym to załatać. Użyłabym drewna, a przerwa w kipieniu była tak krótka, że nie miałabym dość czasu.

Na górze rozległ się kolejny trzask. Strzały.

– To się jeszcze nie skończyło – powiedziała Ann. – Miłosierne księżycy, mam nadzieję, że ta łata wytrzyma. Chodź.



Warkocz zjrzała na chwilę do kajuty, żeby schować pudełko zarodników i jej pozostałe narzędzia – oraz uspokoić Hucka, który znów chował się pod łóżkiem – po czym weszła pośpiesznie na górę. Nim tam dotarła, *Pieśń Wrony* zbliżyła się niebezpiecznie do celu.

Na pokładzie statku kupieckiego leżały trzy zakrwawione ciała. Reszta załogi podnosiła ręce i nie trzymała widocznej broni. Wydawało się, że Laggart strzelił jeszcze raz z armaty, bo kolejna płatanina pędów zakrywała rufę statku, a wiele z nich obrastało wrogą armatę.

Kolejna z podmienionych kul armatnich Warkocz wybuchła, zamiast zatopić statek, ale to mogło nie wystarczyć – statek kupiecki dał Wronie dużo pretekstów do złości i Warkocz martwiła się, że każe załodze wymordować wszystkich na pokładzie tej biednej jednostki. Piraci mieliby swoje skarby, a Wrona swoją reputację trupiarza.

Kiedy *Pieśń Wrony* zwołniała, kilkoro Dougów rzuciło haki na linach w stronę statku kupieckiego. Inny opuścił kotwicę. Warkocz spojrzała z niepokojem na kapitan, która stała z muszkietem w gotowości.

– Załoga, dobyć mieczy – powiedziała. – Przygotujcie się do abordażu.

Warkocz poczuła nagły przypływ paniki. Nie! Po wszystkim, co zrobiła, by ochronić tych...

– Pani kapitan! – zawołał ktoś. Głośno, rozkazująco.

Wszyscy odwrócili się w stronę pokładu rufowego, gdzie stała Salay z ręką na kole sterowym. Zablockowała je, bo i tak stali na kotwicy, i zeszała po schodach.

– Zgodnie z tradycją obowiązek zajęcia się kapitanem zdobytego statku przypada mnie, czyż nie?! – zawołała Salay.

Dougowie nadal celowali w stronę kupieckiego statku, ale nikt się nie odzywał. Wiedzieli, że w ciągu kilku najbliższych minut ktoś najprawdopodobniej zostanie postrzelony, i żadne

nie chciało robić wrażenia, że zgłasza się na ochotnika.

Wrona odwróciła się do Salay, muszkiet trzymała swobodnie. Sterniczka się nie cofnęła, a Warkocz zorientowała się, że modli się do księżyców.

– Pokonaliśmy ich – powiedziała głośno Salay. – Poddali się. Zostaliśmy piratami dla wolności. Nic więcej. – Stała niewzruszona, a jej postawa wyraźnie świadczyła o jej zamiarach. Nie zamierzała stać z boku i pozwolić, by wyróżniło załogę statku kupieckiego.

Jeśli Wrona pragnęła masakry, musiałaby zacząć od zabicia Salay. Wrona mogła to zrobić, zrobiła to z Weevem. Ale jak wielu członków załogi mogła utracić i wciąż mieć funkcjonujący statek?

– Jak powiedziałaś – ogłosiła w końcu Wrona. – Daj im do zrozumienia, że... nie podoba mi się, że zrobili dziurę w moim statku po tym, jak wystrzelili flarę oznaczającą poddanie się. Tego rodzaju... brak rozważli może kosztować życie.

– Zapłacą więcej niż normalny okup – powiedziała Salay. – Dopilnuję tego, pani kapitan.

Warkocz wypuściła powietrze. Marynarze znów zaczęli się ruszać, przerzucali kolejne haki abordażowe, żeby statki się od siebie nie oddaliły. Salay jako pierwsza przeskoczyła na statek kupiecki.

Warkocz usiadła na stopniach prowadzących na pokład rufowy. Była wyczerpana i czuła się jak szmata do podłogi, która znalazła się na samym dnie wiadra – ta, która została zmięta, a później przez wiele tygodni tkwiła pod całą stertą.

Padł na nią cień.

– Nie zatoneliśmy – powiedziała Wrona. – To znaczy, że wykonałaś swoje zadanie.

Warkocz skinęła głową.

– Była doskonała, pani kapitan – dodała z tyłu Ann. – Powiedziałabym, że ma naturalny talent. Wystarczyły jej dwie próby, żeby zamknąć otwór. Wydawało się, że właściwie nie boi się zarodników.

– Zaiste. – Wrona patrzyła na Warkocz z nieprzeniknioną miną. – Ann, nie sądzisz, że powinnaś zająć się przycinaniem desek? Na wypadek gdyby... ta mistrzowska robota naszej nowej kielkowaczki okazała się mniej wytrzymała, niż się wydaje.

– Pewnie tak. – Zamierzała odejść.

– Ann. – Kapitan wyciągnęła rękę.

Cieśla westchnęła i oddała pistolet, który gdzieś znalazła, po czym zniknęła pod pokładem.

Wrona podeszła, by obserwować statek kupiecki, kiedy Dougowie zaczęli wylaniać się z jego ładowni, niosąc zrolowane dywany – ładunek. Grupa marynarzy kulila się na pokładzie, gdzie ich kapitan rozmawiał cicho z Salay. Miał ściśniętą twarz, z przesadnie dużym czołem i brodą, jakby to było odbicie w lźeczce.

Wszyscy się uspokoiłi poza jednym mężczyzną – marynarzem, który klęczał na pokładzie z dala od pozostałych. Coś w jego postawie niepokoiło Warkocz, więc weszła po schodach, by lepiej się przyjrzeć przez splecione pędy. Tak, mężczyzna przytulał ciało jednego z zastrzelonych przez Wronę. Przyjaciel? Krewny?

Placzący mężczyzna uniósł wzrok. Lekkomysłny, niebezpieczny. Warkocz otworzyła usta do krzyku, ale mężczyzna poderwał się na równe nogi i wyciągnął pistolet zza pasa. Drżącą

ręką wycelował go ponad szczeliną między statkami w stronę Wrony.

Znowu wszyscy zamarli. Wszyscy poza samą kapitan Wroną, która obojętnie patrzyła na lufę.

– Smocke! – ryknął kapitan statku kupieckiego. – Nie bądź szaleńcem, człowieku! Przez ciebie wszyscy zginiemy!

Mężczyzna, Smocke, wyprostował się – zalany krwią przyjaciela – ale nie opuścił broni. Nie pociągnął również za spust. Kapitan Wrona uniosła pistolet, który zabrała Ann, i wycelowała go w mężczyznę.

A później odwróciła go i strzeliła sobie w głowę.

Natychmiast z jej skóry wybuchły pędy. Rozerwały policzek i wypełzły wokół oczu, kłębiąc się i wijąc. Jeden pochwyił kulę. Skóra twarzy i dłoni kobiety falowała, jakby zamiast mięśni miała węże. Pnacza zadrżały i wycofały się, wślizgując się z powrotem w głąb jej ciała.

Z kącika oka Wrony popłynęła kropla krwi, odrobinę więcej z rany policzka, ale poza tym jej twarz robiła wrażenie nietkniętej. Opuściła pistolet i pociągnęła długi łyk z manierki. W końcu gestem przywołała Smocke'a – jakby żądała, by też spróbował do niej strzelić. Kilku członków jego załogi rzuciło się na niego i strzał poszedł w powietrze.

– Spodziewam się, że mój statek odpłynie za niecałą godzinę – powiedziała głośno Wrona. – Obładowany większą ilością bogactw, niż powinno się na nim zmieścić. – Przeniosła spojrzenie na kapitana drugiego statku, który wciąż stał obok Salay. – Jeśli tak się nie stanie, odwiedzę waszą piękną jednostkę i nauczę każdego z was, co to znaczy rozzłościć kapitan Wronę. Jeśli wątpicie w moją szczerość, spytajcie załogę *Marzenia Oota*, jak bardzo podoba im się życie na dnie Zielonego Morza.

Kapitan zniknęła w swojej kajucie. Warkocz znów usiadła na stopniach, przytłoczona straszliwym widokiem pędów wyrrywających się z ciała Wrony.

Kim ona była?



Kapitan jest gestatorką zielonego eteru – powiedział dr Ulaam, unosząc wąską butelkę, w której znajdowało się coś niepokojąco przypominającego nerkę unoszącą się w roztworze.

– Że jaką orką? – spytała siedząca w jego kajucie Warkocz.

– Nie orka. Gestacja. To oznacza wylęganie. Wrona jest gospodarzem agresywnego szczepu zielonego pasożyta. Wasze legendy nazywają ludzi takich jak ona zarodnikozercami, choć obojętnie uważam to określenie za nieprecyzyjne. Powiedz mi... Skąd się biorą zarodniki?

– Z księżyców.

– Ach tak. Księżyce. Tak samo, jak jedzenie bierze się z kuchni, a ceramika z Zefirowych Wysp. I nie ma żadnych kroków pośrednich, hm? Te rzeczy po prostu magicznie się pojawiają?

– Czyli... chodzi ci o to, jak zarodniki dostają się na księżycy?

– A raczej o to, co na księżycach je wytwarza? Hm?

– Ja... nie mam pojęcia. – Warkocz najprawdopodobniej powinna uświadomić to sobie już wcześniej.

Ulaam ukląkł obok niej i uniósł nerkę do jej boku. Potrząsnął nią i uniósł brew.

– Wymienimy się? – spytał. – Ta sprawa, że twój moc będzie pachniał bzem.

– Yyy... nie, dziękuję.

– A sprzedałabyś mi jedną?

– Ponownie nie.

– To samolubne – zauważył Ulaam. – Nie potrzebujesz dwóch.

– A ile ty masz?

Ulaam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Touché.

- Jakie znowu tusze?

- Nie, to znaczy, że udało ci się skuteczna riposta. - Wstał i pokręcił głową. - Tak czy inaczej, wasze księżyce są domem dla grupy żarłocznych istot zwanych eterami. Choć prawdziwe etery na innych światach żyją w symbiozie z ludźmi, te na waszych księżycach stały się nienasycone, agresywne i plenne.

- To nie jest ładne słowo.

- Nie, ono znaczy... właściwie, jego znaczenie jest bliskie temu, co masz na myśli, ale brzmi bardziej elegancko. W każdym razie etery na górze bujnie się rozrastają, a każdy jest połączony z pierwotnym żywiołem. Roślinność, atmosfera, krzemionka...

To byłoby niebezpieczne samo w sobie, ale wasze odmiany są jednocześnie ogromnie niestabilne. Najmniejsza odrobina katalizatora - w tym przypadku wody - i wyciągają. Napętnienie bezpośrednio z Krainy Ducha, by wybuchowo wykiełkować. To zadziwiający proces.

Warkocz zastanowiła się nad tym i odkryła, że ma tuzin kolejnych pytań. Kiedyś byłaby może zbyt uprzejma, by je zadać, bo mężczyzna nie miał obowiązku udzielać jej wyjaśnień. Ale Ulaam miał w sobie coś, co zachęcało do takiej rozmowy. Z pewnością o to właśnie chodziło, a nie o to, że się zmieniała.

- Więc... - zaczęła Warkocz. - Jak to się stało, że to coś rośnie wewnątrz kapitan?

- Nie udało mi się znaleźć zadowolającej odpowiedzi. - Ulaam wyciągnął stojak pełen nerek w butelkach i odłożył tę, którą trzymał. - Niektórzy mówią, że zdarza się to przypadkiem ludziom, którzy wpadli do morza, inni zaś twierdzą, że trzeba spożyć bardzo wyjątkowy zarodnik.

- Czyli ona go zjadła. Może.

- Może. - Ulaam odsunął rękaw marynarki, ukazując pokryte szarą skórą przedramię.

Z którego wyrastało ucho.

- Ucho ci wyrasta z ręki! - powiedziała Warkocz.

- Hm? A, tak.

- Ale... dlaczego?

- Bo kiedy umieściłem je po wewnętrznej stronie uda, słyszałem, jak ociera się o nie ubranie, co było wyjątkowo rozpraszające.

- Czy głowa nie byłaby lepszym miejscem?

- Mam tam już dwa. Nie zauważyłaś? Uchronieważne, schorzenie waszej kapitan jest poważne. Jest połączona bezpośrednio z pierwotnym eterem rosnącym na księżycu. On potrzebuje wody do przetrwania, a na księżycu jej nie ma. Dlatego jakimś sposobem infekuje ludzi na planecie.

Pędy wewnątrz kapitan Wrony są wyjątkowo spragnione i bez ustanku wysysają z niej płyny. Jakimś sposobem wykorzystują ten płyn... razem z tym pochodzącym z innych gospodarzy zarodnikožerców na świecie... by karmić ogromny przerośnięty eter na księżycu. Nie udało mi się odkryć mechanizmu.

- Ale pędy utrzymują ją przy życiu. Ocaliły ją przed tą kulą.

- Tak. Eter chroni sam siebie, chroniąc ją, ale jest oszalały. Nienasycony. Niezdolny do racjonalnego myślenia, wysysa ją do sucha. Schorzenie rozwija się stopniowo i zabiera gospodarzowi coraz więcej. Powiedziano mi, że jest wyjątkowo bolesne i zawsze kończy się śmiercią.

- Miłosierne księżycy – szepnęła Warkocz. – Prawie zaczyna mi być jej żal.

- No tak, wielokrotni mordercy w rodzaju Wrony zazwyczaj doświadczyli tragedii. Człowiek zaczyna się zastanawiać, kto jest prawdziwym potworem: zabójca czy społeczeństwo, które go stworzyło?

Warkocz skinęła głową.

- To było podchwytliwe pytanie – stwierdził Ulaam. – Prawdziwym potworem jest ten w tej szufladzie obok ciebie. Dałem mu siedem różnych twarzy.

Warkocz spojrzała na szufladę niskiego stolika obok jej krzesła. Coś zagrzechotało. Dziewczyna udała, że tego nie widzi.

- Przynajmniej wiem teraz, dlaczego załoga się jej boi – powiedziała. – Nie odważą się zbuntować, bo to coś w jej wnętrzu ochroniłoby ją przed nimi.

- Zaiste. Nie wątpię, że kapitan mogłaby zabić każdego z osobna i wszystkich na tym pokładzie, i nie miałaby z tym żadnego problemu. Poza, no wiesz, brakiem załogi. Tymczasowa nieśmiertelność nie oznacza, że człowiek jest w stanie samodzielnie wytrzymać żagle, jak głosi znane powiedzenie.

- To jest znane powiedzenie?

- Niespotykane. Miałem na myśli niespotykane. Język, z którego korzystam, chyba zaczyna się zużywać. Kiedyś mogłem z niego zrobić rurkę. Wiesz, że to umiejętność dziedziczna? Jedna czwarta języków jest jej pozbawiona. – Wpatrzył się uważnie w jej usta.

Warkocz świadomie nie spróbowała zrobić rurki z języka. Miast tego starała się zrozumieć cele kapitan Wrony. Kobieta chciała wywrzeć nacisk na załogę, doprowadzić ich do desperacji. By pożegłować po niebezpiecznych wodach, bo umierała? I chciała przeżyć jak najwięcej, zanim odejdzie?

- Jak myślisz, jak wiele czasu pozostało Wronie? – spytała.

- Trudno powiedzieć. Słyszałem, że choroba zwykle trwa nie dłużej niż rok, ale wydaje mi się, że ona cierpi na nią dłużej. Wytrzymała zadziwiająco długo, ale wątpię, by w tym momencie zostały jej całe miesiące. Tygodnie, może nawet dni. Zauważyłem, że musi niemal bez przerwy pić, by powstrzymać się przed odwodnieniem i wyschnięciem.

To był kolejny element układanki. Niestety, Warkocz nie miała pojęcia, jak wielu kawałków potrzebowała – ani jak będzie wyglądać całość po ułożeniu.

- Czy potrzebujesz czegoś jeszcze? – spytał Ulaam. – Widzisz, uzyskałem ósmą twarz i sądzę, że mam jeszcze miejsce na przeszczepienie jej na spodzie klatki piersiowej.

- Co robią północne zarodniki? – spytała Warkocz.

Ulaam zmarszczył czoło. W milczeniu opuścił rękaw, podszedł do Warkocz, pochylił się i przyjrzał jej się jednym okiem.

- Hoidzie! – zawołał.

Do środka wszedł chłopiec okrętowy. Warkocz nie uświadamiała sobie, że był na zewnątrz.

- Dałeś Warkocz północne zarodniki? – spytał Ulaam.

- Nie! – odpowiedziałem.

- Dobrze – stwierdził Ulaam. – Martwiłem się, że...

- Dałem je Weewowi! – powiedziałem z ekscytacją. (Na swoją obronę, myślałem, że to rodzaj lukrecji).

Ulaam westchnął i założył ręce na piersi. Warkocz nie mogła się nie zastanawiać, czy w ten sposób ścisnął ucho na przedramieniu i jakie to było uczucie.

- Warkoczu – powiedział chirurg – północne zarodniki są niebezpieczne w zupełnie inny sposób niż pozostałe. Potrzebują trwałego żywego źródła wody – w postaci tego, kto je kielkuje.

- Jak to, co stało się z kapitanem?

- Tak. Ale w tym przypadku tymczasowo.

- Ale co one robią?

- Tworzą północny eter. Zwany również Esencją Północy: bryłę mazi, która naśladuje pobliski przedmiot lub osobę. Eter pozostaje pod twoją kontrolą, jak długo się o niego troszczysz. Jest bardziej praktyczny niż wiele innych tworów zarodników... ale również bardziej niebezpieczny. Jeśli zamierzasz z nim ćwiczyć...

Przerwał i spojrzał na nią z ukosa.

- Kiedy będziesz z nim ćwiczyć, miej pod ręką dużo wody do picia, jak również srebrny nóż. Większość kielkowaczy używa północnego eteru do szpiegowania, ale staraj się nie tworzyć bryły większej od twojej pięści. Czyli maksymalnie cztery do pięciu ziaren. Jeśli twoje dzieło będzie zbyt wielkie, istnieje duża szansa, że wyrwie ci się spod kontroli.

- Ja... ledwie zrozumiałam połowę tego, co powiedziałeś, Ulaamie.

- Połowę? Wiedziałem, że jesteś bystra. Twój mózg...

- ...nie jest na sprzedaż – dokończyła Warkocz.

- Och! – powiedziałem. – Możesz dostać mój! Cały czas próbuje mi powiedzieć, że brudne skarpetki nie nadają się do odcedzania makaronu, a jeśli to prawda, nie chcę o tym myśleć.

Ulaam uśmiechnął się, wyciągnął nieduży notatnik z kieszeni marynarki i zaczął pisać.

- Notuję te najbardziej żenujące, żeby mu je cytować, kiedy poczuje się lepiej – wyjaśnił na widok niepewnej miny Warkocz. – Podejrzewam, że wystarczy mi na dziesięciolecie.

Tak było.

- Hoidzie, muszę się dowiedzieć, jak dotrzeć do Czarodziejki – powiedziała. – Byłeś tam z nią. Czy możesz mnie poprowadzić albo powiedzieć mi, jak przebyć Morze Północy?

- Nie pomoże ci tak długo, jak długo pozostaje pod wpływem klątwy – stwierdził Ulaam. – Będziesz musiała ją zdjąć.

- Ale jak? Ty nie wiesz. Kto mógłby wiedzieć?

Zamyśliłem się. W tamtym czasie zwykle oznaczało to, że zastanawiałem się, czy jeśli od czasu do czasu ugryzęm się w policzek, formalnie czyniło mnie to kanibalem. Ale tego dnia rzeczywiście myślałem o słowach Warkocz.

Choć raz udało im się do mnie dotrzeć.

- Mogę mówić, ale nie mogę nic powiedzieć – odparłem cicho. – Mogę stwierdzić, że zawsze powinnaś nosić biel na cudzym ślubie.

- Co jest mówieniem, ale nic mi nie powiedziało. A w każdym razie nic znaczącego, dotyczącego klątwy.

- Racja! Ale to jest ważne. Musisz znaleźć kogoś, kto potrafi mówić i przy tym coś powiedzieć.

- To opisuje wielu ludzi – zauważyła Warkocz.

To była walka. Klątwa sprawiała, że mój język i mózg były splątane. Dosłownie nie mogłem za wiele powiedzieć.

- Znajdź... osobę... która nie jest... osobą – wykrztusiłem. – I mówi... choć... nie powinna.

Warkocz przechyliła głowę. Ulaam podszedł bliżej.

- To było bardziej spójne niż cokolwiek, co udało mu się powiedzieć przez ostatnie miesiące, Warkocz. Wierzę, że mówi coś ważnego.

- Brzmiało jak bełkot. Myślę, że on się ze mną bawi.

- Hm. Jeśli tak, to wyjątkowo przypomina jego wcześniejsze zachowanie. Osoba, która nie jest osobą? I kto mówi, choć nie powinien...

Warkocz zmarszczyła czoło, rozważając to w swym cudownym zamyślonym umyśle. I nagle do niej dotarło.

- Mówiące zwierzę – domyśliła się.

Osunałem się na ziemię i westchnąłem z ulgą. Wkrótce zatonałem w myślach, próbując zdecydować, czy kajmany lubią kajmak, czy to jedynie zbieg okoliczności.

- Ach! – Ulaam klasnął w dłonie... i wzdygnął się, kiedy ten dźwięk rozległ się tak blisko jednego z jego uszu. – O to musi chodzić. On każe ci znaleźć chowańca.

- Co takiego?

- Potężni użytkownicy Napełnienia... magii, jeśli wolisz... często kojarzeni są z mówiącymi zwierzętami. Zauważyłem, że w waszym świecie są podobne legendy. Czyż nie?

- Być może. – Warkocz przypomniała sobie bajki z dzieciństwa.

- Przyznam, że na niektórych światach źródłem tych pogłosek jest mój gatunek – Ulaam znów podwinął rękaw i sięgnął po skalpel. – Nie wydaje mi się, by tak się stało tutaj, ani też nie sądzę, by były dziełem Przebudzających. Najpewniej Czarodziejka i inni, podobni do niej, znaleźli sposób, by Napełnić zwykłe zwierzęta, w ten sposób zwiększając ich zdolności kognitywne.

- Czy ty w ogóle mówisz po klisiańsku? – spytała Warkocz.

- Formalnie rzecz biorąc, tak, choć wykorzystuję Związek do tłumaczenia swoich myśli, a one są w języku, o którym nigdy nie słyszałaś. Tak czy inaczej, Hoid najwyraźniej sądzi, że uda ci się znaleźć chowańca... mówiące zwierzę, jeśli wolisz takie określenie. Chowańce są zazwyczaj niedużymi istotami, wykorzystywanymi do szpiegowania. Ptaki. Od czasu do czasu kotowate...

- Albo szczur – powiedziała cicho Warkocz.

- Zaiste.

Następnie Ulaam odciął ucho z ręki.

Warkocz wyszła, zanim zdążył jej zaproponować.



Znalazła Hucka w swojej kajucie. Siedział na łóżku i na przemian obgryzał zeschlą skórkę od chleba i czytał jedną z książek Weeva – notatnik na temat wykorzystania zielonych zarodników. Zostawiła ją na łóżku i wydawało się, że Huck obgryzł róg książki w przerwach między kęsami skórki – choć nie umiała ocenić, czy było to celowe, czy też wynikało z jakiegoś szczego instynktu.

– Okłamywałaś mnie. – Warkocz zamknęła drzwi.

Huck przykucnął i zaczął się rozglądać, szukając najlepszej kryjówki.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś chowańcem? – spytała ostro.

– No...

– Byłaś towarzyszem Czarodziejki? Co o niej wiesz? Jak dotrzeć na jej wyspę? Ukrywałaś to przez cały ten czas?

– Hm. – Huck usiadł na tylnych łapkach i zmarszczył nos. – Ja... tak, jestem chowańcem, i dlatego umiem mówić. Jak się dowiedziałaś?

– Hoid. – Machnęła ręką w stronę kajuty chirurga. – Z powodu klątwy trudno się z nim rozmawiało, ale udzielił mi dość wskazówek, bym mogła złożyć wszystko do kupy. Hucku, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałem, żebyś znalazła się w niebezpieczeństwie. Czarodziejka jest okropna, Warkocz. Nie powinnaś chcieć dowiedzieć się o niej więcej, a już na pewno nie powinnaś próbować dotrzeć na jej wyspę.

Warkocz podeszła zdecydowanym krokiem do łóżka i uklękła obok niego, przez co patrzyła szczorowi prosto w oczy.

– Powiesz mi wszystko, co wiesz o Czarodziejce. Albo pożałujesz.

- Albo pożałuję czego? – pisał.

- Albo pożałujesz... – odetchnęła głęboko, ze zdenerwowaniem, bo nigdy w życiu nie wygłosiła tak poważnej groźby – ...bo przestanę się do ciebie odzywać.

- Nie wyrzucisz mnie za burtę czy coś?

- Co takiego? – spytała przerażona. – Nie! To by było straszne!

- Warkocz, koszmarna z ciebie piratka.

- Proszę, Hucku, powiedz mi, co wiesz. Czy możesz zaprowadzić mnie na wyspę Czarodziejki?

Zastanowił się, a później zaczął mówić, ale urwał. Rozmasował łepkę łapką.

- Nie – powiedział. – Nie mogę, Warkocz. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Ja... nie jestem chowańcem. No cóż, w pewnym sensie jestem, ale nie w taki sposób, jak myślisz. Cała moja rodzina umie mówić. Wychowałem się na samotnej wyspie daleko od krainy Czarodziejki.

- To czym właściwie jesteś? Potomkiem chowańców?

- To dobre wyjaśnienie. – Westchnął. – Jeśli naprawdę chcesz dotrzeć do Czarodziejki, największą szansę zyskasz, jeśli zdejmiesz kłatwę z Hoida. Ja nie mogę cię do niej zaprowadzić. W tej kwestii mówię prawdę. Obiecuję.

- A pomożesz mi chociaż zdjąć kłatwę z Hoida?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Ja... Może? To znaczy nie powinienem o tym mówić. Ale jak długo dotyczy Hoida... Dobrze, więc problem polega na tym. Magia Czarodziejki nie pozwala ofercie opowiadać o szczegółach swojej kłatwy.

- Już o tym wiem.

- Ale ja słyszałem... od rodziny, rozumiesz... że czasem można sprawić, by przeklęta osoba wyjawiała pewne rzeczy. Kłatwy nie są żywe, są statyczne, jak zapisy w umowie. To oznacza, że choć Czarodziejka wkłada w nie wiele pracy, każda kłatwa ma luki.

- Nie rozumiem. – Warkocz wciąż klęczała obok łóżka.

- W porządku. Wyobraźmy sobie, że masz przyjaciela, który został przeklęty. Gdybyś przyszła do niego i spytała „Czy zostałeś przeklęty?”, nie mógłby powiedzieć na głos, że tak. Ale sam fakt, że nie mógł tego zrobić, jest już swego rodzaju potwierdzeniem, rozumiesz? W pewnym sensie więc skłoniłaś podstępem kłatwę, by udzieliła ci nowych informacji.

- Ale jaki to ma związek z jej zdjęciem?

- Każda przeklęta osoba słyszy, jak wypowiedane jest zaklęcie, a wobec tego zna swoje wybawienie. Czarodziejka... Warkocz, ona jest zła. Sadyistyczna. Kiedy kogoś przeklina, chce, żeby znał drogę do wolności, ale nie mógł nikomu tego wyjawić.

- To brzmi potwornie. – Znów spojrzała w stronę miejsca, gdzie zostawiła Hoida.

- Aha. Ostrzegłem cię. Posłuchaj, nawet rozmowa na jej temat jest niebezpieczna. Nie powinnaś próbować do niej dotrzeć.

- Zamierzam to zrobić. I mogę udać się tam uzbrojona w twoje informacje albo w całkowitej niewiedzy, co pewnie skończy się moją śmiercią. Wybór należy do ciebie, Hucku.

- Auć. Nie musiałaś nadeptywać na pułapkę, skoro i tak zacisnęła mi się na szyi, Warkocz. Próbuję pomóc, ale nie mogę powiedzieć zbyt wiele. Musisz znaleźć sposób na obejście kłatwy. Na przykład... założmy, że zapytałabyś tego przyjaciela „Jak mam zdjąć twoją kłatwę?”, skoro już dowiedziałaś się o jej istnieniu. Ten przyjaciel nie mógłby ci powiedzieć. Ale założmy, że opowiedziałabyś przyjacielowi historię o kimś innym, kto został uzdrowiony z kłatwy, i spytała „Co o tym sądzisz?”. Być może mógłby z tobą porozmawiać o tej opowieści, ponieważ dotyczy kogoś innego... i w związku z tym nie jest o jego szczególnej sytuacji. Może udałoby ci się wyciągnąć z tego użyteczne informacje.

- To wygląda, jakby wiązało się z mnóstwem domyslenia – powiedziała Warkocz. – I zamieszania.

- I frustracji. I bólu. Jasne. Ale nic więcej dla ciebie nie mam. Nie jestem ekspertem. Sądzę, że powinnaś się skupić na utrzymaniu się przy życiu, nie na tej szalonej misji odwieczin u Czarodziejki. Wrona uwzięła się na ciebie. Czuję to.

- Z początku też tak myślałam. – Warkocz pozwoliła Huckowi, by odwrócił jej uwagę. I tak potrzebowała czasu na przetrwanie tego, co jej powiedział, nim zacznie dalej go naciskać. – Ale Wrona zmieniła zdanie. Wydaje się zadowolona, że ma mnie na pokładzie.

- A to nie martwi cię jeszcze bardziej?

- Skoro już o tym wspomniałeś... Powinam być podejrzliwa, prawda?

- Na opady zarodników, tak. To znaczy Wrona zjada kule, nienawidzi wszystkich i jest zdecydowana ściągnąć na własną załogę wyrok śmierci. Jednak... tak od niechcenia... zdecydowała, że chce, żebyś została na pokładzie. Z jakichś powodów.

Warkocz zadrżała.

- Być może trzeba będzie, żebyś znów ją szpiegował.

- Uch... – Huck załamał łapki i znów zaczął podgryzać książkę.

- Przestań!

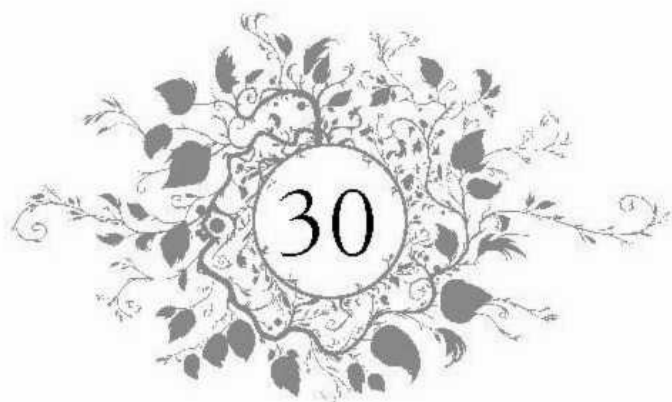
- Przepraszam – powiedział, kiedy zabrała tom. – Żucie sprawia, że czuję się lepiej. Będę ją szpiegował, jeśli chcesz, Warkocz. Ale... to znaczy, nie wydaje mi się, żebym był w tym bardzo dobry. Jestem pewien, że ostatnim razem mnie zauważyli. Tamten bulaj od tego czasu jest zamknięty. A do tego jeszcze ten kot...

Warkocz postukała palcem w książkę. Kapitan była przebiegła, a nawet Hoid – bez wątpienia idiota (auć) – domyślił się, że Huck był chowańcem. Dziewczyna spędzająca dużo czasu ze szcurem, który wyglądał na zbyt dobrze wytresowanego? Wrona z pewnością miała swoje przemyślenia.

Ale może istniał sposób. Co takiego Ulaam powiedział o północnych zarodnikach? Nadają się do szpiegowania...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Warkocz spojrzała na Hucka, który – z przesadną ostrożnością – złapał skórkę od chleba w pyszczek i schował się pod łóżkiem. Kiedy Warkocz otworzyła drzwi, na zewnątrz stała Salay.

- Warkocz, musimy porozmawiać o tym, kim naprawdę jesteś – powiedziała sterniczka.



Salay chciała wiedzieć, kim naprawdę była.

Niestety, sama Warkocz miała wątpliwości w tej kwestii. W młodości myślała, że rozumie, kim jest. Teraz żeglowała z piratami i uczyła się używać zarodników. Odkryła, że żąda odpowiedzi od Ulaama i nie przejmuje się, czy to uprzejme.

Nie była nawet pewna, czy wciąż jest Warkocz, czy może stała się kimś innym. Innymi słowy, można by powiedzieć, że jej obecnym stanem był niepokój.

– No i? – spytała Salay.

Warkocz nie miała dużego doświadczenia z kłamaniem, ale paradoksalnie, tymi z nas, którzy odnoszą w tym największe sukcesy, są ci, którzy nie robią tego bardzo często. Dlatego kiedy Warkocz zachowała milczenie, ale cofnęła się i gestem zaprosiła Salay do środka, był to właściwy krok.

Salay się zawahała. Mimo zdroworozsądkowego podejścia myśl o wejściu do kajuty kiełkowacza wywoływała w niej zdenerwowanie. Człowiek przyzwyczajal się do otaczającego go srebra. Pozwalało to pewnego stopnia ignorować zarodniki – tak samo, jak zwykle można zignorować własny nos, który przez cały czas pozostaje w polu widzenia. Albo jak ludzie ignorują egzystencjalne przerażenie wiążące się ze świadomością, że ich ciała każdego dnia powoli się rozkładają, a sam czas – w rytm bicia ich serc – prowadzi ich w stronę unicestwienia.

Jednakże choć Salay być może brakowało wzrostu i panowania nad sobą, zdecydowanie nie brakowało jej determinacji. Weszła do kajuty i zamknęła drzwi, bohatersko znosząc dreszcz, który przeszedł jej po plecach, i gęsią skórkę na ramionach.

– Może herbaty? – Warkocz wyjęła kubki. Śliczną parę z białej porcelany z posrebrzanymi brzegami. – Jest cudownie ciepława.

- Yyy, nie. Posłuchaj. Wiem, że nie jesteś tym, kogo udajesz.
- Jestem dziewczyną, która próbuje nie dać się wyrzucić za burtę.
- Wcale nie. - Salay założyła ręce na piersi. - Już tego nie kupuję, Warkocz.

Na te słowa dziewczyna poczuła lekką irytację.

- Co według ciebie mam powiedzieć? - spytała Warkocz z nietypową dla niej złością. - Już przyznałam, że ukradłam ten płaszcz. Poza tym jestem niewiele znaczącą dziewczyną z niewiele znaczącej wyspy. Nie ma we mnie nic interesującego.

- Ach tak? „Nieinteresująca” dziewczyna, która zupełnym przypadkiem nie boi się zarodników? Która zupełnym przypadkiem została naszą kielkowaczką zaledwie parę dni po dołączeniu do naszej załogi?

- Zarodniki mnie przerażają! - Warkocz choć raz nie przejmowała się tym, że zachowuje się nieuprzejmie. - Musiałam coś zrobić na statku, a to było jedyne wolne stanowisko!

Salay pochyliła się i przyjrzała dziewczynie.

- Księżycu zasłon, dobra jesteś. Nie widzę najmniejszej wskazówki, że kłamiesz.

- To dlatego, że nie kłamię! Posłuchaj, jeśli mi nie wierzysz, to za kogo mnie uważasz?

- Za królewską celniczkę. W przebraniu.

- To jest przebraniem? - Warkocz wskazała płaszcz celniczki.

- Sama przyznam, że to sprytny plan. Od razu się domyśliłaś, że będziemy podejrzewać nową. Ale oczywiście, celniczka byłaby ostatnią osobą, która nosiłaby taki płaszcz! Z wyjątkiem sytuacji, kiedy jest celniczką. Wiedziałaś więc, że jeśli go włożysz, naturalnie uznamy, że nią nie jesteś.

- To interesujący proces myślowy.

- Tak. Przyznam, nie złożyłabym tego do kupy, gdybym nie odkryła, że Wrona dała ci szansę uciec ze statku, a ty z niej nie skorzystałaś.

Och.

- Skoro o tym mowa, po prostu nie chciałam porzucić was wszystkich - powiedziała Warkocz. - Posłuchaj, nie kłamię. Nie jestem celniczką.

Salay zmrużyła oczy.

- Tak? A co z tym, co zrobiłaś z kulami armatnimi?

Warkocz zamarła.

- Aha! Nie spodziewałaś się, że będę o tym wiedziała, prawda? Obserwowałam reakcję Laggarta, kiedy ten statek dziś nie zatonał. On chciał zabić tych ludzi, choć nie wymyśliłam jeszcze, dlaczego. Wiem jednak, że ty jako jedyna miałaś dostęp do jego amunicji, żeby udaremnić jego wysiłki.

Księżycu miłosierdzia, pomyślała Warkocz. Jeśli ona się tego domyśliła... to może Laggart i kapitan Wrona też? Powinna przewidzieć, że nie uda jej się oszukać tak doświadczonej załogi.

Warkocz usiadła na łóżku pełna niepokoju. Salay myślała się co do niej, ale sterniczka... ona sprzeciwiła się kapitan Wronie. Zapobiegła masakrze. Jeśli Warkocz miała zaufać komuś na tym statku, uznała, że powinna to być Salay.

– Odkryłam, że kapitan chce zatapiać statki, żeby zmienić was wszystkich w trupiarzy – powiedziała. – Chce, żebyście byli jej bezwzględnie posłuszni. Nawet ze swoimi mocami musi się bać buntu.

Salay pochyliła się, a mocno skręcone czarne loki opadały wokół boków jej twarzy.

– Zwykła dziewczyna... za którą się podajesz... domyśliła się, jaki jest plan kapitan Wrony?

– Przypadkiem. Naprawdę, Salay. Nie mam pojęcia, co robisz.

– Założmy, że ci wierzę. I zaakceptuję, że nie jesteś celniczką. Możesz udowodnić, co powiedziałaś o kapitan?

– Beczki z zarodnikami mają drugie dno. Laggart trzyma tam przerobione kule armatnie. Wymieniłam je na zwykłe, żeby nie mógł zatopić kolejnego statku. Mam te, które wyjęłam, ale nie wiem, czy to cokolwiek potwierdzi. Masz moje słowo przeciwko jego.

– Nie musisz się z nim konfrontować. – Salay zaczęła krążyć po kajucie. – Musimy jedynie skłonić pozostałych członków załogi do podjęcia działania. Później mam umówione spotkanie z Ann i Fortem. Jeśli przyniesiesz jedną z tych kul armatnich, to może być dla nich wystarczający dowód. Już mają podejrzenia co do motywacji kapitan i...

Salay urwała i podeszła znów do Warkocz.

– A ty właśnie skłoniłaś mnie podstępem, żebym opowiedziała ci o naszym tajnym spotkaniu! A niech to, dobra jesteś.

Warkocz westchnęła.

Salay znów spojrzała jej w oczy.

– Zimna jak lód. Z sercem z nieustępliwej stali.

– Naprawdę? – spytała Warkocz. – To wyczytałaś z mojej miny?

– Owszem. Za fałszywym strachem i dezorientacją, którymi próbujesz mnie rozproszyć. Ale wierzę ci w jednej kwestii: nie jesteś królewską celniczką.

– Ach tak?

– Jesteś stanowczo za bystra, żeby być jedną z nich. Musisz być Królewską Maską!

Och. To wyjaśniało wszystko. A raczej Warkocz zakładała, że tak jest, gdyby wiedziała, czym jest „Królewská Maská”.

– Wszyscy wiedzą, że Królewskie Maski muszą kłamać, kiedy ktoś spyta, kim są. – Salay wzięła się pod boki. – Aby chronić swoje tajne misje. Dlatego nie spróbuję cię skłonić, żebyś to potwierdziła. Przyniesiesz dziś jedną z tamtych kul armatnich.

– Jeśli myślisz, że to przekona pozostałych, zrobię to.

Warkocz nie była pewna, co którekolwiek z nich mogło uczynić przeciwko komuś takiemu jak Wrona, ale miło byłoby porozmawiać z kimś o swoich odkryciach.

– Wspaniale. Spotkanie jest w kajucie kwatermistrza po drugim wieczornym posiłku, kiedy nocna wachta zostaje wezwana na pokład. – Ruszyła w stronę drzwi i się zawahała. – Proszę, nie zamorduj nikogo wcześniej.

Z tymi słowami wyszła. Warkocz opadła oszołomiona na łóżko, spod którego wyłonił się Huck.

– Królewská Maská, co? – powiedział. – Mnie z całą pewnością oszukałaś.

– Ja...

- To był żart. - Znów pogryzał czerstwą skórkę od chleba. - Pewnie nawet nie wiesz, kim oni są.

- Nie mam pojęcia.

- To tajna grupa skrytobójców - wyjaśnił Huck. - Zatrudniona przez króla do wypełniania ważnych misji. Podobno jednocześnie nie ma ich nigdy więcej niż pięcioro. To elita elit.

- A ona myśli, że osiemnastoletnia dziewczyna przypadkiem jest jedną z nich.

- Maski podobno korzystają z eliksirów młodości, żeby ukryć swój wiek. Ale... możliwe, że wcale nie istnieją, a król podsyca pogłoski, żeby ludzie się go bali.

Nie miej pretensji do Salay. Ludzie na statkach takich jak ten balansują na krawędzi prawa, nawet jeśli nie są piratami. Ludzie tacy jak Salay całe życie są pełni podejrzeń. Ona nie jest głupia... po prostu nie jest przyzwyczajona do kontaktów z kimś tak szczerym. To tak, jakbyś posługiwała się zupełnie innym językiem.

- Muszę jej uświadomić, jaka jest prawda. Jakoś. - Warkocz czuła wręcz fizyczny ból na myśl, że ktoś uważał ją za skrytobójcę.

- Nie wiem, czy na twoim miejscu poszedłbym na to spotkanie. Kapitan Wrona ma podejrzeń wobec Salay i pozostałych. Myślę, że planuje zabicie ich.

- Co takiego? Skąd wiesz?

- Kiedy szpiegowałem ich dla ciebie tamtego dnia, usłyszałem coś na temat „ukradkowych spotkań” i „pozbyciu się ich na dobre”. To było, zanim doszli do tych soczystych kawałków, które ci przekazałem.

Dla Warkocz brzmiało to źle, ale też zbyt niejasno. Znów wstała i krążyła po niewielkiej kajucie, słuchając drapania zarodników o kadłub na zewnątrz.

- Za mało wiemy, Hucku. Nie wiemy, dlaczego kapitan chce zrobić z pozostałych trupiarzy. To znaczy chce im rozkazać, żeby zrobili coś niebezpiecznego, ale dlaczego?

- Jasne. Mnie też to zbija z tropu. Przypomina mi to jednego mojego znajomego. Niezłe było z niego indywiduum, tyle ci powiem. Kiedyś zaproponowano mu ser... Tak na marginesie, nie lubimy sera aż tak bardzo, jak sądzą ludzie. Zastanawiam się, skąd się wzięły te pogłoski. W każdym razie...

- Myślę że powinniśmy się skupić, Hucku - powiedziała łagodnie Warkocz. - Potrzebujemy więcej informacji o kapitan.

Huck upuścił skórkę.

- Pewnie tak. To znaczy, jeśli naprawdę chcesz, żeby...

Natychmiast poczuła się winna, przypominając sobie jego wcześniejszy sprzeciw. Nie miała prawa prosić go, by się narażał.

- Nieważne. - Założyła niesforny kosmyk włosów za ucho. - Myślę, że jest inny sposób.

Zajrzała do schowka pod łóżkiem i wyjęła pudełeczko północnych zarodników.

- Warkocz... Co ty robisz?

- Jestem całkowicie zagubiona. Jestem zwykłą dziewczyną, która lubi kubki. Nie mam specjalnego wykształcenia ani szczególnego doświadczenia. Nie uda mi się wyprowadzić Wrony w pole, jeśli nie wykorzystam dostępnych środków. - Uniosła pudełko. - Moją jedną praw-

dziwą przewagą wydaje się fakt, że zarodniki wzbudzają we mnie odrobinę mniejsze przerażenie niż we wszystkich pozostałych.

- Jasne, ale północne zarodniki? Nie powinniśmy... no wiesz... stopniowo dotrzeć do czegoś takiego? Nie zaczyna się od przebiegnięcia pełnego królatonu. Najpierw robi się małe przebieżki.

- Czego?

- Królatonu. To wyścig na czterdzieści mil, który jest organizowany każdego roku w urodziny króla.

- Czterdzieści mil? - Warkocz grzebała w szufladach w kredensie Weeva. Czy nie widziała tam srebrnego noża? - Gdyby biegli tak daleko, skończyłby im się ląd i spadliby z wyspy. Biegają w kółko?

- Och, Warkocz, większość wysp nie ma rozmiarów Skały, wiesz?

- Naprawdę? - Wyjęła nóż z szuflady. - To znaczy, że są takie, które mają czterdzieści mil szerokości?

- I większe. Wydaje mi się, że jedna na Zefirowym Morzu ma średnicę sześćdziesięciu mil.

- Na księżycu!

Próbowała sobie wyobrazić tak wielkie połączenie lądu w jednym miejscu. Z samego środka pewnie nie widziało się nawet morza! Pokręciła głową na tę szaloną myśl i wyjęła kilka bukłaków.

Później uklękła obok łóżka, podniosła trzy czarne zarodniki i położyła je na materacu. Huck cofnął się, ciągnąc swoją skórę od chleba.

Warkocz odetchnęła głęboko i pomyślała o Charliem. Potrafiła to zrobić. Dla niego i dla załogi *Pieśni Wrony*. Rozwiązać tajemnice tego statku, ochronić ludzi na pokładzie, a oni skierują ją w stronę Charliego.

Uniosła zakraplacz i upuściła kroplę na zarodniki.



Zakładam, że nie wiecie, czym jest więź Luhel. Nie przejmujcie się. W tamtym momencie tej opowieści zastanawiało mnie, ile różnych odcieni pomarańczowego mógłbym nosić jednocześnie. Wszyscy mamy swoje priorytety.

Większość eterowych zarodników – jak zielone i zefirowe – nie wymaga żadnej więzi. Używanie ich to zwykła kwestia następstwa przyczynowo-skutkowego. Skondensowany eter spada na planetę w postaci zarodników, a odrobina wody zachęca go do wybuchowego wzrostu.

Północne zarodniki są inne – w rzeczy samej, bardziej przypominają to, jak etery powinny działać. Ożywianie północnych zarodników tworzy tymczasową więź, rodzaj symbiozy między gospodarzem i eterem. W przeciwieństwie do więzi Nahel, która wymienia świadomość i zakotwiczenie w rzeczywistości, więź Luhel wymienia materię. A w tym przypadku wodę.

Warkocz poczuła nagle pragnienie, suchość w ustach. Sięgnęła po bukłak, ale zatrzymała się urzeczona ruchem zarodników.

Wrzały i falowały, topiąc się, a po chwili się powiększając, jak nadmuchany balon. W ciągu kilku sekund kałuża mazi – choć zaczęło się od trzech malutkich zarodników – miała rozmiar pięści. I na tym etapie na całe szczęście przestała się rozrastać, choć wciąż kłębiła się i zniekształcała. Na chwilę pojawiła się niewielka twarz, wybrzusząca się z czarnej ropy. A później znów zatonąła.

Propozycja – w głowie Warkocz pojawiła się ta myśl. Wymiana. Woda. Daj wodę.

Nie wiedząc, co właściwie robi, Warkocz się zgodziła.

Esencja Północy, we wszystkich swoich rozmaitych formach, szuka wzorca, modelu. Częściej czerpie wskazówki od swojego twórcy lub gospodarza – a w tym przypadku Warkocz spoj-

rzała na Hucka, który cofnął się przez całe łóżko aż do kąta i ścisnął przed sobą skórę chleba jak nieco nadgryzioną tarczę.

Esencja Północy zapulsowała i się wydłużyła. Utworzyła czarny ogon. Cztery łapy. Pyszczek i nos... ciało jak zdeformowana bulwa. Wkrótce Warkocz przyglądała się niewielkiej istocie, która wyglądała niemal jak szczur zanurzony w czarnej farbie. Tyle że sierść przypominała raczej fakturę skóry niż pojedyncze włoski, a palcom i pyszczkowi brakowało szczegółów.

Była zbyt gładka. Czarna jak obsydian i błyszcząca, jakby stworzona ze smoły. Albo wyrzeźbiona w kostce smalcu przez utalentowanego artystę, który nie miał innego sposobu na wyrażenie siebie. Stwór biegał w tę i we w tę po łóżku, wypróbując łapki – i po raz kolejny – te ruchy były niemal szczurze.

Choć Warkocz czuła coraz większe pragnienie – i, co dziwne, również suchość w oczach – nie mogła przestać na niego patrzeć. Pociągnęła łyk i niespodziewanie wychłptała cały bukłak. Nie spodziewała się, że będzie miała dość miejsca w żołądku, ale kiedy zaspokoila pragnienie, więź Luhel się wzmocniła. Warkocz dała jej to, co chciała, a w zamian uzyskała nad nią pewną kontrolę. Straciła z oczu świat wokół niej i wszystko się rozmyło.

A później była nie-szczurem. Mogła nim kierować, patrzeć jego oczami, czuć wonie, które on czuł. Natychmiast sprawiła, by stwór skoczył w stronę Hucka, który pisał i wbiegł pod łóżko. Było to zabawne z powodów, których nie umiała wyjaśnić.

Ale nie, miała zadanie do wykonania. Tak, ważne zadanie, które wymagało przebiegnięcia przez łóżko i zeskoczenia na podłogę. Kiedy w nią uderzyła, jej łapy wbiły się w ciało i musiała znów je wypchnąć. Później podbiegła do drzwi, przecisnęła się pod nimi i wypłynęła jako maź, która znów nabrała kształtu.

Cienie. Lubiła cienie. Na dole, w tych korytarzach pod pokładem, mogła się poruszać właściwie niepostrzeżenie. Nawet na schodach cienie były głębokie. Ale na górze słońce wyszło zza księżycy. Nienawistne słońce, choć opadało w stronę horyzontu, senne, nieświadome jej. Północna Warkocz kulila się na schodach, słuchając kroków ludzi i czując woń starej skóry ich butów.

Tam. Cień masztu, kiedy statek zmienił kurs. Skoczyła na niego i pobiegła wzdłuż – przeskakując nad żyłami srebra w pokładzie. Wiedziała, że gdyby go dotknęła, zabolałoby, ale w tej postaci była silniejsza niż zwykle zarodniki. Sama bliskość nie zrobiłaby jej krzywdy.

Dotarła do kajuty kapitan, która zajmowała przestrzeń bezpośrednio pod pokładem rufowym. Z całą pewnością nie powinna być zdolna przecisnąć się przez tę malutką szczelinę między drzwiami a pokładem, ale zrobiła to. Ponowne nabranie kształtów trwało teraz dłużej, ale jej oczy powstały na nowo wcześniej niż cała reszta i mogła rozejrzeć się po kajucie.

Wrona siedziała za biurkiem pod bulajem i pisała coś w gasnącym blasku zachodzącego słońca. Jej kapelusz wisiał na kołku przy drzwiach, obok niej stała otwarta manierka, a kurtka kapitan była rozpięta.

Kiedy tylko Północna Warkocz odzyskała stopy, wbiegła w głębsze cienie pod ławą. Wrona pachniała niewłaściwie. Butwiejącymi chwastami, spalonym mięsem i czymś jeszcze, czego Północna Warkocz nie rozpoznawała. Inni ludzie pachnieli potem i słodkim ciałem. Nie Wrona. Wrona nie była osobą, nie do końca. Pasożyt zwyciężał.

Północna Warkocz uświadomiła sobie, że powinna zaczekać. Zaczekać do spotkania Wrony i Laggarta. Powinna planować. Ale plany... plany były czymś dla ludzi, którzy jeszcze nie istnieli. A Warkocz istniała teraz.

Czym była ta książeczka, w której pisała Wrona? Północna Warkocz zbliżyła się ostrożnie. Czy mogła ukryć się w cieniach wystarczająco blisko, by przeczytać książkę? Wyciągnęła szyję, spojrziała z podłogi, próbując coś dostrzec. Ale kąt był niewłaściwy. Czy mogłaby...

Nie. Nie, musiałyby podejść bezpośrednio do Wrony, żeby spojrzeć na książkę. W tym celu czuła się podekscytowana i pełna zapału, ale... ale nawet w ciemności nie była niewidzialna.

Jeszcze odrobinę bliżej. Mogła trochę się zbliżyć.

Warkocz powstrzymała się z wysiłkiem. Przypominało to próbę powstrzymania się od jedzenia, kiedy człowiek umierał z głodu. Chciała zrobić to, co chciała. Prawda?

Nie. Nie...

Wrona wkrótce wyjdzie. Wieczór w mesie. Pójdzie jak zawsze, weźmie jedzenie i wróci. Czekaj.

Czekaj.

CZEKAJ.

Rozległo się wezwanie. Wrona zamknęła książkę, pociągnęła długi łyk z manierki i wstała. Zdjęła kapelusz z kołka, wyszła z kajuty i zamknęła drzwi na klucz.

Teraz!

Północna Warkocz wyłoniła się z cieni. Wspięła się po nodze stołu za pomocą pazurów, które były zbyt ostre w porównaniu z jej poza tym miękkim i elastycznym ciałem. Następnie wskoczyła na blat i tak bardzo nie mogła się doczekać, aż dotrze do książki, że jej stopy powykęcały się i zniekształciły w czasie jej biegu, a z boków wyrosły zaczątki dodatkowych łap, jak guzy.

Dotarła do książki i wgrzyzła się w nią, otwierając ją na kartce, którą zaznaczyła Wrona. A wewnątrz były... Słowa?

Słowa, które pachniały kurzem. Zakurzone, brudne, nudne, głupie, topiące się, atramentowe słowa. Dlaczego słowa? Dlaczego była tak podekscytowana?

Słowa. Przeczytaj słowa.

Nie chciała, ale i tak to zrobiła, powiększała oczy, aż się wybałuszyły – dzięki czemu widziała więcej, a szczegóły stały się wyraźniejsze. Wiele ze słów wyglądało, jakby wydrukowano je za pomocą jakiegoś urządzenia. Ale na marginesach znajdowały się notatki, jak zakładała, naniesione przez Wronę.

Sposób, żeby w końcu się ich pozbyć? – głosiła notatka. Sposób, żeby wypędzić zarodniki z mojej krwi?

Interesujące. Północna Warkocz skupiła się na tekście.

Jest oczywiste, że Xisis ma moc leczenia wszelkich chorób. W roku 1104 błagalnik doniósł o wyleczeniu z guzów nowotworowych w bardzo zaawansowanym stadium rozwoju. Ta osoba, Delph z Zefirowych Wysp, jest znanym i szanowanym uczonym – a jego słowo jest godne zaufania.

Mamy inny skrajny przypadek. W roku 1123 królowa Bek Piętnasta została wyleczona z gestacji zarodników i pozostaje jedyną osobą – przez całe tysiąclecia, obejmujące pisane źródła historyczne – która przeżyła takie zarażenie. Brał w tym udział Xisis.

Głupie słowa. Głupie słowa jak trociny w oczach. Dlaczego? Powinna znaleźć coś do pogryzienia, coś, co krwawiło ciepłem i płynną solą.

Walczyła ze sobą, wiła się, jej kształt bulgotał i miotał się. Niemal rozerwała się na kawałki ze złości. Ale w końcu zwyciężyła i wróciła do kształtu, który w przybliżeniu przypominał szczura. Gryzła kartki, cofając się przez książkę. Mijała inne notatki Wrony, ale większość nie zwracała jej uwagi – aż zobaczyła dwa słowa, które pozostały w jej głowie od czasu ostatniej rozmowy z Huckiem.

Ukradkowe spotkania z Weevem sugerują, że powinien istnieć sposób na znalezienie właściwej lokalizacji. Wielka szkoda, że zwrócił się ku szantażowi. Cóż. Przynajmniej okazał trochę odwagi, zanim go zabiłam.

To nie wyjaśniało, czym był Xisis. Przerzuciła kolejne kartki, aż trafiła na początek rozdziału. Czym było to coś, co mogło leczyć choroby? Ziołem? Eliksirem?

Nie, istotą.

Xisisrefliel żyje pod zarodnikami w pałacu, który jakimś sposobem istnieje na dnie Szkarłatnego Morza. Choć jego wiek nie jest znany, mieszka w tym samym miejscu od co najmniej trzystu lat.

Wielu, całkowicie racjonalnie, uznałoby go za mit. Jednakże ten rozdział potwierdza, że jest bez wątpienia prawdziwy, co dokumentują świadectwa godnych zaufania błagalników. Oczywiście podróż na Szkarłatne Morze nie jest dla tchórzów. W rzeczy samej, wielu powątpiewa w zdrowy rozsądek wszystkich, którzy żeglują po tych zarodnikach. Z tej przyczyny wielokrotnie odrzucono świadectwa istnienia smoka.

Moje własne wysiłki, mające na celu zlokalizowanie smoka, na razie zawiodły, ale mogę udowodnić, że to nie szaleństwo kazało im przyjąć ten kurs, lecz desperacja. Ich słowa są godne zaufania. Choć może wydawać się to niewiarygodne, smok Xisis naprawdę istnieje.

Smok.

Wrona myślała, że smok naprawdę istnieje.

I chciała zmusić załogę do popłynięcia na Szkarłatne Morze, by odnaleźć smoka i wyleczyć ją z choroby.

To była pierwsza rzecz na temat Wrony, która miała sens. Północna Warkocz chciała wiedzieć więcej. Jak można było znaleźć smoka? Słyszała już wcześniej, że spełniał życzenia – wszyscy znali te opowieści – ale z pewnością kryło się w tym coś więcej. Czy odnalezienie smoka wystarczyło, czy trzeba mu było zapłacić?

Ale nie. Słowa były drzazgami w oczach. Dość głupich, bezużytecznych, bezkrwistych, bezsolnych, pozbawionych smaku, pozbawionych krzyku słów. Dość.

Zaczęła się walka i jej postać się rozpadła. Masa na biurku, uderzająca sama w siebie i wijąca się.

Kroki.

Walka przeciwko tej, która chciała słów, i sprzeciwowi woli, by znów być słowami.

Kroki na zewnątrz.

Nie nie nie nie nie nie nie nie nie wypełnij rozkaz.

Wrona wracała. Klucz w zamku.

Musiała...

Z towarzyszeniem rozbłysku i chmury czarnego dymu Warkocz wróciła do swojego ciała. Odkryła, że usta ma wysuszone, jakby były pełne piasku. Nie rozpoznawała własnego języka, który przypominał kawałek materiału, a spoczywające przed nią dłonie były zmarniałe. Upadła bokiem na łóżko, a kiedy próbowała się odezwać, zachrypiała.

- Warkocz! - Huck kucnął przed jej twarzą. - Warkocz! - W łapkach niezgrabnie trzymał srebrny nóż. - Z twoich ust wychodziła linia ciemności. Nie wiedziałem, co robić, ale kaszłała i...

- Wody - udało jej się wykrztusić. Sięgnęła w stronę drugiego bukłaka.

Huck podbiegł, wziął go w zęby i pociągnął w jej stronę. Udało jej się wlać jego zawartość do ust. W chwili gdy woda dotknęła jej języka, Warkocz poczuła, że całe usta ją palą. Piła dalej mimo bólu, krztusząc się i zmuszając do przełykania wody z gardłem suchym jak wiór.

Później leżała na mokrym materacu i rzeziła. Gdyby odwodniła się tak bardzo w normalny sposób, z pewnością umarłaby, ale to nie był normalny efekt. Podanie płynu we właściwym momencie odwróciło proces, wypełniając z powrotem jej wychudłe ręce, a pieczenie w ustach i gardle zniknęło.

Położyła się na plecach, delektowała brakiem bólu i myślała o tym, czego się dowiedziała. To sprawiło, że zaczęła się martwić. Czy Wrona znalazła resztki północnych zarodników? Kiedy Warkocz wyrwała się z więzi, wydawało jej się, że czuła, jak jej ciało rozplywa się w chmurze czarnego dymu. Czy to pozostawiło osad?

- Warkocz? - spytał Huck. - Czy... dobrze się czujesz?

- Tak - powiedziała ochryple. Odsunęła z twarzy włosy, które w czasie szarpaniny oswoodziły się z warkocza. - Być może uratowałeś mi życie, Hucku. Dziękuję.

- Cóż, pewnie teraz jesteśmy kwita. Gdybyś nie wypuściła mnie z tamtej klatki, trafiłbym na dno Zielonego Morza.

Wciąż załamywał łapki, więc Warkocz zmusiła się, żeby usiąść i uśmiechnąć się do niego. Ale, księżycu groźby, czuła nadchodzący potworny ból głowy. Może lepiej w przyszłości zostawić północne zarodniki w spokoju?

Tak czy inaczej, wiedziała, czego pragnęła kapitan Wrona. I - choć nie mogła być pewna - wydawało się, że słowa, które podsłuchał Huck, nie odnosiły się do Salay i pozostałych. „Ukradkowe spotkania” były z Weevem, a „pozbyć się ich” dotyczyło zarodników w jej krwi.

Może Salay, Ann i Fort będą wiedzieli, co robić. Warkocz zaczęła, czy Wrona wpadnie do środka, wściekła, że była szpiegowana. Kiedy tak się nie stało, wykapała się, ubrała i przygotowała do tajnego spotkania. Miała nadzieję, że inni nie będą na nią za bardzo źli, kiedy odkryją, że nie jest Królewską Maską.

Warkocz, rzecz jasna, nie doceniła zdolności ludzkiego umysłu do uwierzenia, w co tylko zechce.



Znalazłam sposób, w jaki możemy wydostać się z naszego trudnego położenia. – Salay wskazała Warkocz. – Spójrzcie, oto nasza oswobodzicielka.

Warkocz zamarła z dłonią na drzwiach do kajuty kwatermistrza, które właśnie zamknęła. Nie spodziewała się, że znajdzie się w centrum uwagi tuż po wejściu.

– Yyy... – zaczęła.

– Oczywiście ona nie może tego potwierdzić... – Salay zniżyła głos do porozumiewawczego szeptu. – Ale jestem pewna, że to Królewska Maski.

Fort uniósł swój znak.

Nie chciałbym wyjść na kogoś, kto zawsze się sprzeciwia, Salay, ale szczerze wątpię, że tak jest.

– Ano – powiedziała Ann. – Zgadzam się z nim. Warkocz jest świetna i w ogóle, ale to z całą pewnością dziewczyna z zacofanej wyspy.

– Cały sens istnienia Królewskich Masek kryje się w tym, że robią wrażenie niewinnych – sprzeciwiła się Salay. – Jak wiele dziewczyn z zacofanych wysp szło na waszych oczach po morzu? A później trzymało się burty płynącego statku?

Fort i Ann wpatrzyli się w Warkocz, aż się zarumieniała pod ich uważnym spojrzeniem.

– Byłam zdesperowana. Zrobiłam to, co musiałam, żeby przetrwać.

To rzeczywiście trochę podejrzanę, że niemal od razu zostałam okrętową kiełkowaczką napisał Fort.

– Prawda? – powiedziała Salay. – Ona nie boi się zarodników.

– Bardzo boję się zarodników – poprawiła ją Warkocz.

- I mogła uciec ze statku w Miotliwej Zatoce - dodała sterniczka. - Ale postanowiła zostać, żeby mieć oko na Wronę. Wcześniej mi się do tego przyznała.

Warkocz westchnęła.

- Ja... nie chcę się narzucać, Salay. Ale sądzę, że błędnie interpretujesz moje słowa.

- Zaczekaj - wtrąciła Ann. - Salay, zachowujesz się, jakby to było coś dobrego. Gdyby ona była Królewską Maską, to zabiłaby nas wszystkich. Jesteśmy teraz wyjęci spod prawa.

- Ach. - Salay uniosła palec. - Ale ona wie, że nie jesteśmy współwinni zabicia nikogo.

Formalnie rzecz biorąc jesteśmy napisali Fort z ponurą miną. Zostaliśmy piratami, a później ludzie zginęli. Nieważne, że nie strzelaliśmy z tej armaty. Jesteśmy odpowiedzialni za śmierć tych biedaków.

W niewielkiej kajucie zapanowała cisza. Fort siedział na zydłu za ladą, a jego ramiona były tak szerokie, że niemal dotykały ścian po obu stronach. Nosił szelki, bo ostatnie siedem pasków, które próbował założyć, poddało się bez walki - i słyszałem z dobrego źródła, że ma nakaz sądowy trzymania się w odległości co najmniej trzydziestu stóp od wszelkich innych. To była kara za wcześniejszą brutalność.

Ann siedziała na ladzie przy ścianie i machała nogami. Wydawało się, że wyjątkowo interesuje ją sęk w deskach podłogi, ale w rzeczywistości dręczyły ją słowa Forta. Wszyscy byli winni. Wszyscy poza Warkocz.

Salay podeszła do pozostałych, odsuwając się od drzwi.

- Widzicie, właśnie dlatego jest ważne to, że ona jest Maską. Jediną naszą szansą na przetrwanie po tym, jak nazwano nas trupiarzami, jest królewska agentka, która za nas poręczy. - Spojrzała błagalnie na Warkocz. - Dlatego ona może być naszą oswobodzicielką. Może powiedzieć królowi, że chcieliśmy dobrze. Że próbowaliśmy powstrzymać Wronę. To szansa na ucieczkę. Prawda?

Warkocz uważała Salay za surową, prostolinijną. Jak uosobienie mocnego uściśnięcia dłoni. Jednakże teraz w jej ciemnych oczach był strach. I ból. Księżycu miłosierdzia, dziewczynie trudno było usłyszeć jej błaganie i odmówić.

Fort i Ann patrzyli na Warkocz. W ich oczach dostrzegła błysk nadziei.

Huck miał rację. Ci ludzie nie byli głupcami. Nie byli idiotami, jeśli mieli nadzieję, że Warkocz jest kimś innym niż dziewczyna, na którą wyglądała. Po prostu chcieli, by istniała szansa.

Warkocz znów zaschło w ustach, choć tym razem nie od nadużywania eterów. Istniał sposób na udowodnienie, że nie jest Maską. Musiała jedynie powiedzieć, że nią jest. Choć wydawało się to niedorzeczne, te słowa potwierdziłyby, że nią nie jest, jeśli Salay miała rację i Maskom nie wolno było się przyznać, kim są.

Ale powiedzenie tego zdeptałoby ostatnią iskrę ich nadziei. Wydawało się to... okrutne. Jak kopnięcie małego kotka.

Nie. Jak przywiązanie dynamitu do małego kotka, żeby sprawdzić, jak wysoko w górę polecą łepki.

Warkocz nie mogła tego powiedzieć. Oni tak bardzo tego chcieli. Ona z kolei rozpaczliwie pragnęła, by dostali to, czego chcieli. Dlatego zmieniła temat. Sięgnęła do torby i wyjęła kulę armatnią.

- Zabrałam to z kryjówki w jednej z beczek zarodników Laggarta - wyjaśniła.

Salay popatrzyła na pozostałą dwójkę i znacząco zaplotła ręce na piersi, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie?”

Fort wziął kulę armatnią i zważył ją w dłoni. Jego powykręcane palce przyciskały się do niej, a inne kostki ją podtrzymywały. Przetoczył ją z jednej dłoni na drugą, a później odstawił na ladę. Wyjął dłuto i młotek, złapał je w swój charakterystyczny sposób i ostrożnie postukał w kulę w kilku starannie wybranych miejscach. Następnie przytrzymał ją jedną dłonią i przekręcił tak, że dwie połówki się rozdzieliły.

Wewnątrz normalnie znajdowałyby się ładunek wybuchowy zefirowych zarodników i zapalnik mający doprowadzić do rozerwania kuli. (Szczegółami zajmiemy się później). Na każdej kuli wypisano liczbę sekund do wtórnego wybuchu, który spryskiwał wszystko dookoła wodą.

W tym przypadku ładunek zastąpiono zwiniętym kawałkiem materiału, a w wodzie w środku umieszczono ołowiany śrut.

- Przerobiona, żeby zatopić statek, zamiast go unieruchomić - powiedziała Ann. - Księżycu sprawiedliwości, Salay. Masz rację. Kapitan celowo zrobiła z nas trupiaryzy.

Wiedziałem, że z tym wszystkim było coś nie w porządku. Fort uniósł tabliczkę. Ty też to wiedziałas, Ann.

- Tak, ale zobaczyć to na własne oczy... - powiedziała Ann. - Jak to zdobyłaś i nie dałaś się złapać?

- Nie było trudno. Nikt nie ma ochoty zbliżyć się do ładunków.

- Ale jak w ogóle je znalazłaś? - Ann trąciła rozłożoną kulę armatnią.

- Ja, no, mam doświadczenie z beczkami i skrytkami.

Salay posłała jej przebiegłe spojrzenie i znaczący uśmiezek.

Moje pytanie brzmi: DLACZEGO? napisał Fort. Co kapitan na tym zyska? Już byliśmy piratami. Zabijanie ludzi zamiast łupienia ich nie ma sensu.

- Ano - zgodziła się Salay. - To zagadka.

Warkocz zawahała się i westchnęła. Musiała im powiedzieć.

- Podśledzałam, jak kapitan rozmawia z Laggartem. Obawiała się, że jeśli nie zostaniecie wyjętymi spod prawa zbrodniarzami, których czeka śmierć na każdej wyspie, na którą spróbujecie uciec, nie będziecie dość lojalni.

- Cóż, tu miała rację - przyznała Ann. - Aż do zatopienia tamtego statku myślałam o znalezieniu sposobu, żeby uciec.

„Podśledzałaś” jak kapitan rozmawia z Laggartem? Jak? Oni nigdy nie rozmawiają o swoich tajemnicach na otwartej przestrzeni.

- Nie byli na otwartej przestrzeni - wyjaśniła Warkocz. - Tylko w jej kajucie.

Cała trójka spojrzała na nią i dziewczyna uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Księżycu miłosierdzia. Nie powinna przychodzić na to spotkanie z koszmarnym bólem głowy.

- Udało ci się szpiegować kapitan... - powiedziała Ann - ...w jej kajucie, kiedy rozmawiała w ukryciu ze swoim pierwszym oficerem na temat swoich tajnych planów zdradzenia załogi?

- Yyy. Tak.

Słowa na chwilę zawisły w powietrzu, aż Ann je pochwyliła i pożarła.

– Jesteś strasznie dobra w szpiegowaniu jak na dziewczynę z zacofanej wyspy, prawda?

– Po prostu mam szczęście. – Warkocz próbowała szybko zmienić temat. – Posłuchajcie, martwię się, że kapitan spróbuje zatopić kolejne statki. Wymiana kul armatnich pozwoliła zapobiec śmierci dzisiaj, ale wydaje mi się, że ona chce zamordować co najmniej jeszcze jedną załogę, żebyście wszyscy jechali na tym samym wózku. Metaforycznie. Jeśli chodzi o waszą sytuację. Skoro, no wiecie. – Wskazała statek.

– Zgadzam się z Maską – powiedziała Salay. – Dziś było blisko. Mamy dość krwi na rękach. Musimy znaleźć sposób, by na dobre skończyć z Wroną.

To może potrwać napisał Fort. Najpierw powinniśmy znaleźć sposób, by ugasić jej żądę krwi.

– Na wypadek gdybyś nie zauważył, ona nie jest jedną z tych, których łatwo ugasić – powiedziała Ann. – Myślę, że powinniśmy utrzymać ją z dala od miejsc, gdzie mogłaby bardziej zaszkodzić.

A gdybyśmy przekonali ją do wypłynięcia na inne morze? Takie, na którym nie ma tak wielu ludzi. W ten sposób napotkalibyśmy mniej niewinnych, którym mogłaby zrobić krzywdę.

– To prawda – zgodziła się Salay. – Ale musielibyśmy dostać się na Szkarłatne Morze albo, co gorsza, Północne Morze. Nie ma mowy, żebyśmy przekonali do tego kapitan. Ona chce być tam, gdzie jest dużo statków.

– Właściwie jestem całkiem pewna, że ona zgodziłaby się popłynąć na Szkarłatne Morze – wtrąciła Warkocz.

– E tam – powiedziała Ann. – Kapitan ma zbyt dużo zdrowego instynktu samozachowawczego. Nigdy jej nie przekonamy... – Spojrzała na Warkocz i zmrużyła oczy. – A przynajmniej żaden normalny członek załogi nie przekona jej do tak szalonego pomysłu.

– Myślę, że to będzie łatwe. – Warkocz czuła się niezręcznie. – Salay, ty to powinnaś zaproponować.

– Po tym, co zrobiłam wcześniej? W tej chwili kapitan szuka wymówki, żeby mnie powiesić. Gdybym poprosiła ją, żebyśmy popłynęli na Szkarłatne, z pewnością wyrzuciłaby mnie za burtę.

– Naprawdę myślisz, że uda ci się ją przekonać, Warkocz? – zapytała Ann.

Warkocz chciała im powiedzieć, czego się dowiedziała – że Wrona planowała popłynąć na Szkarłatne i się wyleczyć. I... przyszło jej na myśl, że gdyby kapitan została uzdrowiona, wszyscy byliby wygrani. Załoga nie musiałaby się bać zarodnikożercy, Wrona przeżyłaby i może wszyscy mogliby przestać być piratami, jakoś.

Ale gdyby Warkocz miała wyjaśnić, skąd to wiedziała, była pewna, że pozostali uznaliby ją za Królewską Maskę. Podłuchiwanie kapitan to jedno. Ale przyznanie się, że w jakiś sposób ukradła jej prywatne notatki?

Dlatego, zamiast wyjaśnić, pokiwała głową.

– Zrobię to. Jestem pewna, że uda mi się nakłonić ją do pożeglowania na Szkarłatne. Wy możecie się skupić na planie długoterminowym: jak odebrać jej statek.

Jak długo ona ma we krwi te zarodniki, będzie odporna na wszystko, co moglibyśmy jej zrobić.

- Yyy, udawajcie, że ona już ich nie ma. Załóżcie, że jej moce zostaną w najbliższej przyszłości zneutralizowane. Przez... no... coś zupełnie niezwiązanego ze mną.

Cała trójka wykorzystała tę okazję, by znów się w nią wpatrzeć.

- Dobrze, dobrze. - Salay zaprowadziła Warkocz do drzwi. - Zrobimy to. Ty skłoń ją do popłynięcia na Szkarłatne. Jeśli się zgodzi, jestem pewna, że przekonam Dougów, żeby też się zgodzili. Większości z nich tak samo jak nam nie podoba się zabijanie. - Później dodała szeptem: - Ale pamiętaj o naszej umowie. Wstaw się za nami u króla. Przekonaj go, że nie chcieliśmy tego wszystkiego, i powiedz mu, że pomogliśmy ci ją powstrzymać. Dobrze?

- Salay, ja naprawdę nie...

- Wiem. Nie możesz się do tego przyznać. Może tak. Jeśli przypadkiem będziesz miała okazję wstawić się za nami u króla, czy możesz mi obiecać, że ją wykorzystasz?

- Pewnie tak.

- To wystarczy - powiedziała sterniczka. - I powodzenia.



Warkocz znalazła kapitan na górnym pokładzie. Wrona opierała się o reling na dziobie statku, przelewała wodę z manierki do ładnego cynowego kubka i patrzyła w stronę zachodzącego słońca, które płonęło na horyzoncie. Warkocz podeszła i w tej właśnie chwili kipienie ucichło. Doug, nocny sternik, polecił zwinąć żagle i statek zatrzymał się ze zgrzytem. Był jak cicha bestia, drzemiąca przy akompaniamencie łagodnych dźwięków wiatru wśród zarodników i płócien.

Za każdym razem, kiedy statek się zatrzymywał, wydawało się, że świat przestaje się poruszać w rytm własnej muzyki. Brakowało ruchu, który trzeba by równoważyć, a powietrze było zbyt ciche. Delikatne ocieranie się zarodników było czymś tak stałym, że jego nieobecność robiła wrażenie nienaturalnej. Nawet na pokładzie zapanowała cisza, kiedy Dougowie zesłali pod pokład, żeby coś przekąsić i grać w karty do czasu, aż powróci kipienie.

Kapitan nie pokazała po sobie, że zauważyła Warkocz. Wypiła wodę z kubka, a później zawiesiła go na palcu wskazującym i wpatrzyła się w słońce. Jakby była niebiańskim katem, wysłanym, by się upewnić, że dzień rzeczywiście spotka właściwy koniec.

Warkocz nie odezwała się od razu. Kapitan dała wyraźnie do zrozumienia, że nie należy jej przeszkadzać, kiedy pije. Dziewczyna miała jedynie nadzieję, że kobieta nie wrzuci kubka do oceanu, kiedy skończy. Owszem, był prosty i użytkowy, ale Warkocz też. Wolą, by żadne z nich nie zostało zmarnotrawione.

Zielony Księżyc patrzył na nich z góry, zajmując dobrą jedną trzecią nieba. Często uderzało mnie, jak mało ludzie z mórz zarodników patrzają na swoje księżyce. Kiedy przybyłem na planetę, nie mogłem przestać się gapić. To, jak blisko się unoszą, ma w sobie coś z wrogości. Podczas gdy większość planetarnych księżyców stoi pod ścianami i czeka na zaproszenie do tańca, te już wyszły na parkiet – i noszą stroje z cekinami.

- Dlaczego tu jesteś, Warkocz? - spytała w końcu Wrona.

Dziewczyna się zastanowiła. Gdyby od razu poprosiła Wronę o udanie się na Szkarłatne Morze, kobieta bez wątpienia byłaby podejrziwa.

- Cóż - powiedziała. - Chciałam o czymś porozmawiać.

- Nie to miałam na myśli. Chcę wiedzieć, co robisz na tych oceanach. Czego chcesz?

Jakby na to pytanie była prosta odpowiedź. Ludzie zasadniczo nie wiedzą, czego chcą, choć niemal jak jeden mąż nienawidzą, kiedy ktoś mówi im, co to powinno być. Poza tym Warkocz przeżyła całe życie przekonana, że nie powinna prosić o rzeczy, których pragnie.

- Opuściłam wyspę, żeby zobaczyć świat.

- Ludzie często to mówią o zostaniu marynarzem. To ładny aforyzm, czyż nie? Ozdobiony kokardką. Żeglować po morzach, zobaczyć setkę różnych wysp. Cały problem polega na tym, że wszystkie portowe tawerny są do siebie przerażająco podobne, a zasadniczo dużo więcej nie zobaczysz.

- Przynajmniej poznam mnóstwo ludzi.

- Cóż, tak - zauważyła Wrona. - To prawda. Cały problem polega na tym, że ich wnętrności również są do siebie przerażająco podobne. A jako trupiarz zasadniczo dużo więcej z nich nie zobaczysz.

Warkocz odwróciła wzrok od kapitan. Marzyła, żeby statek znów się poruszył. Od tego stania nieruchomo robiło jej się niedobrze.

- Więc o to chodzi? - spytała Wrona. - Dziecinne pragnienie, by znaleźć się w jakimś innym miejscu?

- Tak - odparła Warkocz.

Kapitan sprawiała wrażenie rozczarowanej. Na horyzoncie słońce w końcu zanurzyło się w morzu, w pełni zgaszone. Pozostała jedynie poświata na dowód popełnionej zbrodni.

Warkocz niepokoiło, jak dużo musiała ostatnio kłamać. Z pewnością człowiek nie powinien czuć się źle z powodu okłamywania kogoś takiego jak Wrona. Bicie też jest niedopuszczalne, ale nie dotyczy tygrysa, który próbuje odgryźć wam nogę.

Dlatego Warkocz nie martwiła się tym kłamstwem. Jej niepokój wzbudzała raczej ogólna gęstość kłamstw, które się z niej wydobywały. Wszystkie były dla większego dobra, owszem, ale wyżej wspomniany tygrys również może wierzyć, że owo odgryzanie jest dla większego dobra. A dokładniej jego dobra.

Warkocz zaczynała uświadamiać sobie krępujący fakt - ludzie nie dzielą się na proste grupy kłamców i nie-kłamców. Często to okoliczności, jak również wychowanie i genetyka tworzą kłamstwa - a zatem i kłamców.

- Właściwie chodzi o coś więcej - powiedziała Warkocz. - Ktoś, kogo kocham, został zabrany przez Czarodziejkę. Zamierzam udać się na jej wyspę i rzucić jej wyzwanie, by go odzyskać.

Wrona prawie upuściła kubek. Warkocz wyciągnęła rękę z niepokojem.

- Północne Morze - powiedziała Wrona. - Zamierzasz udać się na Północne Morze.

- Cóż, miałam nadzieję, że nie sama. Najchętniej zrobiłabym to na statku.

Wrona roześmiała się i nie był to pogodny dźwięk. Wrogi i szyderczy, miał tyle wspólnego ze zwyczajnym śmiechem, co pies stróżujący ma ze szczeniakiem.

- Ty? - powtórzyła Wrona. - Rozczochna pomywaczka znikąd? Ty zamierzasz... Nie mogę tego nawet powiedzieć.

Na ten dźwięk w Warkocz coś się zmieniło. Nie do końca pękło, ale z pewnością ugięło - i odkryło, że jest znacznie bardziej elastyczne niż w przeszłości. Spojrzała Wronie w oczy i powiedziała:

- Myślę, że to niesprawiedliwe. Dotarłam tak daleko. Moja matka zawsze mówiła mi, że najtrudniejszą częścią każdego zadania jest zmuszenie samej siebie, by je zacząć.

- Jako ktoś, kto wspiął się na kilka gór, mogę z dużą pewnością stwierdzić, że twoja matka jest idiotką.

Warkocz poczuła, że czerwieni się ze złości. Niektóre słowa były niestosowne, nawet wśród piratów.

- A jak myślisz, kto cię zabierze na tę niemożliwą wyprawę? - zapytała Wrona.

- Cóż, w tej chwili znam załogę tylko jednego statku. Trochę miałam nadzieję...

Przerwał jej kolejny wybuch śmiechu. Spodziewała się go. Celowo go sprowokowała. Bo czuła się coraz mniej zawstydzona, kłamiąc - przynajmniej jeśli chodziło o Wronę.

I właśnie wymyśliła całkiem imponujące:

- A gdybym znalazła sposób, by wam zapłacić?

Wrona śmiała się tak głośno, że aż zaczęła kaszleć. Na ten dźwięk sam Ulaam wyszedł z dołu i spojrzał na pokład, bo wcześniej kapitan śmiała się tak tylko raz - kiedy jeden z marynarzy jakimś cudem wbił sobie w krocze swój własny hak do abordażu.

- Nawet gdybym chciała udać się na Północne Morze.... - Wrona wytarła oczy - ...i nawet gdybyś mogła mi zapłacić, załoga nigdy by się na to nie zgodziła.

- Pewnie masz rację. - Warkocz udawała, że się zastanawia. - Musiałabym łagodnie ich do tego doprowadzić. Wysłać ich najpierw w jakieś miejsce, które jest groźne, ale nie aż tak niebezpieczne. Na przykład... Szkarłatne Morze? I tak musiałabym przebyć Szkarłatne, żeby dotrzeć do Północnego. Moglibyśmy więc udać się najpierw tam.

- Oni nigdy by się na to nie zgodzili, dziewczyno. Ta załoga jest równie tchórzliwa jak sam król.

- Ale powiedzmy... gdyby udało mi się skłonić ich do zgody? Pozwoliłabyś na to? Po Szkarłatnym pływa bardzo niewiele statków, więc te, które to robią, muszą być najbogatsze i najlepsze do splądrowania!

Należy tu zauważyć, że ma to mniej więcej tyle samo sensu, co zakładanie, że mieszkańcy odległych królestw muszą być najsprawniejsi, bo dotarcie do tych miejsc pieszo wymaga tak dużo czasu.

Wrona wzruszyła ramionami.

- Jeśli uda ci się ich przekonać, w porządku. Ale nie zgodzą się. Jeszcze nie. Nie są dość... zdesperowani.

Warkocz podziękowała kapitan i pożegnała się. Nie chciała mówić nic więcej i nie musiała. Bo kapitan właśnie została skutecznie rozegrana przez rozczochną pomywaczkę znikąd.

Znowu.



Istnieje historia pochodząca z krainy Warkocz, którą całkiem lubię opowiadać. Widzicie, w pałacu króla najniższym postawionym służącym jest zbieracz – człowiek, który przegląda pałacowe nieczystości, żeby się upewnić, że nic przydatnego nie zostało zgubione ani wyrzucone.

Nikt nie chciał być zbieraczem, z oczywistych aromatycznych powodów. Co gorsza, nikt nie słuchał zbieracza, bo dokądkolwiek się udał, ludzie albo byli zbyt zajęci przesuwaniami się na jego nawietrzną albo zajmowało ich przypominanie sobie, jak oczyścić dywan z wymiocin. (Mydłem, octem i ciepłą wodą).

Zbieracz w naszej opowieści miał wiele powodów do narzekania, przy czym niektóre wiązały się z brakiem błonnika w diecie króla. Jedyną rzeczą, na którą nie narzekał, była kolacja. Każdego dnia dostawał to samo. Pieczonego ziemniaka ze smalcem.

Zbieracz uwielbiał pieczone ziemniaki. Tak bardzo, że przy kolacji postanowił poprosić o drugiego. Dostał go, głównie dlatego, że wszyscy chcieli, żeby jak najszybciej się oddalił, i weszło mu to w zwyczaj. Dwa ziemniaki. Każdego dnia.

Trwało to do czasu, aż pewnego dnia mniej ważni służący dostali na kolację coś innego – placek kukurydziany ze smalcem. A zbieracz nie znosił placków kukurydzianych. Czekał na powrót ziemniaków, ale nigdy do tego nie doszło.

Pewnego dnia, kiedy wykonywał swoją codzienną pracę – po tym, jak zauważył, że podczas ostatniego balu ktoś znów musiał zabarwić poncz na zielono – coś mu przyszło do głowy. Jego życie w pałacu było żałosne, ale z pewnością mógł zrobić coś, żeby poprawić swoją sytuację.

Dlatego zbieracz wyruszył z misją. Znalazł kucharkę, przeprosił za to, że skwasił mleko, i wypowiedział swoje błaganie. Ziemniaki, proszę. Mniej placków kukurydzianych.

Kucharka była pełna współczucia, o czym świadczyły łzy w jej oczach. Ale, niestety, nie mogła zmienić jadłospisu. Wyjaśniła, że o posiłkach decydował pałacowy kamerdyner, kucharka jedynie przygotowywała jedzenie.

Zbieracz poszedł porozmawiać z kamerdynerem. Znalazł go w trakcie dziwnej czynności – sprawdzania, ile chusteczki zmieści się w jego nozdrzach. Zbieracz przedstawił swój problem. Kamerdyner sprawiał wrażenie pełnego współczucia, o czym świadczył sposób, w jaki przygryzał wargę. Niestety nie mógł zmienić jadłospisu – bo dostawał żywność od minister handlu, która już nie dostarczała ziemniaków.

Cóż – jak się okazało – minister handlu zgubiła w krainie zbieracza pierścionek. Zbieracz odzyskał go po skrupulatnych poszukiwaniach, choć zastanawiał się, czemu ktoś tak elegancki jak minister handlu jadł tak dużo kukurydzy. Poszedł zwrócić pierścionek, a minister zaszczyliła zbieracza, przyjmując go osobiście. Na zewnątrz. W czasie wichury. Kiedy padało. W sezonie na alergię.

Zbieracz wyjaśnił swoje ciężkie położenie. Minister handlu była pełna współczucia, o czym świadczył fakt, że prawie zemdląła, kiedy się zbliżył, i wysłuchała jego skargi. Niestety nie mogła mu pomóc – sam król we własnej osobie zdecydował, że służba ma dostawać tylko kukurydzę.

Cóż, król nie był człowiekiem, z którym można się spotkać każdego dnia. Bo nie wypróżniał się regularnie, lecz co drugi dzień. Właściwego dnia zbieracz – trzymając w ręku parasol – zawołał, patrząc w górę. Wiedział, że król go usłyszy, bo zbieracz wiedział z pierwszej ręki i z własnego doświadczenia, jak dobra była akustyka w tym określonym miejscu.

Poprosił króla, by ten znów dawał im ziemniaki na kolację. Tak je uwielbiał, że zawsze zjadał dwa. Król był pełen współczucia, o czym świadczył fakt, że przez krótką chwilę przestał dokładać zbieraczowi pracy i odpowiedział.

– Nie mogę – powiedział król. – Całe zbiory ziemniaków zostały pożarte przez szkodniki. A poza tym uważaj.

Tego dnia zbieracz dostał dwie ważne lekcje. Po pierwsze, nie trzeba opuszczać parasola, żeby z kimś porozmawiać. Po drugie, nikt – nawet król – nie miał mocy w tej chwili dostarczyć ziemniaków.

– To ty jesteś tym, który zaczął tę historię z dwoma ziemniakami, co? – powiedział król, kiedy się załatał.

– No... tak? – zawołał zbieracz, patrząc w górę, i pożałował, że otworzył usta.

– To zabawne. – Głos króla odbijał się echem. – Musiałem przestać kupować ziemniaki jeszcze zanim zbiory się nie udały. Kiedy ty wzięłeś dwa, wszyscy inni też chcieli dwa. Z powodu zwiększonego popytu ziemniaki stały się zbyt drogie. Nie mogliśmy sobie dłużej pozwolić na kupowanie ich dla służby.

Czyli tak naprawdę była też trzecia lekcja.

Nawet niewielkie działania mają konsekwencje. I choć często możemy zdecydować, jakie działania podejmiemy, rzadko mamy szansę zdecydować o konsekwencjach.

Kiedy Warkocz szła pod pokład, czuła pewien... dyskomfort. To się zdarzało często. Rozmowy z kapitan Wroną zwykle pozostawiały na człowieku warstwę brudu. Rodzaj emocjonal-

nego osadu z mydła.

Kiedy Warkocz zobaczyła oddalającego się Ulaama – rozczarowanego, że śmiech nie wynikał z przebitego krocza – pośpieszyła za nim.

– Doktorze, o coś chciałabym cię spytać. O... te zarodniki, których z całą pewnością nie wypróbowałam.

– Cicho. – Ulaam rozejrzał się po korytarzu i popchnął ją w stronę jej kajuty. Kiedy znaleźli się w środku, przyjrzał jej się uważnie. – Tak... wierzę, że wciąż żyjesz.

– Przecież z tobą rozmawiam. I chodzę.

– To wcale nie są tak niezbite dowody, jak mogłabyś zakładać. Ale o co chciałaś mnie spytać?

– Czy północne zarodniki... zostawiają jakieś ślady po zerwaniu więzi? To znaczy... powiedzmy, że wykorzystałbyś je do zakradnięcia się do jakiegos miejsca, w którym nie powinno cię być...

– Zwykle jest to powód, dla którego ludzie gdzieś się zakradają. Hm?

– Racja. Ale powiedzmy, że, no, coś ci przeszkodziło i ktoś przerwał zakłęcie, żebyś nie umarł.

– To nie zakłęcie, ale skomplikowana relacja symbiotyczna między dwiema jednostkami. Tak czy inaczej, kupiłbym temu, kto cię uratował, jakiś ładny prezent. Może zapasową rękę?

– Yyy...

– Ludziom zawsze przydają się dodatkowe ręce. W końcu często się o nie nawzajem proszą, choć nigdy nie widziałem, żeby je rzeczywiście dawali. Ludzie bywają tacy nieprzeniknieni.

– Racja. Możemy, no, wrócić do tematu? Proszę?

Ulaam uśmiechnął się i splótł dłonie przed twarzą. Dziwne, że jego szara skóra i czerwone oczy zaczynały robić wrażenie tak... uroczych, kiedy się już go poznało. Mniej demonicznych. Bardziej ekscentrycznych.

– Nie zostaniesz odkryta, o ile ktoś nie zobaczy poruszającej się Esencji Północy, kiedy ją kontrolujesz. W chwili gdy więź zostaje zerwana, istota rozplywa się w chmurze czarnego dymu, która szybko się rozprasza. Nie pozostaje żaden osad.

Warkocz pokiwała z ulgą głową.

– Dlaczego tak cię to niepokoi? – spytał Ulaam.

– Cóż, przed chwilą rozmawiałam z kapitan. Miałam wrażenie, że ją przechytryłam. A więc...

– A więc mądrze zakładasz, że być może to ona w tajemnicy manipulowała tobą. Może dlatego, że domyślała się, co zrobiłaś, hm? Interesujące. Powiedz mi, do czego ją skłoniłaś?

– Do popłynięcia na Szkarłatne Morze. Wiem, co zamierzasz powiedzieć. Ale rozmawiałam również z Fortem, Salay i Ann. Oni także chcą popłynąć na Szkarłatne i myślą, że uda im się przekonać Dougów.

– W to ostatnie nie wątpię. Ich trójka potrafi być bardzo przekonująca. Ale dlaczego płyniemy na Szkarłatne? Co mogło sprawić, że ty tego pragniesz?

– Och! Racja. Cóż, dowiedziałam się tego, kiedy szpiegowałam kapitan. Planuje odwiedzić smoka i skłonić go, by ją wyleczył.

- Xisis. Ona planuje dobić targu z Xisistem?
- Tak, więc przekonałam ją do wypłynięcia na Szkarłatne.
- Do czegoś, czego ona pragnęła już wcześniej?
- Formalnie rzecz biorąc, tak. Bardziej chodzi o to, że przekonałam ją, a ona nie wiedziała, że ją przekonuję.
- Powtórzę, żeby zrobiła to, co sama chciała zrobić.
- To skomplikowane. Ale martwię się, że może wcale nie jestem tak sprytna, jak sądziłam.
- To się wydaje oczywiste, dziecko.
- Cóż... - Warkocz usiadła na łóżku. - Czy to nie było choć odrobinę sprytnie? Kapitan zamierzała zatopić przynajmniej jeszcze jeden statek. Dlatego skłonienie pozostałych, żeby tam popłynęli... Wszyscy wygrywają, prawda? Zakładając, że uda nam się znaleźć smoka, kapitan zostanie uzdrowiona. Nie trzeba będzie zatopić więcej statków. Może kiedy Wrona nie będzie już umierała, pozwoli wszystkim odejść. A ja...

Cóż, trafi na Szkarłatne Morze - w połowie drogi do Północnego Morza. W ten sposób znalazłaby się bliżej uratowania Charliego, niż się spodziewała, kiedy myślała na ten temat realistycznie.

- Dziecko. - Ulaam przykleknął obok łóżka - Xisis jest smokiem. On nie daje łask. Proponuje wymianę.

- Na co? Skarby? To znaczy, że musimy najpierw obrabować kolejne statki?

- Xisis nie potrzebuje bogactw, Warkocz. Pragnie tylko jednego, by móc kontynuować swoje eksperymenty: służących do wykonywania jego zadań. Ale ponieważ mieszka pod zarodnikami, wymaga bardzo szczególnego rodzaju służących.

- Szczególnego... w jaki sposób?

- Nie mogą bać się zarodników. Na tym zawsze polega wymiana. Jedna rozsądna łaska... uzdrowienie pewnie się liczy... w zamian za jednego niewolnika, który będzie dla niego pracował do końca swoich dni. Sztuczka polega na znalezieniu ofiary, która nie wpadnie w panikę, kiedy będzie prowadzona tunelem zarodników.

W tej koszarnej chwili Warkocz przypomniała sobie spojrzenie kapitan, kiedy dziewczyna postanowiła zostać na statku. Kiedy zgłosiła się na ochotnika na stanowisko okrętowego kielkowacza.

„Naprawdę nie boisz się zarodników, dziewczyno?” - spytała wtedy Wrona.

Na księżycu... pomyślała Warkocz.

Na zewnątrz powróciło kipienie. Po chwili statek ruszył z szarpnięciem i Warkocz słyszała, jak kapitan wydaje nowe rozkazy. Mieli skierować się do portu i wziąć więcej zapasów, bo wkrótce wyruszą w daleki rejs... bez portów...

Wrona zamierzała przehandlować Warkocz smokowi. A Warkocz, w swej ignorancji, znacznie to przyspieszyła. Być może oszukała Wronę, ale udało jej się oszukać jednocześnie siebie samą.

Nie dostanie przysłowiowych ziemniaków. Ale z pewnością stała w środku dużej sterty gleby zbieracza.



CZEŚĆ
PIĄTA



Warkocz spędziła następne trzy dni, próbując wymyślić sposób ucieczki. Z pewnością zrobiła wszystko, czego mogli od niej oczekiwać. Ochroniła załogę całego statku kupieckiego. Udało jej się skierować *Pieśń Wrony* na drogę bezpiecznego pogodzenia dla wszystkich poza nią samą. Z pewnością sumienie pozwoli jej teraz uciec.

Statek zatrzyma się w porcie, by zabrać wodę, nim wypłynie na Szkarłatne, a ona musiała znaleźć sposób, by uciec tam z pokładu. Później mogła zająć się realizacją swojej prawdziwej misji i pozwolić, by *Pieśń* odpłynęła bez niej.

Tyle że...

Siedziała w swojej kajucie, opierała się o stół i patrzyła na kubki, które Charlie przysłał jej ze swojej podróży. Przez ten cały czas pozostał jej wierny, posunął się tak daleko, że popłynął na Północne Morze, bo nie chciał pójść na łatwiznę i poślubić jednej z kobiet, które znalazł mu ojciec. Dał się skazać na zatracenie z powodu... z powodu miłości. Do niej.

Naprawdę mogła uciec? Hoid był jej najlepszą szansą na dowiedzenie się, jak dotrzeć do Czarodziejki. Poza tym tutaj, na tym statku, miała załogę, która popłynie na Szkarłatne. I czy naprawdę mogła porzucić przyjaciół? Szczególnie, kiedy okazywali jej takie zaufanie? Gdyby odeszła, kogo kapitan oddałaby smokowi? Czy Wronie nie pozostałoby inne wyjście, jak wrócić na Zielone Morze i dalej plądrować i mordować?

Takie pytania jej ciążyły. Zmartwienie ma wagę i jest zasobem nieskończenie odnawialnym. Można wręcz powiedzieć, że zmartwienie to jedyna rzecz, która może sprawić, że poczucie się ciężiej, jeśli tylko o niej pomyślicie.

W dniu, w którym *Pieśń Wrony* w końcu przybiła do portu, Warkocz stała na pokładzie, a wiatr szarpał jej włosy. Znów myślała o Charliem. Przeraziłwie za nim tęskniła. Przez te

wszystkie lata, które spędzili razem, nie uświadamiała sobie, jak bardzo zaczęła polegać na jego obecności.

Nie chodziło o to, że robił coś szczególnego. Charlie nie był typem osoby, która „robiła coś”, ale raczej typem osoby, która „była czymś”. Podejmowanie decyzji stawało się łatwiejsze w jego obecności – jakby był emocjonalnym smarem ułatwiającym działanie maszyny i serca, kiedy męczyła się z trudnymi zadaniami.

Ostatnio miała problem z wyobrażeniem go sobie. Doskonale pamiętała jego portret wiszący nad kominkiem w rezydencji. Ale jego? To nie było takie łatwe, choć go kochała. Nie jest to wcale takie dziwne. Obraz to przedmiot, łatwy do zdefiniowania i ograniczenia, a osoba to dusza – więc nie jest ani jednym, ani drugim.

Przed nimi pojawiła się wyspa, wyłaniająca się z Zielonego. Dougowie zaczęli krzyczeć, podekscytowani możliwością zejścia na brzeg. Nawet Hoid szedł energicznym krokiem, kiedy minął ją, ubrany... cóż....

W porządku, miałem na sobie czarne spodnie i wręcz świecące białą sportowe skarpetki. Już. Znacnie mój wstyd. W tamtym czasie moje podejście do mody przypominało podejście piętnastofuntowej nabijanej maczugi do odsłoniętego czoła.

Zanim Warkocz zdążyła podjąć decyzję, czy zamierza zrealizować swój niedopracowany plan ucieczki, podszedł do niej Laggart i postukał ją w ramię. Wskazał kwaterę kapitan.

– Wrona chce cię widzieć, dziewczyno.

Warkocz z westchnieniem wypełniła rozkaz. W środku Wrona siedziała za biurkiem i trzymała w rękę piękny porcelanowy kubek z kwiatowym wzorem wymalowanym na boku. Pociągnęła łyk i wskazała na krzesło po drugiej stronie niewielkiego biurka.

Warkocz usiadła i zauważyła książkę, którą przeczytała wcześniej, ale starała się na nią nie gapić. Wrona od niechcenia stuknęła w nią palcem wskazującym, wyglądając przez bulaj.

Na pokładzie Laggart kazał Dougom przygotować się do przybycia do brzegu. Statek zwolnił i skręcił przy akompaniamencie cichego skrzypienia desek.

– To... ładny kubek, pani kapitan – powiedziała w końcu Warkocz. Odważyła się odezwać jako pierwsza.

– Dostałam go od tamtych kupców. Mój pierwszy oficjalny łup.

– Wpływamy do portu – zauważyła Warkocz, jakby to było coś, co należało stwierdzić. – Ja, no, planuję wyjść na brzeg...

– Wcale nie.

– Nie?

Wrona pokręciła głową i pociągnęła kolejny łyk.

– Będziesz mi towarzyszyć w rozmowie tutaj, podczas gdy załoga zajmie się rozładunkiem i wnoszeniem zapasów. Twoje towarzystwo powinno... być przyjemne.

Warkocz przeszedł dreszcz, wstrząs wtórny po słowach Wrony. Czy to był dowód, że odkryła, że była szpiegowana?

Albo... nie, być może Wrona zamierzała przypilnować ofiarę, którą wybrała dla smoka. Warkocz poczuła ściskanie w żołądku, kiedy zrozumiała, że nie będzie mogła sama podjąć decyzji o ucieczce. Nawet jeśli Wrona nie znała jej planów, nie zamierzała ryzykować.

- Lubisz herbatę, dziewczyno? - spytała Wrona.

- Owszem.

- Ta pewnie by ci bardzo smakowała. Herbata z zapriela, z Dromatorskich Wysp. Drogi towar. Wart więcej niż jego waga w złocie.

Co warto zauważyć, nie zaproponowała jej Warkocz.

- Tak żyje trupiarz - mówiła dalej Wrona. - Gorączkowe chwile luksusu. Najlepiej szybko się nimi nacieszyć, bo nasze życie nie potrwa długo. Cieszy mnie, że reszta z was tego doświadczy.

- Bycia poszukiwanym? Bycia wyjętym spod prawa?

- Bycia o krok od śmierci. Większość ludzi nigdy nie żyje, Warkocz, bo boją się stracić lata, które im pozostały... lata, które spędzą, również nie żyjąc. Taka jest ironia ostrożnej egzystencji. - Pociągnęła kolejny łyk i spojrzała z ukosa na Warkocz. - Czy czujesz się teraz bardziej żywa? Teraz, kiedy dołączyłaś do nas w zabijaniu i musisz stawić czoło możliwości, że zostaniesz zabita?

Warkocz chciała odpowiedzieć. Bo... rzeczywiście to zauważyła. Nie podchodziła z taką nieśmiałością do rozważań, co jest właściwe albo co jest stosowne, jak wcześniej. Czy... coś pękło w jej wnętrzu z powodu tego życia?

Czy mogła to kiedykolwiek naprawić?

- Mylisz się - powiedziała Warkocz. - Wielu zwyczajnych ludzi prowadzi sensowne, interesujące życie i nie potrzebuje kogoś takiego jak ty, żeby ich popchnąć. Nie powinnaś podchodzić tak bezdusznie do zabijania dobrych ludzi.

- Nie jestem bardziej bezduszna niż księżycy. One przecież zabierają młodych i starych, kochających cnotę lub występki. Jednych powala choroba, innych głód. Pospolity wypadek w bezpiecznym domu. Dlaczego miałabym unikać zabijania dobrych ludzi? Podążam ścieżką bogów, przynosząc śmierć wszystkim jak popadło. Gdybym postępowała inaczej, miałabym czelność sądzić, że jestem większa od nich.

- Mogłaś dostać, co chciałaś, bez zabijania.

- Tak, ale dlaczego? Jestem piratką. I ty też, choć jesteś w tym koszmarna. Zbyt miłosierna. Starasz się chronić przypadkowe statki kupieckie, choć powinnaś troszczyć się o siebie.

Warkocz umilkła, z trudem łapała oddech.

Wrona pociągnęła kolejny łyk herbaty.

- Tak, wiem o kulach armatnich. - Czemu miałyby nie walić prosto z mostu, skoro było tak wielu ludzi, którzy właśnie unikali walenia? - Laggart jeszcze się nie domyślił, ale on jest równie inteligentny jak orzech. Tylko jedna osoba mogła podmienić te kule.

Warkocz żałowała, że nie jest bardziej opanowana, żeby nie zdradzał jej pot na czole.

- Nie rób takiej przerażonej miny. - Wrona odchyliła się do tyłu na krześle. - To było śmiałe posunięcie, nawet jeśli nieprzemysłane. Byłaś doskonałą służącą... a raczej marynarzem... jeśli ktoś tobą odpowiednio pokieruje. Tak czy inaczej, już po wszystkim. Płyniemy na Szkarłatne, jak chciałaś. Naprawdę myślisz, że ocalisz przyjaciela z rąk Czarodziejki?

- Nie zrobiłam tego wyłącznie dla niego. - Warkocz poczuła się zirytowana tym, że pozwoliła, by słowa Wrony tak bardzo ją zraniły. - Chciałam ochronić załogę, nie chciałam, żebyś

zmieniła ich w trupiarzy.

Kapitan się roześmiała.

– Ochronić załogę? Przekonując ich, żeby popłynęli na Szkarłatne? Dziecko, martwiłam się, że zabicie Weeva pozbawi mnie ulubionego źródła rozrywki, ale naprawdę doskonale zajęłaś jego miejsce!

Warkocz zarumieniała się i spuściła wzrok. Próbowwała sobie przypomnieć, jak dumna się czuła przed kilkoma dniami – ale teraz to uczucie wydawało się zadziwiająco naiwne.

– Czy ty w ogóle wiesz? – spytała kapitan. – Czy masz pojęcie, jakie jest Szkarłatne Morze?

– Ja... ja wiem, że jest źle...

Wrona zaśmiała się na całe gardło, tak głośno, że z pewnością słyszały to nawet same księżycy. Uderzyła dłonią w stół, aż zagrzecgotał spodeczek.

– Ty umieściłaś nas na tym kursie, a nie wiesz nawet, w stronę czego płyniemy!

Warkocz przyszło na myśl, że absolutnie powinna była zadać wcześniej to pytanie.

– Rozumiem, że istnieją zarodniki bardziej niebezpieczne niż zielone – powiedziała. – Ale nie rozumiem, jak morze mogłoby być o wiele bardziej niebezpieczne... Już bardzo się staramy, żeby nie rozlewać wody i mamy srebro na całym statku. Czyli tak długo, jak będziemy ostrożni, nic nie powinno się nam stać, prawda?

– Och, dziewczyno, to nie zarodniki są problemem, tylko deszcz – odparła ze śmiechem Wrona.

Racja. Deszcz.

Ci z was, których bardziej interesuje meteorologia, mogą się zastanawiać na typami pogody i cyklem hydrologicznym planety. Jeśli jesteś jedną z osób, dla których te rzeczy są skrajnie ważne, przyjmij moje wyrazy współczucia. Nigdy nie jest za późno, by wykształcić osobowość. Może idź na imprezę. Ale spróbuj unikać tematów takich jak typy pogody i cykl hydrologiczny. O ile oczywiście nie umiesz opowiadać o nich tak jak ja.

Na planecie Warkocz deszcz spada w niewielkich, ściśle umiejscowionych pasmach. Te jaskrawe linie wody wiją się jak węże na niebie. Deszcz przynosi śmierć i życie, ramię w ramię – stosowne towarzystwo dla bogów.

Te olśniewające pokazy, bardziej izolowane nawałnice niż prawdziwe sztormy, najlepiej oglądać w nocy. Sprawiają, że księżycowy blask rozpada się na tysiące kolorów. Nie widzieliście pełnej wspaniałości tęczy, dopóki nie zobaczyliście, jak wybuchają kęgamiami na Zielonym Morzu, otaczając księżyc tak wielki, że pochłania niebo.

Naturalnie etery rozwijają się razem z deszczem, wyrastają za tymi wstęgami wody. Zupełnie jakby jakaś niebiańska istota rysowała linie na mapie, a jej wola sprawiała, że w tym miejscu spontanicznie pojawiały się umocnienia. Te mury wiszą tam, walczą o życie, a później zapadają się do morza, pochłonięte przez zazdrosne zarodniki.

Jest to piękne w sposób, jaki może wywołać tylko coś tak strasznego, i straszliwe w sposób, jakiego może wymagać jedynie coś tak pięknego. Na szczęście, te opady deszczu są całkowicie przewidywalne. Podążają przez cały czas tymi samymi szlakami, tak stabilnie, że mapy deszczu sprzed stu lat wciąż są aktualne.

Z wyjątkiem Szkarłatego Morza.

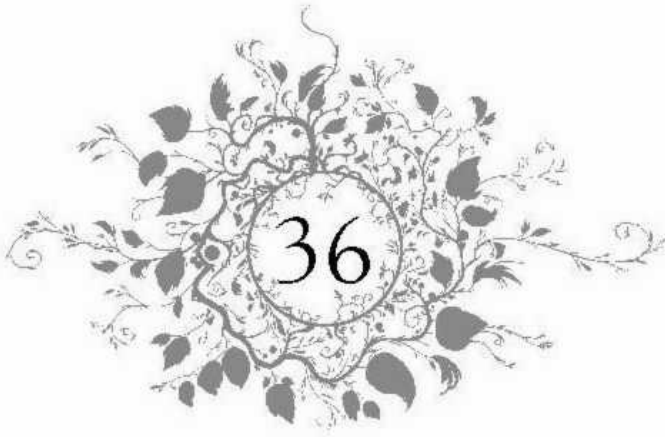
- Na Szkarłatnym deszcz pada nieprzewidywalnie, dziewczyno - wyjaśniła Wrona. - Tak, zarodniki są niebezpieczne... tworzą czerwone kolce, ostre jak igła. Ale prawdziwym niebezpieczeństwem jest deszcz. Nawałnice mogą pojawić się w każdej chwili, niespodziewanie, wijąc się po niebie w dowolnym kierunku. Żeglowanie po Szkarłatnym to kwestia przypadku i szczęścia. Żadne przygotowania cię nie ochronią, bo deszcz zabija sprytnych tak samo jak głupców. Zupełnie jak ja.

Na zewnątrz rozległ się łoskot - to Dougowie wracali z beczkami wody.

- Ja... rozumiem. - Warkocz zaschło w ustach. - A Północne Morze? Czy tam jest tak samo? Przypadkowe deszcze?

- Ależ nie. - Wrona wstała i przeciągnęła się. - Ale to bez znaczenia, bo północne zarodniki rodzą potwory, które służą Czarodziejce. Deszcz mógł spaść dwadzieścia mil od ciebie, a i tak opadną cię potwory. Nie da się przed nimi uciec... na Szkarłatnym można mieć szczęście. Nikt, kto wypływa na Północne, nie unika zaatakowania. - Wrona się uśmiechnęła. - Nikt. - Skinęła głową, odprawiając Warkocz.

Dougowie wrócili, statek miał zapasy. Warkocz nie miała szansy teraz uciec.



Wrona podążyła za Warkocz na zewnątrz. Dopiero kiedy statek bezpiecznie wyszedł z portu – na kursie, który miał zaprowadzić ich prosto na Szkarłatne Morze – dziewczyna mogła zejść pod pokład.

Uwięziona. Była uwięziona na tym statku.

Płynęli w stronę szalonego morza, na którym deszcz padał w sposób nieprzewidywalny. A jeśli przeżyją, zostanie sprzedana w niewolę smokowi.

Naprawdę myślała, że miała przewagę? Naprawdę myślała, że uda jej się uratować Charliego?

Ona? Właśnie ona?

Co najgorsze, on pewnie nigdy się nie dowie, co się z nią stało. Zgnije samotnie w więzieniu Czarodziejki. A gdyby jakimś cudem się uwolnił, dowie się, że opuściła Skatę – ale jej statek został zniszczony przez trupiarzy.

Zeszła powoli po schodach, a później korytarzem. Za jej plecami Dougowie śmiali się i pracowali, ich kroki dudniły na schodach do ładowni. Ale ona czuła się samotna. Jakby dławiła się obiadem, a nikt tego nie widział. A może nikogo to nie obchodziło.

Uciekała do swojej kajuty, kiedy lży groziły wyrwaniem się na wolność. Wątpiła, by wyplakanie oczu było odpowiednim działaniem dla piratki, więc cieszyła się, że udało jej się zamknąć drzwi, nim w pełni straciła panowanie nad sobą.

– Ojej. – Huck wspiął się na wezgiłowie. – Hej, Warkocz. Co się dzieje? Co się stało?

– Ja... Ja... – Pokręciła głową i z trudem łapała oddech, niezdolna się odezwać.

Nagle wszystkiego było za dużo. Wiecie, ludzie są jak żołądki. Mogą przetrwać część tego, czym je nakarmicie, ale jeśli wepchniecie za dużo, za szybko, w końcu wszystko się cofnie.

- Co oni ci zrobili, Warkocz? Dopadnę ich. Obiecuję. Ugryzę ich w palce u stóp.
- W... palce u stóp? – spytała przez łyzy, wyobrażając sobie ten absurdalny widok.
- Aha. To bardzo szlachetny wysiłek, bo palce u stóp to trzecie najbardziej śmierdzące miejsce na ludzkim ciele. Ale i tak bym to dla ciebie zrobił.

Warkocz położyła się na łóżku i wpatrzyła w sufit, a po jej policzkach spływały łyzy.

- Nic się nie stało – szepnęła. – I nikt mi nic nie zrobił. Ja jestem winna. Temu wszystkiemu. Kapitan planuje oddać mnie smokowi ze Szkarłatnego Morza... mam być jej zapłatą za uzdrawianie. Wiedziałam, że to wszystko mnie przerasta, więc czemu jestem zaskoczona? Dlaczego właściwie nie miałabym skończyć uwięziona na statku pod dowództwem demona, płynąca prosto w stronę zagłady? Na to zasługuję.

Przycisnęła dłoń do oczu, przecierając je. I poczuła ugryzienie w lewy wielki palec.

- Ej! – Usiadła i spojrzała w stronę wezgłowia, gdzie usadowił się Huck.
- Przepraszam. Ale obiecałem, że ugryzę osobę, która jest odpowiedzialna za twoje łyzy. Poza tym... no, bez obrazy... ale fuj.

Warkocz znów opadła na łóżko.

- Nie rozśmieszaj mnie. Mogę się roztrzaskać jak zimna szklanka wrzucona do gorącej wody.

Huck przeszedł wzdłuż łóżka i usiadł obok poduszki, wpatrując się w jej łyzy. Jej płacz był teraz cichszy, ale wciąż nieustępliwy, jak sam ból.

- Ja... wyszedłem na brzeg – powiedział. – Ukryłem się w jednej z beli tkanin, które Dougowie wyciągnęli, a później uciekłem, kiedy Fort je sprzedawał. Swoją drogą, on jest niezły. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak się targował. A poza tym miasto było bardzo interesujące. Może chciałabyś o nim usłyszeć?

Wzruszyła ramionami.

- Kiedy źle się czuję, lubię myśleć o czymś innym. – Huck załamał łapki. – Powiedz mi więc, czy ci pomagam, czy chcesz, żebym się uciszył. Czasem lepiej, kiedy ludzie... i szczury... siedzą cicho. Wiem o tym. A w każdym razie ktoś mi tak kiedyś powiedział. Tak czy inaczej, patrzyłem, jak Fort się targuje, ale byłem zbyt daleko, żeby odczytać jego słowa. Wiem tylko, że dostał za te bele materiału więcej, niż powinien, zwłaszcza że kupiec musiał wiedzieć, że to gorący towar. Och! A później poszedł na spotkanie z grupą Głuchych mieszkających na wyspie. Była ich cała gromada i Fort dużo się uśmiechał, i rozmawiał rękami, zamiast za pomocą tabliczki. Zastanawiam się, czy na innych wyspach są takie grupy, a ja ich nigdy nie zauważyłem. W każdym razie nad miastem nie powiewała królewska flaga. Czy to nie interesujące? Wiem, że jesteśmy na skraju Szkarłatnego Morza, ale mimo wszystko. Król zawsze kazał nam myśleć, że nie ma żadnych zbuntowanych wysp. A my właśnie przybiliśmy do jednej! Spodziewałem się mnóstwa drewnianych nóg i przepasek na oko, ale ludzie wyglądali... normalnie.

- Jesteśmy teraz piratami i nie ma wśród nas ani jednej przepaski na oko – zauważyła Warkocz. – My też pewnie jesteśmy normalni.

- Trochę dziwnie o tym myśleć, czyż nie? Że wszyscy piraci na całym świecie byli kiedyś normalnymi ludźmi. – Zamilkł, jakby nie był pewien, czy powinien mówić dalej.

Warkocz, co dziwne, odkryła, że jego mówienie pomaga. Nigdy nie miała zamilowania do podróży, ale marzyła o odległych miejscach i ich kubkach. Ta część jej szczerze pragnęła usłyszeć o wyspie.

- Powiedziałeś, że miasto było interesujące. - Odwróciła się i spojrzała na Hucka. - Interesujące w jakim sensie?

- Och! Mieli dzwonnice, Warkocz! Zawsze chciałem zobaczyć dzwonnice. Usłyszałem rozmowę jakichś ludzi, a oni powiedzieli, że są na niej pięćdziesiąt trzy dzwony. Co za dziwaczna liczba, nie sądzisz? Zawsze wydawało mi się, że na dzwonnicy będzie jeden dzwon. W końcu nie nazywa się dzwonnica... No to obszedłem ją dookoła i zajrzałem przez okno, a oni tam mają sznury do poruszania dzwonów! Jeśli się za nie pociągnie, dźwięki słychać w całym mieście. Ale wątpię, żeby pozwolili szczirom za nie pociągnąć. Nawet zakładając, że potrafilibyśmy to zrobić.

Warkocz się uśmiechnęła. Prosty akt, ale jeszcze przed chwilą wydawał się równie niemożliwy jak latanie. Albo wymyślenie rymu do „małż”. (Naprawdę. Spróbujcie).

W sposobie, w jaki Huck opisywał swoje doświadczenia na wyspie, było coś rozczulającego. Ogród z kwiatami, które ładnie pachniały. Dróżka, na której wszystkie kamienie brukowe ułożono w taki sposób, że tworzyły spiralę. Zdrój z wodą do picia, który uruchamiało się, naciskając na pedał.

Fakt, że uznał te rzeczy za dość interesujące, by o nich opowiadać, był sam w sobie ujmujący. Temat mniej się liczył niż jego entuzjazm. I dlatego Warkocz się uśmiechnęła. To nie przegnało jej zmartwień ani smutku, ale popchnęło jej ponure myśli w stronę przeobrażenia się w coś mniej przytłaczającego.

- ...I wtedy dziewczynka zamoczyła swojego brata, nadeptując na pedał, kiedy pochylił się, żeby się napić - powiedział. - Czy to nie rozkoszne? Przypomina mi czasy młodości. Kiedy nie znajdowałem się na statku pirackim z dala od domu.

- Mógłbyś wrócić - powiedziała Warkocz. - Gdybyś chciał, Hucku. Mógłbyś odejść. Powinieneś.

- Nie mogę - odparł cicho. - Nie mogę wrócić na swoją wyspę, Warkocz. Bo mojego domu już tam nie ma.

To wskazywało na tragedię, więc dziewczyna nie naciskała, by usłyszeć szczegóły. Poza tym nie chciała myśleć o fakcie, że - zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem - ona też nigdy nie wróci do domu.

- Nie wydaje ci się, że wszystko było lepsze, kiedy byłaś młodsza? - spytał Huck. - Czy życie naprawdę miało wtedy więcej sensu?

- Aha - szepnęła Warkocz. - Pamiętam... spokojnie noce, patrzenie na zarodniki opadające z księżycy. Kubki ciepłej herbaty z miodem. Dreszczyk związany z pieczeniem z nowego przepisu.

- Pamiętam, że się nie bałem. Pamiętam, że każdego dnia budziłem się, czując znajome zapachy. Pamiętam, jak myślałem, że wiem, jak będzie wyglądać moje życie. Tak samo jak moich rodziców. Proste. Może nie cudowne, ale też nie przerażające.

– Ale tak naprawdę nie myślę, że wtedy wszystko było lepsze – powiedziała cicho Warkocz, wciąż wpatrując się w sufit. – Po prostu pamiętamy to w taki sposób, bo to pocieszające.

– I ponieważ nie dostrzegaliśmy problemów – zgodził się Huck. – Może nie chcieliśmy ich widzieć. Kiedy jest się młodym, zawsze jest ktoś, kto zajmuje się rozwiązywaniem problemów.

Warkocz pokiwała głową. Poza tym wspomnienia mają w zwyczaju się zmieniać. W miarę upływu czasu stają się bardziej gorzkie lub słodsze – jak napar, który wypiliśmy, a później próbujemy odtworzyć, znając tylko jego smak, i w większości udaje się nam znaleźć właściwe składniki. Nie da się posmakować wspomnienia, nie zanieczyszczając go tym, kim się staliśmy.

To mnie inspiruje. Wszyscy tworzymy nasze własne tradycje, nasze własne legendy, każdego dnia. Nasze wspomnienia są naszymi balladami, a jeśli z każdym występem odrobinę je poprawiamy... cóż, to wszystko w imię dramatyizmu. Przeszłość i tak jest nudna. Zawsze udajemy, że ideały i kultura przeszłości dojrzewają jak wino, ale w rzeczywistości idee przeszłości zwykle starzeją się jak ciastka. Po prostu robią się czerstwe.

Warkocz pomyślała o kilku ze swoich osobistych ulubionych ballad, które wibrowały miodem, miłością i innymi słodkimi rzeczami.

Naprawdę poczuła się lepiej. Na księżycu, posłuchanie o dzwonicach i zdrojach sprawiło, że poczuła się lepiej. W przypadku niektórych ludzi poczucie się lepiej byłoby usprawiedliwieniem, by zignorować sytuację, ale Warkocz wolała wykorzystywać swoje zmienne nastroje jako broń. Dlatego, jak zawsze pragmatyczna, usiadła na łóżku i stawiała czoło swoim problemom.

– Potrzebuję sposobu, żeby się bronić – szepnęła. – Sposobu, by pokonać Wronę, zanim sprzeda mnie smokowi.

W takim razie całe szczęście, że w kajucie Warkocz znajdowało się pięć różnych rodzajów najbardziej niebezpiecznej substancji na całej planecie.



Kiedy Warkocz wprowadziła się do kajuty, rozejrzała się po niej pobieżnie. Przejrzała rzeczy pozostawione przez Weeva, głównie po to, by się upewnić, że nie ukrywa się wśród nich nic naprawdę niebezpiecznego. To wcześniejsze rozpoznanie było działaniem dziewczyny odgrywającej rolę.

Teraz znów się rozejrzała. Jako dziewczyna próbująca ocalić życie.

To, co wcześniej czytała, teraz rozważała. To, co układała, teraz organizowała. A z tym, co wcześniej akceptowała, teraz eksperymentowała. Nic tak nie motywuje jak ostateczny termin. Szczególnie taki, który kładzie nacisk na „ostateczny”.

Warkocz włożyła w to nie tylko serce, ale i całe ciało, bo serce niewiele osiągnie bez kompletu palców. Weev nie był szczególnie zorganizowany. Warkocz miała nadzieję, że zostawił po sobie zestawy instrukcji. Tymczasem znalazła urywki i nabazgrołone notatki, zatłoczone zebranymi ciekawostkami i niedowarzonymi pomysłami. Tego rodzaju pozostałości, które nieobeznani z geniuszem często przypisują nieposkromionej inteligencji.

W rzeczywistości w takim bałaganie nie ma żadnego wzorca, poza subtelnym chaosem frustracji. To oznaka umysłu, który sięga poza swoje ograniczenia w stronę idei tuż poza jego zasięgiem. Może się to przydarzyć głupcowi na równi z geniuszem – nie jest to dowód zdolności, podobnie jak fakt, że komuś zabrakło miejsca na deser, nie wskazuje jeszcze na jego wagę. W przypadku Weeva te urywki wskazywały na mentalnego zbieracza – osobę, która kolekcjonuje idee jak babcia kolekcjonująca ceramiczne prosiaczki.

Warkocz właśnie zaczynała to sobie uświadamiać – i dochodzić do wniosku, że nie znajdzie cudownego rozwiązania – kiedy natrafiła na pierwszy obiecujący kawałek. Był to szczegółowy diagram kuli armatniej, z nagryzmołoną w dole notatką wskazującą, że kapitan chciała, żeby

Weev domyślił się, jak samodzielnie je wytwarzać, żeby nie musieli kupować ich za duże sumy od mistrzów zefirów.

To zaintrygowało Warkocz. Mechanika kul armatnich interesowała ją mimochodem, tak jak wy moglibyście się zainteresować kuchnią kultury, której języka się uczycie. Tym, co zwróciło jej uwagę, było misterne wykorzystanie zarodników w ich wnętrzu.

Weev dotarł do ściany. Na to wskazywały jego nabazgrane notatki, które jedynie zniekształcały i zaciemniały uporządkowany schemat. Tak czy inaczej, przedstawiały technikę kielkowania, której istnienia nie była świadoma.

Do tej pory zorientowaliście się już, że kula armatnia w świecie Warkocz nie była jedynie kawałkiem metalu, ale rodzajem pocisku – który obiecałem opisać wam bardziej szczegółowo. Widzicie, każda z nich miała w środku mechanizm czasowy, który po jej wystrzeleniu doprowadzał do wtórnego wybuchu i rozlania wody. Tak, o tym już wiecie. Ale czy wiecie, jak tworzone mechanizmy czasowe?

Okazało się to całkiem proste – lontem był pęd. Z notatek Warkocz dowiedziała się, że nie była pierwszą osobą, która odkryła, że podanie wody eterowi powodowało jego dalszy wzrost już po początkowym etapie gwałtownego rozwoju. Wybuchowy wzrost był chaotyczny, za to wszystkie późniejsze etapy okazały się o wiele bardziej przewidywalne. A nawet dokładne. Starannie zmierzony zielony pęd rósł w niezmiennym tempie po podaniu starannie odmierzonej ilości wody.

(Tak, dla tych, których interesują rzeczy takie jak typy pogody, ten wzrost w końcu się zatrzymywał – i każdy pęd ostatecznie wyczerpywał swój potencjał wzrostu. Inaczej ludzie raczej nie mogliby ich jeść. Doprowadzenie pędów do końca ich potencjalnego przyrostu było kluczowe, by móc zmienić je w awaryjne źródło pożywienia).

W każdym razie początkowy wybuch, który wyrzucał kulę armatnią w powietrze, jednocześnie rozbijał znajdujące się wewnątrz nieduże szklane naczynie, zalewając odcięty kawałek zielonego eteru. Ten pęd rósł, przeciskając korek z odrobiną srebra na czubku przez niedużą rurkę w stronę centralnego mechanizmu kuli armatniej. To był ładunek zefirowych zarodników otaczający sferę z rozeitu. Ten rozeit z kolei od środka pokrywała warstwa wosku – dzięki czemu mógł utrzymywać ładunek wody, nie dotykając go.

Srebrny czubek przeciskał się przez zefirowe zarodniki – co zabijało ich niewielką liczbę, ale większość pozostawała nietknięta – a później dotykał rozeitowej sfery, która pod naciskiem srebra pękała. Woda wylewała się na zewnątrz, dotykała zefirowych zarodników i doprowadzała do ich eksplozji, co sprawiało, że cały mechanizm wybuchał gwałtownie, wyrzucając odłamki i wodę.

„Widziałem nowoczesne projekty”, głosiła notatka na dole – Warkocz sądziła, że nie napisał jej Weev, ale pierwotny twórca schematu – „i zgadzam się. Zapalniki uderzeniowe to przyszłość artylerii”.

Nie wiedziała, co znaczyła ta ostatnia część, ale i tak uznała schemat za przemysłny. Oto współdziałały trzy różne etery. Zielony jako lont. Rozeit jako pojemnik na wodę. Zefir do wywołania wybuchu. Centralna sfera nie pękała w czasie wystrzelenia kuli z armaty, bo była o wiele bardziej wytrzymała niż szkło – ale miała wbudowaną słabość, bo mogło ją uszkodzić srebro. Dzięki temu projektowi odkryła również, że wosk może odizolować eter od wody.

Była pełna podziwu i w jej głowie od razu pojawiły się pomysły na możliwe eksperymenty. Trzeba tu zauważyć, że eksperymentowanie z zefirowymi zarodnikami zwykle było najlepszym sposobem, by wrócić do domu w wielu małych trumnach zamiast jednej dużej. Ale jak zademonstrowaliśmy wcześniej, Warkocz była obdarzona zdrowym rozsądkiem, który rzadko się zdarzał u ludzi na jej stanowisku.

Zawód kiełkowacza przyciąga starannie dobraną grupę ludzi. Zwykle zaliczają się do niej rzadkie jednostki, które jakimś sposobem przeżyły mimo swej wrodzonej inklinacji do skakania z idiotycznych wysokości do płytkiej wody, zjeżdżania na rowerach po stromych zboczach albo zjadania nieznanym, jaskrawych jagód.

Genetyka potrzebuje pewnej dozy ryzykanctwa. Bez niego ludzie byliby zbyt rozsądni, by robić przerażające rzeczy – jak podejście bliżej do tego bardzo gorącego i pomarańczowego, co sprawia, że drewno czernieje, a broda Tharga dymi. Ale ewolucja nie jest precyzyjnym instrumentem i w efekcie w populacji znajduje się pewna liczba ludzi, którzy mają więcej beczelności niż neuronów. Kiełkowanie zarodników było zaledwie najnowszym elementem coraz bardziej malowniczego zbioru aktywności mających na celu staranne – i gwałtowne – usunięcie takich jednostek z puli genowej.

Ale Warkocz nie zgłosiła się sama do tego zawodu. Wpadła przypadkiem. Była dość inteligentna, by zrozumieć tabele, i dość zamyślona, by rozwijać pomysły. I choć brakowało jej formalnego wykszolenia, nadrabiała to tym, że była osobą, która korzystała z rękawic kuchennych, nawet jeśli garnek miał już czas wystygnąć.

W tej chwili było to właśnie takie połączenie, jakiego wymagało nowatorstwo. Właściwie, choć niektórzy mogliby nazwać późniejsze wydarzenia łutem szczęścia, ja określiłbym je jako nieuniknione.

Nie ma powodu, pomyślała Warkocz, unosząc diagram, dlaczego nie można by sprawić, by coś takiego było przenośne.

Nie chodziło tylko o pistolet. Pistolety cieszyły się popularnością, ale, choć były użyteczne, brakowało im elastyczności. Czy mogła to ulepszyć? Jak wyglądałby modułowy pistolet na zarodniki?

Notatka na dzień diagramu – ponownie, dzieło pierwotnego twórcy – dała jej ostatni potrzebny kawałek układanki.

„Patrz też: mój schemat flar, który powtarza ten projekt”.

Księżycu znaczeń... pistolety sygnałowe. Pierwsze kroki już podjęto. Warkocz musiała jedynie...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Takie małe rozproszenie. Uprzejme, kojarzące się Warkocz z dawnym życiem. Mimo to roztrzaskało jej skupienie jak dudnienie tysiąca armat strzelających jednocześnie. Zerwała się na równe nogi i otworzyła gwałtownie drzwi, nietypowo gotowa, by znieważać osobę, która tak bezdusznie jej przerwała.

Na zewnątrz stał Fort, zajmujący całą szerokość korytarza. W rękę trzymał talerz osłonięty pokrywką, żeby zawartość nie wystygła. Uniósł tabliczkę.

Nie przyszłaś wieczorem po jedzenie. Wszystko w porządku?

Warkocz zamrugnęła i wyjrzała przez bulaj kajuty. Zrobiło się tak ciemno, że czytając, mrużyła oczy i nawet tego nie zauważyła. Wkrótce musiałyby zapalić lampę – luksus przeznaczony dla kielkowacza, którego odmówiono zwykłym marynarzom. Uniosła dłoń do czoła, odsuwając włosy, i próbowała policzyć godziny. Czy naprawdę była aż tak urzeczona?

Księżycu miłosierdzia... naprawdę była gotowa warknąć na Forta, choć on był tak miły i przyniósł jej kolację. Co się z nią stało? Czy to jakieś zaklęcie rzucone na te papiery sprawiło, że czas zniknął? Czy też naprawdę była aż tak zainteresowana? Zadziwiająca. Nie było w tym żadnych kubków ani żadnych okien.

– Dziękuję, Forcie – powiedziała, biorąc talerz.

Zajrzała pod pokrywkę i zobaczyła normalne zaskorupiałe resztki. Dzisiejsze danie mogło kiedyś być tłuczonymi ziemniakami i mewą, choć przypalenie utrudniało ocenę. Uznała, że mimo smaku jedzenia najpewniej nie gotowano z trocin i kamieni, bo jeszcze nie umarła z niedożywienia.

Nadal jesteś mi za to winna zauważyć. Kapitan nigdy nie poleciła mi, żebym pozwolił ci jeść, mimo twojego nowego stanowiska.

– Kiedy wymyślimy stosowną opłatę – wymamrotała Warkocz. – Czy może zaczniesz mi dawać coś, co nie zostało zebrane z dna garnka?

Fort zmarszczył czoło.

Co? Warkocz, ja odkładam dla ciebie i Hoida, zanim dam cokolwiek Dougom.

– Ty... co?

I wtedy uderzyło ją to jak cios młotem w czaszkę.

To nie były resztki.

To było to, co jedli wszyscy.

– Och... ojej – powiedziała.

Fort miał dość przyzwyczajenia, żeby spuścić wzrok i przeproszająco wzruszyć ramionami.

Po śmierci Weeva się zmienialiśmy napisał. Jestem najlepszym, co mamy. Mikstura Ann sprawiła, że pół załogi chorowało przez trzy dni.

– Naprawdę? Cóż, chyba znalazłam sposób, w jaki mogę odplacić tobie... i reszcie załogi... za życzliwość, jaką mi okazaliście.

Gotowanie tutaj nie jest łatwe ostrzegł, unosząc dłoń obok tabliczki po tym, jak napisał te słowa. Mamy jedynie racje podróżne – a większość z nich jest czerstwa, w puszkach albo suszona. Trudno sprawić, żeby było to jadalne.

– Myślę, że będziecie zaskoczeni. Przyjdź po mnie jutro, nim zaczniesz gotować wieczorny posiłek... – Urwała, kiedy usłyszała dochodzący z pokładu dźwięk dzwonu.

Nie były to trzy uderzenia oznaczające, że zauważono inny statek. Ale nie było to też wezwanie na posiłek, które było ciągłym dzwonieniem. Teraz rozległy się dwa uderzenia, chwila ciszy, i dwa uderzenia.

– Co to? – spytała.

Przed nimi granica napisał Fort. Jego dłoń poruszała się szybko, bo mężczyzna prawie podskakiwał z ekscytacji. Dostrzeżono Szkarłatne Morze. Chcesz zobaczyć przejście?

– Oczywiście!

Dołączyła do niego na korytarzu, choć z dziwną niechęcią porzucała badania. To było głupie. Nie miała formalnego wykształcenia, jej nauka skończyła się na podstawach czytania i liczenia. Z pewnością nie była w tajemnicy uczoną. Dziewczyna, która myła okna? Gdyby miała skłonności do prowadzenia badań, uświadomiłaby to sobie wcześniej.

Prawda była taka, że nigdy wcześniej nie natrafiła na temat dość interesujący – lub dość niebezpieczny – by ją zajął.



Nie jestem pewien, czy mogę zachęcać do odwiedzin na morzach zarodników. Choć w cosmere zdarzają się miejsca bardziej groźne, nieliczne są niebezpieczne tak od niechcenia. Inne lokalizacje zabijają was z rykiem albo w kataklizmie. Ale zarodniki robią to szepcąc. Wyobraźcie sobie, że czytacie w spokoju ciekawą książkę. A chwilę później pechowo wciągacie powietrze, do waszego organizmu trafia kilka szkarłatnych zarodników i nagle wasza czaszka zmienia się w cedzak.

Nie dzieje się tak często, ale kiedy tak się stanie, wydaje się to bardziej niesprawiedliwe niż śmierć od uderzenia pioruna lub w czasie huraganu. Spodziewacie się, że natura się zapowie, nim was zabije. To czysta uprzejmość.

Ale mimo wszystko morza zarodników potrafią być malownicze.

Fort zrobił Warkocz miejsce przy dziobie, wysyłając paru Dougów, żeby patrzyli z olinowania. Nadszedł wieczór, a tak daleko od lunageum zielona kopuła Zielonego Księżyca wisiała nisko nad horyzontem za ich plecami – jak zwierciadlane odbicie Szkarłatnego przed nimi. Ogromna czerwona kula na niebie, wyłaniająca się zza horyzontu, ze słońcem unoszącym się nad nią jak przejęte rodzeństwo.

Bliżej statku, tuż przed nimi, zielone zarodniki mieszały się ze szkarłatnymi, tworząc gradient, który w samym środku – z tej odległości – wydawał się brązowy. Jaskrawa, migotliwa czerwień za nim kojarzyła się z oceanem krwi, jakby Szkarłatny Księżyc został zastrzelony, a *Pieśń Wrony* płynęła w stronę jego trupa.

Warkocz nie pomyślała wcześniej, że ten kolor będzie się wydawał tak niewłaściwy. Szmaragdowy Księżyc i Morze, całkiem dosłownie, zabarwiły wszystko, co widziała. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że opuszczała go i wypływała na ten ranny czerwony ocean. Zielony

Księżyc patrzył na nią przez całe życie i bardzo malutka część jej – choć było to irracjonalne – martwiła się, że zniknie w chwili, kiedy księżyc przestanie o niej myśleć.

Kiedy przebyli tę odległość i przekroczyli granicę, Fort oparł się o reling i uniósł tabliczkę. Szczęrzył zębami w uśmiechu.

– Przepraszam. Po prostu to jest przerażające.

Uśmiechasz się, kiedy coś jest przerażające?

– Kiedyś tak nie robiłam. Wydaje mi się, że mój mózg jest przytłoczony tym, jak szalone jest to, co dzieje się na morzach, i próbuje się dostosować.

Fort podrapał się po brodzie, ale nie napisał już nic więcej. Wiedziała, że myślał o jej rzekomej roli Królewskiej Maski i że nie bała się zarodników aż tak bardzo, jak powinna. Ale ponownie, nie o to chodziło. Bała się.

Jednocześnie wcześniej nie uświadamiała sobie, jak straszliwie piękne będą te czerwone zarodniki. Ani jak dziwnym uczuciem będzie opuszczenie Szmaragdowego Morza. To były nowe uczucia, co, podobnie jak nowe smaki, mogło być jednocześnie przerażające i upajające.

Czego jeszcze nigdy nie dowiedziałyby się o sobie, gdyby nie opuściła ojczystej wysepki? Co gorsza, jak wielu ludzi takich jak ona żyło w niewiedzy, bo brakowało im doświadczenia, by w pełni zgłębić własną egzystencję? To jedna z najbardziej gorzkich ironii losu, jakie kiedykolwiek musiałem zaakceptować – istnieją bez wątpienia geniusze muzycyści o niezrównanym talencie, którzy umierają jako zamiatacze ulic, bo nigdy nie dostali do ręki instrumentu.

Pieśń Wrony trzymała się prostego kursu przez Szkarłatne Morze, aż jeden z Dougów na olinowaniu wykrzyknął ostrzeżenie. Niebo się otworzyło i w ich stronę popęzła śmierć.

Warkocz nigdy wcześniej nie widziała deszczu. Na jej wyspie woda pochodziła ze studni. Choć słyszała o wodzie spadającej z nieba, zawsze wydawało jej się to magiczne, mistyczne. Coś z opowieści.

Jedną z tych opowieści najwyraźniej chciała ją pożreć, bo deszcz przesunął się prosto w ich stronę – kłębowisko szybko poruszających się chmur na niebie, ciągnące za sobą liniową eksplozję eteru na oceanie. Ogromna ściana szkarłatnych kolców, które rosły i spletały się razem z taką siłą, że trzask było słychać z daleka.

Warkocz stała urzeczona. Na szczęście Salay miała więcej doświadczenia – i już zawracała statek, kiedy kapitan wykrzyknęła taki rozkaz. Obrócili się rufą do wiatru i szli lewym halsem, skręcając – letargicznie – z powrotem w stronę Zielonego.

Linia deszczu ich nie ściagała, na granicy mórz skręciła i popędziła naprzód, zostawiając za sobą splecione szkarłatne kolce wysokie na trzydzieści stóp. Te w końcu opadły i zatoneły w morzu, które znów wyglądało na spokojne i nietknięte. Niczym dziecko, które wepchnęło rozbitą słoik z ciasteczkami pod kredens i założyło, że wszyscy o nim zapomną.

– Na księżycu – westchnęła Warkocz. – A gdyby... a gdyby kipienie ucichło w tej właśnie chwili? A gdybyśmy nie mogli się poruszać...

Fort spojrzął na tabliczkę, by przeczytać, co napisała. Jego jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramionami. Takie właśnie ryzyko podejmowali, żeglując po Szkarłatnym.

Warkocz odwróciła się w stronę pokładu rufowego, gdzie Wrona stała w pobliżu steru. Kobieta pociągnęła łyk z manierki i opuściła ją z zamyśloną miną.

Nie odważyłaby się ruszyć naprzód, prawda? Ze względu na tę linię deszczu, która pełzała po okolicy?

– Sterniczko – powiedziała w końcu Wrona, tak głośno, że wszyscy ją słyszeli. – Jeśli można, skieruj nas na południe, wzdłuż granicy. Wydaje się... nierozsądne, by w tej chwili wpłynąć na Szkarłatne.

– Tak jest, pani kapitan – odparła Salay.

Wrona zeszła na górny pokład i zamknęła się w kajucie. Laggart zbiegł po schodach, prawie się potykając w pośpiechu, ale ukrył to, krzycząc na Dougów, żeby wracali do roboty. Po kilku minutach płynęli nieśpiesznie wzdłuż granicy. Fort stwierdził, że musi pójść wyszorować garnki, zostawiając Warkocz opartą o reling.

Laggart przeszedł obok Warkocz, ale zatrzymał się po chwili.

– Ty – powiedział. – Co myślisz o tym teraz?

– Tak szczerze, to nie wiem – odparła. – Wciąż próbuję ogarnąć to umysłem.

– Mogę w tym pomóc! – zawołał stojący w pobliżu doktor Ulaam.

Laggart chrząknął, po czym gestem kazał jej pójść za sobą. Zaciekawiona, dołączyła do niego na pokładzie rufowym. Za sterem i miejscem kapitan znajdowała się armata rufowa, umieszczona na swoim własnym otoczonym barierą podwyższeniu, które przypominało wzmocniany balkon wystający z tyłu statku.

Było to niebezpieczne miejsce, bo znajdowało się z dala od srebrnych zabezpieczeń. Zarodniki, którym jakimś cudem udało się przeskoczyć odległość między morzem a pokładem, obumarłyby dopiero po dłuższym czasie. Co, rzecz jasna, było ważne dla zefirowych zarodników używanych jako ładunki.

Laggart pogrzebał w beczce – całe szczęście zmusiło go to do spojrzenia w dół. Bo gdyby zobaczył twarz Warkocz, mógłby dostrzec jej nagłe zaniepokojenie. Co on robił? Zamierzał skonfrontować ją z jedną z podmienionych kul armatnich?

Na księżycy... byłby z niej koszmarny szpieg. Jak Salay i pozostali mogli w ogóle myśleć, że jest Królewską Maską? Warkocz nie rozumiała, że można być w czymś aż tak kiepskim, że wydaje się to wręcz nieprawdopodobne. W tych sytuacjach całkiem rozsądne jest założenie, że taka osoba jest w rzeczywistości całkiem kompetentna – bo trzeba być prawdziwie kompetentnym, żeby udawać tak spektakularną niekompetencję. Nazywa się to relacją przechodnią nieudolności i jest wyjaśnieniem wszystkiego, co kiedykolwiek widzieliście, żebym zrobił niewłaściwie.

W tym przypadku przechodnia nieudolność Warkocz nie wchodziła w grę, bo Laggart nie widział, jak bardzo była zdenerwowana – ani też nie skonfrontował jej z fałszywą kulą armatnią. Wybrał zwykłą kulę i uniósł ją na dłoń, jakby podziwiał piękny obraz. Albo – biorąc pod uwagę, jak wyglądała jego łysa głowa na chudziutkiej szyi – może zastanawiał się, czy są spokrewnieni.

– Teraz, skoro jesteśmy porządnymi piratami, pomyślałem, że powinniśmy mieć na tym statku kogoś poza mną i kapitan, kto umie strzelać z armaty – powiedział do Warkocz. – Reszty załogi nie da się wyszkolić, bo na widok zarodników wszyscy robią się bezużyteczni. Gratulacje.

Zauważyła że, mimo odważnych słów, bardzo ostrożnie sięgnął do beczki i wyjął woreczek zefirowych zarodników – i trzymał go dwoma palcami. Szybko włożył go do armaty przez klapę na wierzchu.

– Ładunek zefirowy idzie tutaj – powiedział, zatraskując metalowe wieko. – Załaduj je szybko, bo nawet tutaj srebro na pokładzie jest dość blisko, by zacząć zabijać zarodniki. Obudowa jest pokryta od środka aluminium, żeby zneutralizować działanie srebra.

Włożył przybitkę do armaty i wyciorem wcisnął ją na miejsce.

– Ta szmata tutaj wypełnia przestrzeń w armacie i sprawia, że cała siła wybuchu skupia się na kuli, zamiast polecieć dookoła. – Wsunął kulę armatnią przez lufę do środka. Rozległo się ciche dudnienie, kiedy znalazła się na miejscu. – Armata nie może za bardzo się pochylić, bo wtedy kula by się z niej wyturlała.

– W porządku. Ale... no, czy kapitan wie, że każesz mi to robić?

– Jestem mistrzem artylerii – warknął. – Kapitan nie obchodzi, kogo szkolę. Rób, co ci każę. Poza tym człowiek musi zatroszczyć się o samego siebie. Nie chcę zostać ranny, a później zatonać, bo nikt inny na tym przeklętym statku nie miał dość odwagi, żeby dotknąć zefirów.

Aha. Laggart nie wiedział, że miała zostać sprzedana smokowi. Warkocz uznała to za dziwne, bo najwyraźniej znał resztę planu. Ale wtedy uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej kapitan uważała go za zapasową ofiarę. W końcu był jednym z członków załogi, którzy najmniej bali się zarodników.

Laggart podniósł nieduże drewniane urządzenie, leżące obok relingu, i wyrzucił je za burtę. Okazało się swego rodzaju niewielką boją z flagą, zamocowaną na linie do statku. Kiedy płynęły, wlokło się za nimi w dużej odległości – jak wyjątkowo skrupulatny prześladowca.

– Oddawaj pięć strzałów dziennie – polecił jej Laggart. – Najlepszym sposobem, żeby wyczuć armatę, jest ćwiczenie.

Zaczął odchodzić.

– Zaczekaj! Nie zamierzasz dalej mnie szkolić?

– Szkolenie cię będzie bezużyteczne do czasu, aż dowiesz się więcej. Jestem zajęty. Zorientuj się, jak to działa, i nie zwracaj mi głowy głupimi pytaniami. Jeśli zatopisz boję, gratulacje. W ładowni jest ich więcej. Przyjdź zawrócić mi głowę, kiedy uda ci się to zrobić najwyżej dwoma strzałami, a wtedy porozmawiamy o prawdziwym szkoleniu.

– Dobrze – powiedziała Warkocz i wtedy coś przyszło jej na myśl. – Ale może mogłabym zacząć od czegoś mniej drogiego i nieoszczędnego jak kule armatnie. Nie mamy na pokładzie pistoletu sygnałowego, prawda? Mogłabym zacząć od niego.

– Co to za głupi rodzaj głupiego pytania?

Był to zauważalnie głupi rodzaj głupiego pytania. Co i tak jest lepsze od redundantnego rodzaju stwierdzenia.

– Pistolet sygnałowy zupełnie nie przypomina armaty. Więc rób, co ci kazałem, idiotko.

Odchodząc, Laggart nadal mamrotał pod nosem.

Warkocz założyła ręce na piersi. Planowała spędzić wieczór albo ucząc się, albo próbując wymyślić, jak zdjąć kłatwę z Hoida. To zabierało jej cenny czas. Mimo to może przyniesie jej to

jakieś korzyści. Skoro planowała zbudować własną broń opartą na zarodnikach, by walczyć z kapitan, mogła znaleźć gorszy sposób na wykorzystanie czasu niż eksperymenty z armatą.

Tyle że Laggart, kiedy odmówił jej jakiegokolwiek sensownego szkolenia, upewnił się, że zmarnuje wiele godzin na próby zrozumienia podstawowej mechaniki celowania armaty. Nawet z tym krótkim opóźnieniem na granicy wiedziała, że czas jej się kończy. Zależnie od tego, gdzie na Szkarłatnym Morzu znajdowało się leże smoka, miała od kilku godzin do kilku tygodni na planowanie.

Po chwili przyszło jej do głowy rozwiązanie. Popchnęła armatę do przodu, jak to robił Laggart. Później uśmiechnęła się, wzięła laskę strzelniczą – która miała na końcu kawałek mokrego materiału – i wsunęła ją przez otwór. Po chwili wstrząsnął nią wybuch, który odepchnął armatę do tyłu.

Po niecałej minucie z dołu wyłoniła się podekscytowana Ann.



Używasz tych dwóch korb – wyjaśniła Ann, kręcąc dźwignią, całkiem podobną do maszynki do mięsa, która znajdowała się u podstawy armaty. – Ta zwraca ją w stronę bakburty albo sterburty. Ta druga unosi ją wyżej. Widzisz, kula armatnia opada w locie. Dlatego musisz celować w górę i tak jakby wyrzucić pocisk w powietrze po łuku. – Pokazała palcem. – Największą sztuczką jest ocena odległości. Masz dużo kul armatnich o różnych długościach lontu. Żeby porządnie unieruchomić statek, kula musi wybuchnąć tuż przed uderzeniem, żeby spryskać okolicę wodą.

– Wydaje się, że powinien istnieć jakiś lepszy sposób. – Warkocz usiadła na beczce. – Na przykład zrobienie kuli, która wybucha, kiedy w coś uderzy. Wtedy wystarczyłoby wycelować w statek i nie trzeba by oceniać odległości.

– Pewnie tak. Ale nigdy nie słyszałam o czymś takim.

A ja tak, pomyślała Warkocz, do której dopiero teraz dotarło, o co chodziło ze schematem w jej kwaterze. Wspominał o „zapalniku uderzeniowym”. Ktoś rozważa taką broń. Może już ją stworzył, pomyślała.

To nie powinno być takie trudne, prawda? A gdyby stworzyć kulę armatnią, która była spiczasta, a nie okrągła, żeby móc ją wystrzelić czubkiem do przodu, jak strzałę? Można by ją skonstruować w taki sposób, żeby po uderzeniu w coś czubek zostawał odepchnięty w stronę środka pocisku i w ten sposób doprowadzał do wybuchu.

Ale kula armatnia, która nie była okrągła? Czy to w ogóle da się zrobić? W końcu w pewnym sensie sama nazwa wskazywała...

Ann skończyła podnoszenie armaty, po czym wstała i z sympatią oparła dłoń na broni. Mężczyźni, chcecie znaleźć kobietę, która będzie patrzeć na was tak, jak Ann patrzyła na tę

armatę. Bo jeśli taka kobieta istnieje, powinniście przeprowadzić się do innego królestwa, poinformować władze i uważnie sprawdzać pocztę w poszukiwaniu przesyłek zawierających przypadkowe odcięte palce.

- Przepraszam, jeśli się narzucam... - powiedziała Warkocz. - Ale dlaczego zachowujesz się tak... no...

- Dziwnie w obecności broni palnej? - dokończyła Ann.

Warkocz zarumieniła się i przytaknęła.

- A dlaczego ty tak dziwnie się rumienisz, kiedy zadajesz pytania?

- Nie chcę się narzucać.

- Powinnaś robić to częściej. A jak inaczej dostaniesz to, czego chcesz?

- Cóż... to znaczy... inni nie powinni być zmuszeni do zastanawiania się, czego ja chcę. To... - Odetchnęła głęboko. - Powiesz mi, Ann, dlaczego zachowujesz się tak dziwnie w obecności broni palnej?

- A jak myślisz? Masz jakieś przypuszczenia?

- Nie. Ja... spytałam Forta, a on powiedział, że w dzieciństwie musiałaś być niewolnicą albo coś w tym rodzaju. Myśli, że strzelanie wiąże się z poczuciem kontroli nad otoczeniem. Władzą.

- Hm. - Ann usiadła na skrzyni z zapasowymi kulami armatnimi. - A on zwykle tak dobrze zna się na ludziach.

- Czyli zakładam, że w dzieciństwie nie byłaś niewolnicą?

- Wychowałam się w gospodarstwie. Hodowałam kurczaki. To było wspaniałe życie. Wiesz, kurczaki są bardzo inteligentne i doskonale nadają się na zwierzęta towarzyszące.

- Naprawdę?

- Tak. Piekielna szkoda, że są takie pyszne. Jeszcze jakieś inne domysły na mój temat?

- Cóż, spytałam Salay, a ona doszła do wniosku, że postrzegasz armaty i pistolety jako symbol władzy, więc chcesz nad nimi panować, bo ludzie traktują ciesielkę jako coś oczywistego... a ty chcesz pełnić ważniejszą rolę.

- No cóż, tego dokładnie spodziewałam się po Salay. Ona naprawdę nie zna się na ludziach. Ale to naprawdę, naprawdę nie zna.

- Ja... no... być może to zauważyłam.

- Proszę, powiedz mi, że spytałaś o mnie Ulaama.

Warkocz zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Zrobiłaś to! - Ann wycelowała w nią palec. - Co powiedział?

- Naprawdę nie rozumiałam jego wyjaśnienia - odparła Warkocz. - Miało to, no, jakiś związek z kształtem broni palnej... I cygar?

Ann się roześmiała. Był to donośny, nieopanowany dźwięk, pełen szczerzej wesołości. Warkocz nie mogła powstrzymać uśmiechu. Ten rodzaj śmiechu szybko zajmuje całego człowieka i szuka dodatkowych lokali w pobliżu.

- Więc o co tak naprawdę chodzi? - spytała Warkocz, kiedy śmiech Ann w końcu ucichł.

- Ja po prostu... - Cieśla wzruszyła ramionami. - Sądzę, że one są zmyślne.

- I to wszystko?

– To wszystko? Warkocz, człowieka zasadniczo da się ocenić po tym, co mu się podoba. To odróżnia nas od siebie nawzajem, wiesz? Mówimy, że kultura jest bardzo ważna, ale czym jest kultura? To nie rząd ani język, ani żadna taka bzdura. Nie, chodzi o rzeczy, które nam się podobają. Sztuki teatralne, opowieści, marmurowe rzeźby.

– Kubki? – spytała Warkocz.

– Możliwe. Pewnie, dlaczego nie? Kubki. Założę się, że mnóstwo ludzi zbiera kubki. Ale to nie sam kubek jest interesujący.

– Tylko to, jak jeden kubek różni się od innych kubków.

– Aha! Dokładnie. – Ann poklepała armatę. – A ja jestem kubkiem, który lubi broń palną. Lubię zapach zefirów, kiedy się rozprężają. Znasz go? Tę elektryczną woń błyskawicy? Uwielbiam wyzwanie związane z próbą trafienia w odległy cel. Każdy tępak może trafić gościa, który stoi obok. Ale podejść kogoś na innym statku, zupełnie niespodziewanie, kiedy popija herbatkę? Bum, to dopiero jest niezłe.

Wpatrzyła się w przestrzeń.

– Miałam w zwyczaju słuchać wystrzałów w miasteczku. Na każdy Dwunastodzień. No i jeszcze w tych rzadkich przypadkach, kiedy ktoś próbował zaatakować port. Za każdym razem, kiedy rozlegały się strzały i odbijały echem od wzgórz, myślałam: „Pewnego dnia to będę ja”.

– Przykro mi, że nigdy nie miałaś okazji – powiedziała Warkocz.

– Nigdy nie miałam okazji? Zaciągnęłam się do oddziałów ochotniczych w dniu, w którym osiągnęłam dorosłość! Poszłam od razu do kanonierów. Wytrwałam dwadzieścia cztery dni! Aż do chwili... – Ann spojrzała na nią. – Wiesz, że kule armatnie się odbijają? To było zupełne szaleństwo. Nadal sądzę, że byłam jedynym kadetem, któremu udało się postrzelić własnego sierżanta... który stał za jej plecami... w koszarach.

– A niech mnie – powiedziała Warkocz.

Ann westchnęła i się podniosła.

– Tak czy inaczej, powinnaś spróbować strzelać tak, jak powiedział ci Laggart. Spróbuj wystrzelić je w taki sposób, żeby przeleciały nad boją, korzystając jak na razie z długich lon-tów. A przy następnym wystrzale nieco obniżyć lufę. Nawet najlepsi artylerzyści wykorzystują strzał próbny... to pomaga im ocenić wiatr, zyskać perspektywę, takie tam.

Warkocz wstała i nagle przeszło ją dość szalone poczucie winy.

– Chciałabyś teraz strzelić?

To najprawdopodobniej najbardziej szalona i lekkomyślna rzecz, jaką kiedykolwiek słysza-łem – a całkiem dosłownie brałam udział w spisku mającym na celu zabicie Boga.

– Ha, ha – powiedziała Ann. – Ty... Chwileczkę, ty mówisz poważnie?

Warkocz pokiwała głową.

– Wyglądasz, jakbyś bardzo za tym tęskniła.

Ann pochyliła się i przyjrzała dziewczynie.

– Nawet nie wyglądasz na przestraszoną. Naprawdę jesteś jedną z nich.

Relacja przechodnia nieudolności. Zaufajcie mi.

Ann podeszła i położyła dłoń na armacie, a później spojrzała na Warkocz.

- Laggart będzie wściekły.

- Powiedział mi, że sama mam się tego nauczyć. I żeby nie zawracać mu głowy. I to właśnie robię. Proszę eksperta o rady.

Ann spojrzała na armatę. A później znów na Warkocz.

- Naprawdę?

- Utraciłam różne rzeczy – powiedziała cicho dziewczyna. – I... nie będzie łatwo ich... go... odzyskać. Ale to, czego ty pragniesz, jest tutaj. Zróbmy to.

Ann znów się uśmiechnęła, po czym spojrzała na boję. Skręciła armatę w bok. A później jeszcze. I jeszcze.

- Yyy, Ann? – Warkocz wskazała palcem. – Boja jest tam.

Ann podażyła spojrzeniem za jej ręką, a później spojrzała na armatę – która była przesunięta o co najmniej trzydzieści stopni w bok.

- Dla mnie wygląda dobrze.

- Zaufaj mi. Przekręć ją z powrotem.

Ann zrobiła to niechętnie. Wyjęła łaskę strzelniczą z wiadra. Później – szczerząc się jak przedsiębiorca pogrzebowy w strefie działań wojennych – wystrzeliła.

Obie czekały, spodziewając się najgorszego. A Warkocz rzeczywiście poczuła charakterystyczny metaliczny zapach. Kula armatnia uderzyła w Zielone Morze za nimi i zniknęła. Nie robiąc nikomu krzywdy.

Będę szczerzy, sam byłem odrobinę zaskoczony.

- Dziękuję – powiedziała cicho Ann. – Dziękuję.

- To nic takiego.

- Dla mnie to bardzo wiele. Zaczynałam wierzyć, Warkocz. W to, co mówili. Że jestem przeklęta. Nie jestem. Ja po prostu... cóż, nie umiem celować. – Spojrzała nad oceanem i otarła oczy. – Nie przeklęta. Nie rozumiesz, jak bardzo potrzebowałam się tego dowiedzieć.

- Możesz mi towarzyszyć każdego dnia. Strzelać ze mną. Razem obie zaczniemy radzić sobie lepiej.

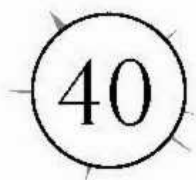
- Umowa stoi.

- A, jeszcze jedno. Nie wiesz, czy ten statek ma pistolet sygnałowy?

- Oczywiście. Są potrzebne, jeśli osiądziesz na mieliźnie albo żeby poddać się piratom. Och! Tym już się raczej nie musimy się martwić. Dla nas poddanie się oznacza śmierć. Tak czy inaczej, powinnaś dostać go od Forta.

Następnie Ann się pożegnała – łyzy radości nie są najlepszym pomysłem na niechronionej części statku. Warkocz usiadła, myśląc o ludziach i o tym, jak pęknięcia w ich wnętrzu daje się zapełnić tak prostymi rzeczami jak czas albo kilka słów we właściwej chwili. Albo, najwyraźniej, kula armatnia. Co jeszcze, poza osobą, daje się wzmocnić zwyczajną troską?

W końcu Warkocz sama wystrzeliła kilka razy. (Też nie trafiła). Kiedy później sprzątała, statek w końcu zmienił kurs na rozkaz kapitan. Tym razem żadne deszcze ich nie odpędziły, kiedy wpłynęli na Szkarlatne Morze.



Następnego wieczoru Warkocz przejrzała zapasy żywności na statku.

To, co znalazła, nie było zachęcające. Stara mąka, nieliczne użyteczne przyprawy, zjełczały olej. A piekarnik? Był opalany słonecznymi zarodnikami w sposób, który sprawiał, że urządzenie, kojarszące się nieco z piecem do wypalania, nagrzewało się nieprawdopodobnie nierównomiernie. Szybka próba z wilgotną mąką na blasze do pieczenia to potwierdziła.

Nic dziwnego, że Fort miał problem z ugotowaniem czegokolwiek bez przypalania. W rzeczy samej, być może robił to celowo, żeby zamaskować koszmarny smak składników. Popatrzyła na niego z rękami założonymi na piersi, a on wzruszył ramionami. Do tej wymiany zdań nie potrzebowali jego tabliczki do pisania.

– W porządku. – Podała mu butelkę zjełczałego oleju. – Wyrzuć go za burtę. Jest za bardzo zepsuty.

Popatrzył z namysłem na butelkę, która wydawała się znacznie mniejsza w jego ogromnych rękach, trzymana dwoma połamanymi, powykręcanyimi palcami. Fort był tak wielki, że Warkocz nie mogła się nie zastanawiać, czy jest w pełni człowiekiem – co jest zrozumiałe, ale żarty na bok, był w stu procentach istotą ludzką. Oraz co najmniej w dwudziestu czymś jeszcze, czego nie umiałem określić.

– Zaufaj mi – powiedziała Warkocz. – Z mąki możemy coś zrobić, ale dla oleju nie ma żadnego dobrego zastosowania.

O którym wiesz napisał. Byłabyś zaskoczona, na co są skłonni wymienić się ludzie. Schował butelkę.

Razem zajmowali nieduży kambuz, niewiele większy od biura Forta – choć w tym pomieszczeniu wzdłuż wszystkich ścian umieszczono blaty z szafkami poniżej, przerwane jedynie

przez drzwi po jednej stronie i piekarnik naprzeciwko.

– Masz. – Warkocz popchnęła w jego stronę niedużą stertę orzechów kulu. – Zmiażdż je.

Zmiażdżyć je?

– Tak, i zrób to w moździerz, żeby nie zmarnować ani kropli płynu. Orzechy kulu mają w sobie dużo tłuszczu, a my będziemy go potrzebować, bo olej zjełczał.

Wzruszył ramionami i wypełnił jej polecenie, a Warkocz wstawiła do piekarnika kilka garnków, zmieniając go w urządzenie do gotowania na parze.

– Żeby wszystko piekło się bardziej równo – wyjaśniła, kiedy mężczyzna spojrzał na nią z zaciekawieniem. – Para jest dobrym przewodnikiem.

A my nie pieczemy chleba?

– Chleb orzechowy. – Dziewczyna przesiała mąkę, żeby sprawdzić, czy nie ma pleśni. Ze starej mąki mogła coś zrobić, ale z zapleśniałej? To było o wiele gorsze. Na szczęście ta wydawała się wystarczająco sucha i czysta. – Musimy unikać podstawowych chlebów. Stara mąka ma paskudny smak, ale nikt się od niej nie pochoruje. Potrzebujemy więc czegoś, w czym smak nie będzie tak zauważalny. Chleb z orzechów kulu powinien się nadawać... i możemy go ugotować na parze.

Fort uwierzył jej na słowo i miażdżył dalej. Przez kolejną godzinę Warkocz wróciła do starej rutyny. Jak wiele razy przygotowywała jedzenie dla rodziców, wykorzystując to, na co mogli sobie pozwolić albo co udało jej się zdobyć? Było to uspokajająco znajome, nawet jeśli na większą skalę.

Miała nadzieję, że rodzice radzili sobie bez niej. Zamierzała do nich pisać, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło... Nagle poczuła się winna, że życzyła sobie więcej listów od Charliego. Jeśli jego doświadczenia na morzu były choć odrobinę podobne do jej, to cud, że w ogóle znalazł czas, żeby cokolwiek do niej wysłać.

Fort nie wypełniał czasu bezsensowną gadaniną i choć moglibyście to przypisywać jego głuchocie, znałem kilku Głuchych, którzy mieli całkiem rozgadane ręce. Fort starannie obserwował wszystko, co robiła, a Warkocz odkryła, że trudno jej zinterpretować jego uwagę. Próbowal się od niej uczyć? A może był podejrziwy?

Niepewnie wyjęła pierwszy z testowych placków, odcięła róg i podała mu. Złapał go bokami dłoni. Przyjrzał mu się. Powąchał. Spróbował. I zapłakał.

Tego typu reakcja wzbudza panikę w artystach. Łzy zmywają wartości pośrednie – wszystkie nieskończone permutacje przeciętności zostają wyeliminowane i pozostają tylko dwie możliwości – jedna wzniosła, a druga katastrofalna. Przez chwilę obie te interpretacje istniały dla Warkocz w swego rodzaju stanie kwantowym. A ludzie zastanawiają się, czemu artyści tak często nadużywają trunków.

Fort odgryzł kolejny kęs.

Westchnienie ulgi Warkocz mogłoby wydać żagle. Wróciła do siekania mewy – ta na szczęście była świeża – na paszteciki z mięsem. Ale Fort postukał ją w ramię.

Jak to zrobiłaś? Patrzyłem uważnie, czy to nie sztuczka.

– Ale jaka to mogła być sztuczka?

Tajne składniki. Podmienienie jednego placka na inny, przygotowany wcześniej.

- Zawsze jesteś taki podejrzliwy?

Jestem kwatermistrzem na statku pirackim.

- Nie było podmienionych placek. I nie ma żadnych tajnych składników poza praktyką i pomysłowością.

Sięgnął po trzeci kęs.

- Jak byś ocenił, ile wart byłby taki posiłek każdego dnia? - zapytała, nie przerywając siania.

Fort wyprostował się, po czym popatrzył na nią z przebiegłym uśmiechem.

Och, sądzę, że to kwestia do przedyskutowania, czyż nie?

- Ten trzeci kęs świadczy, że dyskusja już się skończyła.

Zawahał się w połowie oblizywania palca. Później napisał: Chyba powiedziałaś, że mnie nie oszukujesz.

- Interesujące. Nie pamiętam, żebym tak powiedziała. Stwierdziłam jedynie, że chleb jest prawdziwy. A nie, że nie próbowałam cię oszukać. Może czwarty kawałek?

Trzeba tu zauważyć, że Warkocz prowadziła tę rozmowę, czując pewien ciężar poczucia winy. Chciała, żeby Fort ją lubił, i zwykle nie była skłonna prosić przyjaciół o wymianę lub zapłatę.

Obserwowała jednak kontakty mężczyzny z innymi. Fort nie był samolubny. Nie tylko tego pierwszego dnia wciągnął ją na pokład, ale też dał jej jedzenie, kiedy go potrzebowała. Wydawało się, że zawsze ma to, czego potrzebują ludzie, i w ciszy wręczał medykamenty, buty, a nawet talię kart Dougowi w potrzebie. I rzadko brał w zamian coś o równej wartości.

Jednakże z ludźmi takimi jak Ann czy Salay targował się zajadle o najmniejszy drobiazg. Nawet taki, który powinny mieć prawo dostać z zapasów statku. Warkocz myślała, że może przypominał ciotkę Glorf, która zawsze wyklócała się o najlepsze okazje na targu. Bała się, że wyjdzie na idiotkę, jeśli da wykorzystać się.

To przypuszczenie było równie niepoprawne, jak „się” na końcu zdania. Ale zadziało. Jak „się” na końcu zdania. Bo przekonało ją do targowania się, nawet jeśli nie miała ochoty się narzucać.

Zrób to raz za każdy dzień, kiedy cię nakarmiłem powiedział Fort. A wszystko się wyrówna.

- To wyglądałoby na uczciwą umowę, gdyby ktoś przypadkiem używał gnijącego wypożyczonego mózgu, który Ulaam wyciągnął z dolnej szuflady. Jedzenie, jakie mi dostarczyłeś, Forcie, było właściwie bezwartościowe. Powiedziałabym, że jeden dobry posiłek powinien zrównoważyć kilka tuzinów koszmarnych.

Jedzenie nie było bezwartościowe napisał Fort, miażdżąc kolejne orzechy. Bez trudu trzymał tłuczek zniekształconymi palcami, a od czasu do czasu przerywał, by postukać kostkami w wierzch tabliczki. Spoczywała na blacie i pokazywała teraz słowa obu mówiących na tej samej powierzchni. Jedzenie ma minimalny próg użyteczności, zakładając, że nie jest trujące.

- Nie było trujące, ale z pewnością bardzo się starało.

Utrzymało cię przy życiu, a życie jest bezcenne, tak bym powiedział. Czyli moje jedzenie, dostarczone, kiedy nie mogłaś dostać niczego innego, było wobec tego bezcenne.

- Ach. - Warkocz nadal siekała. - Ale kapitan wielokrotnie powtarzała, że moje życie jest bezwartościowe. Czyli twoje jedzenie też jest.

Jeśli ty nie masz wartości Fort miażdżył orzechy jedną ręką, a stukał drugą to z pewnością twoja praca też właściwie nie jest nic warta. A wobec tego powinienem móc cię zatrudnić prawie za darmo.

- Skoro tak, to znajdę inny sposób, żeby ci odplacić. Jaka szkoda.

Wzięła ostatni kawałek testowego placka, zanim zdążył go złapać, i wepchnęła do ust.

Na księżycy, zapomniała już, jakie to uczucie jeść, nie tłumiąc jednocześnie odruchu wymiotnego.

Fort podrapał się po brodzie i wyszczerzył zęby.

W porządku, dobrze. Jeden dzień dostarczania znośnych posiłków takich jak ten splanca dwa dni posiłków, które ja dawałem tobie.

- Pięć - powiedziała Warkocz.

Trzy.

- Umowa stoi - odparła. - Ale nie możesz powiedzieć innym, że te posiłki przygotowywałam ja. Nie mogę sobie pozwolić na zostanie wrobioną w gotowanie śniadania i obiadu. Mam inne zadania.

Załoga zrobi się podejrzliwa, jeśli dwa posiłki będą kiepskie, a jeden niewiarygodny.

- Czyli jedzenie jest niewiarygodne, tak?

Mężczyzna znieruchomiał, po czym znów uśmiechnął się szeroko.

Nie doceniłem cię.

- Mam nadzieję, że to zaraźliwe. Jesteś pomysłowym człowiekiem, Forcie. Wymyślisz usprawiedliwienie, żeby zbyć załogę. Powiedz im, że wypróbujesz nowe przepisy, ale tylko raz dziennie masz czas na ćwiczenia. A poza tym, jeśli uda nam się zmusić ten piekarnik do działania, rzeczy, które przygotowujesz, mogą nie być tak...

Wyjątkowe? napisał.

- Nierozpoznawane.

Dobrze, umowa stoi. Jeśli zgodzisz się codziennie przygotowywać też deser. Dougowie prosili o taki, który nie przeżera talerzy, zanim zdążą go zjeść.

- Proszę o więcej tego, co przygotowywałeś? Na księżycy, jak wiele z tych okazjnych mózgow ma Ulaam?

Fort roześmiał się na całe gardło. Był to głośny śmiech, ale nie aż tak, jak rechot Ann. Bardziej niepowstrzymany niż nieopanowany. Był to śmiech kogoś, kto nie przejmował się, jak brzmi albo wygląda dla innych.

Myliłam się, uświadomiła sobie. On nie martwi się, że wyjdzie na idiotę, bo da się wykorzystać.

I jak? Co z deserem?

- Chcę dostać pistolet sygnałowy. - Zsunęła posiekane mięso do formy na pasztecik. - Z flarami. Żadnych pytań.

Spojrzał na nią z ukosa.

Sprawy Masek?

- Może.

Czy to pomoże nam w naszym trudnym położeniu? Wskazał w górę, w stronę kajuty kapitan.

- Mam taką nadzieję.

W takim razie możesz go dostać. W zamian za desery do końca rejsu.

- Do czasu, aż dotrzemy do celu na Szkarłatnym Morzu - powiedziała Warkocz.

Nie wiedziałem, że go mamy. Interesujące. Niech będzie. Wytrzeł rękę i ją wyciągnął.

Uścisnęła ją, potwierdzając umowę.

Dziękuję ci. Szczerze.

- Za jedzenie?

Za wymianę.

- Dlaczego tak je lubisz, Forcie? - Warkocz oparła się o blat.

Z zawodu jestem myśliwym wyjaśnił. Dla mojego ludu, a szczególnie dla mojej rodziny, przeprowadzenie doskonałych łowów jest powodem do dumy.

- ...Łowów?

Cóż, przez lata poszerzyliśmy definicję wyjaśnił. Okazuje się, że społeczeństwo składające się z myśliwych nie skaluje się dobrze. Kto miałby robić buty? Piec chleb? Planować wesela? Postukał w tabliczkę, zmazując słowa, i pisał dalej. Dlatego, kiedy osiągamy dorosłość, wybieramy swój rodzaj łowów. Ten jest mój. To godne łowy, takie same jak mojej matki. Zapisuję każde wielkie zwycięstwo i wysyłam im w listach do domu, żeby mogli powiesić je w halli .

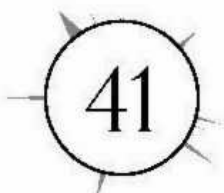
- A niech to - powiedziała Warkocz.

Jesteś pod wrażeniem? Ann się roześmiała.

- Jestem pod wrażeniem. Poza tym mam przyjaciela, który chętnie usłyszałby tę opowieść. Mam nadzieję, że kiedyś go spotkasz. Czy... twoja dzisiejsza umowa ze mną zostanie opisana w jednym z listów?

Znów się roześmiał.

Warkocz, poczułabyś się zawstydzona, gdybyś wiedziała, jak udane były moje łowy. Jadłaś moje jedzenie? Pierwszy kęs chleba, który mi dałaś, wart był każdego posiłku, który dałem ci w przeszłości. A ty nie tylko obiecałaś mi więcej, ale pozwoliłaś mi przypisać sobie zasługi przed Dougami? Mrugnęła do niej. Będę się chełpił tą zdobyczą przez trzy kartki! A teraz się pośpiesz. Chcę spróbować pasztecików.



Rozcinanie wypełnionej zarodnikami flary bez pełnego skupienia nie było najlepszym pomysłem – ale trzeba przyznać, że Warkocz nie zamierzała się rozproszyć. Zdarzyło się to naturalnie, podobnie jak atak czkawkki lub nieunikniona, niepowstrzymana entropia wszechświata.

Kiedy zerwała z flary sztywne zamknięcie z papieru woskowanego, rozważała czystą radość, której doświadczał Fort w czasie negocjacji. Targowanie się na rynku zawsze wzbudzało jej zdenerwowanie, bo nie chciała sprawić, by kupcy poczuli, że ich towary są bezwartościowe, a usługi niedoceniane. Jednakże Fort uwielbiał targowanie.

A Ann, strzelająca z armaty... Warkocz myślała o niej, kiedy ostrożnie wysypywała zarodniki z flary. Czy Warkocz widziała kogokolwiek tak podekscytowanego czymkolwiek jak Ann? Nawet Charlie ze świeżo upieczonym pasztecikiem nie wyglądał na tak zadowolonego.

Warkocz ostrożnie postukała flarę, a później spojrzała na Hucka, który upierał się, że będzie jej towarzyszyć przy stole roboczym – ale ukrywał się pod dużą miską na zupe, którą uniósł na cał, żeby móc spod niej wyglądać. W tej chwili głównie bał się zarodników, choć ostatnio zauważyła, że znacznie częściej się chowa. Nawet kiedy w okolicy nie było kota.

– Co to? – spytał, kiedy ze środka flary wytoczyła się sfera z różowego kamienia.

– Ładunek wody – wyjaśniła i uniosła go do bulaja, by pokazać, jak światło przenika przez różowy kamień. Kiedy nim potrząsnęła, wewnątrz zachlupotała woda. – Kiedy to pęknie, woda wylewa się na zewnątrz i powoduje uruchomienie ładunku. W tym przypadku słonecznych zarodników, które płoną jaskrawym, gorącym światłem.

– Och. – Huck uniósł miskę trochę wyżej. – Czyli te nie wybuchają?

– Nie. Ale mogłyby nas poparzyć, bo tworzą jaskrawy blask i gorąco. – Z loskotem postawiła na stole kulę armatnią. – Ją natomiast wypełniają zefirowe zarodniki. Dlatego porządnie wybuchą.

Huck znaczącym gestem opuścił tarczę. Warkocz przetaczała po stole wypełnioną wodą kulkę z rozeitu. Przypominała sobie kazania w różne Księżycodni, wygłaszane na samym szczycie wyspy. W Zielone Księżycodni mogli oglądać koniunkcję słońca i księżyca. Warkocz zawsze odnosiła wrażenie, że czegoś nie zauważa w czasie tych spotkań, bo koniunkcje – z ich strony – wyglądały zupełnie jak zwyczajny księżycocien, który zdarzał się każdego dnia. Ale najwyraźniej słońce ustawiało się dokładnie za księżycem jedynie dwa razy do roku.

W czasie takiego zaćmienia kapłani opowiadali o szanowaniu księżyców i znaczeniu życia. Ale wydawało się, że każdy kaznodzieja, który odwiedzał wyspę, miał inną wizję celu życia. Nawet dwaj kaznodzieje z tej samej księżycoszkoly się nie zgadzali.

To ją pocieszało. Jeśli religia nie mogła się ogarnąć, to nikt nie powinien mieć pretensji do Warkocz, że w jej życiu panuje chaos.

Ale teraz – kiedy sięgnęła do pozostałości flary w poszukiwaniu mechanizmu czasowego – zaczęła się zastanawiać. Każdy z tych kaznodziejów zachowywał się, jakby znał odpowiedź, jakby życie miało tylko jeden cel. Wszelkie życie. Rozumiała tę skłonność. Jedna odpowiedź z pewnością wszystko by uporządkowała. Dwa dodać dwa równa się cztery. Woda wrze w określonej temperaturze. A celem życia jest nauczenie się, jak naśladować okrzyki marmozety. Do roboty.

Dla Forta celem życia było zawarcie korzystnej umowy. Dla Ann zaś celem życia było nauczenie się strzelania z armaty w taki sposób, by przypadkiem nie pozbawić przyjaciół kończyn. Czyżby więc było wiele odpowiedzi? A może wszystkie były tą samą odpowiedzią z różnymi zastosowaniami?

Trzeba zauważyć, że Warkocz byłaby doskonałą filozofką. W rzeczy samej, już doszła do wniosku, że filozofia nie jest tak cenna, jak zakładała – coś, co większości wielkich filozofów zajmuje co najmniej trzy dziesięciolecia.

W końcu wyciągnęła mechanizm czasowy i odłożyła go na stół. Jak zauważyła, pistolet sygnałowy działał prawie tak samo jak zwykły pistolet. Żeby z niego wystrzelić, trzeba było go osobno naładować.

– Więc... co robimy? – spytał Huck.

– Popatrz tutaj. – Zdjęła z mechanizmu srebrny czubek. Był stożkowaty, zaostroszony na końcu, jak ołówek. – To sprawia, że flara wybuchą. Srebro przebija się przez rdzeń z rozeitu, który wypełnia woda.

Ja zamierzam to odwrócić. Umieszczę ten spiczasty kawałek na szczycie flary, ale zwrócony do środka. I jeśli flara w coś trafi, srebro zostanie odepchnięte do tyłu, przebijając sferę z rozeitu i wypuści wodę.

– Jasne, pewnie – powiedział Huck. – To powinno zadziałać. Ale dlaczego?

– Muszę znaleźć sposób, jak powstrzymać Wronę – wyjaśniła Warkocz. – Ale, jak zobaczyliśmy, kiedy zaatakowaliśmy tamtych kupców, normalny pistolet nie zrobi jej krzywdy.

– A ty masz nadzieję, że flara tak?

– Nie do końca. – Warkocz zaczęła odbudowywać flarę. Nie tylko umieściła srebrny detonator pod zamknięciem zamiast u podstawy, ale też zastąpiła słoneczne zarodniki piaskiem i kilkoma zielonymi zarodnikami. Zamknęła urządzenie z powrotem bez mechanizmu czasowego i przyjrzała mu się. – Rozmawiałam dziś z Ulaamem, a on powiedział mi, że zarodniki żyjące we krwi Wrony ochronią ją przed każdą bronią, która spróbuje przebić jej skórę. Dlatego pomyślałam, że powstrzymam ją, nie robiąc jej krzywdy.

– Jak zamierzasz to zrobić, na ocean?

– Tak samo, jak zatrzymujemy statki, nie zatapiając ich. Zbuduję flarę, która wybuchą zielonymi pędami, a później wykorzystam je, żeby przyczepić ją do ściany albo podłogi. Jeśli to zadziała, nie będę musiała jej zabijać ani nawet robić jej krzywdy. Po prostu ją unieruchomię i pozwolę Salay przejąć statek.

– To błyskotliwe! – Huck jeszcze bardziej uniósł miszkę. – Myślisz, że to naprawdę zadziała?

Warkocz załadowała flarę – jak również trochę zefirowych zarodników – do pistoletu sygnałowego, który miał tępą, szeroką lufę. Wycelowała, ale nie pociągnęła za spust – co wprowadziłoby wodę do lufy i wystrzeliło pocisk. Testowanie czegoś takiego w jej kwaterze nie wydawało się zdrowe.

Ale jak mogła to wypróbować? Musiała uderzyć w coś stabilnego, żeby przebić nabój z wodą, więc nie mogła po prostu wystrzelić przez bulaj. Ale nie chciała też zdradzić Wronie, co konstruuje.

Musiała znaleźć inny sposób. Odłożyła pistolet i spojrzała w bok na Hucka, który – porzucając w końcu kryjówkę – podszedł do niej.

– Hej, wyglądasz na smutną. Nic się nie stało, Warkocz. Znajdziesz rozwiązanie. Jesteś dobra i jesteś bystra. Uda ci się.

– Jeśli to zrobię, będzie to oznaczało skazanie Wrony na śmierć – odparła cicho. – Jej choroba pochłonie ją od wewnątrz, jeśli nie uda jej się dobić targu ze smokiem.

Huck załamał łapki i zmarszczył nos. Nie stwierdził oczywiście – że Wrona absolutnie nie zasługiwała na współczucie. Warkocz już to wiedziała, a on wiedział, że ona wie.

Niestety, współczucie nie jest zaworem, który da się zakręcić, kiedy zaczyna zalewać podwórko. W rzeczy samej, droga do życia bez empatii jest długa i bolesna, pełna przehandlowanego człowieczeństwa sprzedawanego z dużą zniżką.

Aby nie myśleć o tym, co planowała zrobić Wronie, Warkocz przyjrzała się mechanizmowi czasowemu, który zostawiła na stole, kiedy ponownie składała flarę. Niewielkie urządzenie wyglądało dokładnie tak, jak przedstawiono na rysunku – kawałek zielonego pędu, już wyhodowanego z zarodnika, jako lont, i niewielkie szklane naczynko, które – jako że było o wiele mniej trwałe od rozeitu – miało rozbić się w chwili oddania strzału.

Wydobyła pęd, po czym – skłaniając Hucka do wycofania się z niepokojem – skropiła go odrobiną wody. Nieduże pnącze zwinęło się i zadrżało. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym uznała, że powinna poćwiczyć z narzędziami.

Pęd zakołysał się nieco bardziej energicznie.

Warkocz po chwili wahania pochyliła się nad nim. Eter rósł miarowo, choć wciąż był krótszy od jej palca. Później czubek – ta część, która rosła – zwrócił się w jej stronę. Malutki pęd

pełził w jej kierunku.

Warkocz uskokczyła w bok. Czubek pnącza zaczął rosnąć w tę stronę.

Czując coraz większą dezorientację, dziewczyna przesunęła krzesło w drugi bok. Pnącze znów się poruszyło i jego czubek podążył za nią, zostawiając za sobą pęd o zygzakowatym kształcie.

Zaczynało mu brakować wody, więc znów je zwilżyła. Następnie przykucnęła i patrzyła, jak pełźnie w jej kierunku. Czy... czegoś szukało? Na rodzinnej wyspie znalazła w ciemnej szopie kępę chwastów, które jakimś cudem zniosły zasolenie. Te chwasty wszystkie rosły w stronę jednego otworu po sęku w deskach.

– Co ty robisz? – Huck zbliżył się ostrożnie.

Wyciągnęła palec i czubek pędu zaczął rosnąć w jego stronę, a później zmienił się w niewielką sprężynkę, kiedy zaczęła kręcić dłońią. Reagował na nią, nie na Hucka.

Bo jest szczurem? – zastanawiała się. Albo... dlatego, że on się go boi? Ale ona też się bała zarodników, prawda?

Tyle tylko że ten mały pęd nie był niebezpieczny. Zatem... nie, nie czuła strachu. Nie w tej chwili.

Kiedy używała północnych zarodników, była związana ze stworzeniem. Co zadziwiające, w czasie tej chwili z pnączem czuła coś podobnego. Związek. Odnosiła wrażenie, że wyczuwa jego poszukiwania. Było puste, ale szukało. Pragnęło.

Rozumiem, pomyślała do pędu, pozwalając, by dotknął jej palca i delikatnie owinał się wokół niego. Fort miał swoje wymiany, a Ann swoją broń palną. Ale co miała Warkocz? Chciała uratować Charliego, ale to nie był cel jej życia. Jedynie zamierzenie.

Spojrzała w stronę kubków. Choć nadal je lubiła, musiała przyznać, że tak naprawdę ostatnio patrzyła na nie tylko dlatego, że przypominały jej o Charliem. Same kubki nie miały już w sobie tego samego uroku co wcześniej. Zobaczyła zbyt wiele ze świata. I to nie tylko miejsca.

Pędowi skończyła się woda i znieruchomiał owinięty wokół jej palca – ale nie groźnie. Lekki dotyk. Zaciekawiony, nie niebezpieczny.

Uznała to za zadziwiające. Jak to możliwe? Cały świat był każdego dnia w kontakcie z zarodnikami – przynajmniej martwymi. Ludzie się ich bali, nie bez powodu. Jednak ten bardziej przypominał szczeniaczka niż zabójczą i niszczycielską moc.

Czy cały świat mógł źle ocenić coś tak pospolitego? Choć Warkocz wydawało się to mało prawdopodobne, było prawdziwe – i wcale nie aż tak zaskakujące. Ludzie ciągle błędnie oceniają rzeczy pospolite w ich życiu. (Przychodzą tu na myśl inni ludzie).

Warkocz nie odkryła niczego całkowicie nowego. Właściwie zaczynała sobie uświadamiać, dlaczego zarodniki i etery fascynują kielkowaczy. Wszystko to wiązało się ze strachem.

Choć zdrowa doza ryzykanctwa popychała naszych przodków w stronę odkryć, przy życiu utrzymywał ich strach. Jeśli odwaga to wiatr, który sprawia, że szybujemy jak latawce, strach jest sznurkiem powstrzymującym nas przed odfrunięciem zbyt daleko. Potrzebujemy go, ale cała kwestia w tym, że nasze dziedzictwo nauczyło nas czasami bać się niewłaściwych rzeczy.

Na przykład dla naszych starożytnych przodków obcy i nowi ludzie często oznaczali nowe choroby i od czasu do czasu włócznie rzuconą w słabiznę. Dziś jedynym, czym nowi ludzie

mają w zwyczaju rzucać w naszą stronę, są interesujące przekleństwa, którymi następnie możemy zaimponować znajomym.

Strach przed czymś w rodzaju eterów? Cóż, jest równie naturalny jak sutki, ale niemal tak samo szczątkowy jak ich męska odmiana. A kiedy człowiek porzuci niektóre obawy i założenia, otwiera się przed nim cały świat.



Kocham wspomnienia. To nasze ballady, nasze osobiste mity założycielskie. Ale muszę przyznać, że wspomnienie może być okrutne, jeśli nie zostanie zakwestionowane.

Wspomnienie to często nasz jedyny związek z tym, kim byliśmy kiedyś. Wspomnienia to skamieliny, kości pozostawione przez martwe wersje nas. Co jeszcze ważniejsze, nasze umysły to wygłodniała widownia, pożądająca jedynie szczytów i dolin doświadczenia. To, co mdłe, eroduje, pozostawiając za sobą charakterystyczne kawałki, przypominane raz za razem.

Bolesne czy namiętne, surrealistyczne czy wzniosłe – hołubimy te kamyki szczytowego doświadczenia, polerując je wygładzającym dotykiem przetworzonego życia z drugiej ręki. Robiąc to – jak poganie modlący się do figurki wyrzeźbionej z błota – tworzymy z naszych wspomnień bogów sądzących nasze obecne życie.

Kocham to. Wspomnienie być może nie jest sercem tego, co czyni nas ludźmi, ale jest co najmniej jednym z kluczowych organów. Tym niemniej musimy uważać i nie pozwolić, by radość chwili obecnej zbladła w porównaniu z rzekomo lepszymi dniami. Jesteśmy szczęśliwi, jasne, ale czy wtedy byliśmy bardziej szczęśliwi? Jeśli pozwolimy, wspomnienie może zmienić teraźniejszość w cienie, bo nic nie może się równać z umocnionymi legendami naszej przeszłości.

Dużo o tym rozmyślam, bo moją pracą jest sprzedawanie legend. Opakowywanie ich, zmienianie w towar. Za niewygórowaną cenę podzielę się z wami swoimi wspomnieniami – które, uroczycie przysięgam, są prawdziwe, albo będą, jak długo zgodzicie się nie grzebać w nich zbyt głęboko.

Nie pozwólcie, by wspomnienie was goniło. Przyjmijcie radę kogoś, kto rozkroił bestię, a później odbudował ją z bardziej przerażającym pyskiem – który następnie wykorzystywa-

łem, by dostać parę monet więcej od pijanej widowni. Cieszcie się wspomnieniami, owszem, ale nie bądźcie niewolnikami tego, kim pragnęliście być kiedyś.

Te wspomnienia nie są żywe. Wy jesteście.

Osobiście wydaje mi się, że nie poświęciłem wystarczającej uwagi temu, jak piękny był świat Warkocz. Dla mnie była to zaściankowa planeta tonąca w żużlu eterów, które są bardziej użyteczne w innych wcieleniach – i o wiele łatwiejsze do zebrania na samych księżycach.

A jednak nigdzie indziej w czasie moich podróży nie widziałem niczego podobnego do tych zarodników. Kiedy żeglowaliśmy po Szkarłatnym, czułem się jak liść unoszący się na krwi zabitego olbrzyma. Im dalej płynęliśmy, tym wyżej wznosił się Szkarłatny Księżyc – ciemny i złowrogi w ciągu dnia, często otoczony słonecznym blaskiem. Skrzep na świetle.

W nocy płonął własnym niemrugającym, nadnaturalnym blaskiem. Z początku byliśmy zbyt daleko, by dostrzec zarodnikospad, ale kiedy się zbliżyliśmy, pojawiło się lunageum. Fontanna z nieba, spływająca do środka morza. Zielone zarodniki zawsze wyglądały jak pyłek w powietrzu, ale to przypominało wypływ lawy. Wybuchający na niebiosach, by spalić planetę.

W czasie rejsu nie byłem w pełni władz umysłowych, ale wciąż widziałem. I wypolerowane kawałki tego łądu w moim wspomnieniu są zawsze uderzającymi obrazami. Surrealistycznymi, urzekającymi wizjami magii tak dominującej, że dosłownie spada z nieba.

Wierzę, że Warkocz byłaby bardziej zadowolona, gdyby widok nie był tak oszałamiający. Miałyby większą szansę na utrzymanie mojej uwagi.

– Czy mógłbyś się skupić, Hoidzie, proszę? – spytała dziewczyna.

Wskazałem odległy czerwony księżyc, zarodniki spływające, by wypełnić niebo.

– Wygląda, jakby księżyc wymiotował.

Warkocz westchnęła.

– Wyobraź sobie, że morze jest toaletą – powiedziałem. – A księżyc jest twarzą boga, który zwraca się w naszą stronę po długiej nocy kręcenia się w kółko na stołku barowym.

Tak naprawdę napisałem poemat o wymiotującym bogu. Oszczędzę wam tego, choć to jedyna okazja, kiedy miałem pretekst, by znaleźć naprawdę dobry rym do słowa „wygi”.

W końcu, po dłuższej zachęcie, odwróciłem się od nowo odnalezionej muzy i usiadłem na pokładzie w pobliżu Warkocz. Wołałaby pracować ze mną pod pokładem, niewidoczna, ale byłem uparty. Chciałem patrzeć, jak księżyc rzyga. Tak to bywa.

– Musimy zdjąć kłatwę – powiedziała.

– Ach tak. – Pochyliłem się do niej i dodałem porozumiewawczym szeptem: – Wiesz, mam ją.

– Kłatwę?

– W rzeczy samej.

– Wiem, Hoidzie.

– Wiesz?

– Tak. Dlatego możemy o tym rozmawiać. Gdybym nie wiedziała, nie mógłbyś mi powiedzieć.

– Nie mogę ci powiedzieć czegoś, czego nie wiesz, tylko to, co już wiesz?

- Tak, z powodu kłątwy.

- Och! Kłątwa! Ja...

- Masz jedną z nich. Wiem. Muszę złamać twoją, żebyś mógł zaprowadzić mnie do Czarodziejki. Nikt nie wie, gdzie dokładnie na Północnym Morzu można ją znaleźć.

Milczałem.

- Hoidzie? Rozumiesz?

- Myślę, że rozumiem. Ale wiesz, to trudne. - Pochyliłem się bliżej. - Mogę ci powiedzieć...

- Tak?

- Coś ważnego...

- Tak?

- Skarpetki do sandałów - szepnąłem. - Nowa moda. Zaufaj mi. Wszyscy będą je nosić.

Westchnęła z narastającą irytacją.

Jestem przyzwyczajony do takiej reakcji ludzi, ale wolę być celowo irytujący. Przypadkowe frustrowanie innych jest sprzeczne z moją etyką zawodową. To jak... robotnik budowlany budujący nową drogę w czasie lunatykowania. Brygadzysta by się wściekł. Na litość, jak można sprawić, żeby lunatyk zrobił sobie przerwę zgodnie z porozumieniem wypracowanym przez związki zawodowe? Trzeba go obudzić?

- Posłuchaj, mam tu ten papier, widzisz? - powiedziała Warkocz. - I zapisałam na nim dużo słów, które, jak mi się wydaje, mają coś wspólnego z kłátwami. Czy są tu jakieś, o których nie możesz ze mną rozmawiać? Jeśli tak, to byłyby dla mnie wskazówka.

Pomysł wyglądał na wykonalny. Byłbym pod wrażeniem, gdyby nie rozproszyło mnie zastanawianie się, czy ktokolwiek zrobił już ubranie z serwetek.

Warkocz podała mi listę słów. Przyjrzałem im się, przechyliłem głowę i pokiwałem nią.

- Cokolwiek? - spytała.

- Ja najwyraźniej zapomniałem, jak się czyta - ogłosiłem.

Wykazując legendarną cierpliwość, Warkocz wzięła listę ode mnie i przeczytała mi słowa. Powtórzyłem je.

- I jak? - spytała.

- Bez wątplenia slyszalem wcześniej niektóre z tych słów. Ale zapomniałem, jakie są zasady. Czy to gra, w której rysuję słowo, czy też ta, w której przedstawiam je gestami?

Warkocz jęknęła i opadła na pokład, uderzając głową o deski.

- Czy mógłbyś zaprowadzić mnie do Czarodziejki bez zdejmowania z ciebie kłátwy?

Milczałem.

- Hoidzie?

Uśmiechnąłem się do niej. Poczerniłem jeden z zębów, żeby wyglądać, jakbym go nie miał, bo uznałem, że to musi być całkiem modne. W końcu wielu Dougów tak paradowało.

- Może mogłabym podawać ci litery, a ty myślałbyś o sposobie złamania kłátwy? - zaproponowała. - Mogłabym cię spytać: „Czy ta litera jest w tym słowie?”. Teoretycznie nie mógłbyś powiedzieć tak, gdyby to była prawda.

To by nie zadziało. Było to tak łatwe obejście, że Czarodziejka o nim pomyślała i zasadniczo „zaprogramowała” kłátwę, by uniemożliwić ofierze potwierdzanie słów w ten sposób.

Ponadto, w tym szczególnym przypadku... cóż...

- Litery - powiedziałem. - Pisownia. Czytanie...

- Racja. Racja. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy mógłbyś zaprowadzić mnie do Czarodziejki? Nawet gdybyś nie został odkłątwniony?

Milczałem.

W głębi duszy miałem nadzieję, że zauważy, jak głośne było to milczenie.

- Chwileczkę. - Usiadła. - Za każdym razem, kiedy wspominam o popłynięciu do Czarodziejki, ty milkniesz.

- Naprawdę?

- To jedyne chwile, kiedy przebywałam w twojej obecności, a ty nie miałeś nic do powiedzenia... - Otworzyła szerzej oczy. - Hoidzie, nie możesz mówić o Czarodziejce albo jej wyspie, prawda?

Co godne uwagi, nie byłem zdolny do odpowiedzi.

- Hoidzie, czy możesz mówić o wyspie króla?

- Byłem tam raz! Słyszałaś opowieść o królewskim zbieraczu? Nie pamiętam jej zbyt dokładnie, ale zawiera kupę, więc musi być śmieszna!

- Rozmowa o odwiedzinach na wyspie króla nie sprawiła, że się zamknęłaś, ale rozmowa o wyspie Czarodziejki tak... - Wstała. - Potrzebuję mapy.

I tak to jest. Po zaledwie kilku dniach prób odkryła więcej na temat tego, jak mi pomóc, niż Ulaam przez cały wspólnie spędzony rok. Ten głupi zmiennokształtny dobrze się bawił. Przysięgam, od kiedy Sazed ich uwolnił, wszyscy robili się coraz dziwniejsi.

Tak czy inaczej, Salay była na swoim zwyczajowym stanowisku, kierując statek w głąb Szkarłatnego. Nie miała tam mapy Północnego, ale - na prośbę Warkocz - posłała Douga, by przyniósł ją z jej kajuty. Nie była bardzo szczegółowa - żadna z map Północnego Morza nie jest. Na szczęście kształt był w przybliżeniu właściwy, bo wszystkie z mórz są zasadniczo pięciokątami.

Warkocz zaczęła wskazywać miejsca na mapie i pytać:

- Hodzie, chciałabym, żebyś nas tam zaprowadził. Możesz to zrobić?

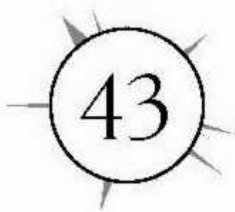
Za każdym razem wspinałem o jakimś strasznie interesującym fakcie związanym z tym miejscem - na przykład, że chodziłem tam, nosząc masło zamiast butów. Aż dotarła do pewnego określonego punktu.

Kiedy o niego spytała, zamilkłem.

Kiedy przestaję mówić, ludzie często zachowują się, jakby byli szczęśliwi. To ryzyko zawodowe. Ale tym razem wyglądało to inaczej. Warkocz przycisnęła mapę do piersi, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Wiedziała, gdzie jest wyspa Czarodziejki. W pobliżu granicy Północnego Morza i Szkarłatnego Morza, jakieś pół dnia żeglugi w głąb.

Była to pierwsza konkretna informacja, jaką znalazła. Pierwszy prawdziwy krok w stronę ocalenia Charliego. Piękna chwila, która została zrujnowana, kiedy na horyzoncie pojawiła się nagle linia deszczu - i wystrzeliła prosto w stronę naszego statku.



Wiem, że marynarze na waszej planecie boją się sztormów. To powszechne wśród wszystkich kultur żeglarzy, jakie napotkałem. Co interesujące, większość również przypisuje – lub w przeszłości przypisywała – sztormom wolę. One nigdy tak po prostu nie są. One czegoś chcą.

Typy pogody na świecie Warkocz nie są szczególnie Napełnione – nie są więc samoświadczone. Ale nigdy byście tak nie powiedzieli, widząc, jak deszcz pędzi prosto na *Pieśń Wrony*.

Warkocz wpatrzyła się weń i popadła w odrętwienie, a cała radość z jej wspaniałego odkrycia zniknęła. Wszystko mogło się skończyć właśnie tutaj, prawda? Jej zmagania, przygotowania... mogły się po prostu skończyć. *Pieśń Wrony* mogła zniknąć w deszczu, przebita z setek różnych stron, a później wciągnięta w głąb.

A Warkocz nie mogła nic z tym zrobić.

Chwile takie jak ta ożywiają wiatr i deszcz. Potrzebujemy celu – to duchowe połączenie, które spaja razem ludzkie istnienie i ludzką wolę. Cel jest związany z nami tak nierozzerwalnie, że dostrzegamy go wszędzie.

Bogowie niebios, wywołujący grzmoty swoim krzykiem albo swoimi krokami wzbudzający błyskawice. Wiatry nazwane i obdarzone różnymi intencjami i motywacjami, zależnie od strony, z której wieją. Deszcze powstrzymane, udzielone albo zesłane, by niszczyć, w zależności od niebiańskich humorów.

Sztorm nie jest przedmiotem jak skrzynia albo drzewa. Nawet dla osób nastawionych bardziej naukowo sztorm to raczej koncepcja niż liczby. Kiedy mżawka staje się ulewą, a kiedy ulewa staje się sztormem? Nie ma wyraźnej granicy. Chodzi o odczucia.

Sztorm jest ideą. W ten sposób jest potężniejszy. Patrząc, jak deszcz zbliża się do niej – a szkarłatne kolce maszerują za nim jak skrzyżowane włócznie królewskiej straży – Warkocz chciała, żeby to było świadome działanie księżyców. Nie chciała, by jej śmierć okazała się czymś bez znaczenia.

Statkiem szarpnęło w bok, aż się zatoczyła. Krzyknęła i chwyciła za reling, a później szybko złapała mapę Północnego Morza, zanim zdążyła odlecieć. Kolejne szarpnięcie statku sprawiło, że poleciała w drugą stronę. Wydawało się to przypadkowe, ale w pobliżu Salay wykrzykiwała rozkazy, a Dougowie je wypełniali, poruszając żaglami.

Salay osobiście nieszczególnie obchodziło, czy jej śmierć była pozbawiona znaczenia, czy celowa. Jak długo się nie śpieszyła. Jak wspomniałem, na waszej planecie możecie być przyzwyczajeni, że rola sternika na statku nie jest szczególnie ważna.

Na morzach zarodników jest inaczej. Statkiem znów szarpnęło, drewno zaskrzypiało, płótna zatrzęszczały. Statek żaglowy nie przypomina większości pojazdów – przekierowanie jego pędu wymaga czasu i wysiłku. Warkocz trzymała się mocno i patrzyła z szeroko otwartymi oczami, jak sama kapitan Wrona złapała puszczoną linę i pociągnęła mocno. W tej chwili nawet ona wypełniała polecenia Salay.

W pobliżu troje Dougów podbiegło do koła sterowego i pomogło Salay przekręcić je w bok, naginając setki ton drewna do jej woli. *Pieśń Wrony* skręciła na prawo od linii deszczu, mijając ścianę eteru tak blisko, że kilka szkarłatnych kolców podrapało kadłub. Salay kazała marynarzom zachować spokój i zwolnić, z powodów, których Warkocz nie rozumiała – aż zobaczyła, że gigantyczna płatanina zazębionych kolców zaczyna tonąć.

Etery wyrastające z zarodników sprawiły, że morze zafalowało, a ich zniknięcie jeszcze to wzmogło, sprawiając, że się wzburzyło i wyduło. Na morzach zarodników zwykle nie ma prawdziwych fal – w przeciwieństwie do płynnych oceanów – ale kiedy do tego dojdzie, są skrajnie niebezpieczne.

Pieśń Wrony trzęsła się jak lód w dobrym koktajlu, a później przechyliła na bok jak ktoś, kto wypił ich za dużo. Warkocz natychmiast zrobiło się niedobrze, a później spanikowała na myśl, jaki efekt miałyby wymiociny na pokładzie w środku zarodników. Udało jej się znaleźć wiadro, jej pierwsza praca na statku okazała się przydatna w niespodziewany sposób.

Salay przez cały czas wykrzykiwała rozkazy. Zupełnie jakby czystą siłą powstrzymywała statek przed wywróceniem się do góry dnem. Czasami poruszała nim wbrew falom, ale czasami przekręcała koło sterowe, by popłynął razem z nimi. W ciągu tych kilku chwil statek był olbrzymim instrumentem muzycznym, a ona grała na nim jak mistrzyni, kierując nas w stronę bezpieczeństwa.

Niestety, pod sam koniec, jedna ostatnia fala rozbiła się o burtę statku. To sprawiło, że pokład zalały zarodniki. Gwałtowne. Szkarłatne. Spragnione. Wystarczająco dużo, by na kilka sekund przytłoczyć srebrną ochronę. A Warkocz nie była jedyną, która poczuła się niedobrze.

Efektom był błysk czerwieni na czerwonym tle. Wybuch kolców na pokładzie głównym, w pobliżu schodów na pokład rufowy. W mgnieniu oka jeden z Dougów został przyszpilony do drewna obok kajuty kapitan. Odpuszczę sobie banalne porównania z poduszeczką do szpilek i powiem tylko jedno – nigdy nie widziałem, by człowiek wykrwawił się tak szybko. Ale też nigdy nie widziałem człowieka, z którego krew mogła uciekać w tak wielu miejscach.

Wszyscy wpatrzyli się w koszmarną scenę, a Warkocz jęknęła i znów odwróciła się do wiadra, by po raz drugi zwrócić posiłek. Po chwili Dougowie – przypominając sobie szkolenie – rzucili się do przygotowanych na takie sytuacje ręczników i zaczęli zbierać krew, by nie pozwolić jej na wylanie się za burtę. Na Zielonym strumień krwi spływający po kadłubie mógłby ich unieruchomić. Tutaj rozerwałby statek na strzępy.

Całe szczęście statki pływające po morzach zarodników są skonstruowane w taki sposób, by temu zapobiegać, a ich spojenia są pokryte warstwą smoły. Srebro w końcu zrobiło swoje – i wszyscy chodzili po martwych szarych zarodnikach, wbijając je w drewno.

Pośrodku tej koszarnej sceny statek się zatrzymał. Nadszedł bezruch.

Muszę przyznać, że czuję niepokój, nawet teraz, na myśl o tych dniach, kiedy przemierzaliśmy Szkarłatne. Całkiem nieźle znam kosmologię i magię planety Warkocz i jestem przekonany, że nikt nie kieruje jej sztormami.

A jednak. Wiedzieć nie zawsze znaczy wierzyć.

Dwa tuziny zebranych na pokładzie odwróciło się jak jeden mąż, by patrzeć, jak deszcz skręca i z niewyjaśnionych powodów znów zwraca się w naszą stronę. Nieubłagany. Woda z przodu prowadząca za sobą natarcie gwałtownych eterów, szerokie jak trzy statki jeden obok drugiego.

Sztorm jest żywą istotą, nawet jeśli nie jest Napełniony. Bowiem „życie” jako koncepcja to ludzki konstrukt. My je definiujemy. Natury to nie obchodzi, postrzega wszystko jako proces chemiczny. W najmniejszym stopniu się nie przejmuje, że garść węgla, wodoru i tlenu pewnego dnia uznała, że naprawdę woli siedzieć na kanapie zamiast na ławie.

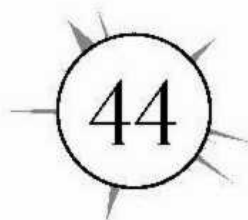
I dlatego coś żyje, jeśli my uznamy, że tak jest. Dla nas na tamtym statku, tamtego dnia, deszcze były żywe. Musiały być. I wiem na pewno, że Warkocz była wstrząśnięta nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie, kiedy podniosła wzrok znad wiadra i zobaczyła, że deszcz znów się zbliża. Kapitan Wrona nie mogła nic zrobić. Nawet Salay nie mogła ocalić statku w czasie bezruchu.

Linia wody minęła nas o kilkaset jardów.

To, co w naszych oczach było bezpośrednią próbą zabicia nas, okazało się przypadkiem. Patrzyliśmy więc, jak deszcz znika na horyzoncie, pozostawiając mur z czerwonych kolców. Wznosiły się wysoko, a barykada ta miała zatonać dopiero po powrocie kipienia.

Deszcz tańczył w kręgach na horyzoncie, a później zniknął. Kapryśny bóg droczący się z nami? Naturalny proces, któremu autonomię nadały jedynie nasze mózgi, które szukały wzorców, znaczenia i woli?

Wiem, w co wierzyłem tamtego dnia.



Zasugerowałem, że nie pamiętam imion Dougów. To było kłamstwo – chciałem, żebyście Zskupiali się na głównych postaciach tej opowieści.

Ale każda osoba ma swoją historię, w tym Dougowie. Ten, który zginął, miał na imię Pakson – on i jego siostra byli Dougami na *Pieśni Wrony*. Pakson był wysoki i niezgrabny na lądzie – jeden z tych mężczyzn, którzy wyglądają, jakby urodzili się z nogami o rozmiar za dużymi w stosunku do torsu. Mimo względnie młodego wieku był łysy, a jego broda tak jakby płynnie przechodziła w szyję – do tego stopnia, że po spotkaniu z nim człowiek zaczynał mieć niewyjaśnioną ochotę na bagietkę.

Z niewiadomego powodu był również życzliwy. To on zaglądał do Warkocz, kiedy trzymała się burty statku. Razem z kilkoma innymi trzymał linę, kiedy Fort wyciągał ją na górę.

Zawsze śmiał się w czasie posiłku i dziękował Fortowi za jedzenie, niezależnie od tego, jak paskudnie smakowało. Kochał muzykę, ale nie umiał grać, i zawsze w tajemnicy żałował, że nigdy się nie nauczył. Ja żałuję, że nie byłem w stanie umysłu, w którym mógłbym udzielać mu lekcji.

A teraz został zabity. Oddaliśmy jego trupa zarodnikom i popłynęliśmy dalej.

Warkocz czuła się odpowiedzialna. Może gdyby statek zaczął kilka miesięcy na Zielonym, nie napotkaliby tego dnia deszczu. Przerazało ją, że Pakson nie będzie jedyną ofiarą jej lekkomyślności. Dlatego wróciła do swojej kajuty – i odwracającego uwagę pocieszenia zarodników.

Huck tam był, jak zawsze. Opowiadał jej o swoim szczurzym życiu. Jego głos odwracał jej uwagę od problemów. Szcurze historie były rozluźniające – nawet kiedy mówił o obawach

i wyzwaniach w szcurzej społeczności, czuła się uspokojona. Ponieważ te wydarzenia miały miejsce tak daleko. Były osobiste, ale jednocześnie abstrakcyjne.

– To naprawdę interesujące, jak wiele możemy wywęszyć ze świata, czego wy najwyraźniej nie czujecie – mówił jej. – Buty każdego z was pachną inaczej. Wiedziałaś o tym?

– Sądziłabym raczej, że wszystkie pachną tak samo.

– Nie dla szcaura! – Huck usiadł na stole obok miejsca, gdzie pracowała i zaczął opowiadać historię o tym, jak udało mu się podążyć przez tłum za pewnym człowiekiem, niuchając w poszukiwaniu charakterystycznej woni jego butów.

Warkocz trochę słuchała, a trochę pracowała. Bawiła się z innymi flarami, pracując nad udoskonalonym pistoletem sygnałowym. W każdej używała różnych ilości różnych rodzajów zarodników, a później notowała w zeszytach, żeby móc ocenić, który eksperyment udał się najlepiej.

Z góry dobiegały krzyki mew. Dougowie, którzy być może potrzebowali czegoś, by nie myśleć o tym, co przytrafiło się Paksonowi, łowili w powietrzu, żeby złapać mięso na nadchodzące posiłki. A poza tym ptaki były rzadkością na Szkarłatnym, więc trzeba było korzystać z okazji.

Warkocz wkrótce miała cztery różne flary i cztery różne ładunki. Każda flara po uderzeniu w cel miała teoretycznie wypuścić zielony eter, ale jego ilość była różna, co miało jej pomóc w kolejnych wersjach projektu. W każdym ładunku była inna ilość zefirowych zarodników.

Powiedziała sobie, że ta praca pomoże innym członkom załogi. Im szybciej uda jej się znaleźć sposób na pozabawienie Wrony władzy, tym szybciej wszyscy będą mogli opuścić Szkarłatne. Niestety, ten argument trafił na wrogich słuchaczy, choć używała go jedynie wobec samej siebie. W końcu planowała skłonić załogę do popłynięcia na Północ – a ono było ponoć jeszcze bardziej niebezpieczne.

Życie ilu osób zamierzała ryzykować, by ocalić jednego człowieka? W którym momencie dobro jej załogi przeważało nad dobrem Charliego?

Możecie sądzić, że niesprawiedliwe jest postawienie przed takim problemem moralnym prostej pomywaczki, ale w tego rodzaju rozumowaniu kryje się pewna arogancja. Pomywaczka umie myśleć, podobnie jak wszyscy inni, a jej życie nie jest wcale mniej skomplikowane. I, jak was ostrzegałem, „prosta” praca fizyczna często pozostawia mnóstwo czasu na myślenie.

Tak, intelektualistom i uczonym płaci się za głębokie myślenie – ale te przemyślenia często należą do innych. Zakrawa na ironię, że społeczeństwo zazwyczaj patrzy z góry na tych, którzy sprzedają swoje ciała, ale nie na tych, którzy wynajmują umysły.

Kiedy Warkocz umieściła w szeregu ostatnią flarę, Huck powiedział:

– Czyli... pewnie teraz będziesz musiała je wypróbować. Jakies pomysły, jak to zrobić?

– Cóż, Dougowie spędzają teraz większość czasu na górnym pokładzie. A w ładowni nie ma towarów.

Huck pokiwał głową, to był najbardziej oczywisty wybór. Umieściła go na ramieniu, po czym zapakowała flary, pistolet i zeszyt do torby. Poszła do Laggarta i wyjaśniła mu, że chce

przyrzeć się, w jaki sposób Ann załatała kadłub poniżej. Wyjaśniła, że może jej to pomóc zrozumieć, jak w przeszłości tworzyć lepsze łąty z rozeitu.

Nie było to szczególnie pomysłowe kłamstwo, ale jeśli Laggart je przejrzał, najpewniej pomyślał, że po prostu usiłuje sobie znaleźć coś do zrobienia, żeby sprawiać wrażenie zajętej. Mistrz artylerii udzielił jej pozwolenia i powiedział, że nie pozwoli, by ktokolwiek jej przeszkadzał. Wymiana zdań była tak względnie uprzejma, że Warkocz przez chwilę zastanawiała się, czy coś z nim było nie tak.

Kiedy schodziła, jeden z Dougów zawołał z olinowania i wskazał na horyzont. Dostrzeżono kolejną linię deszczu. Warkocz przez chwilę nie mogła oddychać, ale deszcz – tym razem – skręcił w bok i wkrótce zniknął.

Warkocz oderwała wzrok i pośpieszyła w dół do ogromnej ładowni statku. Starannie zatrzasnęła klapę na szczycie schodów i rozstawiła trzy lampy oliwne – luksus, którego odmawiano zwykłemu marynarzom. Palenie zbyt wielu rzeczy było mało rozsądne, kiedy żyło się w miejscu, które zasadniczo było ogromnym, suchym, pustym w środku kawałkiem drewna na podpałkę.

Ładownia była w połowie pusta, bo wyrzuciła z siebie towary podczas ostatniego postoju przed Szkarłatnym. Zapasy żywności i wody były widownią Warkocz, kiedy załadowała pistolet najpierw zefirowym zarodnikami, a później flarą. Odwróciła się i wycelowała broń w stronę pustej części ładowni bliżej rufy.

Huck, co dobrze o nim świadczy, nie uciekł, choć nieco skulił się w jej włosach, które ostatnimi czasy coraz rzadziej zaplatała w warkocz – częściej wiązała je w kucyk albo w ogóle zostawiała rozpuszczone. Płaciła za to wieczorami, kiedy musiała je rozczesać, ale czuła się z tym... swobodnie. W domu zawsze zawstydzają ją zachowanie jej włosów. Ale tutaj było dużo więcej pilniejszych spraw, którymi musiała się przejmować.

Warkocz pociągnęła za spust – co sprawiło, że kurek pistoletu uderzył we flarę z wystarczającą siłą, by rozbić malutką szklaną fiolkę w ładunku. Zefirowe zarodniki wybuchły, wypuszczając powietrze o delikatnym niebieskim zabarwieniu. Flara wypadła z przodu pistoletu...

... po czym przeleciała obok stopy i upadła na podłogę, czubkiem do dołu. Warkocz uznała, że powinna użyć odrobinę więcej zefiru.

Niestety dla niej reszta jej pracy była drobiazgową. Zasadniczo pojęła naturę mechanizmów na podstawie rysunku. I dlatego jej projekt zadziałał doskonale. Kiedy flara uderzyła czubkiem w pokład, wstrząs wepchnął srebrny szpic w sferę rozeitu, uwalniając wodę.

Zielone pędy z oszałamiającą prędkością wystrzeliły na zewnątrz, pochwytyły Warkocz i ją otoczyły. Z początku poczuła strach i pewien dyskomfort, kiedy pędy ścisnęły się i podniosły ją na wysokość dobrych dwóch stóp. Ale nic jej nie bolało, a kiedy wszystko się skończyło, była raczej upokorzona niż przestraszona.

– Warkocz! – powiedział Huck. – Och, Warkocz! Wszystko w porządku? – Zbiegł z jej ramienia między pędy.

Poruszyła palcami i zaczęła się śmiać.

Śmiech Warkocz był głupi, połączony z parsknięciami i czkawką. Był to szczery śmiech uzasadniony swoją absurdalną naturą.

W tej właśnie chwili zginęły ostatnie pozostałości strachu Warkocz przed zarodnikami. Popelniła błąd i w przyszłości będzie ostrożniejsza w czasie eksperymentów. Ale tego dnia jej błąd kosztował ją jedynie odrobinę godności – którą wymieniła na przyjemność przekonania się, jak to jest być podporą dla winorośli.

– W mojej torbie – wykrztusiła ze śmiechem. – Przynieś mi srebrny nóż.

Kiedy Huck pobiegł wypełnić jej prośbę, zauważyła, że końcówki pędów nadal rosły. Podobnie jak wcześniej, kiedy o nich pomyślała, zwróciły się w jej stronę. W tym szczególnym przypadku nie chciała, żeby mocniej ją ścisnęły, więc pomyślała o tym, żeby się cofnęły. Co zadziwiające, zrobiły to.

Nie było to doskonale panowanie. Poza tym nie mogła nic poradzić na pędy, które już wyrosły i musiały je odciąć za pomocą noża. Ale zaczęła się zastanawiać, jak daleko sięgnie jej kontrola.

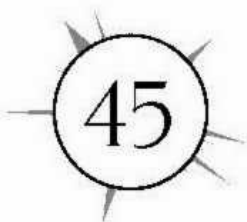
Ostrożnie dodała więcej zefirowych zarodników do każdego z ładunków. Kolejne eksperymenty były mniej zabawne. Wszystkie trzy poleciały tak, jak chciała, choć jedna z flar odbiła się i nie wypuściła zarodników.

Z dwóch pozostałych wystrzeliły pędy w dokładnie taki sposób, jak miała nadzieję. Podczas ostatniego eksperymentu próbowała myśleć o pnączach, kiedy rosły, i życzyć sobie, by niczego się nie chwytaly. Tym razem, zamiast złapać się ściany i żeber statku, pędy wyciągnęły się w jej stronę – a później cała masa spadła na podłogę.

Resztę popołudnia poświęciła na przycinanie pędów i niesienie ich na górę, żeby wyrzucić je przez bulaj. Ukryła wszystko, co mogłoby ją obciążyć, w kajucie z Huckiem – zbeształa się w duchu za to, że wychodząc wcześniej, zapomniała zamknąć drzwi na klucz – po czym pobiegła pomóc Fortowi z kolacją. Była rozproszoną pomocnicą, bo jej umysł krążył gdzie indziej. Dlaczego jedna z jej flar nie wypuściła pędów? Co by się stało, gdyby wystrzeliła niewypał w czasie, gdy stawiała czoło Wronie?

Musiała przeprowadzić więcej prób, zanim doprowadzi do konfrontacji. Ale w końcu miała broń. Niespodziankę.

Wrona szukała kogoś, kto nie bał się zarodników. I kogoś takiego właśnie miała dostać.



Po kolacji kapitan pozwoliła na otwarcie beczułki z czymś odurzającym, co Warkocz uznała za miły gest. Potwierdzało, że kapitan nie była do końca pozbawiona serca. (Oczywiście znaczyło to, że Wrona miała sumienie, ale przez większość czasu je ignorowała. Co było jeszcze gorsze).

Warkocz nie raczyła się trunkiem. Upiła się tylko raz w życiu, dwa lata wcześniej w czasie świątecznego spotkania, kiedy nie wiedziała jeszcze, jakiego kopa daje poncz. Potem bez przerwy bełkotała o swoich ulubionych przepisach. Choć Charlie uznał to za urocze, martwiła się, że tego dnia odrobina alkoholowego smaru mogłaby sprawić, że z jej ust z równą łatwością wyszłyby jej plany.

Przygotowała za to talerz z wieczornym posiłkiem – herbatniki i gęsty mięsny sos z warzywami. Była to właściwie potrawka, którą jadło się palcami, ale przynajmniej dawała złudzenie różnorodności. Ze względu na dostępne składniki nawet kreatywność Warkocz miała swoje granice.

Żałoga i tak była zachwycona. Po miesiącach posiłków, które nieprzyjemnie kojarzyły się z fugą do glazury, człowiek nie narzekał, jeśli smakowite rzeczy trochę się powtarzały. A – choć trudno było w to uwierzyć po tym, jak usłyszało się, na jak różnorodne sposoby Dougowie okaleczali język – żałoga nie była głupia. Widzieli, jak Warkocz pomaga Fortowi. I nagle ich posiłki składały się z jedzenia, a nie czegoś, co jedynie – zgodnie z najbardziej ścisłą definicją tego określenia – nadawało się do spożycia. I dlatego, jeśli wiwatowali, kiedy wychodzili, nie wynikało to jedynie z ich lekkiego upojenia.

Czuła, że nie zasługuje na tę uwagę, szczególnie że to z powodu jej działań znaleźli się wszyscy w takim niebezpieczeństwie. Dlatego pośpieszyła do kajuty Salay z talerzem jedzenia.

Sterniczka nie pojawiła się na kolacji, a Warkocz martwiła się o nią.

Warkocz znalazła właściwe drzwi jedynie dlatego, że był na nich numer – wcześniej nigdy nie była u Salay. Zapukała z wahaniem i wydawało jej się, że usłyszała, jak ktoś po drugiej stronie wydmuchuje nos. Po chwili Salay otworzyła drzwi i choć jej ciemniejsza karnacja ukrywała takie rzeczy jak zaczerwieniony nos i oczy, było oczywiste, że płakała.

– Och, Warkocz. – Głos sterniczki brzmiał równie surowo jak zwykle. – Coś się stało?

– Przyniosłam ci kolację – powiedziała niezręcznie Warkocz.

Nigdy nie widziała Salay w ubraniu innym niż jej marynarski strój, składający się ze sztywnych spodni i płaszcza. Czowała się niewłaściwie, oglądając ją w szlafroku narzuconym na koszulę nocną.

Mimo to kobieta wskazała Warkocz, by weszła do środka i odstawiła talerz na biurko. Dziewczyna wślizgnęła się i z zaskoczeniem stwierdziła, że kajuta jest bardzo mała, o połowę mniejsza od jej własnej kwatery. Jako sterniczka Salay była trzecią najważniejszą osobą na pokładzie. Z pewnością zasługiwała na większą przestrzeń niż ten schowek.

– Doceniam posiłek – powiedziała Salay. – Zmuszenie cię, byś mi go przyniosła, było mało efektywne z mojej strony. Oczywiście nie mogę opisać z sił. Dzisiejszy dzień to potwierdził...

Przecisnęła się obok Warkocz, usiadła przy biurku i wzięła talerz. Dziewczyna zastanawiała się, czy nie powinna wyjść, ale Salay nie przerywała mówienia, więc została.

– Cały czas myślę, że musi istnieć sposób na uniknięcie deszczu – wyjaśniła. W zamyśleniu odsunęła talerz z jedzeniem na bok i wskazała rozwiniętą mapę na biurku. – Ale nie ma w nich żadnego wzorca. Ludzie od stuleci żeglują po morzach i nadal nie ma żadnego znanego bezpiecznego szlaku przez Szkarłatne. Jeśli do tej pory nie został odkryty...

Salay przerwała i spojrzała na Warkocz.

– Ty o nim wiesz, prawda? Znasz sposób, by ochronić załogę? Nie zaprowadziłabyś nas tutaj, gdybyś nie znała metody, prawda?

– Ja... – Warkocz przełknęła ślinę. – Przykro mi, Salay. Z powodu tego, co stało się z Paksonem.

– Moim zadaniem jest robić to, czego kapitan i pierwszy oficer nie mogą. Albo... nie chcą. Ktoś musi troszczyć się o załogę. – Uderzyła pięścią w stół, po czym uniosła dłoń do czoła i wpatrzyła się w mapę.

Warkocz usiadła na wąskiej koi pod ścianą i oparła dłonie na kolanach. Czowała się jak intruz, mimo że kajuta miała wyjątkowo mało osobisty charakter. Trochę map zwiniętych w rulon w koszu pod ścianą. Pod koją uporządkowane skrzynie na różne przedmioty. I portret wiszący nad bulajem, oświetlany migotliwym blaskiem lampy na biurku.

To był rysunek, ci ludzie nie odkryli jeszcze fotografii. Ale był dobry, narysowany szybko, lecz starannie przez ulicznego artystę w stolicy zefirów. Przedstawiał wysokiego, uśmiechniętego mężczyznę i dziewczynkę, która była uderzająco podobna do Salay.

– Twój ojciec? – Warkocz wskazała palcem.

Salay podniosła wzrok i pokiwała głową.

– Obiecałam mu, że spłacę jego wierzycieli. Ale kiedy wróciłam, jego już nie było. Został siłą zwerbowany przez królewskich poborców. Zanim dogoniłam tamten statek, oni zdążyli go

już zostawić w więzieniu dla dłużników w jakimś porcie, ale nie pamiętali w którym.

- To straszne.

- Cały problem polega na tym, że kiedy królewski statek potrzebuje załogi, zawsze mogą wcielić przemocą kogoś z więzienia dla dłużników. I dlatego odnalezienie go okazało się niemożliwe. Musiał skakać między wyspami, wielokrotnie wcielany i porzucany. Ciągłe sobie powtarzam, i obiecuję w listach matce, że nie mogę przestać pływać, to nasza jedyna nadzieja. Odwiedzać nowe porty i pytać. On gdzieś tam jest, Warkocz. Albo... albo zginął w jednym z konfliktów, wcielony do załogi okrętu wojennego. Jeśli tak się stało, to się spóźniłam. Już go zawiodłam, jak zawiodłam Paksona.

- Salay, nie możesz tracić nadziei.

- Czemu nie? - Sterniczka odwróciła się w jej stronę. - Czy to prawda? Czy masz jakiś pomysł, żeby nas stąd wydostać? Czy masz tajemnicę od króla, która pozwoli nam przetrwać na Szkarłatnym? Proszę. Proszę, powiedz mi, że masz plan.

- Ja... - Co mogła powiedzieć? Czy próbowała znów protestować, że nie jest tym, za kogo uważała ją Salay? Teraz, kiedy właśnie kazała kobiecie nie tracić nadziei?

Nadzieja pokładana w kłamstwie - nadzieja pokładana we mnie - nie jest prawdziwą nadzieją, pomyślała Warkocz.

Chyba że mogą coś zrobić. Chyba, że istniał sposób, żeby pomóc. Warkocz przypomniła sobie, jak patrzyła na zbliżające się deszcze, i wiedziała, że w żaden sposób nie może ich powstrzymać. Wiedziała, że jej życie znalazło się teraz na łasce przypadku.

Prawie zaczynała czuć, że panuje nad sytuacją. Jakby sama mogła kształtować swój los. I wtedy nadszedł deszcz, młot zesłany przez księżycy, by napełnić ją pokorą poprzez stanowczy cios w czoło.

Salay się odwróciła.

- To nie w porządku, jeśli poproszę cię, żebyś ich ochroniła, prawda? Nie znam twojej misji, twojej prawdziwej misji. Być może twoim obowiązkiem było po prostu wyprowadzenie nas poza królestwo. Staliśmy się trupiarczami, groźnymi dla wszystkich, którzy stanęli nam na drodze. Nie mogę mieć do ciebie żalu, że posłałaś nas na śmierć, by chronić niewinnych. Pozwoliłam, by do tego doszło. Wtedy też zawiodłam. - Wygładziła krawędzie mapy Szkarłatnego Morza. - Gdybyśmy tylko wiedzieli, dokąd zabiera nas kapitan. Wtedy przynajmniej mogłabym zaplanować, jak długo tu będziemy.

- Och. Salay, ja to wiem.

- Tak?

- Tak. No, pewnie powinnam powiedzieć ci wcześniej. Kapitan zabiera nas na spotkanie ze smokiem.

- Z Xisisem? - Salay znów obróciła się na krześle. - Czy on naprawdę istnieje?

- Ulaam twierdzi, że tak. A kapitan ma książki, wedle których legenda jest prawdą.

- Cóż, Ulaam pewnie to wie. - Salay podrapała się po brodzie. - Ale po co odwiedzać smoka... Och, ona szuka sposobu wyleczenia się ze swojej dolegliwości, prawda? Uznałam, że Wrona jest tak uparta, że przemocą zmusiła zarodniki w swojej krwi, by poddały się jej woli. Przeżyła dłużej, niż powinna jako zarodnikozerca. Ale co zamierza wymienić...

Popatrzyły sobie w oczy.

- Och. - Salay się roześmiała. - Ona myśli, że pozwolisz się prehandlować za jej życie? Ha!

- Tak, no, to bardzo śmieszne.

- Cóż, pewnie to coś, na co mogę czekać. Obserwowanie, jak odkrywa, kim naprawdę jesteś, będzie niezłą rozrywką. Ale powiedz mi. Wiem, że nie możesz potwierdzić swojej prawdziwej misji ani jej zaprzeczyć, ale czy możesz dać mi jakąś wskazówkę, czego się spodziewać, kiedy już zajmiesz się Wroną?

- No tak, będę potrzebowała twojego wsparcia. Jeśli rzeczywiście zajmę się Wroną... jeśli... to nie chciałabym, żeby załoga ją uwolniła. Musiałabym... no... dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość, rozumiesz.

- Oczywiście! - Po raz pierwszy tego dnia na twarzy Salay pojawiła się nadzieja. - Tak, mogę to załatwić. Kiedy już będziemy ją mieli, opuścimy Szkarłatne, tak?

- Tak. Choć... cóż, to trochę niezręczne... ale później mam sprawy do załatwienia z Czarodziejką na Północnym. I miałam nadzieję...

Salay otworzyła szerzej oczy. I znów się roześmiała. Jej śmiech był jak dzwon wzywający marynarzy do broni. Ostry, podekscytowany, a jednocześnie jakimś sposobem opanowany.

- Oczywiście, że tak. Czym ja się martwiłam? Jeśli masz pożegłować na Północne... to cóż, poradzenie sobie ze Szkarłatnym jest niczym dla kogoś takiego jak ty.

Następnie spoważniała.

- Ale czy mogłabyś mi pomóc ochronić załogę? Wiem, że banda piratów jest bezwartościowa dla króla, ale nikt inny się o nich nie zatroszczy. Nawet ich kapitan się nimi nie przejmuję. Proszę, proszę, nie pozwól nam stracić kolejnego przyjaciela.

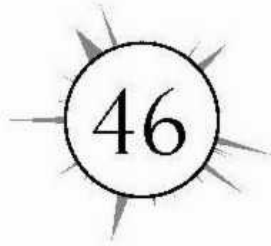
W tej chwili Warkocz czuła się jak coś, co ugotował Fort. Paskudne, zaskorupiałe i ledwie nadające się do wypełnienia swojego podstawowego celu. Skuliła się pod ciężarem nadziei Salay. Co mogła zrobić? Była oszustką. Kłamczynią. I...

Chwileczkę.

Przyszedł jej do głowy bardzo dziwny, bardzo desperacki pomysł. Pewnie nic. Pewnie bezsensowny kaprys.

Co warto zauważyć, dziwna desperacja jest właśnie tym stanem, który często prowadzi do przebłysków geniuszu.

- Bądź gotowa - powiedziała jej Warkocz. - Jest coś, co mogę wypróbować.



Warkocz spędziła kolejne kilka dni w gorączce panicznej pracy i pracowitej paniki. Jej powstający plan był o wiele bardziej niebezpieczny niż praca z flarami. I w tym przypadku nie mogła się oprzeć na diagramach przygotowanych przez kogoś innego.

Spędziła dużą część tego czasu na eksperymentach z zielonymi zarodnikami. Owoce Szmaragdowego Morza, których w młodości nie rozumiała. Nie była w tym sama – nie było też zaskakujące, że im więcej się dowiadywała, tym mniej się bała. Tak to już jest z większością tematów, bo strach i wiedza często grają po przeciwnych stronach boiska.

Istnieją oczywiste wyjątki. Pewni ludzie, podobnie jak pewne kielbaski, pozostają w sprzeczności z tą zasadą. Choć żadna z tych dwóch większych grup nie jest zbiorowo przerażająca, zawierają pewne wyjątkowe jednostki, które absolutnie powinny wzbudzać wasz strach. Im więcej dowiadujecie się o tych jednostkach, tym bardziej powinniście się niepokoić. Jednakże w przypadku ludzi traktowanych jako ogół wiedza zwykle równa się empatii, a empatia prowadzi do zrozumienia.

Warkocz odkryła, że zielony eter jest wręcz rozrywkowy i chętnie reaguje na jej umysłowe polecenia w zamian za wodę. W ciągu kolejnych dni eksperymentów z dużą biegłością rozkazywała pędom rosnać spiralnie, sięgać wysoko, a nawet rosnać powoli – powstrzymując dużą część swojej siły.

Jak zawsze wyczuwała coś poza pędami. Nic tak wyraźnego jak umysł. Wrażenie. Sądziła, że mogło pochodzić od samego księżyca – lub też nieprzerwanie wzrastających macierzystych pnączy, które na nim żyły.

Poza niezbędnymi czynnościami w rodzaju snu Warkocz odrywała się od badań jedynie, kiedy musiała pomagać Fortowi w przygotowywaniu kolacji. Za każdym razem na widok twa-

rzy członków załogi czuła coraz większy niepokój.

Trzy dni po spotkaniu z Salay siedziała w swojej kajucie i zachęcała kilka zielonych pędów, by rosły delikatnie wokół jej palców, nie ściskając ich zbyt mocno. Statek halsował w taki sposób, że przez bulaj widziała zarodnikospad. Z każdym mijającym dniem zarodnikospad stawał się coraz większy i stawało się coraz bardziej oczywiste, że to był cel kapitan. Leże smoka musiało znajdować się w pobliżu. A może w jego wnętrzu.

Na większości mórz nie jest to od razu oczywiste, ale w lunageum spadające zarodniki tworzą stertę – jak piasek na dnie klepsydry. Morze było tak naprawdę górą wielkości królestwa, choć nachylenie było bardzo niewielkie, a wobec tego niemal niedostrzegalne. Ale im bardziej się zbliżali, tym wyżej musieli się wzniesić.

Obecnie przedmioty na biurku Warkocz groziły zsunięciem, a w porównaniu z linią horyzontu wszystko wydawało się przechylone – jakbyśmy patrzyli przez kamerę studenta, który właśnie odkrył kino eksperymentalne.

Na prośbę Warkocz Huck od czasu do czasu wylewał trochę wody na pędy, wykorzystując niedużą łyżeczkę i kubek wody (drewniany, wygładzony przez wiele lat używania) przyklejony woskiem do blatu.

– A gdybym nauczyła się samodzielnie żeglować? – powiedziała Warkocz.

– Całym statkiem? – spytał Huck.

– Może nie tym. Jakimś mniejszym. Z pewnością są żagłówki, którym wystarczy jedna osoba załogi. Mogłabym zabrać jedną z nich na Północne Morze, żeby nie ryzykować życia nikogo innego.

– A jak myślisz, ile czasu zajęłaby ci nauka samodzielnego żeglowania? Szczególnie po tak niebezpiecznych morzach? Mogłabyś poświęcić na to całe lata.

– Może właśnie to muszę zrobić.

– A może musisz pogodzić się z czymś o wiele trudniejszym, Warkocz. Że twój przyjaciel znajduje się poza twoim zasięgiem. Że powinnaś zapomnieć o tej części wyprawy i zatroszczyć się o siebie.

Nie zareagowała, ale złość, którą wzbudziły w niej słowa, objawiła się w postaci pędów zaciskających się na jej palcach – jakby one też były sfrustrowane.

Zmusiła się do rozluźnienia, kiedy Huck wylał kolejną łyżeczkę wody na pędy. Coraz lepiej sobie radził z balansowaniem na tylnych łapach, kiedy jej pomagał – musiał to robić o wiele częściej niż w przeszłości.

– Warkocz, nie podoba mi się, że jesteś smutna, ale naprawdę nie chcę, żeby stała ci się krzywda. To, co zrobiłaś tutaj, na *Pieśni Wrony*, jest niewiarygodne, ale to i tak nic w porównaniu z zagrożeniami, jakim musiałabyś stawić czoło na Północnym Morzu.

– Naprawdę? Nikt tego nie wie. Pytałam Forta, Salay, a nawet Ulaama. Wszyscy mówią mi, że Północne Morze jest niebezpieczne, ale nikt nie umie powiedzieć, dlaczego. Wiedzą jedynie, że „Czarodziejka obserwuje” te zarodniki. Statki, które wpłyną na nie, znikają. Może jest tam coś z potworami? Nikt nie wie tak na pewno.

Huck wylał kolejną porcję wody. Później westchnął cicho.

– Pamiętaj, że w ostatnim porcie wyszedłem na brzeg?

– Jak mogłabym zapomnieć? Jak do tej pory opowiedziałeś mi sześć historii o tej wyprawie.

– Ja... pominąłem najważniejszą.

Warkocz uniosła głowę. Cztery pędy owijające się wokół czubków jej palców uniosły czubki, jak głowy, żeby popatrzeć na Hucka.

– Wyruszyłem na poszukiwanie szczurów – wyjaśnił, odłożył łyżeczkę i załamał łapki. – W dzisiejszych czasach są na większości wysp. Chodzi mi o gadające szczury. Z pewnym wysiłkiem udało mi się znaleźć takiego, który odwiedził wyspę Czarodziejki. Zanim zdążysz spytać, nie znał drogi. Po prostu znalazł się przypadkiem na statku, który ją odwiedził. Ale... opowiedział mi o niebezpieczeństwach, jakie napotkali.

– A ty nie zamierzałeś mi powiedzieć?

Cztery pędy wyrosły w górę gwałtownym, ostrym ruchem, jak kolce.

– Nie chciałem cię zachęcać! Martwię się o ciebie, Warkocz. Ale może, jeśli poznasz niebezpieczeństwa, zrozumiesz, jakie to będzie niebezpieczne.

(Mała uwaga na marginesie: Usłyszenie „Nic ci nie mówiłem dla twojego dobra” jest nie tylko frustrujące, ale też protekcjonalne. To naprawdę oszczędny sposób, żeby kogoś poniżyć – jeśli staracie się wcisnąć więcej obelżywości w swój i tak napięty harmonogram, możecie to wykorzystać).

Warkocz udało się, z wysiłkiem, docenić podejście Hucka. Na szczęście on – jak ta dziewczyna, która spytała wśród nagle zapadłej ciszy, czy ktoś chciałby zobaczyć jej tatuaż – uświadomił sobie, że nie ma już odwrotu.

– Aby dotrzeć do Czarodziejki, trzeba przejść trzy próby – powiedział. – Podejrzewam, że ona lubi teatralność. Tak czy inaczej, pierwsza jest najbardziej oczywista. Musisz przebyć Północne Morze.

– Co możemy zrobić, skoro Hoid wskazał nam, dokąd się mamy udać – zauważyła Warkocz.

– Wiesz, dokąd się udać, owszem, ale, Warkocz, nie rozumiesz? Deszcz pada na Północnym Morzu tak samo jak wszędzie. Czarodziejka znalazła jakiś sposób, by bez ustanku karmić istoty, które wyrastają z zarodników. One krążą po oceanach – potwory północy wielkości stateków. Pamiętasz to coś, co stworzyłaś, by obserwować Wronę? Myślisz, że mogłabyś walczyć z całą setką atakującą statek?

To... rzeczywiście wydawało się onieśmielające. Pędy na palcach Warkocz popęzły w dół i schowały się za jej dłonią.

– Jeśli to przeżyjesz, będziesz musiała stawić czoło strażnikom Czarodziejki: oddziałowi metalowych ludzi, którzy żyją na jej wyspie – mówił dalej Huck. – Są niezniszczalni, odporni na wszelkiego rodzaju broń i nieustępliwi. Łapią każdego, kto postawi stopę na wyspie, a później go więżą. Jeńcy nawet nie mają szansy spotkać się z Czarodziejką, nie myśl więc, że w ten sposób wzbudzisz jej zainteresowanie. Podobno uważa, że każdy, kto jest dość głupi, by dać się złapać strażnikom, nie zasługuje na jej uwagę.

Hm. Świadome pozwolenie, by ją złapali, było jednym z planów rozważanych przez Warkocz.

– A jeśli jakimś cudem uda ci się im uciec, nigdy nie dotrzesz do Czarodziejki. Ona mieszka na wieży z niezniszczalnego metalu. Jest tak śliska, że nie da się po niej wspiąć i nic się do niej

nie przyczepia. Czarodziejka wieczorami staje na szczycie, by obcować z księżycami, ale do środka prowadzą tylko dwie drogi. Przez drzwi zamykane w tajemniczy sposób albo przez niewielkie okno, przez które wlatują i wylatują jej kruki, wypełniające jej polecenia. Warkocz, jeśli spróbujesz dostać się na tę wyspę, zostaniesz pożarty przez potwory Esencji Północy. Jeśli jakimś cudem przeżyjesz i dotrzesz na wyspę, zostaniesz uwięziona na zawsze przez strażników. A nawet jeśli uciekniesz przed nimi, będziesz siedzieć pod wieżą i wrzeszczeć, aż stracisz głos. Nie da się osiągnąć tego, czego pragniesz.

– Hoidowi się udało – sprzeciwiła się. – Widział ją. I Charlie też.

– Charlie został porwany, bo Czarodziejka miała nadzieję, że dostanie za niego okup od króla! Kto wie, co się stało z Hoidem. To mogło być coś podobnego.

Warkocz usiadła, a informacje od Hucka w pewnym stopniu spełniły swój cel. Ukazały, jak trudne jest jej zadanie.

Cóż, nie mogła się na tym skupiać w tej chwili. Miała inne problemy. Nie będzie miała szansy na klątwę Czarodziejki, jeśli najpierw zostanie uwięziona przez smoka. A nie będzie miała szansy na uwięzienie przez smoka, jeśli zabije ją deszcz na Szkarłatnym.

Dlatego Warkocz wróciła do eksperymentów z pędami.



Flara wybuchła u stóp Ulaama. Wijąca się, kłębiąca masa pędów otoczyła chirurga, owinęła go aż po szyję. Próbował się uwolnić, ale jedynym, co udało mu się osiągnąć, było skrzyżowanie między drgawkami a odruchem wymiotnym.

- Co o tym myślisz? - Warkocz pośpieszyła przez ładownię i stanęła obok niego. - Zadziała, żeby pochwycić Wronę?

Ulaam usiłował wzruszyć ramionami.

- Na ile rozumiem jej dolegliwość i moce, to powinno wystarczyć. Jej pędy zatrzymują fizyczne niebezpieczeństwo, ale nie będzie ich obchodziło, czy została unieruchomiona. Ich i jej potrzeby nie pokrywają się do końca, hm? Jak długo ona żyje i dostarcza im wodę, nie obchodzi ich, co się z nią stanie.

- Myślisz, że to przesada? - spytała Warkocz. - Jeśli twoje słowa są prawdą, moglibyśmy zaatakować ją w nocy, w czasie snu.

- Jej pędy z pewnością by na to zareagowały. Zarodniki w jej wnętrzu nie potrafią ocenić twoich zamiarów. Założyłyby najgorsze i cię powstrzymały. Mechanizm, który zaprojektowałeś, jest błyskotliwy dlatego, że nie musisz celować bezpośrednio w kapitan. Pędy oceniają, że spudłujesz, i wobec tego mogą nie zareagować. Kiedy już zostanie owinięta, staraj się nie robić gwałtownych ruchów, a zarodniki powinny być zadowolone.

- Dziękuję. Och! Pozwól, że cię uwolnię. - Warkocz sięgnęła po srebrny nóż.

- Nie ma takiej potrzeby. To całkiem przyjemne. Powiedz mi, skąd wzięłaś te flary?

- Zrobiłam je.

Sięgnęła do torby - która leżała na podłodze ładowni w pobliżu miejsca, gdzie siedziałem ja. Postanowiła zaryzykować i przedstawić szczegóły swojego planu Ulaamowi i mnie.

Ja oczywiście zareagowałem pytaniem, jak jej się podoba moja plereza.

Proszę, nie próbujcie sobie tego wyobrazić. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

- Ty je zrobiłaś? - spytał Ulaam. - Sama?

- Miałam kilka diagramów Weeva, wyjaśniających, jak działają kule armatnie. Pójście dalej nie było takie trudne.

- Zdziwiająca. Młoda damo, naprawdę muszę mieć twój mózg. Naturalnie, kiedy sama już z nim skończysz. Hm?

- Przykro mi, Ulaamie. - Sięgnęła do torby. Gdzie włożyła notatnik? Chciała zapisać, że ten projekt zadziałał lepiej niż poprzedni. Dziesięć strzałów i jak na razie żadnych niewypałów. - Takie rozmowy wciąż wzbudzają we mnie mdłości.

- Obawiam się, że nie masz jeszcze nerwów piratki.

- Wiem.

- Mógłbym ci jakieś wprowadzić. To proces w trzydziestu pięciu procentach wolny od bólu!

- Nie, dziękuję. - Wyciągnęła notatnik i odwróciła się. Podskoczyła, kiedy zobaczyła, że Ulaam stoi obok niej. W miejscu, gdzie stał przed chwilą, leżała sterta pędów.

- Jak? - spytała.

- Strawiłem je - wyjaśnił. - W kilku kluczowych miejscach.

- Strawiłeś? - spytała Warkocz.

- Jest wyjątkowo obrzydliwy! - powiedziałem. - Zazdroszczę mu.

- I powinienes, przyjacielu. Z definicji mogę zrobić wszystko, co potrafi człowiek... i jeszcze więcej. Widzę, że robisz notatki na temat swoich eksperymentów, Warkocz. Interesujące, interesujące. Wiesz, z całą pewnością mógłbym...

- Mój mózg nie jest na sprzedaż.

- Zamierzałem poprosić cię tym razem o ręce. Cóż za doskonały charakter pisma. Ojej.

Ulaam uśmiechnął się, ukazując dosłownie nieludzką liczbę zębów. Mówi, że robi to, bo jego zdaniem wyjątkowo szeroki uśmiech powinien działać wyjątkowo uspokajająco na ludzi. Nigdy nie umiem ocenić, kiedy żartuje.

- Ręce - powiedziała. - Nie na sprzedaż. Ani moje kolana. Ani uszy. Żadne części ciała nie są na sprzedaż, Ulaamie. Nigdy.

- Cóż, to dość zdecydowane. Zrobiłaś się dość stanowcza, hm? Pamiętam, że kiedy się pojawiłaś, odmówiłaś mi z zawstydeniem.

- Wcale się nie zmieniłam. Po prostu jestem bardziej zdesperowana.

- Bardziej zdesperowana niż w czasie tych pierwszych dni na statku?

Zawahała się, wspominając te pierwsze koszmarne dni. Cóż, tak, wtedy też była zdesperowana. Zakładała, że jest tak zdesperowana, jak tylko się da.

Może to było jak podnoszenie ciężarów - jej zdolność do desperacji wzrastała z upływem czasu. I po prostu zaczynało brakować miejsca na inne uczucia, jak zażenowanie.

- Tak czy inaczej, przejdźmy nad tym do porządku - powiedział Ulaam. - Na razie koniec z propozycjami. Twój plan dotyczący kapitan. Jesteś pewna, że inni dołączą do ciebie w czasie buntu?

– Jestem całkiem pewna. Ja... być może sprawiłam, że Salay i inni oficerowie uważają mnie za Królewską Maskę...

– Ojej. Jak to osiągnęłaś?

– Przypadkiem. – Warkocz się skrzywiła. – Jakimś cudem najlepiej kłamie, kiedy mówię prawdę.

– Mądre słowa, mądre słowa – odezwał się. – Ale powiedz mi, słyszałaś mój najnowszy wiersz?

– Wybacz mi, proszę – wtrącił Ulaam. – Na następne dwie minuty odłączę uszy.

– Co takiego? – Niestety, Warkocz była ograniczona swoją anatomią. Nie mogła odłączyć uszu, o ile nie chciała zrobić tego na stałe.

– Raz rolnik jeden cebulkę miał – powiedziałem. – Ale gdzie ją posadzić, nie wiedział. Znalazł miejsce do siedzenia. I dostał ataku wnerwienia. I zmiażdżył cebulkę na miał. Koniec.

O, bogowie.

O, Odpryski wewnątrz.

Czym ja się stałem?

– To... ładne – powiedziała Warkocz. I jak na dziewczynę, która twierdziła, że nie umie kłamać, poszło jej jak po maśle.

Ulaam po chwili wrócił do rzeczywistości.

– Ach! Nie krwawisz z uszu, Warkocz? Zadziwiający. Czy to wszystko, czego ode mnie dziś potrzebujesz?

– Tak sądzę. Ale... jesteś pewien, że nie pomożesz? W naszym buncie?

– Niestety. Mogę zaproponować jedynie pomoc medyczną, jeśli będziecie jej potrzebować. Większa ingerencja byłaby nieestosowna.

– Jeśli wkrótce nie wydostaniemy się ze Szkarłatnego, ten statek może zatonać. To zabije również ciebie.

– Bezpodstawne założenia. – Ulaam podszedł do schodów. – Hoid jest nieśmiertelny, a ja niemal. Choć nie podoba mi się wizja marszu po dnie morza zarodników, żeby dotrzeć w bezpieczne miejsce... szczególnie z nim wlokącym się za mną w jego obecnym stanie... nie wykracza to poza moje możliwości.

Wstałem, żeby pójść za nim, bo część mnie – ta część, która była odrobinę samoświadoma – próbowała zaskoczyć go kiepskimi wierszami.

Zatrzymałem się jednak obok Warkocz, która siedziała teraz z pistoletem sygnałowym na kolanach. I wbijała wzrok w podłogę. Z zewnątrz dochodził nieustanny cichy syk zarodników ocierających się o kadłub. Przypomnienie, że nieuchronnie zbliżamy się do leża smoka.

Kapitan Wrona oceniała, że dzielą nas od niego zaledwie dwa dni.

– Martwię się – powiedziała cicho Warkocz i spojrzała na mnie. – Ja... jestem przerażona.

Położyłem dłoń na jej ramieniu i powstrzymałem się przed zwymiotowaniem kolejnego wiersza. Musiała dostrzec coś w moich oczach, odrobinę przytomności, którą nadal posiadałem.

– Jestem przerażona – powtórzyła. – Nie tylko ze względu na wszystkich pozostałych, choć to czuję. Boję się o siebie i boję się tego, co zrobi mi Wrona. Nie mogę jej pokonać. W głębi

duszy wiem to.

Uniosłem drugą rękę i wyprostowałem jeden palec.

– Masz wszystko, czego potrzebujesz, Warkocz – szepnąłem.

– Pistolet sygnałowy? Ale co, jeśli mi się nie uda?

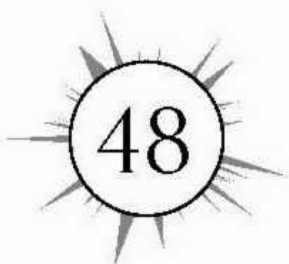
– Masz wszystko, czego potrzebujesz.

Ścisnąłem jej ramię i ruszyłem za Ulaamem. Nagle zwolniłem. Coś było nie w porządku, czyż nie? Poza faktem, że nie wygłaszałem właśnie poematu epickiego na cześć piękna odcisków?

Och. Syczenie na kadłubie ucichło. Kipienie się zatrzymało i statek zwalniał. Cóż, nie ma się czym przejmować. To się działo przez cały czas i nie było niebezpieczne.

Chyba że zbliżał się deszcz.

Możecie się pewnie domyślić, co się stało później.



Mam koszmary. Mój niezwyklej stan istnienia im nie zapobiega, choć nie potrzebuję aż tak wiele snu jak zwykli ludzie.

Moim najgorszym powracającym koszmarem – tym, który chwyta mnie za gardło i potrząsa mną, aż się budzę, ochrypli i gotujący się we własnym pocie – nie jest to, że goni mnie potwór. Nie jest to, że się zgubiłem albo nikt mnie nie kocha.

Nie, moim najgorszym koszmarem jest ten, w którym dowiaduję się, że od lat się powtarzam, opowiadam te same brodate dowcipy, te same historie – energicznie wydeptując ścieżkę wśród cierpliwości i sympatii ludzi, aż w końcu nie przetrwają na niej nawet chwasty.

Powstrzymam się więc od powtórzenia swoich podejrzeń i obaw dotyczących deszczu na Szkarłatnym. Ale jeśli w ogóle istniał dowód na to, że sam Los nie dawał szans *Pieśni Wrony*, to był nim fakt, że w stronę statku kierowała się nie jedna, ale dwie osobne linie deszczu.

Dwie jednocześnie. Ze statkiem unieruchomionym na zboczach ogromnej szkarłatnej góry i dziobem skierowanym w stronę kolumny cząsteczek spływających z wściekłego księżycy.

Kiedy Warkocz dotarła na górny pokład, zobaczyła Salay stojącą na swoim stanowisku na pokładzie rufowym, na wypadek gdyby kipienie znów się zaczęło i miała szansę pokierować ich w stronę bezpieczeństwa. Statek pozostawał zabójczo nieruchomy. Wszystkie jej umiejętności, cała żarliwość nic nie znaczyły, póki statek był uwięziony przez zarodniki. Była bezradna.

Dougowie wykrzykiwali pomysły, kilkoro zaproponowało, żeby pobiec przez zarodniki w stronę bezpieczeństwa. Co było, rzecz jasna, głupotą. Gdyby statek został zniszczony, zginęliby w chwili powrotu kipienia. Owszem, mieli dwie łodzie ratunkowe, ale co to by im dało? Powolną śmierć z odwodnienia. Znajdowali się na Szkarłatnym. Wpływali na nie nieliczni.

I nie bez powodu.

Salay popatrzyła nad Dougami i napotkała spojrzenie Warkocz.

„Nadszedł czas”, powiedziała samym ruchem warg. „Proszę”.

Warkocz złapała chudą kobietę z długim kucykiem.

– Idź do Salay! – krzyknęła do niej. – Powiedz jej, że potrzebuję dwóch bardzo długich lin i beczki wody ze stanowiska obok armaty. Ruszaj! Ruszaj!

Warkocz pobiegła do swojej kajuty, przeciskając się na schodach obok Laggarta. Zawołał za nią, ale nie miała ochoty słuchać. Zostały jej minuty do czasu, kiedy nadejdzie deszcz i ich historia się skończy. Chyba że Warkocz samą siłą woli uda się dodać do niej kolejny rozdział.

Bohaterstwo to wyjątkowa kwestia, często niezrozumiana. Wszyscy myślimy, że je rozumiemy, bo chcemy widzieć w sobie jego zarodek. Tak naprawdę to element tajemnicy.

Gdybyście zebrali razem opowieści o bohaterach – tych, którzy ryzykowali własne życie dla ocalenia innych, tych, którzy stawiali czoło przytłaczającym przeciwnościom, tych, którzy rzucali się prosto w niebezpieczeństwo ze śmiałością mistrza skoków do wody na najwyższej trampolinie – znaleźlibyście wzorce. A dokładniej dwa.

Pierwszym jest to, że bohaterowie mogą zostać wyszkoleni. Nie przez rząd ani wojsko, ale przez siebie samych. Bohaterowie to ci, którzy pomyśleli o tym, co zamierzają zrobić, i którzy to przećwiczyli. Bohaterstwo to często pozornie spontaniczny efekt całego życia spędzonego na przygotowaniach.

Ale jeśli spytacie tych bohaterów, dlaczego ryzykowali życie, nie róbcie tego na podwyższonym przed tłumem, kiedy wręczacie im medal. Bo najprawdopodobniej nie zrobili tego dla ojczyzny. Ani nawet w imię ideałów. Niezależnie od kultury, epoki i ideologii, bohaterowie wojenni konsekwentnie wymieniają tę samą motywację. Zrobili to dla przyjaciół.

W rozgorączkowanej anarchii zniszczenia lojalność, zarówno wobec sprawy, jak i królestwa, zwykle pada ofiarą chaosu. Ale więź między ludźmi, cóż, ona jest silniejsza niż stal. Jeśli chcecie stworzyć bohaterów, nie dawajcie im czegoś, za co mogliby walczyć. Dajcie im kogoś, za kogo mogliby walczyć.

Warkocz przekręciła klucz w zamku w drzwiach swojej kajuty i otworzyła je z trzaskiem, a wtedy Huck pośpiesznie schował się pod łóżkiem. Podbiegła do biurka, gdzie leżała duża kula rozeitu, hodowana i kształtowana przez ostatnie kilka dni. Była wielkości głowy dziecka, pokryta z zewnątrz woskiem i wypełniona ogromnym ładunkiem zielonych zarodników, którym otaczający je rozeit nadawał lekko fioletowy odcień.

Dziewczyna ledwie zauważyła, że najwyraźniej upuściła parę północnych zarodników na biurko, co było dużą nieostrożnością z jej strony. Zabrała rozeitową „kulę armatnią” z biurka i wybiegła na korytarz.

Na pokładzie Dougowie zebrali się wokół Salay. Kapitan Wrona wyszła z kajuty, stała na pokładzie rufowym i popijała z manierki, a otaczała ją aura fatalizmu. Rzecz jasna, miała nadzieję, że tu nie umrze, ale i tak była w stanie terminalnym. Nowa forma zgonu nie robi zbyt wielkiego wrażenia na kimś, kto od ponad roku codziennie stawiał czoło swojej śmiertelności.

Salay precyzyjnie się między Dougami i wskazała sznur i beczkę.

- Mamy to, Warkocz. Co teraz?

- Przywiąż jedną linę do beczki i opuść ją ostrożnie za burtę, na zarodniki. - Warkocz odechnęła głęboko. - Później obwiąż drugą linę mnie i zrób to samo.

Wszyscy w grupie odwrócili się znacząco i zagapili się na nią.

Następnie Salay zaczęła wykrzykiwać rozkazy, a załoga je wypełniła. Ann osobiście zajęła się beczką, a Fort z pomocą kilku Dougów bardzo ostrożnie opuścił Warkocz. Znów poczuła pod stopami ciche skrzypienie zarodników. Będąc tak blisko Szkarłatnego, miała wrażenie, że przypadkiem natrafiła na mityczny ląd, gdzie ziemia jakimś cudem zardzewiała, a niebo kontrastowo miało dziwaczny niebieski odcień.

Kiedy beczka opadła obok niej, rozległ się znajomy chrzęst zarodników na drewnie. Ann pomachała z góry, a spojrzenia dziesiątek oczu podążyły za Warkocz, kiedy odwiązała beczkę i podtoczyła ją do burty.

Następnie drżącymi rękami zdjęła wieko i wpatrzyła się w ciemną wodę. To, co zamierzała zrobić, było sprzeczne ze wszystkim, co zawsze jej powtarzano.

- Deszcz prawie już tu jest, Warkocz! - krzyknęła z góry Salay. - Och, na księżycy. Nadchodzi!

Warkocz słyszała zgrzytanie i trzask szkarłatnych zarodników, które rozrastały się gorączkowo. Jak tysiące wzniesionych włócznie. Drżącą dłonią sięgnęła do kieszeni czerwonego płaszcza i wyjęła kolek okuty na czubku srebrem. Drugą ręką uniosła rozeitową kulę armatnią.

Chwyćcie się, pomyślała. Po prostu się chwyćcie. Nie niszczyć beczki. Wyjdźcie i chwyćcie.

Za pomocą kołka zrobiła otwór na szczycie kuli, odsłaniając znajdujące się wewnątrz zielone zarodniki. Później wrzuciła ją do beczki.

Pędy eksplodowały na zewnątrz, grube jak ramiona, splecione razem. Nieduży ładunek zielonych tworzył dość pnący, by uwięzić człowieka - a ona wcisnęła ich tam o wiele więcej. Macki wyrwały się z beczki i uderzyły o statek. Skwapliwie wypily wodę i rosły dalej, coraz grubsze i silniejsze.

Kłębiąca się, eksplodująca masa popchnęła *Pieśń Wrony*, przechylając statek. Załoga zaczęła krzyczeć. Warkocz początkowo się cofnęła, ale nie. Nie, ona to stworzyła. Nie mogła przed tym uciec. Była tego częścią.

Przycisnęła obie dłonie do wciąż rosnących pędów, czując, jak naprężona zieleń - przypominająca ścięgna - faluje pod jej palcami.

Do góry, pomyślała. Proszę, PROSZĘ.

DO GÓRY.

Statek zakołysał się jeszcze bardziej. Później zaczął się wznosić. Masa zielonych pędów zmieniła ustawienie i podniosła się, jak wielopalczysta dłoń. Pod nieobecność kipienia powierzchnia oceanu była wystarczająco dobrym fundamentem, jak długo pędy - które w całości wypadły z beczki - mogły się rozprzestrzenić.

Ruch do góry pociągnął za sobą Warkocz, która wciąż była obowiązana w pasie sznurem. Poświęciła chwilę na pełną nadziei myśl, że Fort jej nie wypuści, ale większość uwagi skupiała na rosnących pędach. Słyszała bowiem zbliżający się deszcz, ogłaszający swoje nadejście

odgłosem wody uderzającej o coś twardego – kłębowisko szkarłatnych kalców, które stworzył, a później skapał.

Rozmawiałem z wieloma marynarzami i to – na dziesiątkach światów – był ich koszmar. Odgłos deszczu, wycie wichru i objęcia głębi. W świecie Warkocz to nie woda poniżej jest niebezpieczeństwem, ale woda na górze. Jednakże koszmar jest ten sam, zrodzony z pewnością, że właśnie to, po czym żeglujecie, ta sama rzecz, która was unosi i nadaje sens waszemu życiu, pewnego dnia spróbuje was zabić.

Bliźniacze strumienie deszczu przecięły się nad *Pieśnią Wrony*, zmywając z pokładu martwe zarodniki, zalewając marynarzy – od najmniej ważnego chłopca okrętowego po kapitan w kapeluszu z piórkiem. Ożywiony koszmar. Statek samotny pośród sztormu, deszcz dudniący o drewno.

W każdej opowieści, ostrzeżeniu i pieśni, oznaczało to śmierć.

Z wyjątkiem tego dnia. Na tym statku.

Wrona czekała na tę koszmarną chwilę – czekała, aż kolce rozerwą jej statek ze wszystkich stron, przebiją jej załogę, zmiażdżą deski. Tak się nie stało. Czuła jedynie deszcz, uderzający jak tysiące drobniutkich ciosów pięścią. Woda była zimniejsza, niż się spodziewała.

Dougowie tłoczyli się przy burcie. Wrona przycisnęła się między nimi, przeklinając ich. Co się dzieło? Widziała, jak Warkocz znika za burtą, i założyła, że dziewczyna uciekła, choć nie miała pojęcia dokąd. Statek się zakolysał, owszem, ale...

Nie zrozumiała, dopóki nie spojrzała z góry i nie zobaczyła, że pod statkiem wyrosło ogromne drzewo. To było jedyne słowo, które mogło stosownie je opisać – drzewo ze splecionych pędów. Wspierało się na wachlarzu pędów-korzeni, a pędy-gałęzie uczepliły się *Pieśni Wrony*.

Drzewo uniosło statek jakieś czterdzieści stóp w powietrze – ponad gęstwinę kalców, które wyrosły poniżej. Kolce przebiły pień, ale zielone pędy są elastyczne. A poza tym wciąż rosły. Jeśli już, sieć kalców pomogła im się ustabilizować.

Za burtą statku, na linie trzymanej mocno przez Forta, wisiała drżąca, przemoczona dziewczyna z twarzą zasłoniętą mokrymi włosami.

Dopiero wtedy Dougowie zaczęli wiwatować, z niejakim opóźnieniem. Nie mam do nich pretensji o spóźnioną reakcję. Błyskawicznie przeszli od z całą pewnością martwych do bardzo żywych, a tego rodzaju egzystencjalny wstrząs wymaga kilku uderzeń serca – dudniących w uszach i mówiących wam, że tak, to wszystko prawda – by się z niego otrząsnąć.

– Pomóżcie nam ją podnieść, gamonie! – powiedziała Salay i złapała sznur trzymany przez Forta.

Mężczyzna stał, zapierając się jedną nogą o reling, i trzymał linę rękami, które – choć powykręcane – były niewzruszone jak cegły. Jego szybkie myślenie – podciągnięcie Warkocz o kilka stóp w górę, kiedy pędy zaczęły rosnać – ocaliło jej życie. W tej chwili czubki szkarłatnych kalców dotykały jej butów.

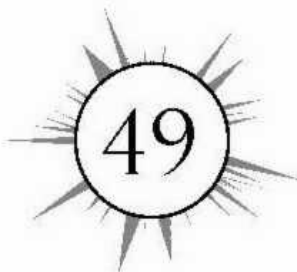
Wszyscy pomogli podnieść Warkocz i bez wątpienia wielu z nich myślało o tym, że zrobili to już wcześniej – przed kilkoma tygodniami, kiedy po raz pierwszy trafiła na statek. Znów zaczęli wiwatować, kiedy Fort przeniósł ją ostrożnie na pokład.

Wrona przyglądała się temu w milczeniu. Nie odważyła się odezwać w obliczu tak zadziwiającego ocalenia. W rzeczy samej, wyglądało na to, że pędy w najmniejszym stopniu nie uszkodziły statku. Za pomocą okutych srebrem siekier Dougowie będą mogli rozluźnić ich uścisk, a później uwolnić jednostkę, kiedy kipienie powróci, a drzewo zatoni. Ćwiczyli to jako sposób na uniknięcie unieruchomienia w czasie bitwy artyleryjskiej.

Dlatego Wrona nie martwiła się o statek. Ani o to, czy dotrze do smoka, bo leże było już bardzo blisko. Powiedziała wszystkim, że ich cel znajduje się w odległości dwóch dni, bo nie chciała, żeby panikowali, myśląc, że zabierze ich do samego zarodnikospadu. To nie będzie konieczne.

Tego dnia strach Wrony miał zupełnie inną naturę – choć spędziła całe życie, wzbudzając strach w załodze, by byli jej posłuszni, wiedziała, że istnieje inne uczucie, które sprawia, że ludzie są jeszcze bardziej lojalni. Niestety, nigdy do końca go nie zrozumiała.

A jeśli Wrona miała jakieś koszmary, to jeden z nich właśnie przed nią stał. W postaci drobnej, trzęsącej się dziewczyny, która jakimś sposobem zyskała miłość, jakiej Wrona nigdy nie zaznała.



Kilka godzin później Warkocz siedziała w kajucie kwatermistrza z Fortem, Salay i Ann – którzy rozmawiali przyciszonymi głosami. Warkocz mówiła niewiele, głównie trzymała kubek (swoj własny, z motylem) z herbatą z osobistych zapasów Forta. Fakt, że nawet nie wspomniał o wymianie, kiedy go jej wręczył, dużo znaczył. Warkocz zrobiła tak wiele dla nich wszystkich i Fort obawiał się, że nigdy nie spłaci tego długu.

I tak zamierzał spróbować.

Musimy działać szybko napisał. Jeśli Warkocz mówi prawdę i kapitan zamierza oddać ją smokowi, nie mamy dużo czasu. Warkocz powiedziała, że od celu dzielą nas zaledwie dwa dni.

– Powiedziała to dziś rano – zgodziła się Ann. – Mogę się tylko domyślać, że przebyliśmy dużą część tego dzisiaj, przed deszczem.

Warkocz powoli piła herbatę. Nie przestawała się trząść i właściwie podobało jej się, że herbata jest bardzo ciepła. Wypędzała zimno z jej duszy.

Na zewnątrz powrócił uspokajający odgłos zarodników ocierających się o drewno. Choć bała się, że jej wyczyn doprowadzi do stałego uszkodzenia statku, załoga sprawnie odrąbała pędy, kiedy powróciło kipienie. Pień został wciągnięty w głębiny przez kolce licznych szkarłatnych eterów, a *Pieśń Wrony* popłynęła spokojnie naprzód.

Czy to było dziwne, że Warkocz poczuła się winna, bo wykorzystała eterowe drzewo, a później je porzuciła? Czy eterom tam na dole było smutno? A tak w ogóle, co się działo z tymi, które zatoneły?

Może, zamiast rozważać takie kwestie, powinna bardziej martwić się nadchodzącym spotkaniem ze smokiem. Czuła się po prostu tak odsłonięta, jak miotła zużyta przez porządną

pracę do ostatnich kilku witek. Po napięciu tego dnia z trudem umiała znaleźć w sobie więcej strachu.

– W takim razie musimy zaatakować – powiedziała Salay od drzwi. – Jutro rano. Zgadzą się?

– Zgoda – powiedziała Ann.

Tak. Fort uniósł tabliczkę. Mając po swojej stronie Królewską Maskę, nie możemy przegrać.

Spojrzeni na Warkocz. Żałowała, że nie może uschnąć pod ich oczekiwaniem. Mogłaby wykorzystać jej łuszczącą się duszę do zaparzenia herbaty.

– Może nie powinniśmy – powiedziała cicho Warkocz.

– Co takiego? – odezwała się Ann. – Dziewczyno, ona zamierza cię przehandlować.

– Nie zamierzam stracić kolejnego członka załogi – dodała Salay.

Fort wpatrywał się w nią z namysłem.

– Załoga cudem przeżyła – powiedziała Warkocz. – Martwię się, co się z wami stanie, jeśli spróbujemy walczyć z Wroną. Ona jest niebezpieczna. Czuję to.

Pozwoliłabyś więc, żeby ona cię przehandlowała? Dobrowolnie?

– Służba u smoka nie jest wyrokiem śmierci. A w każdym razie tak mi się wydaje. I może uda mi się znaleźć sposób, żeby uciec. Albo... albo kupić sobie wolność...

Wiedziała, że to nie ma sensu. Wiele dni gorączkowo próbowała wymyślić broń przeciwko kapitan. Warkocz chciała uciec. I naprawdę, nie powinna się czuć podekscytowana? Optymistyczna? Jej plan ocalenia *Pieśni Wrony* w końcu się powiódł.

Ale kłamstwa mają to do siebie, że rozpuszczają osobę. Im dłużej nimi żyjecie, tym bardziej stajecie się wiadrem zmieszanej farby, dążącej do pospolitego brązu. Od razu uprzedzę: mnie to nigdy nie powstrzymało, ale ja nie jestem kimś takim jak Warkocz.

– Nie możemy przegrać z Wroną, jak długo mamy ciebie, Warkocz – powiedziała Salay. – Jesteś...

– Wcale nie, Salay. – W głosie dziewczyny brzmiało wyczerpanie. – Nie jestem Królewską Maską. Nawet o nich nie wiedziałam, dopóki o nich nie wspomniałaś. – Pokręciła głową. – Proszę, uwierzcie mi.

Oczywiście, że tego nie zrobili. Nudna prawda zawsze z trudem współzawodniczy z ekscytującym kłamstwem.

– Posłuchaj, Warkocz... – zaczęła Ann. – Myślisz, że nasze problemy znikną, kiedy kapitan pogada ze smokiem? Wciąż będzie nami rządziła.

– Będziecie mogli z nią walczyć. Nie będzie miała zarodników, które ją chronią. Jeśli pozwolicie, żeby mnie przehandlowała, będziecie mieli o wiele większą szansę powodzenia.

Fort oparł dłoń na dłoni Warkocz, po czym przechylił swoją tabliczkę w jej stronę.

Musieliśmy z tym żyć. Wrona zmusiła nas do takiego życia. Nie wiedzieliśmy, że zamierza zabijać. Ale jeśli nie rzucimy jej teraz wyzwania, nie będziemy już mogli używać tego usprawiedliwienia. Teraz wiemy, kim ona jest.

Warkocz przeczytała te słowa dwa razy. I... choć jej pierwszym odruchem wciąż był sprzeciw... wzrastało w niej coś innego. Nazwałaby to arogancją i przerażało ją to. Ale arogancja

i poczucie własnej wartości to dwie strony tego samego medalu, który i tak w końcu zgubicie.

Tego dnia spojrziała Fortowi w oczy i pokiwała głową.

- W porządku.

- Bunt - powiedziała Salay. - Jutro rano. Upewnię się, że Dougowie staną po naszej stronie.

- Ja odwrócę uwagę Laggarta - zaproponowała Ann. - Jeśli wystrzelę z armaty, przyjdzie znów mnie zbesztać.

Mam klucz do kajuty kapitan. Ona o tym nie wie. Wejdziemy, kiedy będzie spała, i weźmiemy ją do niewoli. Później popłyniemy na Zielone Morze i oddamy ją urzędnikom króla w zamian za nasze życie.

Warkocz odetchnęła głęboko.

- Pojmanie Wrony nie będzie takie łatwe, Forcie. Zarodniki w jej wnętrzu zareagują na kogoś, kto spróbuje ją związać. Na szczęście wymyśliłam broń, która może zadziałać. To...

Co to było?

- To...

Warkocz zadrżała. Poczuela coś. Znajome swędzenie, charakterystyczne jak zapach chleba jej matki. Bez namysłu sięgnęła w bok, w cienie pod ladą Forta.

Część z tej ciemności stawiała opór jej palcom. W dotyku przypominała buklak napełniony wodą.

Esencja Północy.

Warkocz poczuła kolejny umysł, który nad nią panował, ale był daleko, a ona była blisko. Odruchowo przejęła kontrolę. Natychmiast poczuła suchość w ustach. Zakaszłała i - w panice - jakimś sposobem całkowicie zerwała połączenie. Esencja Północy rozplynęła się w chmurce ciemnego dymu.

Ten drugi umysł.

To była Wrona.

Wrona podsłuchiwała ich poprzez Esencję Północy.

- Och... och, na księżycy - wychrypiała Warkocz. - Wrona wie.

Morderczyni



Dzwon okrętowy zaczął bić, ostro i nieprzerwanie.

- Wszyscy na pokład - powiedziała Ann. - Jak... jak ona mogła wiedzieć, Warkocz?

- Zarodniki - odpowiedziała dziewczyna. - Trudno to wyjaśnić.

Dzwon wciąż dzwonił, a każde uderzenie wydawało się groźbą: Giń. Giń. Giń.

- Co robimy? - spytała Ann. - Ona nas zabije, tak samo jak Weeva.

- Walczymy - stwierdziła Salay. - Mieliliśmy zrobić to jutro. Musimy zacząć wcześniej. Warkocz, powiedziałaś, że masz broń, którą możemy wykorzystać?

Choć Warkocz marzyła jedynie o tym, żeby się położyć, pokiwała głową. Byli teraz zdesperowani. Wstała i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi, zdecydowana pobiec korytarzem do swojej kajuty po pistolet sygnałowy. I zobaczyła pistolet wymierzony w jej czoło.

- Kapitan najbardziej zależy na tym, żeby zobaczyć waszą czwórkę - powiedział Laggart. - Jakże to... dogodne, że znalazłem was wszystkich razem.

Drżenie Warkocz powróciło, a później podwoiło się, jakby chciał nadrobić stracony czas. Patrzyła w lufę pistoletu i poczuła, że znów zrobiło jej się sucho w ustach, z innego powodu. I tak zmusiła się, żeby wykrztusić jakiegokolwiek słowa.

- Nie możesz zrobić mi krzywdy - powiedziała. - Kapitan mnie potrzebuje.

- Obawiam się, że to prawda - odparł Laggart. Po czym opuścił rękę i strzelił Salay w udo.

Ann krzyknęła, a Fort rzucił się do przodu, żeby złapać Laggarta - ale zatrzymał się, kiedy zobaczył wymierzony w siebie drugi pistolet.

- Kapitan nic nie mówiła o tym, żeby przyprowadzić waszą trójkę żywą - powiedział Laggart. - Więc tak, Forcie. Możesz przeczytać wszystko, co powiedziałem. Czy pistolet wyprzedzi się wystarczająco głośno?

Potężny mężczyzna zamarł, ale Ann zignorowała broń, uklękła i chusteczką opatrzyła ranę Salay.

Warkocz czuła się bezradna. Ann skończyła obwiązywanie rany, po czym niepewnie uniosła wzrok. Potrzebowali Ulaama. Krwawiła tak bardzo...

– Na pokład – rozkazał im Laggart, cofnął się i wskazał stopnie.

Kilku Dougów przebiegło obok z otwartymi ustami, ich stopy uderzały o drewno.

– Ona krwawi! – powiedziała Warkocz.

– Nie tak bardzo, jak krwawiłaby z kolejną dziurą w ciele – odparł Laggart. – Na górę.

Fort łagodnie odsunął Ann na bok i unióś Salay, która zarzuciła mu ręce na szyję. Skinėła Warkocz, krzywiąc się z bólu. Ann spiorunowała Laggarta wzrokiem, ręce miała zakrwawione. Mężczyzna jedynie uśmiechnął się i pomachał pistoletem.

Warkocz niechętnie ruszyła przodem i całą piątką wyszli na pokład. Szkarłatny Księżyc wisiał złowrogo na nocnym niebie, a wylewające się z niego zarodniki tworzyły mgiełkę – jak ściana deszczu, którą możecie zobaczyć pod chmurami na innej planecie. Tutaj blask księżycy sprawiał, że migotały jak malutkie kropelki błyszczącej krwi.

Wrona stała na tle księżycy, jej cień przecinał czerwone światło. Dougowie zebrali się po obu stronach pokładu, zostawiając na środku otwartą przestrzeń dla kapitan – i czworga buntowników. Fort odstawił Salay, a ona mocno zaciskała rękę na obwiązanej ranie. Pozostała trójka kulila się wokół niej. Laggart przeszedł za nimi i wspiął się na pokład rufowy, skąd dobrze widział ich wszystkich – i mógł w nich wycelować.

– Więc wasza banda chce odebrać mi mój statek, tak? – powiedziała Wrona. – Zbuntować się przeciwko swoim?

Żadne z czworga nie odpowiedziało.

– Szczerze, nie spodziewałam się, że się na to zdecydujecie, biorąc pod uwagę, że musiałam zmusić was do tego życia.

Machnęła ręką, a jeden z Dougów podbiegł bliżej i postawił na pokładzie między nimi nieduży stolik.

– Jestem pod wrażeniem. – Wrona wysunęła pistolet zza pasa i położyła na stole. Później drugi. I trzeci. – Możecie mnie uznać za... dumnego rodzica. Ale tak się zastanawiam. Ilu na tym statku szczerze szanuje swoją kapitan?

Fort przyglądał się tabliczce. Wystukał z tyłu kilka słów.

Nikt cię nie szanuje, Wrono. Robią, co każesz, bo boją się zarodników w twojej krwi.

– A ja myślałam, że jesteś bystrzejszy, Forcie. Oni nie boją się zarodników. Tylko mnie. Prawda, załogo? – Wrona rozejrzała się po Dougach, z których większość cofnęła się pod jej spojrzeniem. – Ale muszę ci to przyznać, Warkocz. Ja...

– Co takiego przyznać? Jakąś kończyne? – odezwał się z tyłu doktor Ulaam, nadstawiając uszu.

– Zamknij się, Ulaamie – warknęła Wrona, nie odwracając się do niego. Cały czas patrzyła w oczy Warkocz. – Wiedziałam, że będę musiała w końcu zająć się Salay, może Fortem. Ale ty podałaś mi ich wszystkich na talerzu, z dowodem ich zdrady. – Wskazała w stronę stołu. – Cóż,

bierzmy się do roboty. Staromodny pojedynek. Trzy pistolety. Wasza czwórka... cóż, trójka, bo widzę, że Salay boryka się z konsekwencjami swojej arogancji... przeciwko mnie.

- To nie jest uczciwe - sprzeciwiła się Ann. - Twoje zarodniki powstrzymają wszelkie kule, które wystrzelimy w twoją stronę.

- W takim razie nie strzelajcie do mnie. - Wrona wskazała pokład rufowy. - Zabijcie Laggarta, nim zajmę się waszą trójką, a ustąpię z funkcji kapitana.

- Pani kapitan? - Laggart podszedł do relingu.

- Odłóż pistolet, Laggarcie! - krzyknęła Wrona. - I stój tam jak dobry cel.

- Ale... - Urwał, kiedy uświadomił sobie, że tak, była aż tak bezduszna. Powoli odłożył pistolet.

- I jak? - spytała Wrona. - To nie były negocjacje. Nie składam propozycji. To ultimatum.

Fort ruszył się jako pierwszy, skoczył w stronę pistoletów. Wrona kopnięciem wyrwała nogę stolika - rozrzucając pistolety po pokładzie - a później rzuciła się do przodu i wbiła łokieć w twarz Forta. Warkocz nigdy nie słyszała odgłosu, który przypominałby to chrupnięcie. Ostry trzask pękających lasek cynamonu połączony z głuchym łupnięciem rozbijanej piersi mewy.

Dźwięk wstrząsnął nią, sprawił, że przyjęła do wiadomości, co się działo. Wcześniej była oszołomiona, ale teraz skoczyła na pokład, próbując złapać jeden z pistoletów. W chaosie przestała się orientować w sytuacji - choć ja miałem doskonały widok. Wrona przeskoczyła nad trzymającym się za twarz Fortem i uderzyła w dłoń Salay - sterniczka próbowała podczołgać się do jednego z pistoletów.

Wrona złapała broń i od niechcienia wyrzuciła ją za burtę. Obróciła się i wbiła pięść w brzuch Warkocz, wkładając w cios cały swój ciężar i impet. Oddech, zapal i nadzieja dziewczyny zostały z niej gwałtownie wypchnięte, kiedy zwinęła się wokół pięści.

Nie istnieje żaden teoretyczny sposób przygotowania się na cios. Żaden trening konceptualny ani szkolny wykład. Kiedy zostaniecie uderzeni, tak, częściowo wpadacie w panikę. Ale większa część z was jest osłupiała. Umysł nie potrafi zaakceptować, że coś takiego mogło się wydarzyć, bo nic w życiu nie przygotowało go na taką brutalność. Trudno jest przyswoić prawdę, że ktoś rzeczywiście był gotów zrobić wam krzywdę - nawet was zamordować.

To przewaga, jaką ktoś w rodzaju Wrony zawsze ma nad innymi. Jej umysł bez trudu akceptuje te fakty. Będzie ranić i będzie zabijać. Obie te rzeczy sprawiają jej przyjemność.

Uśmiechała się jak szalona, kiedy złapała stół i wbiła go w twarz Forta. Nie połamała się, jak to się czasem dzieje w opowieściach o bójkach w barze. Było to porządne drewno, uderzyło z hukiem w ramiona mężczyzny - którymi osłaniał złamany nos - i obaliło go na ziemię.

Wrona wyrzuciła drugi pistolet za burtę, po czym rozejrzała się za trzecim. Był w rękach Ann, wycelowany w Laggarta.

Kapitan uśmiechnęła się szerzej i zrobiła szeroki gest, jakby chciała powiedzieć „Proszę bardzo”.

Laggart zaczął się cofać.

- Opuść swoje stanowisko, mistrzu artylerii, a sama cię zastrzelę - powiedziała Wrona. - Zastanów się, którą kulę raczej byś zaryzykował.

Pozostał na miejscu. Ręka Ann zaczęła się trząść. Spojrzała na Wronę i zobaczyła kobietę, która nie miała nic do stracenia. W tej właśnie chwili to Ann była bystra, bo rozumiała, że nieważne, co zrobi – czy trafi, czy nie – Wrona nie pozwoli sobie przegrać tej walki. Jeśli będzie musiała, złamie swoje słowo. Co zrobią Dougowie? Powiedzą królewskim szeryfom?

Ale przynajmniej, gdyby zastrzeliła Laggarta, musieliby się martwić jednym wrogiem mniej. Ann wyprostowała rękę, Wycelowała. Strzeliła.

I spudłowała o co najmniej pół długości łodzi.

Wrona zaśmiała się i odepchnęła Ann na bok. Chuda kobieta wróciła z nożem w rękę i śmiercią w oczach.

Kapitan zaśmiała się i wysunęła coś z kieszeni. Krótki pistolet z bardzo szeroką lufą.

Pistolet sygnałowy Warkocz.

Przez łzy w oczach – wciąż była oszołomiona po ciosie – Warkocz zobaczyła, jak kapitan strzela i trafia Ann w pierś. Flara uderzyła z łoskotem, ale ciało złagodziło siłę uderzenia na tyle, że pocisk nie wybuchł. Później jednak spadł na pokład, czubkiem do dołu, i wypuścił pędy, które owinęły się wokół Ann.

– Za oszukiwanie – powiedziała kapitan i schowała pistolet sygnałowy.

Z roztargnieniem wbiła obcas w ranną nogę Salay, aż kobieta krzyknęła z bólu. Na koniec podeszła do Forta – jego twarz była zakrwawiona i wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego.

Kiedy się upewniła, że nie zerwie się do walki, Wrona podeszła do miejsca, gdzie upuścił swoją dziwną magiczną tabliczkę do pisania. Tym razem wbiła obcas w nią, z trzaskiem łamiąc ją na pół.

Fort krzyknął. To był jedyny raz, kiedy słyszałem jego głos, poza śmiechem. Był to żałobny okrzyk pełen pierwotnego ludzkiego smutku. Męczyzna osunął się do przodu, uniósł zakrwawione dłonie do zakrwawionej twarzy i zaczął łkać.

Warkocz w końcu pojęła zamiar Wrony. Zabicie ich czwórki mogłoby doprowadzić do buntu Dougów – zabicie Weeva ją tego nauczyło. Śmierć tworzyła męczenników. Upokorzenie tworzyło służących.

Dougowie spuścili wzrok, kiedy rozejrzała się po pokładzie. Smutek Forta stał się cichy i osobisty. Na statku zapanowała cisza – ale to nie była cisza śnieżnej nocy. To była cisza szpitalnej sali po śmierci ukochanej osoby.

Wrona pokonała czworo najlepszych oficerów na statku i nawet nie potrzebowała swojej dziwnej krwi z zarodnikami. Jak powiedział mi później Ulaam, był zdziwiony, że się nie zamifestowała. Wrona panowała nad swoją chorobą lepiej, niż ktokolwiek z nas sobie uświadamiał. Celowo zatrzymała pędy w środku, by nikt się później nie zastanawiał, czy bez nich jest mniej niebezpieczna.

Po tym dniu nikt już nie sprzeciwiłby się kapitan.

– Mistrzu artylerii – warknęła Wrona. – Rzuć kotwicę.

– Pani kapitan? Przecież słyszałem, że mamy jeszcze płynąć, żeby dotrzeć do leża...

– Dotarliśmy.

– Ale...

– Udzielę ci krótkiej rady, Laggarcie. Jeśli podejrzewasz bunt, zawsze mów ludziom, że rejs skończy się kilka dni później niż w rzeczywistości. Ludzka natura skłania tchórzy do czekania do ostatniej możliwej chwili.

Kotwica opadła przy akompaniamencie grzechotu łańcucha. Wrona nie blefowała – zbliżyliśmy się wystarczająco, choć nie było ściśle określonego miejsca, do którego należało dotrzeć, żeby zwrócić uwagę smoka. Po prostu trzeba było się znaleźć w rejonie, który obserwował. Wrona potwierdziła to, wyrzucając za burtę list w tradycyjnej szklanej szkatułce, zgodnie z instrukcjami z jej książek.

Następnie szarpnięciem podniosła Warkocz i przytrzymała ją, mocno zaciskając rękę na jej ramieniu.

– Ty pójdziesz ze mną cicho i z własnej woli – poleciła Wrona. – Albo wydam Laggartowi rozkaz, by zaczął zabijać twoich przyjaciół. To kolejne ultimatum.

Warkocz pokiwała głową, bo wciąż nie odzyskała oddechu. Jej pierwsza prawdziwa walka i wytrzymała dokładnie jeden cios. Z jej oczu wciąż płynęły łzy, a brzuch bolał. Czuła się bezużyteczna – przynajmniej do chwili, kiedy zobaczyła, jak patrzy na nią Salay.

Wtedy Warkocz poczuła się bezwartościowa.

Salay przyciskała rękę do uda, krew sączyła się przez prowizoryczny opatrunek. Mimo bólu spoglądała błagalnie na Warkocz.

Dziewczyna odwróciła wzrok.

W tej właśnie chwili Salay w końcu zrozumiała. W końcu uwierzyła.

– Nigdy nią nie byłaś, prawda?

– Nie – odszepnęła Warkocz. – Ja... próbowałam wam powiedzieć...

Salay osunęła się na pokład.

Za statkiem zarodniki zaczęły falować, a później stworzyły wir, jakby znikwały w odpływie poniżej. Dougowie i ja podbiegliśmy do burty i patrzyliśmy, jak wśród zarodników pojawia się duży tunel, jego ściany były stabilne mimo trwającego kipienia. Prowadził w ciemność. Xisis dostał wiadomość.

– Przygotujcie szalupę! – krzyknęła Wrona. Kiedy łódka była gotowa i zawisła obok burty, zmusiła Warkocz do wejścia do środka.

Wrona weszła za nią i skinęła na Laggarta, który celował z pistoletu do Ann.

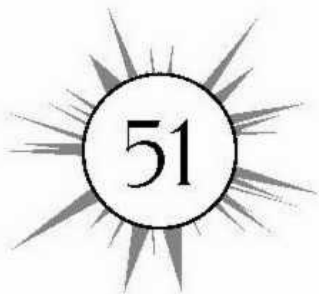
– Jeśli nie wrócimy w ciągu godziny, zabij jedno z nich!

Warkocz osunęła się na ławce. I wtedy poczuła dłoń na ramieniu. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak wychylam się w jej stronę przez reling.

– Wciąż masz wszystko, czego potrzebujesz – szepnąłem.

Cofnąłem się, kiedy kapitan warknęła, a Dougowie opuścili łódkę jak prowizoryczną winde, by znalazła się na poziomie morza.

Wrona popchnęła Warkocz przed sobą. Weszły na dziwnie stabilne zarodniki i ruszyły w dół tunelu.



Morza zarodników są względnie płytkie. W porównaniu na przykład z głębią Śpiewającej Otchłani na Trenie, morza zarodników są właściwie sadzawkami.

Ale kiedy trzeba zejść pieszo na dno – i przez cały czas jest się przytrzymywanym i popychanym przez niecierpliwą piratkę cierpiącą na śmiertelną chorobę – kilkaset jardów może się wydawać o wiele dłuższym dystansem. Mimo wszystko jednak było to lepsze niż tradycyjna metoda dotarcia na dno oceanu.

Wrona niosła latarnię, a przez to, jak światło błyszczało na ścianach szkarłatnego tunelu, wydawało się, że schodzą w dół smoczej gardzieli. Warkocz zastanawiała się, co by się stało, gdyby sztywne ściany wystawiono na kontakt z wodą. Czy wyrosłyby z nich kolce, czy dziwna moc smoka powstrzymałaby eter przed wyrażeniem się? Fakt, że Warkocz przez chwilę rozważała polizanie ściany, żeby sprawdzić efekt, mówi więcej, niż ja bym potrafił wyrazić na temat zmian, jakie w niej zaszły.

W końcu tunel stał się płaski, a później doprowadził do ogromnej komory – również stworzonej w całości z utwardzonych zarodników. Warkocz spodziewała się dotrzeć na dno i odkryć, co się tam znajduje. Kamień, ziemia, a może całe sterty eterowych kolców, które zanurzyły się w głębi po tysiącletnich deszczu? Doszła do wniosku, że będzie miała całe życie na dole, żeby się tego dowiedzieć.

I wtedy właśnie dotarła do niej prawdziwa powaga sytuacji. Miała spędzić na dole resztę życia. Zawiodła Charliego. Co było równie paskudne, i z jakiegoś powodu w tej chwili bardziej przerażające, mogła już nigdy więcej nie zobaczyć księżyców. Perspektywa, że nigdy więcej nie zobaczy nieba, nigdy więcej nie poczuje promieni słońca, nigdy więcej nie zaleje jej blask Zielonego Księżyca... sprawiła, że pod Warkocz ugięły się nogi.

Wrona i tak popchnęła ją do przodu, aż dziewczyna zatoczyła się do ogromnej szkarłatnej komory i osunęła na kolana. Stłumiła uczucia, bo lzy mogły okazać się śmiertelnie niebezpieczne, jeśli te zarodniki wciąż wyrażały etery. Ale nie mogła powstrzymać zwinienia się w kłębek i drżenia. Przez jakiś czas nie zwracała uwagi na przekleństwa Wrony, ani nawet na jej niezbyt delikatnie kopnięcia.

Uginała się pod tym. Ciężar uczuć tego dnia spoczywał na barkach Warkocz, ogromny jak sam ocean. Czy to możliwe, że tego popołudnia czuła się pełna energii, ulgi i triumfu, kiedy wznosiła się w górę wśród deszczu?

Czy dzień może zawierać zbyt wiele chwil? Tak, godziny i minuty tego dnia nie różniły się od wszystkich innych, ale każda z chwil wewnątrz nich była tłusta, jak wypełniony po brzegi bukłak. Warkocz miała wrażenie, że zacznie przeciekać, że zwymiotuje uczuciami wszędzie wokół siebie – nie było dość Warkocz, żeby się w niej pomieścić.

„Wciąż masz wszystko, czego potrzebujesz...”

Miał na myśli pistolet sygnałowy? Wrona miała go przy sobie, prawda? Ale Warkocz nie udało się pokonać kapitan w walce wręcz, miała na to rozstrzygające dowody empiryczne.

– Wstawaj, dziewczyno. – Wrona szarpnęła ją do góry i popchnęła do przodu.

Komora przed nimi wydawała się pusta, poza olbrzymimi kolumnami z zarodników owiniętymi pasmami czarnej tkaniny. W stojących w rogach niedużych piecykach płonął ogień – ukazując duży korytarz prowadzący w prawo – ale nie rozpraszał całkowicie mroku. W rzeczy samej, dominował cień, jakby światła istniały jedynie dzięki jego wyrozumiałości.

– Smoku?! Draku?! – zawołała Wrona, a jej głos odbijał się echem. – Przybyłam, zgodnie z wymaganiami, z odpowiednią ofiarą! Pokaż się!

Słowo „drak” przeniknęło do niemal wszystkich społeczności, które odwiedziłem, ale w przeciwieństwie do imienia „Doug”, nie wynikało to z naturalnych mechanizmów lingwistycznych. Chodziło raczej o to, że smoki dopilnowały, by o nich wiedziano i pamiętano – co często osiągały dzięki interakcji z wyżej wymienionymi społecznościami w początkach ich istnienia.

Niczym dziecko, które uczy się swojego imienia, kultury uczą się czuć respekt i strach wobec smoków. Tak naprawdę to kwestia wygody. Choć większość ludzi w cosmere nigdy nie spotka smoka – nie wspominając już o zobaczeniu jednego z nich w naturalnej formie – smoki lubią kontakty ze śmiertelnikami. Podobnie jak staruszka chowająca kawałek sznurka, którym przewiązano jej paczkę, smoki chcą wiedzieć, że mają pewną liczbę kultur, na które łatwo mogą wywierać wpływ, na przysłowiową czarną godzinę.

Powyższe służy za wyjaśnienie, dlaczego, kiedy Warkocz i Wrona zobaczyły cień poruszający się w dużym korytarzu po prawej, w pewnym sensie wiedziały, czego się spodziewać. Rzeczywiście, istota miała wygiętą szyję, gadzie ciało i dwa ogromne skrzydła, ułożone tak, jakby miały zasłaniać niebo.

Inne szczegóły były niespodziewane. Na przykład srebrzysta grzywa zdobiąca smoczy łeb, przechodząca w brodę wokół szyi i szczęki. Albo metaliczne srebrne fałdy przecinające onyksową skórę smoka i podkreślające jego sylwetkę. Srebro biegło wzdłuż wszystkich sześciu kończyn, po bokach szyi, i tworzyło dwa wypolerowane rogi, którym towarzyszył szereg kolców na grzbiecie – mniej wyrazistych, jak poddani królewskiego majestatu tych rogów.

W domu smoka byli inni śmiertelnicy, ale nie wolno im było pojawić się w holu wejściowym, kiedy przybywali białalnicy. Xisis nie chciał, by jego służących skazyły rzeczy w rodzaju wspomnień świata na zewnątrz. W końcu mieli ważne zadanie do wykonania – słuzenie jemu i jego badaniom skomplikowanego ekosystemu na dnie mórz zarodników.

Powszechnie uważa się, że smoki gromadzą skarby, a ja często się zastanawiałem, czy źródłem tej opowieści jest niezemski metal, który pozostał na ich ciałach. Nigdy nie miałem okazji poznać smoka zainteresowanego bogactwami. Idee z kolei... te rzeczywiście gromadzą i w tym aspekcie są legendarnymi skąpcami.

Pod łapami smoka nie drżała ziemia, mimo jego rozmiarów. (Miał wzrost co najmniej czterech ludzi, stojących jeden na drugim). Wydawało się, że się prześlizguje, kiedy zbliżał się do nich, płynie wokół kolumn, aż zjawił się w cieniach na środku sali. Blask ognia odbijał się od jego smoczkiej stali, sprawiając, że wydawała się płynna, kiedy wznosił się nad kobietami. Warkocz sapnęła – i nawet Wrona skuliła się lekko.

Ponieważ Xisis nadal się nie odzywał, Wrona odnalazła swoją odwagę – która cofnęła się zaledwie o krok albo dwa – i przemówiła.

– Smoku Xisisie, przybyłam, by zawrzeć twój starożytny pakt, zgodnie z obietnicami. – Wskazała na Warkocz. – W tym celu przyprowadziłam ci tu tę niewolnicę, by pracowała w twojej dziedzinie.

Smok pochylił się, jego oddech pachniał palonym hikorowym drewnem, i spojrział na Warkocz. Ona popatrzyła w te oczy, w migotliwym perłowym odcieniu, i pomyślała, że widzi nieskończoność. A później dostrzegła w odbiciu siebie. I Wronę.

„Masz wszystko, czego potrzebujesz...”

Odwaga Warkocz jej nie opuściła, choć została przydeptana przez wszystkie inne emocje. Kiedy zaczęła się przebijać, w umyśle dziewczyny pojawiła się pewna fantazja. Wrona nie miała nic do stracenia... ale Warkocz miała wszystko do stracenia. I w tej chwili postawiła wszystko na desperacki wybieg.

– Smoku Xisisie, przybyłam, by zawrzeć twój starożytny pakt, zgodnie z obietnicami – powiedziała ochryplym głosem. – W tym celu przyprowadziłam ci tu tę niewolnicę, by pracowała w twojej dziedzinie. – I wskazała Wronę.



Co takiego? – spytał smok.

– ...Co takiego! – powiedziała Wrona.

– Ona będzie dobrym niewolnikiem – wyjaśniła Warkocz. – Jest bardzo silna, na dowód mogę ci pokazać siniec na brzuchu. I ani trochę nie boi się zarodników. Tego wieczoru używała północnego eteru.

Wrona złapała Warkocz, jakby chciała przemocą ją uciszyć. Smok przerwał to, bardzo powoli wyciągając przednią łapę do przodu i pozwalając, by pięć srebrnych szponów – z których każdy dorównywał długością nodze Wrony – stuknęło o szkarłatną posadzkę.

– Nie pozwolę, byście zrobili sobie nawzajem krzywdę w moim domu – powiedział głębokim głosem. – Jedna z was zostanie moją służącą, a ja nie lubię uszkodzonej własności.

Wrona spojrzała na swoje odbicie w szponach ze smoczej stali i puściła Warkocz.

– Wielki smoku, ta dziewczyna jest służącą sprowadzoną tu, by być twoją zapłatą – powiedziała. – Ja jestem kapitanem statku!

– Mówisz więc, że jesteś bardziej wartościowym łupem. – Warkocz rozmasowała szyję w miejscu, gdzie Wrona podrapała ją paznokciami.

– Lubię, żeby moi służący mieli pewną określoną wartość. – Głos Xisisa był niski nie w sensie muzycznym, kojarzył się raczej z głęboką wibracją ziemi rezonującej w trakcie trzęsienia.

– Ale wolałbyś też młodą służącą, czyż nie? – Wrona uświadomiła sobie, że będzie musiała się bronić. – Jestem stara, zwapniała, uparta. Ona jest młoda i łatwo ją ukształtować. Dopiero niecały miesiąc temu opuściła swoją wyspę!

Smok usadowił się, zakładając przednie łapy. Ku przerażeniu obu kobiet wydawał się rozbawiony.

- Dalej - zwrócił się do Warkocz. - Masz na to odpowiedź?

- No... wydajesz się kimś, kto ceni wyzwanie. Która z nas będzie bardziej interesująca do wyszkolenia? Dziewczyna, która nie wie nic, czy energiczna kapitan statku, pełna umiejętności, które możesz wykorzystać?

- Wolę nie wkładać zbyt dużego wysiłku w wyszkolenie służących, dziewczyno. Ten argument nie jest w twoim interesie.

- Tak - powiedziała Wrona. - A poza tym ona jest większą ekspertką od zarodników. Konstruuje przemysłne urządzenia. Zaprojektowała rodzaj zielonej bomby, która wzniosła nasz statek ponad morze, by nie zniszczyły nas deszcze! I stworzyła pistolet strzelający zarodnikami. Ta dziewczyna ma niezwykły talent do zarodników. Dobrze ci posłuży.

- Czy to prawda? - Smok zwrócił się do Warkocz. - Czy zrobiłaś te rzeczy?

- Tak - przyznała. - Ale nie jestem bardzo bystra. Wzięłam jedynie kilka projektów, które znalazłam, i je udoskonaliłam.

- I do tego jest skromna - zauważyła Wrona. - Kto chce mieć aroganckich służących?

- Wrona ma doświadczenie w kierowaniu ludźmi, sir - wtrąciła Warkocz. - Byłaby doskonałą nadzorczynią dla twoich służących.

- Ha! - powiedziała Wrona. - Powiedz mu uczciwie, co sądzi o mnie moja załoga! Oni mnie nienawidzą, czyż nie, Warkocz? Przyznaj to.

Smok oparł łeb na łapach, przez co wyglądał niemal jak leżący pies, i uśmiechnął się szeroko na tę wymianę zdań.

- Potężny Xisisie, ta dziewczyna jest ulubienicą mojej załogi - powiedziała Wrona. - W krótkim czasie, który z nami spędziła, zdobyła ich serca. Doskonale gotuje i jest wręcz potwornie bezinteresowna. Kiedy usłyszała, że jej przyjaciele chcą się zbuntować, żeby nie pozwolić mi na przehandlowanie jej, zaproponowała, że pójdzie z własnej woli, by ochronić ich przed niebezpieczeństwem.

- Naprawdę? - Smok zwrócił się do Warkocz.

- Ja... Wielki smoku, Wrona musi zostać twoją służącą. Zarodniki we krwi ją zabijają. Jedynie życie z tobą może ją uzdrowić. Wzięcie jej byłoby wielkodusznym i mądrym posunięciem z twojej strony.

- Ha! - Wrona wymierzyła palec w dziewczynę. - On wie, że poproszę o uzdrowienie w zamian za ciebie! Później będę żyła spokojnie.

- To prawda - powiedział smok. - Dziecko, szybko tracisz przewagę. - Wskazał na Wronę. - Nie widzę powodu, dlaczego chciałbym mieć tego śmiecia w swojej krainie, skoro mógłbym mieć kogoś spokojnego, lubianego i uzdolnionego.

- Szkoda, że nie postarałaś się być bardziej paskudna, dziewczyno - stwierdziła Wrona. - Ostrzegałam cię, że to nie jest życie dla ciebie.

- Ja... - Warkocz odetchnęła głęboko i spojrzała na smoka. - Sądzę, że byłabym bardzo złą służącą, wielki smoku. Bo naprawdę, ale to naprawdę nie chcę nią być.

- A ja to co? - wtrąciła Wrona.

Smok uciszył ją stuknięciem szponu. Spojrzał na Warkocz zmrużonymi opalizującymi oczami.

- Powiedz mi, dlaczego nie chcesz mi służyć? Wbrew temu, co mogłaś usłyszeć, moi służący są dobrze traktowani. Kiedy tu będziesz żyła, nie zaznasz choroby. Zapewnię ci zajmującą pracę, regularne posiłki i książki do czytania w wolnym czasie.

- Ale smoku, sir, jest ktoś, kogo muszę uratować. Mężczyzna, którego kocham, trafił do niewoli. Muszę go uwolnić.

- Nie obchodzą mnie serca śmiertelników. Poza ich smakiem. Masz jeszcze jakiś argument, dlaczego nie powinienem zabrać cię teraz i posłać do pracy w kuchni?

- Ponieważ... ponieważ...

Warkocz, którą była wcześniej, być może zaakceptowałaby swój los. Warkocz, którą była wcześniej, chciałyby go zadowolić. Ta Warkocz nie żyła.

Była teraz Warkocz, którą się stała.

- Bo ja nie zostanę. Niezależnie od tego, co zrobisz. Nie zrezygnuję dla ciebie ze swoich pragnień, smoku.

- Nikt jeszcze nie uciekł z mojej domeny.

- W takim razie ja będę pierwsza. - Warkocz mówiła coraz głośniejszym głosem. - Bo mogę ci to obiecać, wielki smoku. Nigdy nie będziesz mógł mi zafać na tyle, by zostawić mnie samą. Poświęcę wszystko, co mam, każdą myśl, każdą chwilę, każdy oddech, żeby od ciebie uciec! Nie uspokoję się. Nie popadnę w samozadowolenie! Nie utracę zdecydowania! Znajdę sposób, żeby się wydostać. Nawet jeśli będę musiała zaważyć całą twoją jaskinię! Nawet jeśli będę musiała chodzić po zarodnikach! Nawet jeśli zajmie to pięćdziesiąt lat, nie ustąpię. A ty, smoku, będziesz w końcu musiał mnie zabić, żeby mnie powstrzymać. Bo ja dotrę na Północne Morze i znajdę Czarodziejkę, i ocalę mężczyznę, którego kocham!

Jej głos odbijał się echem w wielkiej sali. Smok pozwolił, by głosy ucichły, i obserwował ją starożytnymi oczami.

- Czarodziejka? - spytał. - Zamierzasz rzucić wyzwanie Czarodziejce?

Pokiwała głową.

- W takim razie wzięcie cię teraz do niewoli byłoby aktem miłosierdzia.

- Dokładnie! - powiedziała Wrona. - Tak jak...

- Cicho. - Smok machnął pazurem w jej stronę. Tkanina otaczająca pobliską kolumnę nagle poruszyła się, jakby była żywa. Rzuciła się do przodu, owinęła wokół twarzy Wrony i ją zakneblowała.

Xisis wpatrywał się w Warkocz swymi niepojętymi oczami, w których kłębiły się barwy.

- Wierzę ci - powiedział w końcu. - Jesteś zbyt zdeterminowana, by być użyteczną służącą.

- Dziękuję - powiedziała Warkocz.

Wrona tymczasem zaczęła szarpać za knebel, oczy miała szeroko otwarte. Dziwna czarna tkanina owinęła ją jeszcze bardziej, a później przyciągnęła mocno do kolumny.

- Ona naprawdę jest koszmarna, prawda? - spytał smok.

- Obawiam się, że tak, sir.

- Cóż, przyda mi się ktoś do szorowania podłóg, skoro awansowałem Lili. - Smok przeciągnął się, unosząc grzbiet jak kot... taki, który miał ponad dwadzieścia stóp wysokości i pokrywała go łuska. - Z zasady staram się za bardzo nie wtrącać w działanie społeczności na górze.

Jeśli naprawdę dokonałaś odkryć, o których ona wspomniała, to zabierając cię, zaburzyłbym rozwój technologiczny planety. Uznam to za pretekst, żeby cię wypuścić.

- Pretekst, sir?

- Tak, pretekst. - Smok wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza tego dalej wyjaśniać.

- O jaką zapłatę prosisz?

- Zapłatę? - Warkocz spojrzała na Wronę. - Och! Nie dotarłam tak daleko, sir. I... nie wiem, czy mogę wziąć zapłatę za sprzedanie człowieka...

- Jeśli ona naprawdę jest zarodnikożercą, to uratowałaś jej życie. Mogę uleczyć tę chorobę, owszem, ale nie powiedziałbym jej, że uzdrawianie wystarcza na rok, najwyżej dwa lata. Jeśli mnie opuści, zaraza wróci. Jej jedyną szansą, by przeżyć dłużej, jest pozostanie tutaj.

Warkocz zastanowiła się nad tym i pomyślała, że jeśli kłamał - a uzdrawianie było trwałe - to był doskonały sposób, by się upewnić, że Wrona pozostanie z nim z własnej woli. I dlatego dziewczyna rozsądnie zachowała milczenie w tej kwestii.

- Tak czy inaczej, dobiliśmy targu - powiedział smok. - Muszę ci zapłacić, nawet jeśli sądzę, że wymiana nie jest dużo warta. Poproś więc o łaskę. Pośpiesz się.

- Czy możesz zdjąć klątwę rzuconą przez Czarodziejkę?

- Nie. Ani też nie zrobię niczego, by pomóc ci w misji. Na tej planecie jest dokładnie jedna istota, której się boję... i nie, twój przyjaciel Cephandrius się nie liczy.

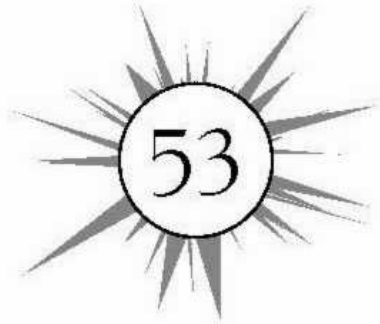
Niegrzeczne.

- Nie wiem, czy czegoś chcę... - Warkocz czuła się wyczerpana. - Moje życie mi wystarczy.

- Zawahała się. - Chyba że...

- Tak?

- Zgodziłbyś się na trzy małe łaski zamiast jednej dużej?



Niedługo potem bardzo zmęczona Warkocz przeszła ostatnie kilka kroków prowadzących z tunelu, a w rękach trzymała trzy owinięte w tkaninę paczuski – jedną większą i dwie mniejsze.

Przywitał ją Laggart, pełniący straż przy relingu. Stali i patrzyli na siebie, kiedy jego mózg próbował nadażyć za oczami, a następnie dogonił je zdyszany zdrowy rozsądek, próbujący rozmasować skurcz w boku. Mężczyzna opuścił broń i cofnął się.

To pozwoliło zbliżyć się tłumowi bardziej przyjaznych twarzy. Wiwatowali, kiedy Warkocz powoli usadowiła się w szalupie. W chwili gdy Dougowie zaczęli wciągać ją na pokład, tunel się zawalił. Na szczycie powitała ją uradowana Ann.

– Jak? – spytała. – Jak?

– Kapitan pewnie powinna mnie była zakneblować. Zapamiętaj, Ann. Jeśli kiedykolwiek będziesz musiała dobić ważnego targu, dopilnuj, by twoja zapłata nie mogła się odezwać w swojej obronie.

Bylibyście zaskoczeni, jak często ta rada okazała się istotna w czasie moich podróży.

– Proszę. – Warkocz podała Ann jedną z małych paczuszek. – Smok nie mógł mi pomóc z moim problemem, więc wzięłam to dla ciebie.

Kobieta przyjęła ją ze zmarszczonym czołem. Ale Warkocz była zbyt zmęczona, by to wyjaśnić. Uświadomiwszy to sobie, załoga rozstała się nieco, pozwalając jej podejść do miejsca, gdzie dr Ulaam zajmował się Fortem i Salay. Opatrzył już ich rany jednym ze swoich fantastycznych balsamów, które nie uzdrawiały od razu, ale przyspieszały proces i sprawiały, że człowiek czuł się znacznie lepiej.

Ulaam opisywał właśnie zalety różnych nosów, które mógłby dostarczyć (zawsze miałem ochotę wypróbować ten, który nie czuł serów), ale Fort oparł się o reling i wpatrywał w przestrzeń, jakby był oszołomiony.

Warkocz uklękała, po czym delikatnie odwinęła większą z dwóch pozostałych paczek. W środku znajdowała się druga tabliczka, podobna do tej zniszczonej przez Wronę. Fort natychmiast się wyprostował. Przeniósł wzrok z dziewczyny na tabliczkę i z powrotem.

A później ją uściskał. Nie potrzebowali żadnych słów. Podeszła do nich Ann, w rękę trzymała parę okularów, które odwinęła z materiału, jeden koniec zwiślał z jej palców, jakby ścisnęła za ogon martwą mysz.

– Smok mówi, że cierpisz na coś o nazwie mikropsja – wyjaśniła Warkocz. – Udzielił mi szczegółowych wyjaśnień technicznych, ale ich nie zrozumiałam. Nie wiem, czy ta choroba mogła sprawić, że jakimś sposobem trafiłaś kogoś stojącego za tobą, ale... cóż, te okulary powinny pomóc.

Warkocz oddała ostatnią paczuszkę – właściwie kopertę – Salay, po czym wstała i podeszła do stopni prowadzących na pokład rufowy. Usadowała się na nich i próbowała wszystko przetrawić.

Inni na jakiś czas zostawili ją w spokoju, więc nikt jej nie przeszkadzał do chwili, gdy przykuśtykała do niej Salay, wspierając się na kulach.

– Chyba nie powinnaś obciążać tej nogi – zauważyła Warkocz.

Sterniczka wzruszyła ramionami i z niejakim trudem usiadła obok Warkocz. W rękę trzymała złożoną kartkę.

– Miasto Filistrat – powiedziała. – Przeszukałam Filistratę.

– Smok mówi, że twój ojciec przybył tam przed sześcioma miesiącami.

– A niech to. Tuż po tym, jak odplynęłam. Wciąż bym prowadziła poszukiwania, nieświadoma, że zostawiłam go za sobą... – Wyciągnęła rękę i objęła Warkocz.

Dziewczyna tego właśnie potrzebowała. Kiedy emocje zaczynają powoli wypływać, najlepiej jest mocno ścisnąć ciało i zmusić je, żeby wyleciały na zewnątrz. To coś jak przebijanie czyraka.

Kiedy ich uczucia zostały starannie przebite, Salay zmusiła się do wstania. Trzymając kulę pod pachą, zasalutowowała.

– Dotarcie do Północnego Morza zajmie nam około tygodnia, pani kapitan. Ale zapasy wytrzymają. W tym ostatnim porcie kupiliśmy ich dużo.

– Salay... to ty powinnaś zostać kapitanem.

– Nie mogę być kapitanem. Moim zadaniem jest upewnić się, że kapitan podejmuje dobre decyzje. Taka jest rola pierwszego oficera.

– Ale...

– Próbujesz podjąć złą decyzję, pani kapitan. Widzisz? Jestem dobra w tym, co robię.

– Północne jest niebezpieczne. Smok nie chciał mi udzielić żadnej pomocy. Nawet on boi się Czarodziejki.

– Cóż, będziemy musieli wymyślić, jak przebyć Północne, jak to zrobiliśmy ze Szkarłatnym, kapitan. Wypływamy teraz czy czekamy do rana?

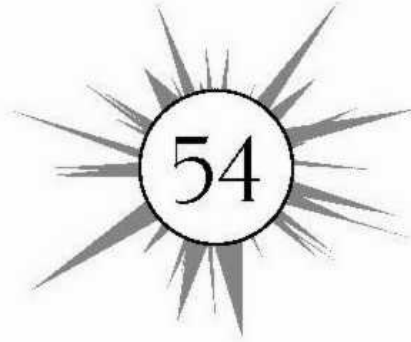
Inne sprzeciwy ucichły, zanim Warkocz zdołała je wypowiedzieć.

Tego właśnie chciała.

- Wypływamy dzisiaj, sterniczko. A jeśli jestem kapitan, to zamierzam zająć łóżko Wrony. Nie budźcie mnie, chyba że pojawi się sam Śmierć, z kolcami zamiast oczu. A nawet wtedy spróbujcie grać na zwłokę.



CZĘŚĆ
SZÓSTA



Ludzie lubią sobie wyobrażać, że czas jest spójny, ciągły, stały. Definiują dzień, tworzą narzędzia, by go zmierzyć, siekają go na godziny, minuty sekundy. Udają, że każda z nich jest równa wszystkim pozostałym – choć w rzeczywistości niektóre są mięsem najwyższej jakości, a inne to same żyły.

Warkocz rozumiała to teraz, bo przeżyła sycący dzień, pełen mięsa i tłuszczu.

Ale następne kilka dni było chudych i zwinnych, i szybko minęły. Choć nie były to przezroczyste dni wakacji, i tak wydawały się efemeryczne – i to mimo narastającego napięcia.

Statek stopniowo zbliżał się do Północnego Morza, z jedną przerwą, kiedy Warkocz musiały ich unieść w czasie bezruchu.

Tym razem deszcz ich ominął, ale nikt z załogi nie narzekał na zamieszanie związane z odrąbywaniem pędów ze statku. Jeśli już, to otarcie się o deszcz przypomniało, że – wedle najlepszej wiedzy – wszyscy powinni być już martwi.

Warkocz czuła impet swojej podróży, widmowy wiatr w żagle. Zachęcający, ale jednocześnie niepowstrzymany. Płynęła na spotkanie Czarodziejki. Być może z tego właśnie powodu dni mijały z taką elastycznością – jeśli pierwsza część jej podróży była naciąganą cięciwą łuku, teraz strzała została już wypuszczona.

Postanowiła również zrzucić odrobinę obciążenia emocjonalnego. Dość miała kłamstw i oszustw. Z otwartością, która – szczerze mówiąc – bywa nieco niedogodna, kiedy próbuje stworzyć się historię, ściągnęła Salay, Ann i Forta – a następnie przedstawiła im Hucka.

Zgodził się na to niechętnie, być może jedynie dlatego, że był tak szczęśliwy, kiedy Warkocz wtoczyła się do kajuty kapitan tamtego pierwszego wieczoru po spotkaniu ze smokiem – i zobaczyła go w niedużej klatce, do której próbował się dostać kot. Mimo wszystko Warkocz

znalazła w sobie dość przestrzeni, by poczuć się winna, że o nim nie pomyślała. Na swoją obronę miała przekonanie, że był bezpieczny w jej kajucie – choć wiedza, że Wrona ją splądrowała, powinna być, jeśli nie sygnałem alarmowym, to choć cichym dzwonkiem ostrzegawczym.

Ale ekscytacja, z jaką słuchał o jej wyczynach, sprawiła, że poczucie winy spłynęło z niej jak brud z okna. A teraz siedział na jej dłoni, przedstawiając się oficerom i wyjaśniając, jak poznał Warkocz. Kiedy to zrobił, oboje czekali na ich reakcję.

Tak bardzo pomogłeś, Hucku! napisał Fort. Na księżycu! Musimy powiedzieć Dougom. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś na ciebie nadepnął! Jesteś bohaterem!

Szczur nadstawił uszu.

– Aha – zgodziła się Ann. – I musimy coś zrobić z tym kotem, on nie może krążyć swobodnie po statku! Zbuduję mu klatkę czy coś w tym rodzaju i będę go trzymać w swojej kajucie aż do najbliższego portu.

Wszyscy odwrócili się do Salay, która bardzo starała się robić wrażenie spokojnej i władczej mimo kuli. Podrapała się po brodzie.

– Szczur w załodze. Powiedz mi... co myślisz o malutkich pirackich kapeluszkach?

Spoiler: okazało się, że całkiem je lubi. Szczerze mówiąc, to było nieco rozpraszające.

Drugą rzeczą, którą zrobiła Warkocz w imię beznadziejnej szczerości, było wyjaśnienie, jakie wyzwania czekają ich na Północnym Morzu. To z kolei doprowadziło do wyjaśnienia, kim jest, dlaczego opuściła dom i co próbuje osiągnąć.

Później Ann oczywiście spytała, co było tak wspaniałego w tym gościu, którego kochała. Warkocz bardzo starała się wyjaśnić, choć była przekonana, że tacy obeznani ze światem ludzie jak oni uznają jej miłość za zwyczajną i niewyszukaną.

Nie doceniła potęgi prostych słów wypowiedzianych z pasją. Później już nikt nie zadawał jej pytań.

I tak oto dni gasły za nią jak zachodzący Szkarłatny Księżyc. A przed nimi nad horyzont wzniósł się księżyc czarny jak obsydian. Nie odbijał światła i bardziej przypominał pustkę niż przedmiot. Tunel do nicości. Kiedy wyłonił się zza horyzontu, Warkocz obawiała się – irracjonalnie – że nie przestanie rosnać, że Północny Księżyc nie będzie rozmiarów pozostałych, ale okaże się ogromną ciemnością, która pochłania całe niebo.

Żeby przed tym uciec, spędzała czas w swojej nowej kajucie. Kapitan miała o wiele więcej przestrzeni, niż wcześniej dostała Warkocz, choć wciąż wykorzystywała starą kajutę do eksperymentów z zarodnikami. Wypełniała kolejne karty notatnika kapitan odrzuconymi pomysłami, jak zapewnić załodze bezpieczeństwo w czasie rejsu przez Północne Morze.

Cały problem polegał na tym, że jej umysł przestał działać właściwie. Choć wcześniej rzucał się na pomysły z drapieżną energią, teraz wydawało się, że został uwięziony w pokoju i bezskutecznie drapie w ściany, a jego wysiłki nie przynoszą żadnych skutków.

Co się stało z jej pomyslowością? Definiującym ją zamyśleniem? Czuła się coraz bardziej sfrustrowana, kiedy kolejne dni jej umykały, nie pozostawiając żadnych postępów poza rozczochranymi włosami i kolejną zabazgraną kartą w notatniku. Co z nią było nie tak?

Nic.

Z Warkocz było wszystko w porządku. Jej umysł działał właściwie. Nie utraciła kreatywności. Nie zabrakło jej pomysłów. Po prostu była zmęczona.

Chcemy sobie wyobrazić, że ludzie są spójni, ciągli, stali. Definiujemy to, kim są, tworzymy opisy, by zamknąć ich na kartce, dzielimy ich pod kątem zamiłowań, talentów, przekonań. A później udajemy, że niektórzy – może większość – są lepsi od nas, bo trzymają się swoich definicji, a my nigdy do końca nie pasujemy do naszej.

W rzeczywistości ludzie są równie płynni jak czas. Dostosowujemy się do naszej sytuacji jak woda w dzbanie o dziwnym kształcie, choć może minąć trochę czasu, zanim wpłyniemy do tych wszystkich drobnych zakamarków. A ponieważ się dostosowujemy, czasami nie zauważamy, jak powykręcany, niewygodny albo wręcz niewłaściwy jest pojemnik, który kazano nam zamieszkiwać.

Możemy tak żyć przez jakiś czas. Możemy udawać, że pasujemy do tego dzbana, z jego wszystkimi niewygodnymi zakamarkami. Ale im dłużej to trwa, tym gorzej się robi. Tym bardziej wyczerpani jesteśmy. Nawet jeśli w ogóle nic nie robimy, bo samo utrzymywanie tego kształtu może wymagać ogromnego wysiłku. A jeszcze większego, jeśli chcemy, by wyglądało naturalnie.

W byciu piratem było sporo rzeczy, które odpowiadały Warkocz. Dużo się nauczyła i rozwinęła – ale wciąż minęło stosunkowo niewiele czasu od dnia, w którym opuściła Skałę. Była zmęczona w sposób, którego nie mogła uleczyć dobrze przespana noc – a nawet dziesięć. Jej umysł nie miał już nic do przekazania. Musiała pozwolić samej sobie na dogonienie osoby, którą się stała.

Od Północnego Morza dzieliły ich zaledwie trzy dni, a ona nie była ani trochę bliżej wymyślenia sposobu, by je przebyć. W efekcie walenia głową w kartkę jedynie rozmazała atrament na czole.

Warkocz ogromnie się bała tego, co miało nadejść. I rzeczywiście, nadeszło, przy akompaniamencie uprzejmego pukania do drzwi. Skinęła na Hucka, który – z jakiegoś dziwnego powodu – uznał, że dziewczyna potrzebuje lokaja. Czy kapitanowie mieli lokajów? Myślała, że oni służą szlachetnym panom, którzy mają tyle par butów, że potrzebują kogoś, kto nad nimi zapanuje.

Huck podbiegł do stolika przy wejściu i zawołał:

– Kapitan zaprasza was do środka!

Warkocz uznała, że mogłaby to zrobić sama. Jeszcze nie przyzwyczała się do drobnych szczegółów związanych z posiadaniem władzy, z czym często wiąże się bycie zbyt ważnym, by postępować rozsądnie.

Do środka weszli Salay, Ann i Fort. Warkocz przygotowała się na ich oskarżenie. Tu i teraz zobaczą prawdę. Że nie ma planu. Że nie nadaje się na kapitana.

Tymczasem jedynym, co zobaczyli, był fakt, że miała bardzo ładny charakter pisma. Nawet odbity na czole.

– Pani kapitan – zaczęła Salay. – Rozmyślaliśmy nad tym rejssem. I zabezpieczenia wokół Czarodziejki wydają się niemal niemożliwe do przebycia.

– Wiem. – Warkocz przygotowała się. – Salay, ja... ja nie...

- I dlatego... - kontynuowała sterniczka, wyciągając plik papierów - ...ciężko pracowaliśmy nad sposobami ich przebycia. Mamy tu kilka całkiem dobrych sugestii, jeśli zechcesz na nie spojrzeć.

Warkocz zamrugła.

Cóż, zasadniczo często mrugała, jak to ludzie mają w zwyczaju. W tym przypadku było to znaczące mrugnienie. Takie, które mówiło: „Chwileczkę. Co ja właściwie usłyszałam?”.

- Macie... sugestie?

- Tutaj. Zajmijmy się nimi - powiedziała Salay, wszyscy troje przyciągnęli sobie krzesła i usiedli obok stołu Warkocz.

Dziewczyna podeszła bliżej i popatrzyła oszołomiona na kobietę, która rozkładała właśnie pierwszy komplet planów.

- To był pomysł Forta - powiedziała. - On powinien wyjaśnić.

Huck mówi napisał na tabliczce że wyspy strzegą ludzie-maszyny, cały legion, którym nie da się w żaden sposób zrobić krzywdy. Zacząłem rozmyślać nad sposobem, jak odwrócić ich uwagę, ale uświadomiłem sobie, że ty już rozwiązałaś problem, Warkocz.

Nowa tabliczka była ulepszoną wersją poprzedniej. Linie tekstu znikają na górze i zastępowały je nowe na dole, więc nie musiał przerywać - mógł wystukiwać słowa na tylnej stronie, dzięki czemu mówił bardziej w czasie rzeczywistym.

I używała różnych czcionek.

- Ja... rozwiązałam problem? - Warkocz przytrzymała krzesło, które Huck próbował popchnąć w jej stronę. Kiedy usiadła, otrzepała łapki, jakby zadowolony z doskonałej pracy, i odszedł policzyć jej buty.

Tak. Dzięki modyfikacjom pistoletu sygnałowego! Już byłaś gotowa stawić czoło komuś, kogo nie możemy zabić. Musimy jedynie rozwinąć to, co wymyśliłaś. Jak sądzę, legion mechanicznych ludzi nam nie zaszkodzi, jeśli będą owinięci pędami. Popatrz, tu masz schemat kuli armatniej wykorzystującej twoje pomysły. Moglibyśmy ściągnąć metalowych ludzi, zbombardować plażę zielenią i związać ich wszystkich. A wtedy ty się prześlizgniesz obok nich!

Wzięła diagram. W kilku miejscach znajdowało się hasło „czary-mary kielkowacza”, więc mężczyzna wyraźnie nie rozumiał niektórych szczegółów tego, co zrobiła. Jednak pomysł był sensowny. A wręcz doskonały. Już mieli kule armatnie wykorzystujące mechanizm czasowy - mogła stworzyć takie, które wybuchały zielenią, zamiast rozchlapywać wodę.

- To genialnie, Forcie! - powiedziała.

Uczciwa wymiana! Postukał w tabliczkę. Kiedy odzyskasz przyjaciela, będziemy kwita. Nie wcześniej.

Nie zwróciła mu uwagi, że pierwotną tabliczkę stracił z jej powodu - więc oddanie jej już było uczciwą wymianą. Była na to zbyt oszołomiona.

Rozwiązali jej problem. Zamiast złościć się na nią, że nie miała rozwiązania, sami je wypracowali. Ona... nie musiała robić tego wszystkiego sama. To nie powinno być dla niej takie objawienie. Ale po tym, jak człowiek spędził całe wieki, chodząc pod ciężarem cegieł, które wszyscy wciskali mu w ręce, może poczuć się wytrącony z równowagi, kiedy ktoś usunie jedną z cegieł, by pomóc mu je przenieść.

- Dziękuję - szepnęła Warkocz, próbując zachować panowanie nad sobą. Nie była pewna, czy kapitanowie powinni płakać przed załogą. Wydawało się, że musiało istnieć jakieś morskie prawo, które tego zakazywało. - Dziękuję bardzo! Długo próbowałam wymyślić sposób, żeby to przeżyć.

Jesteśmy tu dla ciebie. Jesteśmy twoją załogą, Warkocz. Twoimi przyjaciółmi. Pozwól, byśmy ci pomogli.

- Tak, oczywiście - odparła dziewczyna. - Ale... dziękuję.

Popatrzyła na każde z nich po kolei. Uśmiechali się promiennie.

- Próbuję się domyślić, dlaczego na czole masz napisane „Grzecznie poprosić”, Warkocz - odezwała się Ann.

Formalnie rzecz biorąc, masz tam napisane „ćisorpop einzcezrg” dodał Fort.

- W rzeczywistości ani jedno ani drugie - powiedziała Salay. - Bo jest przekreślone. Widzicie?

- Ach tak - zgodziła się Ann. - Tak czy inaczej, możemy mieć rozwiązanie drugiego problemu na wyspie: dostania się do wieży. Tu też dałaś nam wskazówkę.

- Wyhodować drzewo z zielonych pędów? Żeby dotrzeć na szczyt i wejść tamtędy? Myślałam o tym, Ann, ale Czarodziejka z pewnością zamyka te drzwi na klucz.

Ale nie okno. Przez które wypuszcza kruki.

- Stanowczo za małe.

Dla człowieka odpisał.

Wszyscy zwrócili wzrok w stronę Hucka, który stał przed szafą z ubraniami. Kończył liczyć buty należące do Warkocz. Nie było to trudne, bo oba miała w tej chwili na nogach. Dlatego przeszedł do spisywania w myślach listy wszystkich rodzajów, które powinna sobie kupić.

Poczuł spojrzenia. To coś, czego szczury się uczą. Dlatego odwrócił się, czując się jak ostatni kawałek sera, który został w spizarcze.

- Co takiego? - spytał.

- Potrzebujemy kogoś małego - wyjaśniła Salay. - Żeby wkraść się do wieży Czarodziejki przez okno jej kruków.

- To trudne, bo wątpię, by jakiś człowiek się przez nie przecisnął... Och. Szczur. Racja. - Huck załamał łapki.

Musimy to zrobić dla kapitan. I ze względu na dług, jaki wobec niej mamy.

- Huck nie jest moim dłużnikiem - sprzeciwiła się Warkocz. - Gdyby nie ja, nie byłoby go na tym statku.

Co znaczy, że byłby na dnie Zielonego Morza.

Wątpię, by dotarł na dno. Szczury nie mają zbyt wielkiej masy ciała. Z niemal całkowitą pewnością skończyłyby otoczony kulą pędów, dryfując w połowie głębokości oceanu, aż całkiem by się rozłożyły. Ale że nikt z obecnych w kajucie nie znał się na gęstości zarodników i względnej fluidyzowanej lepkości, uznali słowa Forta za prawdę.

- Już dobrze. - Warkocz zwróciła się do Hucka. - Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz. Nie chciałabym cię do niczego zmuszać. Ale... to dobre rozwiązanie. Ty się umiesz skradać, Hucku.

- Ale jak dotrę do okna?
- Na zielonych pędach, którym każę rosnać do góry.
- To nic nie da. Wieżę pokrywa srebro. Nie mówiłem wam o tym?

Nie mówił. I to rzeczywiście był problem. Warkocz usiadła ciężko i spochmurniała. Coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że Huck poczuł ból. Nie mógł znieść tego, jaka ostatnio była ponura. Jak smog nad wyspą, pomyślał. Coś się wyszłiznęło.

- Mogę pomóc ci wejść do środka - powiedział Huck. - Ja... mam sposób, który znają szczury. Gdyby jakimś cudem udało ci się doprowadzić mnie do wieży, mógłbym ją otworzyć. Ale, Warkocz, czy to wszystko nie jest bez znaczenia? Najpierw musimy przebyć Północne Morze. A nie powinniśmy tego robić. Ledwie przetrwaliśmy Szkarłatne!

Niestety miał rację. Warkocz spojrzała na przyjaciół, z nadzieją, że znają szybkie rozwiązanie tego problemu, jak to było z pozostałymi dwoma. Nikt się nie odezwał. Pozostała trójka być może nie była w tym momencie naznaczona, dosłownie i słownie, owocami ich frustracji, ale podobnie jak ona byli w kropce.

Co ciekawe, współpraca ma jedną cechę, która często pozostaje niezrozumiana. Nie zawsze jest tak, że co dwie głowy, to nie jedna (niezależnie od tego, co mógłby powiedzieć dr Ulaam). To zależy od wspomnianych głów.

Jednakże kiedy ktoś próbuje, to sprawia, że inni są bardziej skłonni próbować. A kiedy poczujecie smak niewielkiego sukcesu - nawet z drugiej ręki - może to zadziałać jako umysłowy środek na przeczyszczenie.

Lub też, jeśli wolicie, niewielki sukces jest metaforycznym uderzeniem pięścią w przód umysłowego automatu z przekąskami, który obluzowuje zaklinowane idee.

Warkocz otworzyła szerzej oczy.



Warkocz położyła na stole dokładnie dwa północne zarodniki. Pozostali oficerowie wyraźnie się cofnęli, choć w kajucie kapitan nie było na to zbyt dużo miejsca. Poświęciła chwilę na przygotowanie eksperymentu, co dało Huckowi czas na ucieczkę, bo nie chciał się znaleźć w jednej kajucie z aktywnymi północnymi zarodnikami.

Dziewczyna położyła na stole srebrny nóż, a później wyciągnęła zakraplacz pełen wody.

– Północne zarodniki zachowują się inaczej niż pozostałe. Reakcja wszystkich pozostałych na wodę jest natychmiastowa, niemal chemiczna. Ale te zarodniki, one wydają się wręcz żywe. Jakby czegoś chciały.

– Czego... czego one chcą, pani kapitan? – spytała Ann.

– Wody. – Warkocz pochyliła się nad stołem z zakraplaczem w ręku. – To jak... wymiana. Ja daję im wodę, a one przez jakiś czas są mi posłuszne. – Uniosła zakraplacz, a Salay wbrew sobie westchnęła. – To powinno być bezpieczne. Ale na wypadek gdyby nie było, bądźcie gotowi przeciąć moją więź z zarodnikami tym nożem.

Jak ją przeciąć? Fort pochylił się. Jako jedyny w kajucie nie wyglądał na przerażonego. Coś w tej całej rozmowie (a jeśli słuchaliście uważnie, to wiecie co) go zaintrygowało – przemogło jego naturalny strach.

– Czarne linie. – Warkocz spojrzała na tabliczkę. – Przetnij je nożem. Ale mam nadzieję, że tym razem nie okaże się to konieczne.

Wypuściła jedną kroplę wody. Jak wcześniej, północne zarodniki zapieniły się i połączyły, zmieniając się w coś całkiem przypominającego kołyszającą się krostę. Albo gotowy do pęknięcia czyrak.

Jak wcześniej, Warkocz natychmiast poczuła związek. Szarpanie umysłu. Mogła zainicjować połączenie, mogła zaproponować wodę i stworzyć więź. Ale na razie stawiała opór.

– Coś poczułam – powiedziała Ann. – Jakby szarpało mój mózg!

– Szuka gospodarza – wyjaśniła Warkocz. – Albo... kupca. Potwory, które krążą po Północnym Morzu? Tym właśnie są. Tworami Czarodziejki, związanymi z nią. Zastanawiam się, jak karmi tak wiele...

Bryła ruszyła w stronę Forta, a później przybrała kształt kubka – a dokładniej dużego metalowego kufła, najcięższego i największego w kolekcji Warkocz. Następnie północny kubek wypuścił nóżki i ruszył w stronę Forta. Mężczyzna nieumyślnie się z nim związał, o czym świadczył fakt, że nagle uniósł dłoń do ust – w których nieuchronnie poczuł suchość. Między nim a kubkiem pojawiła się niewielka czarna linia.

Warkocz przejęła kontrolę.

Kiedy kapitan Wrona używała północnych zarodników, Warkocz udało się przejąć kontrolę nad stworem i przy okazji go zniszczyć. Tym razem było o wiele łatwiej. Naparła umysłem na zarodniki i zaproponowała wodę. Więcej wody. Łąpówkę.

Stwór natychmiast ruszył do niej i pozwolił jej sobie przejąć. Znajdowała się bliżej, co zdaniem Warkocz było kluczem. Przejęła całkowitą kontrolę, po czym zerwała więź zanim zdążyła zostać wciągnięta w oczy istoty i doświadczyć życia jako północny kubek.

Istota rozpadła się i wyparowała, zostawiając po sobie dym, a później nic.

Fort sapnął i napił się wody z czerwonego ceramicznego kubka, który podała mu Warkocz.

– Co się stało? – Salay podeszła bliżej.

– Przejęłam kontrolę nad tym stworem. Przekupiłam go swoją wodą, zaproponowałam mu wymianę, swobodniejszą niż gdyby chciał czerpać z niechętnego obiektu. Kiedy przyjął, przejęłam kontrolę i go odesłałam.

– I... i myślisz, że uda ci się to zrobić z tymi strzegącymi Północnego Morza? – spytała Ann.

– Dowiemy się. – Warkocz wstała. – Tak długo, aż...

Rozległo się walenie w drzwi. Warkocz zawahała się, po czym pokiwała głową. Ann podeszła, żeby je otworzyć, a za nimi ujrzeli Laggarta.

Do diabła. Zapomniałem powiedzieć wam o Laggarcie. Warkocz pozwoliła mu zostać na *Pieśni Wrony*. Słusznie doszła do wniosku, że pod nieobecność Wrony, której starał się zaimponować, nie spróbuje zrobić niczego zabawnego.

(Nie żeby mu się to udało, pamiętajcie. Laggart był dla czegoś zabawnego tym, czym ciekły azot jest dla zdrowych płuc).

Ostatnie kilka dni spędził, chodząc po pokładzie. Zawzięty. Zdezorientowany. Niepewny.

– Muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy, pani kapitan – powiedział.

Warkocz nie była pewna jego zamiarów, więc oparła dłoń na pistolecie sygnałowym. Ale skinęła na pozostałych, wskazując, że powinni wyjść. Zrobili to i zamknęli drzwi, kiedy Laggart wszedł do środka.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem. Później Laggart wyprostował się – wyglądając przy tym jak sęp, który po porannym goleniu zapomniał założyć pióra – i spojrzął Warkocz w oczy.

- Żądam, żebyś mnie zastrzeliła.

- Zastrzeliła cię?

- Za to, co ci zrobiłem!

- Mówiłam ci, że już zostało ci to wybaczone.

- Wiem! - Zaczął krążyć po kajucie. - Pani kapitan, nie zniosę tych kłamstw. Wiem, co tak naprawdę robisz. Wiem, że czekasz, aż się uspokoję i poczuję się swobodnie, a wtedy wyrzucisz mnie za burtę. To okrutne, zwlekać z zabiciem człowieka, aż będzie pewien, że tak się nie stanie. Uważałem cię za kogoś lepszego.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Żądam, żebyś mnie zastrzeliła. Miej to z głowy. Bądź bezpośrednia. Zastrzel mnie.

Warkocz westchnęła i rozmasowała czoło.

- Laggarcie, nie zamierzam cię zastrzelić.

- Ale...

- Posłuchaj, jestem zbyt zmęczona, by udawać, że rozumiem, co w tej chwili wyprawia twój umysł. Nie zamierzam cię zastrzelić, ale jeśli nalegasz, mogę cię wrzucić do paki albo coś w tym rodzaju.

Ożywił się i wyciągnął szyję.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Zrobiłabyś to dla mnie? Uwięziła mnie, zamiast mnie zabić?

- Laggarcie, nie zamierzam cię zabić. Nigdy nie zamierzałam cię zabić. Nie zabiłam nawet Wrony.

Przeżuł to. I jeszcze trochę. I jeszcze odrobinę. To były bardzo żyłaste słowa.

Laggart nie był bystrym człowiekiem. Owszem, rzeczy, na temat których prawili ludziom kazania, wypełniłyby słownik - ale to, co naprawdę wiedział, ledwie zajęłoby pocztówkę. Skoro jednak o tym mowa, nie był też idiotą. Znajdował się gdzieś pomiędzy bystrym a głupim, usadowiony na samym szczycie krzywej dzwonowej, i przekonany, że to właściwe miejsce, bo najwyższej musi oznaczać najlepiej.

W tej właśnie chwili zrozumiał.

Warkocz była gotowa wrzucić go do paki. Ale... nie zamierzała go zastrzelić.

Nie zamierzała wyrzucić go za burtę. Nie oszukiwała go. Była uczciwa.

Była wobec niego życzliwa.

To była najtrudniejsza koncepcja, jaką kiedykolwiek musiał przelknąć. Widzicie, Laggart nie zaznał w życiu dużo życzliwości, a jest bardzo smutną prawdą, że ludzie często żyją zgodnie z tym, co znają. Nie uważał się za podłego ani bezdusznego. Sądził, że sposób, w jaki się zachowuje, jest normalny, bo tak właśnie zawsze go traktowano. W kraju, w którym wszyscy krzyczą, każdy jest też trochę głuchy.

Trzeba tu zauważyć, że istnieją też ludzie, którym udaje się wyrwać z tego błędnego koła okrucieństwa. Kiedy ich spotkacie, zatroszczcie się o nich. Bo niestety, wielu żyje tak jak Laggart, nigdy nie uświadamiając sobie, jacy są. Aż być może doświadczą chwili takiej jak ta,

która wydarzyła się na tym statku. Gdzie Warkocz okazała czystą życzliwość, wybacząc mu jego czyny.

Tak, nie był już zdezorientowany. Za to był przerażony. Bo w końcu, po długim czasie, uświadomił sobie, że istnieją ludzie, którzy czują to, co mówią.

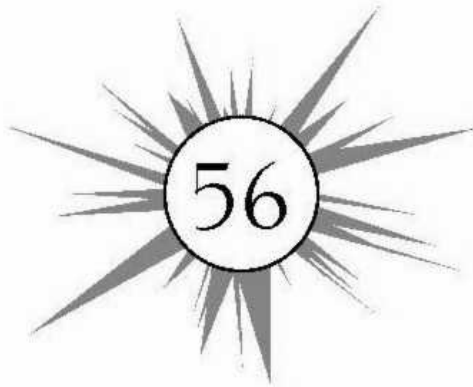
Na świecie żyli szczerzy ludzie. Dla zdeterminowanego hipokryty takiego jak on to zmieniło wszystko. Zatoczył się do drzwi, otworzył je pchnięciem i uciekł.

Warkocz z kolei patrzyła na niego z przechyloną głową. Pozostając w błogiej nieświadomości tego, co działo się w sercu mężczyzny. Nie zażądała, by wrzucono go do paki. Jeśli nie naciskała, ona też nie zamierzała. Miał tego starannie schowała pudełko z północnymi zarodnikami.

I, szczerze, czuła narastające uniesienie. Miała pomysł, jak sobie poradzić z potworami. Gdyby udało jej się je pokonać, przebyłaby ostatnią przeszkodę dzielącą ją od Czarodziejki.

Była blisko. Naprawdę blisko. Miała ochotę świętować.

Trwało to mniej więcej tyle czasu, ile zajęło jej dowiedzenie się, czym przez te ostatnie kilka dni zajmowałem się ja.



Opuszczając kajutę, Warkocz spodziewała się swego rodzaju rezonansu od oficerów. Czuli entuzjazm, ulgę, ekscytację. Mieli odpowiedź na każdy z problemów, którym musieli stawić czoło, by dotrzeć do Czarodziejki. Pozostali oficerowie, rzecz jasna, powinni odwzajemniać te uczucia w harmonii z jej własnymi, tworząc muzykę wspólnego sukcesu.

Była więc zdezorientowana, kiedy zobaczyła Salay biegnącą w jej stronę z zaniepokojoną miną. Najwyraźniej leczenie dr. Ulaama skończyło się, ale Warkocz miała nadzieję, że stercnicze nie wyrosły dodatkowe palce u stóp.

– Co się stało? – Warkocz znów poczuła przerażenie. – Co się dzieje?

Salay zaprowadziła ją do ładowni, gdzie siedziałem zakuty w łańcuchy i wesoło rozmyślałem o doskonałych pomysłach na rozpoczęcie rozmowy, takich jak polityka, religia i otwarcie rasistowskie poglądy wujka. Prowadziłem swoje tandetne rozważania pośród resztek zapasów żywności statku. Była to teraz niepokojąco niewielka ilość, bo ochoczo wyrzuciłem resztę zapasów za burtę.

– Złapaliśmy go z trzema dzbankami wody – wyjaśniła Salay. – Był gotów wyrzucić je przez tylny bulaj na środkowym pokładzie... przez który najwyraźniej od wielu dni wyrzucał nasze zapasy żywności.

Warkocz jęknęła.

– Ile nam zostało?

– Mnóstwo wody – stwierdziła Salay. – Ale mniej niż połowa żywności. Powinno wystarczyć, żebyśmy dotarli na Zielone Morze, jeśli od razu wypłyniemy. I, pani kapitan... na Szkarłatnym tylko dwa razy widzieliśmy ptaki, a na Północnym w ogóle ich nie ma. Nie możemy tam polować.

Popatrzeli na mnie.

– Musiałem wyrzucić dzbany, bo jedzenie czuje się samotne na dnie morza – wyjaśniłem. – A poza tym, Warkocz, co sądzi twój wuj o mewach zabierających mu miejsca pracy i/lub kanapki?

Warkocz popatrzyła na zebranych oficerów, a później wszyscy spojrzeli na Ulaama, spodziewając się, że będzie znał odpowiedź. Bezmyślnie założyli, że umiał pojąć skomplikowaną siatkę motywacji, lojalności i historycznych porażek, która tworzyła podlegającą bezustannym zmianom pajęczynę mojej psychiki.

– On jest obecnie stanowczo za głupi, żeby samemu to wymyślić. Widzicie, że te, które miał wyrzucić, są oznaczone kredą?

Cóż, no dobrze. Punkt dla Ulaama, tak sądzę.

– Szczur powiedział, że moja misja jest absolutnie kluczowa – powiedziałem im. – Jest również tajemnicą. Proszę więc, nie mówcie War-kocz.

Po chwili Warkocz podeszła do Hucka w jego kajucie – swojej starej, którą mu oddała. Jego własna prywatna kajuta. Tak, nie było w niej srebra, ale większość szczurów nigdy nie miała czegoś takiego. Siedział tam i przygotowywał listę wszystkich kapeluszy, które do niej należały. Znajdował się na niej tylko jeden element, ale on był typem szczurzego lokaja optymisty. Co więcej, był tak zdenerwowany, że potrzebował czegoś dla zabicia czasu.

Popatrzył na nią.

– Czy próba z północnymi zarodnikami się powiodła? – Upuścił ołówek i podbiegł bliżej. – Wróciłbym, żeby ją obejrzeć. Powinienem to zrobić. Ale... to nie jest coś, co musi robić lokaj? Przebywać w pobliżu północnych zarodników? Na ich widok robi mi się zimno, Warkocz.

– Ja... – Nie wiedziała, co powiedzieć. Ta przypadłość nigdy mnie nie dotyczyła, ale słyszałem, że potrafi bardzo osłabić.

– Warkocz? Czuję, że powinnaś być podekscytowana. Może nawet pełna entuzjazmu. Z pewnością pełna ulgi. A jednak...

– Odkryłam, że nasze zapasy żywności są przerażająco małe. Jakimś sposobem straciliśmy rachubę tego, ile mieliśmy. Wydaje się... że mamy ledwie dość, by dotrzeć na Zielone Morze, jeśli teraz zawrócimy.

– Och! Tak, to koszmarnie wieści, ale pewnie ze względu na to wszystko, co się działo, nie jest zbyt zaskakujące, że coś takiego zostało przegapione! Musimy popłynąć na Zielone Morze, uzupełnić zapasy, a później... – Urwał, napotykJąc jej spojrzenie. Skulił się. – Hoid się wygadał, prawda?

– Doskonale umiesz interpretować ludzkie uczucia – zauważyła. – Jak na szczura.

– Cóż, uczucia to uczucia. Niezależnie od gatunku. Strach, niepokój, lęk.

– Zawód? Czy to uczucie jest takie samo dla ludzi i szczurów?

– Na ile umiem to ocenić. – Jego głos był teraz bardzo cichy. – Przepraszam, Warkocz. Nie mogę pozwolić, byś stawiała czoło Czarodziejce. Nie mogę. Dla twojego własnego dobra, rozumiesz?

Ach, te słowa.

Słyszałem te słowa. Wypowiadałem te słowa. Słowa, które głoszą, z beczelną arogancją „Nie wierzę, że podejmiesz właściwe decyzje”. Udajemy, że te słowa złagodzą cios, a tymczasem jeszcze dokładają protekcyjności do już istniejącego bólu. Jak ziemia rzucana na trupa.

O tak. Wypowiedziałem te słowa. W rzeczy samej, wypowiedziałem je z szesnaściorgiem innych ludzi.

– To boli, że mi nie ufasz, Hucku. Ale wiedz, że bardziej boli mnie to, że nie mogę teraz zaufać tobie.

– Rozumiem. Zaslugujesz na coś lepszego.

Znalazła mu klatkę. Wydawało się stosowne, że znów go w niej umieściła, a Wrona miała ich kilka, w rozmiarach odpowiednich do trzymania ptaków pocztowych.

Pozostawienie Hucka w środku, przyciśniętego do klatki i niepatrzącego jej w oczy, zła-mało serce Warkocz. Ale musiała chronić załogę i nie mogła ryzykować, że Huck zrobi coś bardziej drastycznego, by ich powstrzymać. I tak z trudem panowała nad frustracją. Byli tak blisko. A teraz musieli pożeglować z powrotem przez całe Szkarłatne i kupić nowe zapasy.

Na księżycy... czy mogli sobie na nie pozwolić? Jak miała zapłacić załozde? Czy pozostaną dalej piratami? A jeśli znajdzie Charliego, to co wtedy? Rozpuścić załogę? Oddać statek Salay i wrócić do domu? Skupienie na dotarciu do Czarodziejki pozwalało jej do tej pory zwlekać z odpowiedzią na te pytania. Wyplata nie wydawała się pilna, kiedy się spodziewała, że w kolejnym tygodniu zostanie złapana i zmieniona w marmozetę.

Takie myśli ciążyły jej, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła na zewnątrz gromadę Dougów.

Warkocz zdążyła poznać ich już wszystkich osobiście. Ta z przodu, mnąca czapkę w dłoniach, była dobroduszną kobietą, która kiedyś wyjaśniła, że jej zdaniem ptaki to dusze zmarłych, strzegące marynarzy. Warkocz poczuła się niezręcznie, bo tego wieczoru podawała paszteciki z gołębia, ale kobieta jedynie się roześmiała i stwierdziła, że to jeden ze sposobów, w jaki pomagają.

Wszyscy mieli takie dziwactwa. Osobowości, marzenia, życie. Istoty ludzkie są jak linie brzegowe kontynentów. Im bliżej się przyglądamy, tym więcej szczegółów widzicie, właściwie do nieskończoności. Gdybym nie praktykował narracyjnej selekcji, siedzielibyście tu przez cały tydzień, słuchając, jak jedna Doug raz się tak upiła, że została królową.

Tego dnia, na szczęście dla nas, działali wspólnie – i w służbie opowieści. Ponieważ mieli coś do powiedzenia Warkocz.

– Płynmy dalej, pani kapitan – powiedziała Doug na przedzie. – Jeśli nie macie nic przeciwko. Żeglujmy dalej i ocalmy tego waszego mężczyznę.

– Ale żywność... – powiedziała Warkocz.

– Z całym szacunkiem, pani kapitan, ale możemy przez jakiś czas jeść zielone – odezwał się inny Doug.

– Zgoda – powiedziała inna. – Jeśli to wam pomoże, możemy przez kilka tygodni jeść ziel-sko.

– Chwileczkę. Można jeść zielone pędy? – spytała Warkocz.

Dougowie byli wstrząśnięci, że o tym nie wiedziała. Wy być może też, bo sprytnie zasugerowałem to wcześniej w historii. Ale w czasie tamtej rozmowy Warkocz była rozproszona i nie

dotarło to do niej. Poza tym nieliczni ludzie dorastający na wyspach musieli wiedzieć, że pędy są zasadniczo jadalne. Bo na wyspach była o wiele lepsza żywność, którą można było uprawiać w mniej ryzykowny sposób, jeśli tylko miało się dostęp do gleby lub kompostowników.

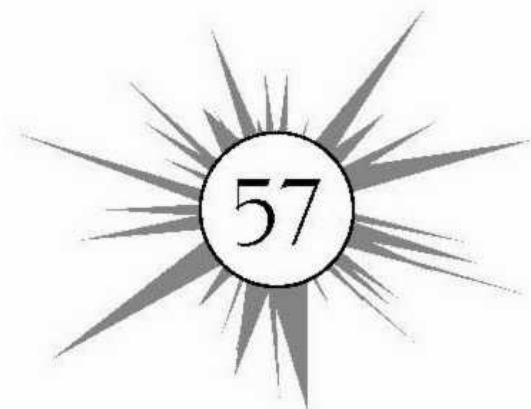
Nawet jej rodzina, choć biedna, zawsze miała normalne jedzenie. Tak czy inaczej, ludzie mogli przeżyć, żywiąc się zielonymi pędami, o ile były w pełni wyrosnięte – proces ten wymagał namaczania ich przez jeden dzień. Dostarczały trochę kalorii i składników odżywczych. Spożywanie ich zbyt długo bez dodatkowego białka kończyło się źle, ale mogłoby dotrzeć na wyspę Czarodziejki i z powrotem, wykorzystując pędy i te resztki, które im zostały.

Za jej plecami Huck spuścił wzrok. Zaczął sobie uświadamiać, że w ostatecznym rozliczeniu jego zdrada nic nie zmieniła.

- Dziękuję – powiedziała Warkocz do Dougów.

- Pani kapitan, przez miesiąc żywiliśmy się tym, co ugotował Fort – stwierdziła ta na przedzie. - Później ty zaczęłaś przygotowywać kolacje, które nie smakowały jak coś zdrapanego z podeszwy i... no, przeżyjemy trochę zielonego.

- Poza tym warto płynąć dalej – dodał inny. - Po tym będziemy jedynymi piratami, którzy obrabowali samą Czarodziejkę!



A skoro o tym mowa.

Warkocz wiedziała, że w jej planie są luki. Tak naprawdę w jej planie więcej było luk niż całości. Na przykład nie mogła być pewna, czy właściwie zgadła lokalizację wyspy. Nawet jeśli, nie miała żadnej gwarancji, że ich plany się powiodą. Mogła się nie przedostać przez osłony Czarodziejki.

Wszystkie te kwestie jednak ustępowały przed największą. Kryjącą się jak cień pod oceanem. Jak na razie skupiała się głównie na dostaniu się na wyspę, a następnie do wieży.

A później co?

Jak, na księżycu, miała odnaleźć i ocalić Charliego? Jak miała sobie poradzić z Czarodziejką? Ich plan obejmował strzelanie z armat do metalowych służących na plaży. To byłoby głośne i z pewnością zwróciłoby uwagę.

Jak Warkocz, narobiwszy takiego hałasu, mogła potajemnie dotrzeć do wieży, żeby...

Żeby Huck mógł wpuścić ich do środka.

Jej pewność siebie osłabła. Cóż, słabła od wielu dni – co nie było zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę jej kruche fundamenty. Teraz groziła, że się zawali. Powodzenie ich planu opierało się na tym, że Huck wpuści ich do wieży. Teraz, rzecz jasna, to nie było możliwe.

Warkocz robiło się niedobrze, kiedy o tym myślała, ale przez kolejne kilka dni nie pojawiły się inne rozwiązania. Statek płynął niepowstrzymanie w stronę straszliwego Północnego Księżyca, aż dotarli do granicy. Tego miejsca, gdzie zarodniki się mieszały, jak blizna, z jednej strony przeżarta gangreną i poczerniała. Kończyna, którą objęła całkowita martwica.

Czarne zarodniki, rozciągające się w nieskończoność. Warkocz patrzyła z pokładu rufowego i czuła nienaturalną ciszę, kiedy Dougowie zamarli i wydawało się, że nawet żagle

wstrzymują oddech. Oto było, Północne Morze.

Salay spojrzała na Warkocz.

– Rzuć kotwicę, sterniczko – powiedziała Warkocz. – Już prawie noc. Nie chciałabym żeglować po tym morzu w ciemności.

– Zgoda – powiedziała Salay.

– Tej nocy podwójna wachta – zasugerowała Warkocz. – Wolałabym nie zostać zaskoczona... ani przez deszcz, ani przez coś innego wylaniającego się z tej ciemności.

Salay pokiwała głową, ale wyraźnie czuła się niepewnie.

Warkocz ruszyła w stronę kajuty, ale się zatrzymała.

– Salay. Słyszałaś kiedyś o tym, by komuś udało się je przepłynąć?

– Zielony Król ciągle wysyła flotylle, by pojmać Czarodziejkę. Niektóre statki przeżywają Szkarłatne. To w końcu lut szczęścia. Nigdy jednak nie słyszałam, by ktoś powrócił z Północnego. Wypływają na nie i niemal natychmiast opadają je mroczne stwory pochodzące z ohydnych zarodników.

Warkocz zadrżała. Naprawdę sądziła, że uda jej się to, co nie udało się tym kompetentnym marynarzom? Co ona sobie myślała? Dlaczego w ogóle tu była? Udawała kapitana, bawiła się w przebieranki.

Oczywiście Warkocz nie doceniała samej siebie – proszę, udawajcie zaskoczonych – bo w tej sytuacji zaszła całkiem daleko. I to prawda, że licznym członkom królewskiego dworu nie udało się przeżyć pierwszego starcia na Północnym Morzu. Ale też poznaliście co najmniej jednego członka królewskiego dworu – to był ten przystojny osobnik na początku opowieści, obdarzony zarówno szczęką, jak i intelektem marmurowego popiersia. Więc, no, może nie powinna się z nimi porównywać.

Tak czy inaczej, Warkocz nagle straciła sporo wiary w siebie. Uciekła na dół, do znajomego korytarza środkowego pokładu. Minęła swoją starą kajutę i odkryła, że tęsknie wspomina czas parę tygodni wcześniej. Dni, kiedy siedziała i czytała o zarodnikach, słuchając uspokajających kroków na górze. Te kroki brzmiały taką pewnością siebie. Przypadkowe, ale jednocześnie jakimś sposobem rytmiczne. Takty piosenki, którą załoga dobrze знаła i którą wszyscy grali razem.

Teraz ona dowodziła. Teraz ona była tą, w którą wszyscy wierzyli.

Podeszła do gabinetu dr. Ulaama, zapukała i została wpuszczona. Odkryła, że Ulaam przygląda się swojej dłoni, na której wyrósł szósty palec. Warkocz westchnęła z ulgą. W końcu normalny i znajomy widok.

– Warkocz! – powiedział, próbując wsunąć pierścien na palec. – Raduje mnie twoja wizyta! Czy rozważyłaś ponownie moją propozycję?

– Dziękuję, ale nie. Jestem dość przywiązana do swoich palców.

– Wszyscy są, kochana. Dlatego Ojciec wynalazł skalpele. Ale wyglądasz na zrozpaczoną. Usiądź, proszę. Poczekaj, zagotuję wodę. – Usiadła, a on w tym czasie skorzystał z dziwnego urządzenia, które działało jak płyta do gotowania, ale bez użycia ognia czy zarodników, które by ją podgrzewały. Umieścił na górze czajnik, po czym odwrócił się i spojrział na nią. Opierał się o blat, a szare palce splótł przed twarzą. – Mów, proszę.

- Ulaamie, nie potrafię pokonać Czarodziejki.
- Nie, oczywiście, że nie.
- Wszyscy inni tego ode mnie oczekują. A... ja jestem coraz bardziej przerażona, że ich zawiodę.

- Ach, no tak, czy mógłbym ci pomóc poradzić sobie z tym lękiem, hm? Nie muszę ci nawet dawać nic na uspokojenie. Nie musisz się martwić.

- Nie muszę? Naprawdę?

- Tak. Widzisz, nikt się nie spodziewa, że pokonasz Czarodziejkę. Wierzę, że oni wszyscy spodziewają się, że umrą. I dlatego ich nie rozczarujesz, dziecko, kiedy Czarodziejka nieuchronnie wymorduje całą załogę!

Jęknęła.

- To był żart - zauważył. - Wątpię, by była zdolna zabić mnie... choć myśli, że tak. A nawet jeśli ma rację, z całą pewnością nie zabije Hoida, nawet w jego obecnym stanie. Innymi słowy, wymorduje jedynie większość załogi.

Warkocz zakręciło się w głowie.

Należy tu zauważyć, że Ulaam nie jest znany ze swojego podejścia do pacjenta - jak zauważyłem, jego rodacy coś utracili, kiedy przestali być zmuszani do udawania rzeczywiście żyjących istot ludzkich. Mogę uczciwie powiedzieć, że bez tego ciężaru przez dziesięciolecia wszyscy stawali się coraz bardziej sobą.

Mimo to Ulaam jest najlepszym lekarzem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jeśli łatwo się denerwujecie, ale potrzebujecie jego pomocy, sugeruję, żebyście poprosili go, by zaszył swoje usta przed wizytą. Najpewniej uzna ten pomysł za na tyle nowatorski, że go wypróbuje.

Tego dnia jednak uświadomił sobie, że powiedział za dużo. Nawet Ulaam, istota o empatii porównywalnej z rozszoszczonym emu, od czasu do czasu potrafił uświadomić sobie, że ktoś cierpi.

- Dziecko, ja...

- Jak mogłeś? - warknęła na niego Warkocz. - Jak możesz siedzieć tutaj i się nie przejmować? Co z tobą nie tak?

- Och! Hm. Ha, ha. Nie musisz mi od razu odgryzać głowy. Mam tu kilka pił służących do tego celu...

- Żarty nie pomagają, Ulaamie!

Wstała.

Wiedziecie jednak, że to nie był żart. W rzeczywistości miał trzy. Pozwolił jej przez jakiś czas krążyć po kajucie, a kiedy czajnik zaczął gwizdać, nie podszedł do niego.

Kiedy Warkocz tak krążyła, jej umysł zawiesił się na jednej kwestii. Znów wspomniał Hoida. Śliniącego się chłopca okrętowego. Ulaam był istotą obdarzoną dziwnymi mocami, ale postrzegał mnie jako kogoś jeszcze większego.

Nie po raz pierwszy Ulaam powiedział coś takiego. Ale tym razem naprawdę ją to uderzyło.

W końcu odetchnęła głęboko.

- Nie powinnam na ciebie warczeć. W przeszłości byłeś pomocny, Ulaamie, mówiłeś mi rzeczy, których nie musiałeś. Nie powinnam się na ciebie złościć, że nie zrobiłeś więcej. Ja...

ja nie wiem, co ze mną nie w porządku. W przeszłości bym się tak nie zachowała.

- Ja sądzę, że może wszystko jest w porządku. Może powinnaś częściej na mnie warczeć. Czasami zapominam o tym, czego się dowiedziałem o presji, pod jaką żyją śmiertelnicy.

- Ale masz rację. - Zaczęła krążyć w drugą stronę po niewielkim pomieszczeniu. - Umrzemy. Ta misja to szaleństwo! Kiedy tylko ja ryzykowałam życie dla Charliego, to było wystarczająco złe. Nie mogę zmusić pozostałych, żeby do mnie dołączyli.

- Ty ich nie zmuszasz, Warkocz. - Ulaam w końcu się wyprostował i zaczął robić herbatę. - Widziałaś, jak teraz chodzą? Jak trzymają głowy? Wiedzą, że częściowo odpowiadają za śmierć ludzi, których zabiła Wrona. Ty ich nie zastraszasz. Dajesz im szansę na odzyskanie człowieczeństwa. Oni chcą spróbować ocalić twojego przyjaciela. Chcą udowodnić samym sobie, że choć może nie są pierwszorzędnymi mężczyznami i kobietami obdarzonymi odwagą, posiadają tę cechę przynajmniej z drugiej ręki.

Odwrócił się, podał jej kubek i wskazał krzesło. To był ładny kubek. Cynowy, ale noszący szacowne ślady częstego używania, z uszkiem wygładzonym piesszczotą palców. Warkocz westchnęła, usiadła i przyjęła herbatę, choć od razu odstawiła ją na bok, żeby przestygła.

- Posłuchaj - powiedziała. - Huck był gotów zwrócić się przeciwko mnie. Może powinnam przyjąć do wiadomości jego punkt widzenia. A nawet jeśli nie, nie wykorzystam go teraz, żeby wejść do wieży. Czyli misja się nie powiodła.

- Wciąż masz Esencję Północy. Może uda ci się stworzyć istotę, która wślizgnie się do środka i otworzy drzwi.

- Wieżę pokrywa warstwa srebra, więc nie uda mi się jej dotknąć poprzez istotę północy. A przynajmniej tak mówił Huck. Nie wiem, czy to prawda, ani w co z jego słów uwierzyć, ale tak czy inaczej mamy większy problem, Ulaamie. Nie pokonam Czarodziejki. Ona będzie wiedziała, że się zbliżam.

- Podejrzewam, że ona już wie. Z tego, co o niej słyszałem, nie może się doczekać, żeby zobaczyć, jak sobie poradzisz z jej obroną.

- Czy to... możliwe, byśmy zrobili na niej tak wielkie wrażenie, że wypuści Charliego?

- Mało prawdopodobne. Najlepsze, na co możesz mieć nadzieję, to to, że uzna cię za zabawną i odeśle z wyjątkowo kreatywną kłutwą.

- Czyli nie ma nadziei.

- Cóż...

Warkocz podniosła wzrok.

- Widzisz, powinienem pozostać neutralny, jeśli chodzi o działania pewnych jednostek w rodzaju Czarodziejki - powiedział. - Ale jest ktoś, kto nigdy nie przestrzega tych zasad. Przebywa na tym statku. I ma jaskrawoczerwone slipy zdobione cekinami.

- Hoid. Wspomniałeś, że on... nie jest tym, za kogo go uważam. Czy naprawdę jest kimś większym od Czarodziejki?

- Cóż, te kwestie szalenie trudno ocenić. Ale powiedziałbym, że tak. Żałuję, że nie poznałaś prawdziwego Hoida. Choć oglądanie jego obecnego wcielenia w całej jego chwale bywa zabawne, normalnie bardzo różni się od osoby, którą znasz.

- A ta osoba jest... mniej żenująca?

- Cóż, zazwyczaj bardziej żenująca. Ale jednocześnie dobrze sobie radzi z pewnymi rzeczami. Jeśli na całej planecie jest ktoś, kto może pokonać Czarodziejkę i wydostać ciebie i twoich towarzyszy z życiem, to jest nim ten mężczyzna. W tych słowach nie ma żadnego żartu ani przesady, Warkocz. Jeśli mu się zechce, w całym cosmere jest niewiele osób, które potrafią wpłynąć na wydarzenia tak, jak nasz drogi przyjaciel w niestosownej bieliźnie.

Musicie wiedzieć, że te slipy należały do mnie jeszcze przed klątwą i nadal uważam je za dobry zakup.

Warkocz rozważyła te słowa. W końcu napiła się herbaty, co samo w sobie było potwierdzeniem jej odwagi. Ja nigdy nie piję niczego, co daje mi Ulaam, o ile wcześniej nie sprawdzę, jak działa na rośliny domowe.

- Jeśli on jest tak potężny, to jak dał się przekląć Czarodziejce? - spytała Warkocz.

- Nie mam pojęcia. Ale nie jest to aż tak zaskakujące. Mimo całej jego kompetencji często zdarza mu się na różne sposoby przeliczyć z własnymi siłami. Nieważne, jaką potęgą ktoś dysponuje, jeśli wierzy, że jest odrobinę bardziej potężny niż w rzeczywistości, między tymi marginesami jest miejsce na ogromne błędy. Hm?

Tak, to było sprawiedliwe.

- Tak czy inaczej, sądzę, że w tym przypadku to, co mu się przytrafiło, nie było wypadkiem - mówił dalej Ulaam. - Gdybym miał się założyć o duże pieniądze... albo, co cenniejsze, mój ulubiony komplet paznokci... powiedziałbym, że dał się celowo przekląć. A teraz ma więcej kłopotów, niż się spodziewał, żeby się tego pozbyć.

- Dlaczego? Dlaczego dałby się celowo przekląć?

- Nie umiem tego ocenić - odparł Ulaam.

Warkocz podeszła do tego sceptycznie. Ale w tym przypadku Ulaam miał (niestety) rację. Szczerze wierzyłem, że do tej pory uda mi się to wszystko załatwić. Okazało się... trudniejsze, niż przewidywałem.

Na szczęście byłem blisko. Bliżej niż kiedykolwiek. W tej bowiem chwili Warkocz trafiła na najważniejszy pomysł.

- Czyli... może nie muszę pokonać Czarodziejki? Może muszę jedynie znaleźć sposób, by Hoid to zrobił?

- To możliwe. Tak, zaiste to możliwe.

Warkocz pożegnała się i powędrowała do kajuty. Tam sięgnęła pod łóżko i wyjęła swoją kolekcję kubków. Od tak dawna ich nie podziwiała. Ta część jej, której sprawiała przyjemność, się nie zmieniła, ale po prostu... nie miała tyle czasu, co kiedyś. Tak naprawdę ostatnimi czasy używała jedynie tego dużego metalowego. Był to jedyny, który by się nie rozbił, gdyby kołysanie statku zrzuciło go ze stołu.

Mimo to wyjęła je, jeden po drugim, i umieściła na blacie. Na końcu wyjęła te, które wysłał jej Charlie. Szczególnie przypatrywała się temu z motylem szybującym nad oceanem. Początkowo zakładała, że motyl został zmuszony, by znaleźć się w tak straszliwej sytuacji. Dlaczego jeszcze miałby latać nad zarodnikami?

Teraz postrzegała go inaczej. Może po prostu był to motyl, który wiedział, czego chciał - i zamierzał spróbować to zdobyć, choćby było to niemożliwe.

To nie był motyl o skłonnościach samobójczych. To był zdeterminowany motyl.

Schowwała pozostałe kubki, ale ten zostawiła na zewnątrz, razem z kuflem z cyny z ołowiem. Te były jej ulubionymi. Jeden był symbolem determinacji. Drugi solidnym i ciężkim praktycznym urządzeniem – prawie że bronią.

Jestem, pomyślała, tymi dwoma kubkami. Jedna strona utylitarna, druga rozmarzona. Przeciwności. Oba jednak służyły temu samemu celowi. Zdziwiająco.

Ten motyl wyleciał nad ocean samotnie. Nie sprowadził ze sobą całej załogi na śmierć. Odetchnęła głęboko, związała włosy, wzięła dwa kubki i wyszła na pokład.

– Salay... – zwróciła się do sterniczki. – Zmieniłam zdanie. Chcę, żebyś opuściła szalupę. Wyłynę nią na Północne Morze. Sama.



S przeciw był ogromny.

– Sama? – powtórzyła Salay. – Pani kapitan, jaki księżyc podpowiedział ci tak szalony pomysł?

– Popłynę z tobą – zaproponowała Ann. – Zapewnię ci bezpieczeństwo. Mam przy sobie sześć pistoletów i czworo oczu do celowania!

Nawet Laggart, krążący na tyłach grupy oficerów, wyglądał na zaniepokojonego.

Fort jedynie uniósł tabliczkę.

Dlaczego? spytał.

– Chcę poeksperymentować z Esencją Północy. Zobaczyć, czy rzeczywiście uda mi się kontrolować lub niszczyć potwory... bo jeśli mi się nie uda, nie wyruszymy naprzód i to wszystko nie ma znaczenia. Spróbuję sama, bo nie ma powodu zabierać was wszystkich ze sobą. Wy nie możecie zrobić.

– Myślę, że to zły pomysł, pani kapitan. – Salay zaplotła ręce na piersi. – Nie pozwolę, byś samotnie wyszła na kolejne morze.

– Czy nie jestem kapitanem? – spytała Warkocz. – Czy nie mogę podjąć tej decyzji?

– Możesz – odparła Salay. – Ale nie powinnaś.

Ironia to interesujące pojęcie. Mam tu na myśli w szczególności klasyczną definicję – decyzji, która prowadzi do skutku odwrotnego do zamierzonego. Wielu językoznawców lamentuje nad niemal bezustannym niewłaściwym używaniem tego słowa – które w aspekcie stylistycznego zabójstwa ustępuje jedynie sposobowi, w jaki niektórzy ludzie używają słowa „dosłownie”. (Ich użycie jest ironiczne).

Nie jestem jednym z ludzi, którzy przejmują się, jeśli niewłaściwie używacie słowa. Wolę, kiedy wyrazy zmieniają znaczenie. Nieprecyzyjność naszego języka to jego cecha, która w najlepszy sposób oddaje najważniejszy fakt ludzkiej egzystencji – że nasze uczucia, a nawet nasze dusze, same z siebie są nieprecyzyjne. Nasze słowa, jak nasze serca, są bronią wciąż rozpaloną po wyjściu z kuźni i za każdym razem, kiedy nimi wymachujemy, wykuwają w sobie nowe kształty.

Jednakże ironia to intrygująca koncepcja. Istnieje tylko tam, gdzie chcemy ją znaleźć, bo w przypadku prawdziwej ironii kluczem jest oczekiwanie. Ironia musi zostać dostrzeżona, żeby zaistnieć. Tworzymy ją z niczego, kiedy ją odnajdujemy. Ale w przeciwieństwie do innych rzeczy, które tworzymy, jak sztuka, w ironii chodzi o stworzenie tragedii.

Ironia to odwrócenie. Postawić, a później zawalić.

Doskonała ironia jest czymś pięknym.

Dlatego patrzcie. Delektujcie się.

– Nie mogę pozwolić, żebyście ucierpieli jeszcze bardziej – powiedziała Warkocz. – Następną część muszę zrobić sama.

Salay westchnęła cicho – tego rodzaju westchnieniem, które wydajecie, kiedy próbujecie nie zacząć krzyknąć, ale musicie dać płucom coś do roboty. Skinęła w bok.

– Czy możemy porozmawiać przez chwilę w cztery oczy, pani kapitan?

Warkocz pokiwała głową i obie odeszły.

– Mam inną sugestię – powiedziała Salay. – Niech *Pieśń Wrony* wpłynie odrobinę w głąb morza i popłynie przez jakiś czas wzdłuż granicy. Spróbujemy przyciągnąć jednego z tych potworów. Następnie uwięzimy go zielonymi zarodnikami i wciągniemy na pokład. Stamtąd możemy wycofać się na Szkarłatne i przez jakiś czas na nim eksperymentować.

– To zbyt niebezpieczne – sprzeciwiła się Warkocz.

– Bardziej niebezpieczne, niż gdybyś popłynęła samotnie?

– Zbyt niebezpieczne dla was wszystkich – poprawiła się Warkocz. – To coś, co muszę zrobić, ale nie pozwolę, żebyście ryzykowali.

– Pani kapitan. – Głos Salay złagodniał. – Warkocz. Całe moje życie się zmieniło, kiedy wróciłaś z leża smoka. Szukałam ojca od... od tak dawna. Miałam nadzieję przez długi czas, że wreszcie zaczęła ona gasnąć. Po prostu robiłam to, co robiłam, bo bałam się sobie pozwolić, żeby całkiem umarła. A teraz znów żyje. Podlana przez ciebie, pielęgnowana, odzyskała siły. On żyje. I wiem, gdzie jest. Muszę przeżyć to, co nadejdzie, bym mogła do niego dotrzeć.

– W takim razie odejdz – powiedziała cicho Warkocz. – Musisz przeżyć, żeby go uratować. Nie możesz ryzykować.

– Potrzebuję dobrej załogi, by przebyć te morza.

– To jest dobra załoga.

– Kiedyś była i znów może się nią stać. Ale, Warkocz, czy wiesz, jak wpływa na ludzką duszę służba pod dowództwem kogoś takiego jak Wrona? Tworzy się na niej czarna skorupa. Jak na grzance, która leżała zbyt długo w piecu. – Salay skinęła na załogę zebraną na pokładzie. – Uczyniłam cię dowódcą z kilku powodów. Po pierwsze, myślę, że będziesz dobrym

kapitanem. Ale poza tym oni potrzebują jako dowódcy kogoś, kto doprowadzi ich do porządku. Kogoś, kto nie zgodził się na żądania Wrony. Tym kimś jesteś ty.

Warkocz pokiwała głową, bo zrozumiała to odrobinę lepiej. Gdyby Salay przejęła dowodzenie, przypominałoby to drużynę robiącą sobie krótka przerwę, żeby przedyskutować strategię. Oddanie statku Warkocz było jak wyburzenie stadionu, by wybudować na jego miejscu nowy.

- Od kiedy znalazłaś się na pokładzie, przez cały czas próbowałaś nas chronić i pomagać nam - mówiła dalej Salay. - Załoga to wie. Pójdą za tobą. Ja za tobą pójdę. Ale jeszcze nie mogę ocalić swojego ojca. Nie mogę ocalić... siebie. Dopóki nie pomogę tobie i tej załodze. Dlatego proszę. Pozwól, żebym ci teraz pomogła.

- Dlaczego prosisz? Dlaczego nie żądasz?

Salay pokręciła głową.

- Zbuntowaliśmy się przeciwko Wronie. Nie możemy pozwolić, by taki rodzaj zachowania był postrzegany jako normalny. Musimy jasno pokazać, że nieposłuszeństwo wobec Wrony było skrajnym wyjątkiem. Dlatego słuchamy ciebie. Co do słowa. Ja i oficerowie, będziemy wzorem dla pozostałych, bo wiemy, że jeśli się tego nie zrobi... cóż, wtedy na statkach zaczynają się dziać naprawdę złe rzeczy. Kiedy wyjątki stają się zwyczajami. Jeśli więc powiesz nam, żebyśmy pozwolili zrobić ci to samej, pozwolimy ci, Warkocz. Musimy.

Patrzyła Warkocz w oczy jednym z tych znaczących spojrzeń.

To nigdy nie działa aż tak dobrze, jak wam się może wydawać.

Bo Warkocz przyswoiła sobie niewłaściwą lekcję. Usłyszała tę część o pomaganiu załodze. O chronieniu ich. I jej zdecydowanie jeszcze wzrosło.

- Dziękuję, Salay - powiedziała. - A teraz proszę, przygotujcie szalupę. Wypłynę samotnie na Północne Morze, by sprawdzić swoje teorie na temat kontrolowania zarodnikowych potworów.

Tym razem westchnieniu towarzyszyło ledwie opanowane warczenie, jakby Salay połknęła coś wściekłego i futrzastego.

A skoro o tym mowa.

Warkocz wróciła do kajuty, żeby zabrać kapelusz, nim rozpocznie eksperyment. Kiedy to zrobiła, z kąta dobiegł głos.

- Zabierz mnie - powiedział Huck.

Warkocz zamarła i odwróciła się w stronę jego klatki.

- Weź mnie. Słyszałem, co mówisz. Zabierz mnie w klatce, jeśli musisz. Ale weź mnie ze sobą, Warkocz. Na tę łódkę. Możesz mnie potrzebować.

Prawie go zignorowała. Ale coś w jego głosie... może jego ton... Wcisnęła kapelusz na głowę, przez chwilę się wahała, ale później podjęła decyzję. Wychodząc, chwyciła klatkę za uchwyt na wierzchu i zaniosiła ją ze sobą na pokład.

I tak oto po chwili Warkocz znalazła się na łodzi, a wokół otaczało ją Północne Morze. Towarzyszyły jej jedynie szczur w klatce, beczułka wody i para kubków. Nadszedł czas, by sprawdzić, czy uda się jej przebić przez pierwszą linię obrony Czarodziejki. Sprawdzić, czy uda jej się pokonać straszliwe smoliste potwory, które krążyły po Północnym Morzu. Była to

pełna napięcia, dramatyczna chwila – lecz niestety straszliwe potwory zapomniały, że mają się pojawić.

Z pewnością wkrótce przybędą.

Warkocz dryfowała samotnie wśród całej tej czerni. Morze było ciepłe, nasycone słonecznym blaskiem. Jakimś sposobem wydawało się jeszcze bardziej obce niż Szkarłatne Morze. Można by pomyśleć, że czarne zarodniki będą bardziej znajome. W końcu świat każdego dnia na prawie pół dnia stawał się czarny. To był naturalny kolor.

Jednakże w tym miejscu miała wrażenie, że jej łódka zawisła w pustce. Ogromnym niczym. I nie pocieszał jej nawet odgłos kipienia, które sprawiało, że zarodniki się kłębiły. Tutaj brzmiał niewłaściwie. Pośród tej nieustępliwiej nocy. Pośród tego żarłocznego przestworu, który zjadał nawet światło słońca.

A teraz słońce zachodziło. Warkocz odwróciła się i z tęsknotą obejrzała za siebie – ale żeby dotrzeć do tego miejsca, wiosłowała przez dobrą godzinę. Na co dowodem był palący ból mięśni ramion.

Pieśni Wrony nie była nawet widoczna, podobnie Szkarłatne Morze. Warkocz była sama. Poza Huckiem, który kulił się w klatce, cichy i przerażony – mimo że zażądał, by go zabrała. Dla zabicia czasu Warkocz próbowała pisać w notatniku. Ale była zbyt zmartwiona, zbyt rozproszona. Nie chodziło jedynie o Esencję Północy, ale o fakt, że zarodniki znajdują się tak blisko. Kłębiły się i bulgotały tuż obok burty jej łodzi.

Próbowała podnieść wzrok ku niebu, ale kiedy to zrobiła, słońce zniknęło za księżycem na horyzoncie. Północny Księżyc, jak dziura w rzeczywistości.

Dlatego czekała. Na świecie jest niewiele rzeczy gorszych od czasu pełnego napięcia, ale jednocześnie pustego. Jeśli macie czas wolny, którego nie możecie w żaden sposób wykorzystać, zawsze czujecie, że sama natura z was szydzi.

W końcu jednak Warkocz dostrzegła ruch.

Esencja Północy znajdowała się niepokojąco blisko niej, a dotarła tam niepostrzeżenie. Może dlatego, że była czarna na tle czerni, choć fakt, że poruszała się między zarodnikami, również pomagał ukrywać jej nadejście. Kiedy jednak Warkocz ją dostrzegła, bez trudu śledziła ją wzrokiem – bo światło lampy odbijało się w niej jak w plamie ropy.

Zaparlo jej dech w piersi. Przestała się martwić zarodnikami, skupiając się na zbliżającej się grozie. Jaki rodzaj bestii poruszał się wśród zarodników? Kapał się w nich? Albo... pływał? Czy to było właściwe określenie?

Warkocz знаła to słowo z jednej z opowieści Charliego, choć uznała tę wizję za zadziwiająca. Były miejsca, w których mieli tyle wody, że można było się w niej zanurzyć razem z głową? Czy wtedy człowiek nie tonął?

Niezależnie od określenia, zbliżająca się istota właśnie to robiła. Moglibyście rozpoznać w Esencji Północy swego rodzaju węgorza albo węża morskiego, długości połowy *Pieśni Wrony*. Ale pochodzicie ze świata, gdzie w wodzie żyją takie istoty. Ta wizja była zupełnie obca Warkocz, dlatego uznała poruszenia bestii za nienaturalne, niepokojące. Kręgosłup nie powinien się poruszać w taki sposób, jak wyginający się elastycznie kawałek sznurka.

Istota okrążała jej łódkę, drapieźnie. Jak również z niepewnością.

Co robił ten człowiek siedzący samotnie na małej łódce? Poczuliście się podobnie, gdy byście spacerowali po lesie i znaleźli gorący obiad czekający na pniu drzewa. Co to za sztuczka?

Po dziś dzień nie wiem z całą pewnością stwierdzić, czy Esencja Północy jest żywa. Więż Luhel jest dziwna, to z całą pewnością. W kontekście tej opowieści udawajcie jednak, że stwór przeszlizgujący się wokół łódki był funkcjonalnie samoświadomy. A przynajmniej dostał pewien zestaw szczegółowych komend, które naśladowały życie.

I dlatego wiedział, że musi być ostrożny. To dało Warkocz szansę, której potrzebowała. Wyciągnęła drżącą rękę i dotknęła go, kiedy przepływał obok.

Dła stwora było to głęboko niepokojące. Oto był, niesamowity potwór nikkzemnego projektu, napelniony nienawiścią do wszelkiego życia. Całe swoje istnienie poświęcił wyszukiwaniu statków, a później wypuszczaniu nóg, by wślizgnąć się na pokład i pochłonąć tych w środku. Kiedy ludzie go widzieli, wydawali wszelkiego rodzaju odgłosy – choć każdy kończył się pełnym cierpienia bulgotem. Był to odgłos dobrze wykonanego zadania, spełnionego istnienia.

Ludzie się go bali. Nie wyciągali ręki, żeby go dotknąć. Zasadniczo był to odpowiednik salami, podnoszącego się i próbującego wskoczyć wam do ust. Nie chodzi o to, że nie lubicie dobrego salami, ale powinniście przynajmniej odrobinę się wysilić.

I jeszcze kwestia kontroli umysłu.

Warkocz postawiła wszystko na to, że uda jej się to, czego dokonała wcześniej – i przejmie kontrolę nad tym stworem.

To bardziej sensowny plan, niż się wydaje. Widzicie, morze było zbyt wielkie, by Czarodziejka mogła skupiać uwagę na każdej istocie z osobna. Tworzyła je w partiach, a później wypuszczała z rozkazami, utrzymując nad nimi jedynie luźną kontrolę. W rzeczy samej, gdyby próbowała aktywnie kierować wszystkimi tymi stworami, nawet ona szybko by się odwodniła i umarła.

Poza tym stwory miały dość samoświadomości, żeby podejmować decyzję. Dokonywał wyboru. To niebezpieczna cecha dla krążących swobodnie sługusów, ale też Czarodziejka nie miała innej możliwości.

Musiała dać im pewną autonomię, bo inaczej nie byłyby w stanie wykonywać zadania, do którego je zaprojektowała.

Zatem tak. Plan Warkocz mógłby zadziałać.

Gdyby kiełkowała dłużej niż parę tygodni.

Warkocz próbowała przejąć kontrolę, jak zrobiła to wcześniej, naciskając na stwora umysłem. Podniósł się nad zarodniki, cofnął od jej ręki i spojrział na nią północnymi oczami. W jej głowie pojawiło się pytanie, jakby... czegoś chciał. Próbowała zaproponować mu wodę, z nadzieją, że to więcej, niż dawała Czarodziejka.

Stwór ją odrzucił. Naturalnie Czarodziejka wiedziała o tej możliwości. Rozumiała przyrodzoną słabość swoich tworów. I dlatego zbudowała je ze skomplikowanymi mechanizmami rozpoznającymi próbę kontrolowania z zewnątrz. Warkocz była uporczywie uzdolniona i zdecydowanie zdeterminowana. Ale wciąż była nowa.

Czarodziejka zaś, co należy zauważyć, nie.

Stwór podniósł się z sykiem i otworzył paszczę, spodziewając się uczt. Warkocz z przerażeniem rzuciła się na dno łódki.

Rozległ się cichy, wysoki głos.

– Zatrzymaj się – powiedział Huck. Później, z wyraźną niechęcią, mówił dalej: – Zabierz nas do swojej pani. Ja... mam prawo przejścia.

Istota pokręciła łbem, a skomplikowany zestaw komend, który nią kierował, skupił się na właścicielu tego głosu. Tym, którego rozkazano jej nie zjadać. Tym, którego miała przyprowadzić do swojej pani, kiedy dostanie taki rozkaz.

Szczur Huck powrócił do miejsca, w którym został stworzony, zgodnie z instrukcjami Czarodziejki.

Następnego ranka Warkocz przybyła na wyspę Czarodziejki. Pozwolono jej się napić i skorzystać z toalety (nocnika) na łódce. Ale poza tym spędziła drogę owinięta zwojami Esencji Północy. Unieruchomiona. Dwa inne stwory, wyglądające zupełnie tak samo, wyłoniły się z zarodników i z niewiarygodną szybkością popychały łódkę w stronę celu.

Huck odmawiał odpowiedzi na jej żądania wyjaśnienia tego, co zrobił i dlaczego stwory go słuchały. Ale Warkocz miała swoje podejrzenia.

I tak oto po niewiarygodnej podróży Warkocz w końcu dotarła na wyspę Czarodziejki. I odkryła, że jest mniejsza, niż sobie wyobrażała. Na co warto zwrócić uwagę, bo wyspa, z której pochodziła dziewczyna, już była mała na standardy większości światów. Dlatego jej zaskoczenie przypominało czterolatka mówiącego „Wiecie, spodziewałem się, że będziecie bardziej dojrzały”.

Ponieważ na morzach zarodników brakuje rozdrobnionej krzemionki pochodzącej z raf i wygładzonej przez ichtiologiczne procesy trawienne (tak, wasze ulubione plaże to rybia kupa), wyspa Czarodziejki była zaledwie kolejną stertą skał wystającą z zarodników. W tym przypadku szaroniebieski kamienisty szkier był podejrzenie okrągły i miał jakieś dwieście jardów szerokości.

Kilka drzew próbowało ozdobić krajobraz, ale zawiodło, bo były jednocześnie za bardzo rozrzucone i nieodpowiedniego gatunku. Stanowiły bowiem powyciągane, powykręcane twory z kępkami liści wyrastającymi jedynie na samych czubkach gałęzi. Jakby znały pojęcie „drzewa” jedynie z opisu i w sumie dawały z siebie wszystko.

Warkocz spędziła podróż, wahając się między nienawiścią do Hucka a nienawiścią do samej siebie. Przy czym siebie obdarowywała zdecydowanie szczerzej. Siedziała, owinięta zwojami Esencji Północy, i patrzyła z przerażeniem, jak zbliżają się do wyspy. Esencja, co należy zauważyć, mniej przypominała teraz węgorka, a bardziej kłęb zielonych pędów.

Łódka miała pas srebra w kadłubie, więc ciągnęły się za nią martwe zarodniki. Stwór starał się nie dotknąć srebra, ale – jak zauważyła Warkocz, kiedy patrzyła oczami szczura z Esencji Północy – mógł się do niego zbliżyć i nie ulec zniszczeniu.

Otworzyła klatkę Hucka. Szczur usiadł na jednej z desek służących za ławki, w pobliżu dziobu. Zarodniki zgrzytały i szeleściły, kiedy dwie istoty północy popychały łódkę naprzód.

– Byłeś tu wcześniej. – Warkocz wypowiedziała na głos swoje domysły. – Cała ta gadanina o dorastaniu w społeczności szczurów... to wszystko były kłamstwa, prawda?

– Tak – szepnął Huck.

– Należysz do niej. Jesteś chowańcem Czarodziejki albo coś w tym rodzaju. Zawsze do niej należałeś.

– Tak – powiedział jeszcze ciszej.

Każda odpowiedź trafiała w nią jak strzała. Taka z zadziorem, która bolała, kiedy się wbiła – a przy wyjmowaniu rozrywała i rozszarpawała. Taka, którą chciało się zostawić w środku i chodzić z niezagojonymi ranami, byle tylko uniknąć bólu towarzyszącego wyjmowaniu ich.

Jednakże, choć to bardzo bolało, Warkocz zmusiła się, żeby coś przed sobą przyznać. Huck zrobił wszystko, co mógł – poza opuszczeniem statku w porcie – żeby powstrzymać ją przed dotarciem tutaj. Żeby ochronić ją przed Czarodziejką.

Kłamał, owszem, ale Czarodziejka najwyraźniej wzbudzała jego przerażenie. Warkocz nie mogła mieć do Hucka zbyt wielkich pretensji o jego działania, skoro niechętnie sprowadziła go tu z powrotem. Mogła jednak mieć pretensje do samej siebie.

Powinna być bystrzejsza, wymyślić inny plan. Może powinna posłuchać rady Salay i pozwolić, by załoga pomogła jej z problemem? Warkocz chwiała się na skraju przepaści, gdy o tym rozmyślała.

Zmiana ma w sobie coś z iluzji. Udajemy, że wielkie zmiany wynikają z pojedynczych decyzji, pojedynczych chwil. I tak jest. Ale za pojedynczymi decyzjami i pojedynczymi chwilami stoją z kolei góry mniejszych decyzji. Nie można mieć lawiny bez góry śniegu, nawet jeśli zaczyna się od jednego małego kawałka, który zaczyna koziółkować.

Nie ignorujcie gór minut gromadzących się za ważnymi decyzjami. To właśnie działało się z Warkocz w tamtej chwili. Pełna świadomość jeszcze jej nie zaświtowała, ale widać już było blask na horyzoncie.

Północne potwory w dziwny sposób kierowały łodzią, kiedy zbliżały się do wyspy, i Warkocz wkrótce zobaczyła dlaczego. W tym miejscu z morza wyrastały długie, poszarpane linie skał, jak łachy z zębami. Czarodziejka celowo wybrała tę wyspę – dostęp do niej był wyjątkowo utrudniony. Ukryte skały leżały jak miny, ledwie wyłaniając się spośród kipiących zarodników i właściwie nie zdradzając swojego położenia.

Dotarcie na łąd było więc prawie niemożliwe. Kiedy łódka wykonała serię skomplikowanych manewrów – sterowana przez potwory, które znały właściwą drogę dzięki magicznemu darowi – Warkocz poczuła ściskanie w żołądku. O tej ochronie wyspy nie wiedzieli. Huck im o niej nie powiedział, być może w złych zamiarach. (Tak naprawdę po prostu zapomniał, ale to bez znaczenia).

Gdyby *Pieśń Wrony* przybyła i próbowała podплыnąć do wyspy, z pewnością rozerwałaby kadłub na skałach i wszyscy zginęliby wśród zarodników. Jej misja od początku była skazana na niepowodzenie.

W końcu ich łódeczka – samotna plama koloru ślizgająca się po wierzchu pustki – dotarła do brzegu. Tutaj Warkocz dostrzegła legion złocistych metalowych ludzi stojących w szeregach wokół wieży Czarodziejki. Byli wyposażeni we włócznie i tarcze i dziewczyna niemal mogła wyobrazić ich sobie jako mężczyzn w pancerzach z opuszczonymi zasłonami. Gdyby tylko nie stali tak nienaturalnie nieruchomo.

Pomijając samotne drzewa i setkę metalowych ludzi, jedynym znaczącym elementem wyspy była sama wieża. Ona z kolei, w porównaniu z wielkością wyspy, znacznie przerosła oczekiwania Warkocz. Szeroka i wysoka, do tego ze spiczastym czubkiem – dziewczyna była zbyt skromna, by powiedzieć na głos, z czym jej się kojarzyła. Ja oczywiście nie mam pojęcia, czym jest skromność – więc kiedy ja powiedziałem, co przypomina, Czarodziejka spytała mnie, czy chciałbym, żeby duży symbol joni rozbił mi głowę.

Warkocz liczyła na szansę ucieczki, kiedy łódka przybije do brzegu, ale stwór – nie wypuszczając jej ze swojego ciasnego uścisku – dźwignął ją i uniół przed sobą. Huck zeskoczył z łodzi, a kiedy znalazł się na skałach, popatrzył prosto na Warkocz. Po raz pierwszy spojrzął jej w oczy od czasu, kiedy znaleźli się na pokładzie łodzi.

W odpowiedzi spiorunowała go wzrokiem. Wyraźnie okłapł, jak pęd pozbawiony wody. Później jednak ożywił się – jakby podjął decyzję.

– Tak. Tak, o to chodzi – powiedział. – Wcale nie robię tego, co ona kazała.

Spojrzał na potwora, po czym ruszył biegiem, zanim Warkocz zdążyła znów go zbesztać. Przeszli po skałach do wieży, a metalowi ludzie ich przepuścili. Warkocz wydawało się, że w tej chwili śpią. Byli rzeźbami.

Wkrótce jej uwagę przyciągnęła wieża. Wyglądała imponująco – dziewczyna nigdy nie widziała tyle srebra w jednym miejscu. Było go tak dużo, że musiało z niewiarygodną prędkością niszczyć zarodniki. Ochrona przed wrogimi kielkowaczami.

W boku wieży wbudowano drzwi, najwyraźniej również ze srebra. Huck stanął przed nimi i odezwał się głośno:

– Jak mi rozkazano, powróciłem do wieży z jeńcem, by przedstawić go Czarodziejce. Magiczne drzwi, otwórzcie się, proszę! Uch, powiedziano mi...

Drzwi otworzyły się z własnej woli.

– Racja. Dobrze. – Wbiegł do środka, spojrzął na siebie, a później na Warkocz. Niepewny, co się teraz stanie.

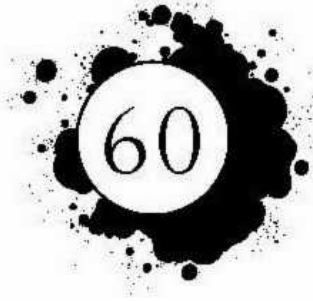
Północny potwór – który przypominał teraz dużą stonogę z mackami zamiast nóg – puścił Warkocz i pchnął ją przez drzwi w głąb wieży. Nie mógł pójść za nią ze względu na srebro.

Zamiast tego rzucił jej coś. Jej kubki. Ten z cyny z ołowiem i ten z motylem. Przyniósł je – bo znalazł je w łodzi i nie wiedział, czy są ważne.

Kiedy Warkocz z trudem łąpała kubki, drzwi się zatrzasnęły. Zamykając ją w środku i pozostawiając jej tylko jedną możliwość.

Ruszyć dalej. I spotkać się z przeznaczeniem.

Czarodziejka



Warkocz poświęciła chwilę na zorientowanie się w sytuacji, odetchnęła głęboko, rozmasowała ramiona – i spróbowała pozbyć się śladów dotyku dziwnej północnej istoty. Wpadła na pomysł, żeby złapać Hucka, ale on szybko zniknął na schodach, wykorzystując biegnącą wzdłuż nich listwę jako rampę.

Dziewczyna zatrzymała się na moment. Znalazła się w metalowym korytarzu, którego jedyną ozdobą był biegnący środkiem czerwony dywan, przypominający język. Pokrywały go symbole, w których doświadczony wędrowiec rozpoznałby Aony, a które Warkocz uznała za tajemne runy. Co nie było aż tak dalekie od rzeczywistości.

Na ścianach nie dostrzegła obrazów ani gobelinów, lecz kilka paneli kojarzących się jej z tabliczką do pisania należąca do Forta. Wielu gawędziarzy opisałoby ten korytarz z użyciem słów w rodzaju „zimny” lub „sterylny”. Wynika to głównie z wcześniejszych skojarzeń. Spokojne, czyste białe światła na suficie – rozpraszane przez plastikowy filtr – mogły przypominać biurowiec, zaś niczym nieozdobione metalowe powierzchnie salę operacyjną w szpitalu.

W oczach Warkocz pomieszczenie nie było zimne. Nie nazwałaby go stoickim, ponurym ani surowym – ani żadnym innym słowem, które mogłoby opisywać polityka w czasie procesu po tym, jak udało mu się uciec ze śmietnika.

– Tu jest pięknie – szepnęła. – Tak czysto i tak świetliście. W taki sposób wyobrażam sobie życie po życiu.

Jej słowa odbijały się echem w korytarzu. W końcu odetchnęła głęboko. Była tutaj. Nie umarła. Może... może uda jej się znaleźć sposób, by ocalić Charliego. Wbrew wszystkiemu. W końcu do tego miejsca kierowała się przez cały rejs.

I tak, zbierając resztki determinacji, ruszyła naprzód i wspięła się po schodach. Na szczycie drzwi otworzyły się samoczynnie, odsuwając się na bok. Ponieważ Czarodziejka miała bardzo ściśle określone wizje, jak powinno wyglądać wnętrze takiej jednostki.

Warkocz wkroczyła do dużego, okrągłego pomieszczenia z drzwiami po bokach. Wyglądało na zamieszkałe i zdobiły je tego rodzaju rzeczy, które narobiłyby bałaganu, gdyby Czarodziejka musiała oddalić się pośpiesznie. Meble, regały. Podłoga wciąż była metalowa – z wyrytą mapą planety – a oświetlenie industrialne, ale właścicielka sprawiła, że wszystko wydawało się przytulne.

Sama kobieta siedziała za biurkiem w pobliżu regałów, trzymała na kolanach puchatego białego kota i od niechcienia robiła coś na laptopie. Chciałem powiedzieć, na „magicznej tabliczce patrzącej”, która pozwalała jej obserwować wydarzenia na zewnątrz i niekiedy dla zabicia czasu grać w mistyczną grę karcianą.

Jej skóra emanowała blaskiem i otaczała ją srebrzysta energia. Była po pięćdziesiątce – a dokładniej: w tym wieku przestała się starzeć – i daleko zaszła od wysuszonej skorupy, którą była kiedyś. Niska i dość pulchna, dla wygody zwykle nosiła włosy upięte w kok i nienawidziła się malować. Cóż, ja pewnie też bym tego nie znoślił, gdybym dosłownie świecił. Ona i jej podobni preferowali ubrania i inne dodatki, które nie odwracały uwagi od ich promienistej natury.

Choć znalazła się bardzo daleko od domu, była niezmiernie potężna. Obróciła się na krześle, odstawiła mistyczną tabliczkę i zgoniła kota z kolan. Zeskoczył na podłogę i spojrzał spod łba na Hucka, który kulił się na biurku. Czarodziejka wskazała palcem, a kot ruszył chyłkiem w stronę drzwi, minął Warkocz i wyszedł.

Dziewczyna nie zwracała na to uwagi, bo urzekły ją rozliczne tabliczki patrzące na biurku. Jedna ukazywała widok korytarza, przez który przeszła Warkocz. Inne panele przedstawiały różnorodne ujęcia wyspy – ale na jednym było widać pokład *Pieśni Wrony*.

– Ach! – Czarodziejka wstała. Spojrzała na Hucka, który skulił się pod jej spojrzeniem. – Czyli to ona. Twoja ofiara. Muszę powiedzieć, że nie jestem pod wrażeniem. Wygląda na wynędzniałą. I te włosy! Dziewczyno, wiem, że twoja planeta nie jest zbyt ważna, ale z pewnością twoi rodacy wynaleźli już szczotki do włosów.

Warkocz przelknęła ślinę. W jej oczach kobieta wyglądała bosko. To ze względu na świecąca skórę. Naprawdę pomaga zrobić dobre pierwsze wrażenie. Od stuleci zazdrościłem im tego wyglądu i starałem się go uzyskać.

Właściwie o to w tym wszystkim chodziło. Ale wyprzedzam fakty.

Warkocz zdusiła podziw i skleiła rozpadający się plan. Wyprostowała się, ściskając kubki, by dodały jej siły, i powiedziała:

- Czarodziejko! Wzięłaś w niewolę kogoś, kogo kocham. Przybyłam, by żądać jego zwrotu.
- Żądać? Dlaczego sądzisz, że możesz czegokolwiek ode mnie zażądać?
- Bo ja cię pokonałam – ogłosiła Warkocz.
- Pokonałaś mnie? – spytała kobieta z rozbawieniem i posłała spojrzenie Huckowi.
- Przebyłam twój ocean, dotarłam do twojej wyspy, minęłam twoją metalową armię i dostałam się do twojego łóżka. Przebyłam cztery próby, które przede mną postawiłaś, i dotar-

łam do ciebie.

- Ha! Moje cztery próby? Uwielbiam to. Słuchałaś Hoida. Powiedz mi, jak się miewa Ulaam?

- Yyy... - Warkocz spojrzała na Hucka, który załamywał łapki. - On... miewa się dobrze, pani. A przynajmniej wydaje się szczęśliwy na *Pieśni*.

- Tyle lat, a on nigdy mnie nie odwiedził. Pewnie to rozsądne. Wie, że ze względu na niego mam tu kadź z kwasem. Wiesz, to jeden z niewielu sposobów, żeby na pewno sobie z nimi poradzić. Albo solidny pożar.

Czarodziejka przeszła przez środek okrągłego pomieszczenia, krocząc po wyrysowanej na podłodze mapie planety. Ludzie spoza świata nazywali to miejsce Lumarem, co jest niezłym tłumaczeniem nazwy występującej w kilku miejscowych językach. Warkocz nigdy nie widziała aż tak szczegółowej mapy, ale miała tyle różnych rzeczy do ogarnięcia, że nie poświęciła jej zbyt wielkiej uwagi.

Czarodziejka podeszła do Warkocz. Wyraźnie nie bała się fizycznego starcia.

- Zatem... pokonałam cię... - powiedziała Warkocz.

Czarodziejka uśmiechnęła się szeroko.

- Naprawdę sądziłaś, że to się uda, moja droga? Celowo dać się złapać, żeby przedostać się przez moje zabezpieczenia?

Warkocz przełknęła ślinę i sięgnęła do zapasowego pomysłu.

- Ja... no... chciałam dobić z tobą targu. Mam pistolet sygnałowy. Strzela pociskami, które wywołują wybuch zarodników.

- Tak, widziałam.

Czarodziejka wskazała swoje tabliczki patrzące. Jedna z nich nadal przedstawiała *Pieśń Wrony* - a obraz chwiał się, poruszał... zaś z boku obrazu były palce, które go ścisnęły.

Tabliczka Forta, uświadomiła sobie Warkocz. To widok z jego tabliczki, zwrócony na zewnątrz. Czarodziejka wykorzystywała ją, by nas szpiegować.

Zaiste. Gdybym był w pełni władz umysłowych, już dawno bym sobie uświadomił, że protokoły zabezpieczeń domyślnie były wyłączone, przez co dało się je łatwo złamać. Czarodziejka obserwowała przez cały czas, poza tym krótkim okresem, kiedy Fort nie miał tabliczki. Przestała zwracać tak dużą uwagę na *Pieśń Wrony*, kiedy Warkocz opuściła pokład.

- Mój pistolet - mówiła dalej Warkocz. - To mój projekt, nieznanany na morzach. Chcę oddać ci projekty. W zamian za powrót Charliego, mężczyzny, którego kocham.

- I myślisz, że mając do dyspozycji całą tę zaawansowaną technikę, będę zainteresowana twoim pistoletem zarodnikowym? Typem broni, który już jest wytwarzany na kilku morzach na tej właśnie planecie, ale po prostu nie dotarł jeszcze na wasz ocean?

Determinacja Warkocz zdążyła już osłabnąć, a teraz po prostu ją opuściła. Spojrzała na Hucka, który - co dziwne - uniósł w jej stronę łapkę zaciśniętą w pięść. Zachęcał ją.

Działo się tu coś innego, uświadomiła sobie. Coś, czego jeszcze nie pojmowała. Przypomniała sobie wydarzenia, które doprowadziły ją do tego miejsca. Huckowi udało się zażądać od północnego potwora, by zabrał ją na wyspę. Czarodziejka wydawała się zaintrygowana nią i jej załogą. Byli godni dostrzeżenia i obserwowania. Dlaczego?

Hoid, pomyślała Warkocz. Hoid może ją pokonać. Ona obserwowała jego.

Ale gdzie w tym było miejsce Hucka? I dlaczego Czarodziejka prowadziła pogaduszki z Warkocz, zamiast ją uwięzić?

Dziewczyna nie wiedziała, czego spodziewać się w czasie konfrontacji z kobietą. Ale z pewnością nie uprzejmej rozmowy. Czuła się z tego powodu koszmarnie niepewna.

Czarodziejka odwróciła się i podeszła znów do biurka.

– Cóż, dziecko, nie potrzebuję twojej technologii, ale uważam cię za intrygującą. Seslo, otwórz, proszę, komorę więzienną na mostku.

– Jak sobie życzysz – rozległ się monotony głos.

Widzicie, to był duch, który zamieszkiwał to miejsce i wypełniał polecenia jego właścicielki. Tak, zupełnie jak te mówiące umysły zamieszkujące statki, które lądowały na waszej planecie.

Jedne drzwi z boku pomieszczenia trzasnęły głośno i się otworzyły. Za nimi stał Charlie.

Wyglądał na trochę zużytego. Miał na sobie jeden ze swoich oficjalnych strojów, taki, w którym Warkocz widziała go, kiedy musiał pokazać się gdzieś z ojcem, ale pomięty i podarty w kilku miejscach. Poza tym wyglądał dokładnie tak, jak go pamiętała, z włosami, których nie dało się okiełznać, i szerokim uśmiechem.

– Wiedziałem, że przybędziesz. – Podbiegł do Warkocz. – Wiedziałem! Och, Warkocz. Uratowałaś mnie!

W tej chwili uczucia Warkocz były skomplikowane. Jak ten sznur, który zawsze odkładacie równo zwinięty, a ze schowka wychodzi jako coś, co ktoś wykorzystywał, by wymyślić nowe teoretyczne typy węzłów służące do zaginania czasoprzestrzeni.

To był Charlie. Jego widok był niewiarygodny. Sprawił, że Warkocz poczuła się szczęśliwa i pełna ulgi. Radosna, przytłoczona, podekscytowana, wdzięczna – tak, wszystko to razem. Wszystkie emocje, jakich można się było spodziewać, były obecne i rozliczone.

Ale czuła również smutek, którego nie umiała wyjaśnić. (Dojdziemy do tego). A w dodatku niepewność. Podejrzenia. To było to? Naprawdę miała dostać to, czego chciała?

– Wymienię go za te dwa kubki – powiedziała Czarodziejka.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Po prostu zostaw je na półce przy drzwiach.

– Czy on... jest w jakiś sposób zaczarowany?

– A, to. Pewnie powinnam odegrać swoją rolę. No tak.

W świetle mojej lampy,

Chociaż trąci sztafpa,

Wszyscy poczućcie,

Jak zakłęcie zleci.

Barbarzynka. Robi to, żeby mnie zirytować.

Ale Warkocz spodziewała się, że usłyszy właśnie coś takiego. Magiczny nonsens, uspokajająco mistyczny. Charlie uniósł dłoń do głowy, po czym pochylił się i ją cmoknął.

To sprawiło, że uczucia Warkocz zaczęły się kłębić jeszcze bardziej.

– Widzisz, szcurze? – powiedziała Czarodziejka. – Mówiłam ci, czyż nie?

Siedzący na biurku Huck zwiesił łepkę.

– Powiedz to – mówiła dalej Czarodziejka. – Powiedz to, szcurze.

– Miałaś rację – szepnął, niemal bezgłośnie. Zsunął się z biurka i opadł na podłogę. Zniknął.

Warkocz przejęła kontrolę nad emocjami, spoliczkowała je, by zapanowały nad sobą, i kazała im ustawić się w szeregu. Później będzie miała czas się nimi zająć. Na razie podjęła decyzję.

Nadeszła pora, by odejść. Złapała Charliego za rękę, postawiła dwa kubki na półce przy drzwiach, po czym wybiegła na zewnątrz i po schodach w dół.

Charlie przyjmował to wszystko spokojnie i zaczął opowiadać dość nudną historię o dniach spędzonych w niewoli, której nie zamierzam tu do znudzenia powtarzać.

– Och, Warkocz, czy nie będzie miło powrócić do naszego normalnego życia na Skale? – powiedział. – Nie będzie miło powrócić do pasztecików, mycia okien i uprawiania ogródka?

I tam właśnie – na dole schodów, kiedy Warkocz słuchała tych pytań Charliego – zaatakował ją smutek. Widzicie, walczył nieczysto, jak to zwykle robi smutek. Celuje w nerki. Albo w serce.

Charlie wyglądał, jakby wcale się nie zmienił. To dobrze. Martwiła się, że uwięzienie pozostawi blizny na jego umyśle. Ale oto był, jak zawsze pełen energii i ekscytacji. Mógłby udzielać szczeniaczkom lekcji porządnego entuzjazmu. Stary dobry Charlie. Ten sam, co zawsze.

Ale Warkocz nie była już taka sama.

W czasie spędzonym poza Skalą tak bardzo się zmieniła. Odkryła, że paszteciki, mycie okien, a nawet kubki nie obchodzą jej już tak, jak wcześniej. Obchodziły ją zarodniki i to, co mogła z nimi zrobić. Żeglowanie i jej załoga.

To wszystko... to wszystko znaczyło, że nie mogła wrócić do bycia tamtą osobą. Widzicie, to ona miała blizny.

I oto jest! Ironia. Podróż, w którą wyruszyła, by odnaleźć to, czego pragnęła, przeobraziła ją w osobę, która nie umiała się już cieszyć tym zwycięstwem. Spojrzała Charliemu w oczy i jej uczucia się rozstały, kłaniając się przed narastającą melancholią. Koronując ją swoją królową.

W tej chwili, patrząc Charliemu w oczy, pomyślała o kimś innym. O kimś, kto teoretycznie się dla niej nie liczył. To jedna rzecz, co do której zbyt często mylimy się w opowieściach. Udamy, że miłość jest racjonalna, jeśli tylko uda się nam zobaczyć elementy, motywacje.

Charlie uśmiechnął się szeroko. To był taki znajomy uśmiech. Doskonale taki jak on.

Nie uwierzyła w niego. Ten uśmiech posunął się za daleko. Bo ona знаła Charliego.

Warkocz odwróciła się, wbiegła po schodach i wpadła do głównego pomieszczenia, zaskakując Czarodziejkę – która właśnie siadała na krześle. Warkocz krzyknęła:

– To nie jest Charlie!

Czarodziejka się zawahała.

– Lubisz torturować ludzi. – Warkocz wymierzyła palec w kobietę i ruszyła naprzód. – Rzucasz na nich najgorsze klątwy, jakie umiesz sobie wyobrazić, dostosowane do osoby i jej cier-

pień. Nie trzymałaś tu Charliego.

- A co twoim zdaniem z nim zrobiłam?

- Zmieniłaś go w szczura.

Ha! W końcu.

Warkocz szła w stronę Czarodziejki.

– Za każdym razem, kiedy próbowałam skłonić Hucka do opowiedzenia o tym miejscu albo o tobie, jękał się. Szukał słów. Bo zaklęcie uniemożliwiało mu wypowiedzenie słów, które dałyby mi do zrozumienia, że jest Charliem, pod wpływem przekleństwa.

– Skoro tak, to jakim sposobem mógł ci opowiedzieć o obronie tego miejsca? – spytała czarodziejka. – Wiem, że to zrobił. Wiem sporo.

Warkocz zatrzymała się i otworzyła szerzej oczy.

– Ponieważ kiedy mi powiedział... próbował mnie zmusić do trzymania się jak najdalej od tego miejsca... – Skupiła wzrok na Czarodziejce. – Bo moje przybycie tutaj jest sposobem na zdjęcie klątwy, prawda? Na księżyce! Przekleśtaś go i powiedziałaś, że jeśli chce wrócić do normalności, musi przyprowadzić mnie tutaj, do ciebie! Dlatego ze wszelkich sił próbował mnie powstrzymać. Bo... bo mnie kocha.

W pomieszczeniu zapadła cisza, w której rozlegał się tylko jeden dźwięk. Siąkanie nosem.

Warkocz podeszła do biurka i znalazła za nim szczura Hucka. Popatrzył na nią zaczerwienionymi oczami. W przeciwieństwie do sobowtóra, którego dostała, Huck wyglądał kiepsko. Zwinięty w kłębek trząsł się i płakał.

Warkocz uklękła.

– Charlie...

– Przepraszam – szepnął. – Nie chciałem, żeby miała rację. Powiedziała mi, że ostatecznie sprowadzę cię tutaj, żeby mogła się tobą pobawić. Próbowałem nie kierować się jej przepowiednią, ale jestem głupi, Warkocz. Głupi i bezwartościowy. Zaslugujesz na kogoś o wiele lep-

szego. Popatrz na wszystko, co zrobiłaś, a mnie nie udało się nawet zapewnić ci bezpieczeństwa...

– Och, Charlie – szepnęła, podniosła szczura i go przytuliła.

Zadrżał i zacisnął powieki.

Pod wpływem kaprysu czarodziejki biurko odtoczyło się na bok. Stała teraz na samym środku pomieszczenia. Fałszywy Charlie podszedł do drzwi, a Tkanie Światła zniknęło, ukazując istotę, która jedynie trochę przypominała człowieka – gadzią, ze złocistymi oczami i mnóstwem zębów.

Zgaduję, że chciała umieścić na *Pieśni Wrony* kogoś, kto by się mną zajął. Na dobre. Podejrzewam, że zaczynała się niepokoić naszym zakładem. I faktem, że ktoś tak bliski mnie dostał się do jej fortecy, nawet jako więzień.

Czarodziejka nie okazywała tych uczuć. Odrzuciła jednak pozory przyjacielskości. Jej oczy stały się zimne jak lód. Jej wargi się zacisnęły. Nie podobało jej się, że Warkocz przejrzała jej podstęp. Ponadto coś jeszcze ją niepokoiło. Coś, co dla was może być oczywiste. Jeśli nie, za chwilę zostanie wyjawione.

Warkocz nie była tego świadoma, kiedy przytuliła szczura, Charliego. On próbował jej powiedzieć, kilka razy. Kiedy nie mógł wyjawić jej, że ma na imię Charlie, spróbował „Chuck”. Ale kłątwa sprawiła, że udało mu się wykrztusić „Huck”.

– Charlie – szepnęła Warkocz. – Przysłałeś mi kubki.

Spojrzał na nią.

– To było w poprzednim życiu, Warkocz.

– Kocham je. Szczególnie ten z motylem nad morzem. On jest jak my, Charlie. Szybkuje nad miejscami, do których nigdy nie spodziewaliśmy się dotrzeć. I ten z cyny z ołowiem. Taki jak my, Charlie. Mocniejszy i bardziej zwyczajny, niż mamy prawo być.

– Ale ona nas ma. Z mojego powodu ma nas oboje. Powiedziała mi... że jedynym sposobem, żebym się uwolnił, będzie przyprowadzenie do niej osoby, którą kocham, żeby mogła ją przekląć. Powiedziała, że każe mi patrzeć. Na księżyc, to była udręka, przyglądanie się, jak podpływasz coraz bliżej. Powinienem wyskoczyć za burtę. Wtedy nigdy byś się nie dowiedziała, jak dotrzeć do środka...

Urwał, kiedy uniosła go przed sobą i spojrzała mu w oczy.

– Charlie – szepnęła. – Ja tego chcę.

– Ja...

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś? Zanim się rozstaliśmy?

– Zawsze – szepnął. – Zawsze... to, czego pragniesz.

– Chcę tego. Być z tobą.

Spojrzał jej w oczy i odnalazł w nich siłę wystarczającą dla dwojga. A później przechylił głowę. Jednocześnie zaświtała im obojgu jedna myśl.

– Charlie... jeśli sposobem na zdjęcie twojej kłątwy było przyprowadzenie do Czarodziejki osoby, którą kochasz, to dlaczego wciąż jesteś szczurem? Czy to dlatego... Czy kochasz kogoś jeszcze?

– Nie! To ty. Ale...

- To dlatego, że jeszcze cię nie przeklęłam - powiedziała Czarodziejka za ich plecami. - Jego udręka może się skończyć jedynie, jeśli sprowadzi cię do mnie w tym określonym celu.

Warkocz podniosła się, trzymając Charliego na dłoni, i spojrzała na Czarodziejkę - która wydawała się inną osobą. Ten sam kształt. Inna dusza. Żadnej jowialności. Miał tego zimny potwór. Niektórzy uczeni twierdzą, że kiedy ktoś zostaje nieśmiertelny tak jak Czarodziejka albo ja, jego dusza zostaje zastąpiona czymś innym. To jak proces przeobrażania w skamieliny.

W tym przypadku zamiast duszy kobieta miała czysty lód. Któremu jej serce nie pozwalało się ogrzać ani stopić.

W obliczu tego Charlie - który w czasie tej podróży sam się zmieniał każdego dnia - przemówił.

- Mylisz się - powiedział cicho. - Wciąż jestem szczurem i nim pozostanę. Bo aby moje przekleństwo zostało przełamane, muszę przyprowadzić ją do twojego domu i wymienić ją na swoją wolność. W drodze uświadomiłem sobie, że nie zrobiłem tego. Przyprowadziłem ją, Czarodziejko, ale nie na wymianę. Nie po to, by została przeklęta. Przyprowadziłem ją, by cię pokonała.

- Zdziwiająca - stwierdziła Czarodziejka. - Nie dałam ci szczerzej inteligencji, ale wygląda na to, że przyjąłeś ją z własnej woli. Nie może mnie pokonać...

Na biurku zapłonęła czerwona lampka.

Kilka innych lampek pojawiło się na ścianach. I kolejne. Czarodziejka obróciła się na pięcie, zaskoczona, rozkazując duszy jej budynku by pokazała jej, co uruchomiło alarmy. W powietrzu przy ścianie pojawił się duży ekran, przedstawiający statek przebijający się przez kipiące północne zarodniki.

Jak mówiłem, nie zwracała dość uwagi. Gdyby to robiła, mogłaby się tego spodziewać.

Bo przybyła *Pieśń Wrony*.

Jak?

Cofnijmy się w czasie o dzień. Do załogi, która czekała na bezpieczny powrót Warkocz. Doug pełniący służbę na szczycie grotmasztu zauważył – przez lunetę – kiedy Warkocz została pojmana. Zsunął się na dół, żeby o tym opowiedzieć.

To postawiło załogę w trudnej sytuacji. Co mieli zrobić? Nie mogli ruszyć w pogoń przez Północne Morze, prawda? Te same potwory, które pojmały Warkocz, dopadłyby również ich. Może powinni zawrócić i spróbować uciec przez Szkarłatne na bezpieczniejsze zarodniki? Warkocz powiedziała, że tego chce.

Tymczasem zwołali nadzwyczajną naradę. I pojawiło się rozwiązanie. Zaproponowane przez Forta.

To była jego szansa, by uzyskać tytuł największego łowcy wśród jego ludu. Szansa na polowanie na potwory stworzone z północnych zarodników. Inni wysłuchali jego planu, po czym udali się do Dougów, by im go zaproponować. Załoga zagłosowała jednogłośnie za, poza Lagartem.

I tak oto wypłynęli na Północne Morze. Piętnaście minut później zjawily się pierwsze północne potwory. Trzy z nich wślizgnęły się na pokład, całkowicie odporne na zwyczajne bronie, szukające ciepłych ciał i krwi, którymi mogłyby się pożywić. Płynu, wody. Śmierci.

Tymczasem znalazły potężnego mężczyznę stojącego pośrodku pokładu i otoczonego beczkami z wodą. A nad każdą z nich wisiąca na sznurku baryłka zarodników.

Witajcie napisał do trzech potworów – a Ann wypowiadała jego słowa na głos, na wypadek gdyby istoty nie umiały czytać. Mam dziś dla was doskonałą propozycję.

Stwory prześlizgnęły się bliżej, kierując się w jego stronę. W odpowiedzi Fort sięgnął do jednej z baryłek, gotów ją odciąć.

Ostrożnie ostrzegł, kiedy Dougowie postąpili podobnie. Nakarmimy całą tą wodą te inne zarodniki i dla was już nic nie pozostanie, jeśli nie zachowacie ostrożności.

Potwory północy się zatrzymały. Nie potrzebowały słów, bo wyczuwały, co ktoś mówił lub miał na myśli. Ich esencja sięgała do ludzi w poszukiwaniu więzi Luhel. I dlatego to, co mówił Fort, w jakiś sposób do nich docierało.

Komunikowały się między sobą, machając mackami. A Fort... cóż, rozumiał. Nie dlatego, że znał inny język gestów, ale dzięki tej samej więzi. One chciały dostać wodę. Ale na statku były źródła krwi, która też się nada.

Ostrzeżenie. Wskazał na resztę załogi, które zebrała się z bronią na rufie. Jeśli się nie zatrzymacie, wyskoczą za burtę i nakarmią swoją wodą zarodniki. Inne zarodniki. Nie was.

To w końcu dotarło do istot. Miały zagwozdkę. Tyle wody. Ale... jeśli nie będą ostrożne... wszystko trafi do kogoś innego.

Fort uderzył dłonią w beczkę z wodą, a później drugą zrobił znaki – znaki, które istoty rozumiały dzięki więzi.

«Mogę nakarmić was tym wszystkim. Wszystko to dla waszej trójki».

«Jak?» odpowiedziały znakami. «Czego potrzeba, żebyśmy mogli jeść i pić i rozkwitać i pić i pić?».

«Chrońcie nas, kiedy popłyniemy w głąb morza» powiedział Fort.

Jak mówiłem, wykorzystywanie samoświadomych magicznych istot jako strażników ma pewną wadę. Ten proces był efektywny, pozwalał Czarodziejce wysyłać je w dużej liczbie, choć nie mogła im poświęcić zbyt wielkiej uwagi.

Ale etery północy są nienasycone. Zaś ich wrodzoną naturą jest wymiana. Wypełnianie rozkazów człowieka w zamian za wodę i kształt. To sprawia, że są podatne na wpływ kogoś, kto rozumie mechanikę magii – i ma smykałkę do handlu.

I tak oto, wykorzystując współrzędne na mapie, które Warkocz udało się wyciągnąć ode mnie, *Pieśń Wrony* przybyła na wyspę zaledwie pół godziny po Warkocz. Gotowa uratować swoją kapitan.

Okazało się to właśnie takim odwróceniem uwagi, jakiego potrzebowała w tej chwili dziewczyna. Ponieważ Czarodziejka, zauważywszy nowo przybyłych, musiała przebudzić swoją obronę. Zaczęła wykrzykiwać rozkazy – przez chwilę ignorując Warkocz i Charliego.

– Przyszli po mnie – powiedziała Warkocz. – Ci piękni głupcy. Powinni trzymać się z dala!

– Tak samo jak ty powinnaś trzymać się z dala? – spytał Charlie. – Zamiast przyjść po mnie?

Warkocz patrzyła, jak siedział na jej dłoni, i w oczach miała łzy. I wtedy zaczęły się pierwsze pomruki lawiny. Uświadomiła sobie, że to ona była głupcem. Nie dlatego, że przyszła po Charliego – ale ponieważ chciała powstrzymać innych od podążenia w podobny sposób za głosem serca.

– Musimy coś zrobić – szepnęła. – Muszę ich ostrzec przed skałami pod zarodnikami. Musi istnieć sposób, by z nimi porozmawiać.

Oboje spojrzeli na biurko Czarodziejki – a dokładniej na magiczną tabliczkę, która pokazywała obraz z podobnej należącej do Forta. I kiedy Czarodziejka budziła swoje armie, Warkocz i Charlie złapali tabliczkę i wpatrzyli się w nią. Próbując się zorientować, jak się nią posługiwać.

– Yyy – zaczął Charlie. – Tabliczko? Czy mogłabyś pozwolić nam porozmawiać z ludźmi, których nam pokazujesz?

– Tryb wideokonferencji uruchomiony! – powiedziała tabliczka, szczęśliwa, że może się na coś przydać.

Fort, który trzymał tabliczkę, wstał z krzesła. Przez całą noc pił wodę i karmił nią – poprzez więź – trzy potwory. Był więc jednocześnie zmęczony i czuł się nieco dziwne, bo udało mu się wypić kilka beczek, a nie odczuwał żadnych skutków.

Mimo to przybycie do celu go ożywiło i odesłał potwory północy – które po wzmocnieniu więzi były teraz całkowicie pod jego kontrolą – by walczyły z tymi, które próbowały dostać się na statek. Jego zawsze wygrywały te walki, rzecz jasna, bo miały o wiele więcej wody, dzięki której mogły budować nowe elementy ciała z zarodników, jeśli zostały ranne.

Tak czy inaczej, miał chwilę spokoju. I mógł przechylić głowę, wpatrując się w tył tabliczki, który zamiast słów pokazywał teraz Warkocz i szczura, kulących się blisko kamery po drugiej stronie.

– Forcie? – spytała Warkocz. – Widzisz nas?

Słowa przesunęły się po ekranie, zasłaniając nieco widok.

Widzę! wystukał, a słowo pojawiło się pod ich słowami, ale z drugiej strony.

Fort machnięciem ręki przywołał pozostałych i po chwili dołączyły do niego Ann i Salay. Nawet ja się zbliżyłem, zaciekawiony.

– Kapitan? – spytała Salay. – Pani kapitan! Dobrze się czujesz?

– Jesteśmy w więzy – szepnęła Warkocz. – Jak przeżyliście zarodniki? Nie, nieważne. Wyjaśnicie później. Salay, musicie uważać. Morze tutaj jest pełne skał pod zarodnikami. Są wyjątkowo niebezpieczne!

– Będę na nie uważała – zgodziła się sterniczka. – Dziękuję.

– Nie powinniście tu przybyć – powiedziała Warkocz. – Jeśli spróbujecie przepłynąć przez te skały, utoniecie.

Cała trójka zmarszczyła czoła. Następnie Salay zadała proste pytanie:

– Czy rozkazujesz nam zawrócić?

Zamierzała to zrobić?

Potrafiła to zrobić?

Odważyłaby się?

W tej właśnie chwili podjęła decyzję. Kamień przesunął się i lawina przemian, która narastała w Warkocz, runęła.

– Nie – szepnęła. – Proszę, pomóżcie mi.

Cała trójka uśmiechnęła się szeroko. Podrapałem się po głowie. Bo miejsce, które widziałem za plecami Warkocz, wyglądało dla mnie trochę znajomo.

– Zrobimy to – powiedziała Salay. – Nadchodzimy.

- Nie zróbcie sobie krzywdy! - poprosiła Warkocz.

- Pani kapitan - stwierdziła Ann - ocalimy cię. Bo zasługujesz na to. Pamiętasz, kiedyś powiedziałaś mi coś, co sprawiło, że zaczęłam zupełnie inaczej postrzegać świat.

- To znaczy? - spytała Warkocz.

- „Masz, załóż te okulary”.

Ann napisał Fort to było prawie tak samo złe, jak jeden z żartów Hoida.

- Ale to nie był tylko żart. - Ann postukała w okulary. - To prawda. Widzę nowy świat. Świat, w którym nie jesteśmy już potępieni. Świat, w którym mamy przyszłość.

- Wiesz, że nie jestem Królewską Maską - zauważyła Warkocz. - Nie mogę skłonić go, żeby was ułaskawił.

- Znajdziemy inny sposób. - Ann spojrzała na pozostałych, którzy pokiwali głowami. - Bo kiedy już podejmiemy do Czarodziejki i wydostaniemy się... cóż, sądzę, że po tym będziemy zdolni do wszystkiego.

Cała trójka pokiwała głowami i Warkocz poczuła się przytłoczona. Ich lojalnością, swoją własną (w końcu) gotowością, by przyjąć pomoc. Przez...

Chwileczkę.

Wśród lawiny uczuć Warkocz coś się wyróżniało. A pojawiło się, kiedy zobaczyła, jak stoję z pozostałą trójką i usiłuję wydłubać nos językiem.

Jej myśli były ciekawostką - moglibyście powiedzieć.

Objawieniem - tak powiedziałbym ja.

- Hoid - powiedziała Warkocz. - Hoid nie mógł wskazać drogi do Czarodziejki. Musieliśmy zgadywać, pokazując mu inne miejsca. O nich wszystkich mógł opowiadać...

I? zachęcił Fort.

- I zakładałam, że to dlatego, że nie może rozmawiać o przekleństwie. Ale zdjęcie klątwy Charliego wymagało, żeby do niej wrócił. Jeśli Hoid nie mógł wskazać nam drogi tutaj, przynajmniej w sposób zamierzony, to być może sposób na jego przekleństwo też wiąże się z jego przybyciem tutaj.

Spojrzała na podłogę.

Mapa świata.

„Musisz sprowadzić mnie na swoją planetę, Warkocz”.

- Tak... - szepnął Charlie. - Hoid mógł mówić o tym, że został przeklęty, skoro i tak wiedziałaś, co się z nim stało. Powinien móc swobodnie wspominać o Czarodziejce i jej wyspie. Ale skoro nie mógł? To sugeruje, że mogłoby to pomóc w zdjęciu jego klątwy. Rozwiązanie musi się wiązać z powrotem do wieży Czarodziejki. Przeżyciem jej prób... Warkocz, to ma sens!

Spojrzała w stronę pozostałych i otworzyła szerzej oczy.

- Musicie przyprowadzić go tutaj. Do tego pomieszczenia.

- Chłopca okrętowego? - Ann zmarszczyła czoło.

- Pani kapitan? Jesteś pewna? - spytała Salay.

- Tak. Proszę. Przyprowadźcie go do mnie. Wiem, że to trudne, ale proszę.

- Cóż, skoro taki wydałaś rozkaz... - powiedziała Salay.

- Nie róbcie tego, bo to rozkaz. Zróbcie to, bo mi ufacie.

Pozostali pokiwali głowami. Ufali jej. I dobrze, bo Czarodziejka zauważyła, co robi Warkocz. Spojrzała z wściekłością i wypowiedziała krótki rozkaz, przerywając komunikację. Uniosła dłonie w powietrze, a jej palce pozostawiały za sobą ślady światła, gdy tworzyła potężne runy. Kiedy ukończyła je teatralnym gestem, wystrzelił z nich strumień światła, który rzucił Warkocz na ścianę i przytrzymał ją tam.

Rozległ się trzask i brzęk, kiedy dwa kubki spadły z półki. Ten z motylem się rozbił. Drugi się odbił i dorobił nowego wgniecenia.

Czarodziejka wróciła do mobilizowania armii. Charlie - który został upuszczony, kiedy Warkocz uderzyła o ścianę - podniósł się, podbiegł do niej i wspiął się po jej ubraniu. Próbował przegryźć linie światła, by ją uwolnić. Dało to mniej więcej tyle, ile się spodziewacie.

- Charlie - szepnęła Warkocz.

Spojrzał na nią sfrustrowany, że linie światła są tak silne.

- Ja... przepraszam, Warkocz. Nie możesz na mnie polegać. Jestem bezużyteczny. Znów cię zawodzę. Ja...

- Charlie, jest coś, co chciałam ci powiedzieć. Żałuję, że nie zrobiłam tego wcześniej, więc powiem to teraz, choć pewnie to bardzo kiepski moment. Kocham cię.

- Ja czuję to samo. Też cię kocham.

- Dobrze. Wyszłoby bardzo niezręcznie, gdyby się okazało, że jest inaczej. - Szarpnęła się w więzach, po czym spojrzała na *Pieśń Wrony* na ekranie, żeglującą w stronę wyspy. - Proszę, Charlie. Nie znoszę się narzucać. Ale jeśli będą się przebijać przez obronę, nie dotrą do wieży, by nas ocalić.

Nagle coś sobie uświadomił.

- Ja... ja mogę otworzyć im drzwi, Warkocz. Mogę to zrobić.

- Jeśli nie sprawi ci to zbyt wielkiego kłopotu.

Tak, zmieniła się. Ale nawet wielkie wydarzenia zmieniają nas tylko po odrobinie, a ona wciąż była Warkocz.

Charlie spojrział w stronę otwartych drzwi pomieszczenia, za którymi znajdowały się schody prowadzące na dół do drzwi zewnętrznych. Gdzie krążył kot Czarodziejki.

- Dla Hucka byłoby to być może zbyt przerażające. Ale sądzę, że ogrodnik Charlie jest silniejszy. - Tracił nosem policzek Warkocz. - Dziękuję - powiedział ciszej. - Za to, że po mnie przyszłaś. Żałuję, że nie mogłem powiedzieć ci wcześniej.

Po czym zeskoczył, by wypełnić swoją misję.

Czarodziejka nie była wściekła. Jeszcze nie.

Ani nawet przestraszona. Jeszcze nie.

Głównie była zirytowana. I, trzeba przyznać, odrobinę zaniepokojona.

Myślała, że się mną zajęła. Kiedy wyruszyłem na Szkarłatne, obserwowała, jednak nie z obawy, że rzeczywiście uda mi się dotrzeć do jej wieży, ale ponieważ lubiła patrzeć na moje problemy. Myślała, że może wyląduję na dnie oceanu, i uznała, że ten widok by ją uradował.

A tymczasem jakimś cudem przybyłem. Z pewnością nie mogłem pokonać jej obrony, nie na zwykłej łodzi. Nie spodziewała się jednak, że przeplnę Szkarłatne ani że pozęgluję po Północnym. Zakładała, że to ja, wbrew wszelkim przeszkodom, jakimś sposobem umożliwiłem statkowi przetrwanie tych wszystkich niebezpieczeństw. Nie uświadamiała sobie, że moją największą przewagą nigdy nie był mój nadzwyczajny intelekt.

Nie, jest nią moja umiejętność znalezienia właściwych ludzi i trzymania się blisko nich.

W tej właśnie chwili mocno ścisnąłem burtę *Pieśni Wrony* – na pokładzie rufowym, w pobliżu stanowiska sterniczki. Ukradłem malutki kapeluszek piracki Hucka, bo uznałem, że on na niego nie zasługuje. Co, ściśle rzecz biorąc, było błędnym podejściem. Czy naprawdę możecie się złościć na pirata, że wbił wam nóż w plecy?

Na mnie wyglądał znacznie gorzej. Zatem oczywiście nosiłem go przymocowany. Uśmiechałem się, szczerząc zęby, miałem wiatr we włosach i szeroko otwarte oczy – bo uznałem, że w ten sposób może wyschnąć i przestanie mrugać.

Salay przekręciła koło sterowe. Wykrzyknęła rozkazy do Dougów, którzy czynili cuda z żaglami. Czarodziejka była bardzo pewna swojej obrony. Przekonana, że nikomu nie uda się przepłynąć między skałami i dostać się na jej wyspę.

Nie spodziewała się kobiety takiej jak Salay. Kobiety, która żeglowała z ostatnim listem ojca w kieszeni, świadoma, że jeśli zginie na tym morzu, on na zawsze pozostanie uwięziony za długi. Kobiety, która właśnie odzyskała cel w życiu. Kobiety, która postawiła na Warkocz i w zamian zyskała życie swojej załogi.

Kobiety, która nie cofnęłaby się, kiedy chodziło o życie jej przyjaciół. Módlcie się, by choć raz w życiu spotkać taką kobietę. A później módlcie się, byście zdążyli wystarczająco szybko zejść jej z drogi.

Ścisłała koło, kiedy drewno skrzypiało, stawiając swoją wolę przeciwko zarodnikom, i przepłynęła obok skał. Nie mrugając. To ostatnie zrobiło na mnie duże wrażenie.

– Dlaczego? – Ann weszła po schodach, trzymając się balustrady. – Hoidzie, dlaczego Warkocz ma ten dziwny pomysł, że możesz ją ocalić?

– Pewnie dlatego, że właśnie uświadomiłem sobie, że powinienem zainteresować się malarstwem! – krzyknąłem ponad szumem wiatru i zarodników. – A Czarodziejka będzie przeżona moim talentem!

– Jesteś taki irytujący! – powiedziała Ann.

– Nonsens. Twoja kajuta, Ann! Przydałoby się ją trochę ustroić. A jeśli stroiki nie są w twoim guście, to może obrazy psów w kapeluszach? Och! – Spojrzałem na nią oszalałym wzrokiem, kiedy fala czarnych zarodników rozbiła się obok mnie, gdy statek skręcał pod niemal niemożliwym kątem. – Och, wpadł mi właśnie do głowy doskonały pomysł. Mógłbym malować obrazy na aksamicie.

– Dlaczego, na tylną stronę Zielonego Księżyca, miałbyś robić coś takiego?

– Żeby miały jakąś fakturę, kiedy będziesz je lizać, to oczywiste. Naprawdę, powinnaś się zastanowić, nim zaczniesz zadawać głupie pytania, Ann.

I ona naprawdę powinna to przemyśleć. Być może nie zadawała głupich pytań, ale zadawanie pytań głupim jest niemal równie daremne.

Salay była tak bardzo skupiona, że nie słyszała rozmowy. W wieży Czarodziejka zatrzymała się i obserwowała, jak statek prześlizguje się między skałami, zbliżając się coraz bardziej. Nad statkiem żaglowym trudno zapanować – jestem pewien, że niektórzy z was o tym wiedzą. Często człowiek nie tyle steruje, ile unosi się na falach, wietrze i prądach. Prędkość jest niezbędna do manewrowania, ale ruch to jednocześnie wróg i sojusznik. Za mało i nie da się dokończyć zwrotu. Za dużo, i łąduje się na skałach.

Tego dnia jednak wydawało się, że statek nie słuchał fal ani wiatru, zarodników ani łań. Statek był posłuszny Salay i przez tę krótką transcendentną chwilę mieliśmy wrażenie, że w ogóle nie jesteśmy na statku. Unosiliśmy się na jej objawionej sile woli, ocale unikając skał i przechylając się na boki tak bardzo, że kilka razy byłem pewien, że wywrócimy się do góry dnem. Salay instynktownie wyczuwała, gdzie były te skały, oceniając to po sposobie, w jaki kłębiły się zarodniki. I robiła to wszystko wpatrzona przed siebie i skupiona na celu.

Ku zadziwieniu Czarodziejki wydostaliśmy się spomiędzy skał i wplynieliśmy do niedużej zatoki. Pokręciła głową i przeszła od irytacji do szczerzego zaniepokojenia. Za jej plecami Koronka – kot – wrzasnął i skoczył, zmuszając zaniepokojonego Charliego do powrotu do pomieszczenia. Szczur spróbował znów zbiec po schodach, ale znów został powstrzymany.

Czarodziejka wydała kolejny rozkaz i jej grupa metalowych ludzi pomaszerowała naprzód, gotowa do walki. Oni z pewnością położą kres tej farsie. Zawsze byli jej najpewniejszą linią obrony.

– Mistrzu artylerii! – powiedziała Salay na statku. – Przygotuj broń!

To oznaczało Ann. Pośpieszyła na dziób statku do swojej armaty. W końcu dostała szansę. By potwierdzić swoją wartość, w taki czy inny sposób.

Przez te ostatnie dni ćwiczyła wystarczająco, by poczuć niepokój. Nie miała już nadnaturalnych problemów z celowaniem, ale to nie znaczyło, że była dobra. Naprawdę, ale to naprawdę się tym martwiła. Oraz tym, że choć przez całe lata marzyła o tym dniu, nagle wszystko zależało właśnie od niej.

Na brzegu metalowi żołnierze maszerowali w szeregach, w reakcji na rozkaz Czarodziejki. W kolorze wypolerowanego brązu, wysocy na siedem stóp i uzbrojeni we włócznie z błyszczącymi grotami wyglądali naprawdę przerażająco. Ich instrukcje (starannie przekazane przez Czarodziejkę, kiedy Oddechcy nadały im życie) były skomplikowane, staranne i drobiazgowo.

Byli o wiele lepszymi sługami niż zwiadowcy Esencji Północy. Kiedy pełnili służbę, tworzyli barierę uniemożliwiającą przybicie do brzegu. Nawet stojąc na pokładzie, z wilgotną łaską strzelniczą w rękę, Ann widziała, dlaczego królewskie oddziały nigdy nie miały szczęścia w walce z nimi. Kule z muszkietów musiały się od nich odbijać, a kule armatnie... cóż, mogły obalić jedną z istot i być może zostawić wgniecenie. Ale ona wkrótce i tak by się podniosła.

Alle projekty Warkocz – one musiały zadziałać. Ręka Ann drżała, kiedy wcisnęła łaskę do armaty i wyrzuciła kulę armatnią. Metalowi ludzie nawet nie drgnęli. Częściowo dlatego, że kula poleciała w bok, uderzyła o drzewo, odbiła się od skał i zniknęła wśród zarodników.

Pocąc się ogromnie ze stresu, Ann załadowała kolejną kulę. Nie odwróciła się i nie spojrzała na załogę. Wiedziała, co myślą. Problemem Ann był nie tylko wzrok. Coś jeszcze było z nią nie w porządku.

I miała rację.

Alle nie był to pech ani mistyczna klątwa. Było to coś o wiele bardziej przyziemnego, ale równie zgubnego. Nie trafiła z powodu impetu.

W życiu istnieje siła przeciwstawna do lawiny, którą czuła teraz Warkocz. Widzicie, zawsze istnieje przeciwieństwo. Odpychanie na każde Przyciąganie, jak ciągle powtarza mój stary adwersarz. Czasami chwile w naszym życiu zbierają się razem i stają się niepowstrzymaną siłą, która sprawia, że się zmieniamy. Ale w innych sytuacjach stają się niemożliwą do pokonania górą.

Każdemu czasem zdarza się spudłować. Ale jeśli jesteście znani jako osoba, która nie trafia – jeśli uczynicie to częścią siebie – cóż, nagle każde pudło staje się kolejnym kamieniem na tej stercie. Zaś każde trafienie zostaje zignorowane. W końcu zmieniacie się w Ann – z drżącą ręką, potem spływającym po twarzy, ściśniętą niewidzialnymi, ale bardzo realnymi szponami samospełniającego się zdecydowania. Wtedy zaczynacie pudłować nie dlatego, że nie umiecie celować albo macie słaby wzrok, ale ponieważ drżą wam ręce i pot spływa po twarzy.

I ponieważ pudłowanie jest dla was typowe.

Bojąc się tego, co niegdyś kochała, Ann uniosła laskę do boku armaty. Przerwał jej spokojny głos.

- Wstrzymaj ostrzał, marynarzu Ann – powiedział Laggart, trzymając jedną rękę na forsztaku, by zachować równowagę, kiedy wpatrywał się w brzeg.

Ann się zawahała.

- Trzy stopnie na rufę i jeden do góry, marynarzu Ann – powiedział Laggart spokojnym i stanowczym głosem.

Zawahała się jedynie na chwilę, po czym zaczęła ustawiać armatę zgodnie z jego wskazówkami. Statek wciąż kołysał się na niewielkich falach zatoki, poruszając się wzdłuż brzegu.

- Czekaj – powiedział Laggart, kiedy umieściła laskę na swoim miejscu. – Czekaj. STRZAŁ!

Wybuch zarodników i energii wypchnął kulę armatnią. Jak Ann to sobie wyobrażała, pocisk trafił jednego z metalowych ludzi w pierś i obalił go, ale go nie zniszczył. Jednakże pędy, które wypadły na zewnątrz, chwyciły i objęły wszystkich metalowych ludzi w pobliżu.

Oni z kolei byli całkowicie zdezorientowani. Na statku Ann zrobiła krok w stronę swojej góry i odkryła, że jest sporo niższa, niż sobie wyobrażała.

- Przeładuj i przestaw – powiedział Laggart.

- Przeładowuję i przestawiam, sir! – Ann poruszała się ze sprawnością, która zrobiłaby wrażenie na każdym oficerze marynarki.

- Dwa stopnie do góry – powiedział Laggart.

- Dwa stopnie do góry! I jeden na bakburcie!

- Ano – przyznał z zaskoczeniem Laggart. – I jeden na bakburcie. Teraz czekaj. Czekaj...

- Strzał! – powiedziała Ann w dokładnie tej samej chwili, co on.

Ten pocisk również trafił do celu i pochwycił kolejną grupę metalowych ludzi.

- Przeładowuję i przestawiam, sir! – wykrzyknęła Ann, zanim Laggart zdążył wydać ten rozkaz. Błyskawicznie wypuściła kolejny pocisk. Spojrzała na mężczyznę, oddychając szybko.

- Pieknie dobre strzały. – Laggart pokiwał głową. – Pieknie dobre. Asystentko mistrza artylerii.

Stojąc na szczycie swojego wzniesienia, Ann była zaskoczona tym, jak bardzo malutkie się wydawało.

Tymczasem w więzy Warkocz nadal była uwięziona.

Było to upokarzające, owszem, ale jakimś sposobem... jednocześnie satysfakcjonujące? W tym sensie, że tego właśnie się spodziewała.

Od chwili, kiedy opuściła Skałę, oczekiwała malowniczej porażki. Wyruszyła nie dlatego, że spodziewała się odnieść sukces, ale ponieważ coś trzeba było zrobić. I choć w czasie jej wyprawy wiele rzeczy poszło nie tak, zawsze jakoś udawało się jej sprawić, by jednak poszły tak, jak trzeba.

Uważała powtarzalność swoich sukcesów za niemal niepokojąco konsekwentną. Podobnie jak wy, gdybyście ciągle wyrzucali szóstki, zaczęlibyście się martwić, że coś jest nie tak z kostką. Porażka w tym miejscu, zostanie pojmaną, unieruchomioną i niezdolną zrobić cokolwiek...

Cóż, nie była szczęśliwa z tego powodu. Ale częściowo czuła ulgę. W końcu się to wydarzyło. Tak jak powinno. Nie była Królewską Maską ani piratką. Była pomywaczką. Z włosami, którym naprawdę przydałoby się ściągnięcie z powrotem w kucyk, bo w tej chwili ledwie przez nie widziała. Niestety, więzy Czarodziejki unieruchomiły jej dłonie w tych świetlistych pasmach, przyciskając je do ściany.

Przez włosy mogła obserwować irytację Czarodziejki, kiedy armaty całkowicie unieruchomiły jej wojska. Coś takiego nie miało prawa się wydarzyć. Zaprojektowała ludzi, by wytrzymali ostrzał armatni. Mogli pomaszerować prosto przez ocean i mieli nawet haki, które pozwalały im wejść na pokład statków – często najpierw przebijali ich kadłuby od spodu.

Byli odporni na zasadniczo każdą broń dostępną dla kultury epoki preindustrialnej. Przeróżający, niszczycielscy, zabójczy.

Ale nie wiedzieli, co zrobić z pędami.

Nawet na wół świadomy konstrukt w rodzaju Przebudzonego żołnierza opiera się na instrukcjach. Są o wiele bardziej elastyczni niż coś kierowanego tradycyjnym programem komputerowym, ale nie są też do końca żywi. A ci, skonfrontowani z przytrzymującymi ich pędami, zostali zbici z tropu.

Instrukcje kazały im nie bać się broni, którymi posługiwali się intruzi. Dlatego próbowali maszerować naprzód. Kule armatnie wciąż wybuchały wokół nich, wypuszczając kolejne pędy. Kiedy metalowi mężczyźni zostali unieruchomieni, zgodnie z instrukcją mieli wezwać wsparcie. Normalnie była to całkiem rozsądna komenda.

W tym przypadku jednak sprawiała, że w całej grupie zapanował chaos. Na przemian próbowali to pomaszerować na statek, to uwolnić siebie nawzajem, to znów zastygali nieruchomo, kiedy usiłowali zdecydować, co zrobić, kiedy żadna z tych dwóch rzeczy nie była możliwa.

W skrócie, kule armatnie zadziały.

Błogosławione księżycy, zadziały.

Mimo sytuacji, w której się znajdowała, Warkocz nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy zobaczyła, że jej projekty unieruchomiły cały legion rzekomo niepowstrzymanych wrogów.

Charlie wspiał się po jej nodze i złapał ją za spodnie, a poniżej krążył kot. Szczur dyszał z wysiłku.

– Ja... mam drobne problemy z tą bestią.

– Nic się nie stało, Charlie. – Warkocz nadal obserwowała ostrzał armatni.

– Hej, nie płacz. Prawo morskie tego zabrania.

– Przepraszam – powiedziała, kiedy wybuchła kolejna kula armatnia, a jej pędy wysunęły się jak plugawa hybryda ośmiornicy i świeżo skoszonej trawy. – Po prostu... one są piękne.

Po krótkim czasie załoga znalazła się na brzegu i przebiegła obok unieruchomionych oddziałów. Natarcie prowadził Fort, niosąc mnie nad głowę. Będę udawał, że robił to w godny sposób.

Ale gdyby Charlie nie otworzył drzwi, zostaliby uwięzieni poza wieżą. I historia skończyłaby się w tym miejscu.

Warkocz spojrzała na Charliego.

– Przepraszam. Że w końcu zostaliśmy pojmani. Mówiliśmy, że tak się stanie, prawda?

Pokiwał łebkiem.

– Ale Warkocz, pamiętam inną część tej rozmowy. Coś o lśniącej zbroi.

– Wątpię, żeby robili zbroje w rozmiarze dla szczura, Charlie.

Charlie zobaczył coś na podłodze. Zmrużył oczy.

– Odwróć jej uwagę – poprosił.

Następnie sięgnął po każdą uncję odwagi, która mu jeszcze pozostała – nie było jej dużo, ale kiedy ma się tak małe ciało, odwaga (podobnie jak gorzała) starcza na dłużej, niż można się spodziewać.

Charlie skoczył. Kot natychmiast rzucił się w pogoń i ruszył na szczura, który pędził w stronę czegoś leżącego na podłodze w pobliżu schodów.

Duży kufel z cyny z ołowiem.

Czarodziejka skupiła się na obronie wieży. Mogłaby się domyślić, co się dzieje, gdyby Warkocz nie spełniła prośby Charliego.

– Czarodziejko, słyszałaś te opowieści? O pysznym dziewczęciu, które zostało pojmane?

– Myślisz o swoim losie? – Czarodziejka nigdy nie przegapiła okazji, by sprawić trochę bólu. – Myślisz o tym, że przebyłaś całą tę drogę i skończyłaś w kajdanach?

– Owszem. A kiedy tak o tym myślę... cóż, w rzeczywistości nie jest aż tak źle.

– Nie aż tak źle! – Czarodziejka podeszła bliżej, ignorując dochodzący z tyłu brzęk, jakby czegoś metalowego spadającego po schodach. – Moja droga, jesteś bezsilna! Chciałaś ocalić swojego ukochanego, ale nie umiesz ocalić siebie! Uważałaś się za potężną piratkę, ale oto jesteś u końca swojej wyprawy. Skończyłaś jak każda dziewczyna z opowieści. I musisz zostać uratowana.

Zatrzymajcie tę chwilę.

Wyobraźcie ją sobie: szczur Charlie, wirujący w powietrzu wewnątrz kubka z cyny z ołowiem, który odbija się od kolejnych stopni. Obserwowany z góry przez skonsternowanego kota, którego pacnięcie łapą sprawiło, że kubek zaczął koziołkować.

Fort, Ann i Salay zbliżający się do wieży, ze mną niesionym wysoko.

Warkocz. Spętana świetlistymi więzami. Przyciśnięta do ściany.

Pewna siebie.

– Te opowieści zawsze coś pomijają – powiedziała Warkocz. – To wcale nie jest problem, że ktoś musi zostać ocalony. Każdy potrzebuje pomocy. Ciężko jest być osobą, która sprawia kłopoty, ale tak naprawdę każdy sprawia kłopoty. Jak mielibyśmy komukolwiek pomóc, gdyby nikt nigdy nie potrzebował pomocy?

– A ty? – Czarodziejka zaczęła kreślić runy w powietrzu. – Ty dostaniesz naprawdę niezłą kłatwę, mówię ci. Oszczędzałam ją na szczególną okazję. Następne kilka dziesięcioleci przeżyjesz w udręce, dziecko.

Na dole w korytarzu rozległ się cichy głosik:

– Magiczne drzwi, otwórzcie się, proszę!

– Ciesz się, którą pomijają opowieści – powiedziała Warkocz, kiedy runy Czarodziejki utwożyły jaskrawą ścianę – jest wszystko, co wydarzyło się wcześniej. Widzisz, odkryłam, że w potrzebowaniu pomocy nie ma nic złego. Jak długo przeżyło się swoje życie jako osoba, która zasługuje na uratowanie.

Czarodziejka wypuściła kłatwę, wybuch światła i energii, który miał otoczyć Warkocz i ją przeobrazić. Tymczasem runy wybuchły w oślepiającej fontannie światła. Wypełniły pomieszczenie białą energią, która na chwilę zagłuszyła wszystkie możliwe doznania.

Kiedy przygasła, stałem między Warkocz a Czarodziejką – z oficerami *Pieśni Wrony* za plecami i szczurem na ramieniu – i wyciągałem przed sobą ręce, tworząc Napełnioną tarczę światła, osłaniającą Warkocz. Została stworzona z Aonów. Które potrafiłem teraz kreślić. Mechanika by was zanutziła. Efekty były jednak spektakularne.

Miałem na sobie koszulę w kwiatowe wzory, zbyt krótkie krótkie spodenki i sandały.

W parze ze skarpetkami.

- Witaj, Riino - powiedziałem. - Mam nadzieję, że ostatnie lata były równie urocze, jak ty sama.

Opuściła rękę i otworzyła usta.

- Ależ tak... - wskazałem na swój obecny ubiór - ...wiem, że ten zestaw jest koszmarny. Jestem świadom, że na obiedzie u teściów nigdy nie należy rozmawiać o polityce. I wiem też, że ty, moja droga, jesteś żyjącym dowodem na to, że nie trzeba być ani trochę zabawnym, żeby całkowicie się zbłąźnić.

Pod moją skórą pulsował głęboki blask. W końcu.

Okazuje się, że aby zdobyć ten konkretny zestaw mocy, nie można po prostu sfalszować Związku. Trzeba uzyskać zaproszenie i zostać przyjętym do starannie dobranej grupy. Moją jedyną szansą było znalezienie kogoś dość bystrego, by należeć do tej grupy, dość głupiego, bym mógł zamącić mu w głowie, i dość sadystycznego, by wymienić członkostwo na szansę rzucenia na mnie przekleństwa.

- Niech cię diabli - mruknęła.

Moja klątwa została zdjęta. Zmysły powróciły. Widziała to równie dobrze, jak ja sam.

Wygrałem.

- Doskonała robota, chłopcze okrętowy - powiedziała Warkocz, wciąż przyciśnięta do ściany. - Po tym dostaniesz awans.

- Chwileczkę... zwyciężyliśmy? - spytała Salay. - Hoidzie, ty... no... kim ty jesteś?

- Określenie „czarodziej” się nada - odparłem. - Wygrałem nasz zakład.

- Chwila - odezwał się Charlie z jego ramienia. - To naprawdę był zakład? Pozwoliłeś, żeby cię przeklęła dla zwykłego zakładu?

- Proszę cię. Czy cokolwiek, co właśnie zrobiliśmy, było proste?

Czarodziejka machnęła ręką i uwolniła Warkocz ze ściany.

- Odejdź - powiedziała. - Zanim zmienię zdanie.

Fort pomógł Warkocz, która się zatoczyła, a ona skinęła z wdzięcznością głową. Później odwróciła się do Czarodziejki.

- Najpierw uwolnij Charliego.

- Nie mogę. Nie mogę zdjąć klątwy, dopóki nie zostaną spełnione jej warunki. To niemożliwe.

Warkocz spojrzała na mnie. Istniały sposoby, ale Czarodziejka pewnie nie była do nich zdolna. Dlatego pokiwałem głową. Było to dość prawdziwe.

Dziewczyna odetchnęła głęboko i popatrzyła znów na starszą kobietę, a twarz miała jak wykutą ze stali.

- My nie odchodzimy. Ty to zrobisz.

- Przepraszam? - rzuciła ostro Czarodziejka.

- Przeklinałeś ludzi, którzy chcieli jedynie z tobą porozmawiać. Brałeś jeńców, rabowałeś kupców i niszczyłaś floty. Jesteś zmorą tego morza. Tej planety. - Warkocz wyprostowała się, częściowo po to, by zastraszyć tę część siebie, która była wstrząśnięta jej własną zuchwałością. - Żądam, byś opuściła ten świat. Odejdź i nigdy nie wracaj.

- Proszę cię. Kim jesteś, żeby stawiać mi żądania?

W odpowiedzi Salay i Fort wycelowali w nią pistolety. Ann jakimś sposobem wyciągnęła jednocześnie trzy. Charlie zawarczał. Nie brzmiało to bardzo przerażająco, ale poczuł się lepiej, że również wziął w tym udział.

Warkocz nawet nie sięgnęła po broń. Trąciła mnie.

- Chłopcze okrętowy, palnij ją albo coś.

- Wydajesz rozkazy mnie? - spytałem cicho.

- Jesteś członkiem mojej załogi, prawda? - Zachowała przy tym dość uprzejmości, żeby się zarumienić.

Westchnąłem i zgodnie z poleceniem zrobiłem krok do przodu i uniosłem ręce. Spojrzałem Czarodziejce w oczy i wiedziałem, co myślała. Ona, tak samo jak większość jej podobnych, była mistrzynią tego, co nazywamy szacowaniem stosunku zysku do ryzyka. Przybyła na tę planetę, bo nic nie mogło jej tu zagrozić. Później odkryła, że zamieszkuje ją smok. A później pojawiłem się ja.

Być może udałoby jej się mnie pokonać. Znów mnie przekląć. Ale może nie. Nawet jeśli istniała tylko jedna szansa na pięć, że przegra, człowiek szybko ginął, jeśli często podejmował tego rodzaju ryzyko. A Riina żyła bardzo długo.

Niedługo później wszyscy staliśmy na pokładzie *Pieśni Wrony* i patrzyliśmy na migoczącą plamę światła, która zniknęła na niebie. Wieża odleciała, zabierając ze sobą czarodziejkę.

Tak działałam na ludzi. Jeśli spędzicie ze mną zbyt dużo czasu, nieuchronnie zaczniecie zazdrościć tym, którzy nigdy mnie nie spotkali.

Za naszymi plecami Dougowie wiwatowali. Fort wytoczył coś pysznego do picia, co oszczędzał na taką okazję. Ann uznała, że armaty potrzebują imion, ku wielkiemu lamentowi Lagarta. Salay położyła dłoń na kieszeni - i liście od ojca - i zносиła to wszystko. Pozwoliła sobie nawet cieszyć się uroczystością.

Warkocz podeszła do mnie, trzymając Charliego. Który wciąż był szczurem.

- Czy... nie możesz nic zrobić? - spytała. - Nie ma sposobu złamania przekleństwa? - Oboje patrzyli na mnie z nadzieją w oczach.

- Nie potrafię zdjąć klątwy. Nie przy swoich obecnych umiejętnościach. Nikt nie potrafi.

- Och - powiedział Charlie.

- Ale być może... - przyjrzałem się runom, które widziałem wokół niego - ...mogę odrobinę zmienić parametry...



Epilog



Pięć miesięcy później do Skąły, która nie była skałą, przybił statek. Ten statek odbił się od doków, kiedy zwalniał, bo nowemu uczniowi sterniczki brakowało doświadczenia. Ojciec Salay wyglądał na rozczarowanego, ale Salay jedynie się uśmiechnęła i udzieliła mu kilku wskazówek.

Ten statek nie był *Pieśnią Wrony*. Załoga uznała, że nowy początek pomoże im w nowym życiu, a poza tym kapitan chciała mieć kilka dodatkowych kajut. Dlatego, kiedy zostali ułaskawieni, sprzedali stary statek i kupili nowy. Z nową nazwą.

Kapitan wkrótce wyszła na pokład *Dwóch kubków*, miała na sobie długi kapitański płaszcz i kapelusz z piórem. Zrobiła kilka gestów w stronę steru – Fort zaczął uczyć ich załogę. Jak się okazuje, istnieje wiele powodów, dlaczego na statku warto się porozumiewać gestami – można porozmawiać z marynarzami na olinowaniu albo wydawać polecenia sternikowi bez konieczności przekrzykiwania odgłosów zarodników albo wiatru. W tym przypadku pogratulowała uczniowi sterniczki pierwszego wejścia do portu.

Bez względu na obicia.

Później Warkocz podeszła do relingu i napiła się z kubka. Tego z motylem, który – rzecz jasna – został sklejony z powrotem po tym, jak rozbił się na mnóstwo kawałków. Kapitan nie przeszkadzały pęknięcia. Kubki z wyszczerbieniami, wgnieceniami albo nawet pęknięciami miały swoje historie. A ona szczególnie lubiła tę, którą opowiadał ten.

Przybyli zarządca portu i celniczka, i Salay wkrótce przedstawiła im porządne królewskie pełnomocnictwo opisujące ze szczegółami ważny charakter tej jednostki. Samodzielne powstrzymanie Czarodziejki zapewniło Warkocz i jej załodze nieco więcej niż tylko ułaskawienie. Poza tym była jeszcze kwestia tego, że jako jedyni potrafili handlować przez Szkarłatne

i Północne Morze, co otworzyło nowe możliwości na niegdyś odległych morzach. Wszyscy na tym statku mieli w ciągu kilku lat stać się fantastycznie bogaci. (Znałem ich, kiedy byli zwykłymi Dougami).

Król oczywiście upierał się, że taki był jego plan – że od początku wierzył w Charliego i jego wybrankę. Jeśli to brzmi dla was jak hipokryzja, cóż, my wolimy nazywać to polityką.

Kiedy zarządca portu i celniczka czytali pełnomocnictwo po raz kolejny, na pokład wyszedł w końcu Charlie.

Znów był w pełni człowiekiem.

Zgodnie z warunkami przekleństwa, aby odzyskać wolność, musiał przyprowadzić osobę, którą najbardziej kochał, do domu Czarodziejki, by tam została kłętwą objęta. Dzięki moim modyfikacjom, aby odzyskać wolność, musiał przyprowadzić osobę, którą kochał, do jej własnego domu, aby została w wierszu ujęta. I nawet udało mi się znaleźć rym.

Warkocz na jego prośbę wyszła z ich kajuty, żeby mógł się przeobrazić bez świadków.

Teraz wyszedł, trzymając wiersz, który dla niej napisał, a na twarzy miał głupi uśmiech.

Uwielbiała ten uśmiech.

Poza tym Charlie miał na sobie jedynie małe kapelusze pirackie. Kiedy podszedł do niej, nachyliła się w jego stronę.

– Kochanie... – szepnęła. – Ubrania. Ludzie noszą ubrania.

Spuścił wzrok.

– Trochę mi zajmie, nim się do tego przyzwyczaję. Yyy... przepraszam.

Tak, zostali razem. Oboje zmienili się w czasie swoich podróży – ale w taki sposób, że się dopełniali. Warkocz pozostała kapitanem i doskonałym kiełkowaczem, a Charlie okazał się wyjątkowo kompetentnym lokajem i znośnym okrętowym gawędziarzem i muzykiem – był zaiste obytym człowiekiem.

Kiedy dostał kilka wskazówek, nie był wcale taki nudny. W tajemnicy powiem wam, że wy też nie jesteście. Wszyscy, którzy mówią wam, że jest inaczej, próbują obniżyć waszą wartość. Nie ufajcie im. Oni wiedzą, że inaczej nie mogliby sobie na was pozwolić.

Załoga zaczęła schodzić ze statku, podekscytowana możliwością spędzenia czasu na lądzie, nawet jeśli to była Skała. Wszyscy się pojawili, poza Laggartem, który siedział w pace za wywołanie bójk w tawernie w czasie odwiedzin w poprzednim porcie.

Z pewnością ucieszycie się, że – bo przez lata śledziłem losy załogi – nawet on się trochę rozwinął. Wygląda na to, że zamiast trzymać się rodzinnej tradycji i być nieznośnym kłębowskiem żałości do czasu, aż ktoś go zabije, jest na najlepszej drodze, żeby zrobić... cóż, zasadniczo cokolwiek innego.

Kiedy Charlie się ubierał, Warkocz czytała jego poemat – wiersz, który zdjął kłętwe.

Jest przeznaczony tylko dla niej. Przykro mi.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła coś porywającego. Jej rodzice szli w stronę doków, prowadząc jej braciszka. Od czasu odejścia Warkocz jej matka spędzała większość nocy na obserwowaniu morza w oczekiwaniu na jakikolwiek znak, ale nawet kiedy dziewczynie udało się w końcu wysłać kilka listów, nie do końca uwierzyła w powrót córki. Żadne z nich nie wierzyło, dopóki jej nie zobaczyli.

Warkocz zeszła na nabrzeże, a później na znajomą ziemię – słońą i czarną. Dziwne, jak obce wydawało jej się to miejsce. Jak coś mogło robić wrażenie jednocześnie znajomego i obcego? Kiedy jednak rodzina podeszła ją przytulić, odkryła, że to jest cudownie znajome. I ani trochę obce.

Przynieśli swoje bagaże. A ich kajuta była gotowa. Warkocz poprowadziła ich w stronę statku, ale przerwało jej przybycie diuka. Czerwonego na twarzy. Jak zwykle wykrzywionego. Warkocz uznała, że on ma tylko jeden grymas. Bo choć człowiek potrzebuje różnych uśmiechów na różne okazje, grymas nie wymaga różnorodności.

– Co to? – odezwał się i uderzył dłonią w pełnomocnictwo, które trzymał. – Co ty narobiłaś?

– Ocalałam twój syna. Tego prawdziwego. Nie tę chodzącą brodę, która zna sześć słów.

– Chodzi mi o to, co narobiłaś z wyspą! – Diuk wskazał słowa króla. – Każdy może odejść, jeśli chce? Wyspa wkrótce się wyludni.

– Przeczytaj dalszy ciąg – powiedziała i wypila łyk herbaty, po czym odeszła, nie czekając na niego.

Musiał przeczytać go kilka razy, żeby złożyć wszystko w całość. Król ogłosił, że każdy, kto przez dwadzieścia lat będzie mieszkał i pracował na Skale, otrzyma szczodre uposażenie. Jeśli mielibyście szczęście i dostali pracę na Cyplu Diggena, na emeryturze moglibyście cieszyć się sporą sumką.

Ale pamiętajcie, ostatnimi czasy trudno tam o zatrudnienie. Nikt nie chce wyjechać. Piwo jest doskonałe, towarzystwo znośne, a wypłata... cóż, wynagradza resztę.

Warkocz wróciła na pokład i spotkała się ze świeżo ubranym Charliem. Skinęła w stronę jego ojca na nabrzeżu.

– Chcesz się przywitać?

– Nie, dziękuję. Czy zostawiłaś list matki?

(Księżna, co należy zauważyć, przed kilkoma miesiącami opuściła wyspę – i, co ważniejsze, męża. Okazuje się, że porzucenie jedyne go syna na pewną śmierć nie jest drogą do szczęśliwego małżeństwa).

– Jest w stercie – odparła Warkocz. – Znajdzie go, jeśli będzie chciało mu się czytać dalej. Popatrz. Znow ma ten grymas.

– W ten sposób życie jest dla niego łatwiejsze. Wystarczy, że ma jedną minę. – Charlie przytulił ją i oparł głowę na jej ramieniu. – Brak futra będzie irytujący, ale inne zalety z pewnością przeważają nad tą stratą.

– Zastanawiam się... – rzuciła od niechcienia, opierając dłoń na jego dłoni, kiedy ją obejmował – ...czy istnieje prawo morskie zabraniające kapitanowi spotykania się z lokajem. Co ludzie powiedzą?

– Będą mówić, że jest z niego prawdziwy szczęściarz – odparł cicho.

Nie zostali długo. Tyle, by kupić trochę zapasów i by Warkocz mogła raz jeszcze podziękować tym, którzy przed miesiącami pomogli jej uciec.

A później statek wypłynął na ocean z dziewczyną i szczurem na pokładzie.

Szczur, jak się okazało, tak naprawdę nie był szczurem. W wielu różnych aspektach.

Dziewczyna, jak być może odkryliście, nie była tak naprawdę dziewczyną. Była po siedmiokroć kobietą, niezależnie od wieku.

Ocean jednak był taki, jak – mam nadzieję – go sobie teraz wyobraziliście. Zakładając, że wyobraziliście sobie, że jest szmaragdowy, składa się z zarodników i kryją się w nim nieskończone możliwości.

Koniec

Postscriptum

Jestem pewien, że kampania na Kickstarterze okaże się kluczowym momentem mojej kariery. I dziwnie się czuję z myślą, jak skromne były jej początki.

Co dla mnie typowe, ta książka zrodziła się z połączenia kilku różnych pomysłów. Opowieści wyrastają z tarć między myślami, jak góry wypychane przez ruchy tektoniczne. Pierwszy pomysł był pewnie oczywisty – chciałem mieć pełnowymiarową historię opowiadaną głosem Hoida.

Pewnego dnia opiszę przeszłość Hoida i chciałem nabrać praktyki w pisaniu z jego punktu widzenia. Nie sądzę, bym wykorzystał ten głos (sposób, w jaki opowiada historię) narratora w jego własnej opowieści – tam musi być bardziej szorstki, mniej żartobliwy. Chciałem jednak zacząć od książki, która brzmiałaby tak, jak on by ją powiedział – jak pełnowymiarowa wersja czegoś w rodzaju *Wędrownego żagla* albo *Psa i smoka*.

Wiedziałem więc, że ta książka będzie jedną nogą stała w przestrzeni kaprysu. Nie miałem ochoty napisać baśni, ale coś pokrewnego. Nie chciałem też jednak, by była zbyt dziecinna. Pragnąłem stworzyć coś, co spodoba się moim fanom – baśń dla dorosłych, jeśli można tak powiedzieć. I dlatego przypominałem sobie niewiarygodną książkę Williama Goldmana *Narzczonego księcia*. To powieść najbliższa tonem temu, co próbowałem osiągnąć. (Choć *Dobry omen* nieodżałowanego sir Terry'ego Pratchetta i Neila Gaimana jest drugim dobrym porównaniem dla tego, co chciałem osiągnąć).

W czasie pandemii COVID-19 i lockdownu pokazałem rodzinie *Narzczonego dla księcia*. Nie wiedziałem wtedy, że skończę pisząc tę książkę, nawet tak naprawdę o tym nie myślałem. Po prostu z tyłu głowy bawiłem się pomysłami – jak to często robię. Zwykle dojrzewanie zajmuje im lata lub dziesięciolecia.

Film trzyma się doskonale, oczywiście, choć jedno zawsze mnie drażniło. Księżniczka, do której odnosi się tytuł książki i filmu po prostu... nie ma za dużo do roboty. Moja żona Emily zauważyła to samo i po obejrzeniu filmu powiedziała coś w stylu: „Jak wyglądałaby ta historia, gdyby Buttercup wyruszyła na poszukiwania Westleya, zamiast natychmiast uwierzyć, że nie żyje?”.

I to było nasionko. Idea, która zaczęła się rozwijać i wzrastać jak zielony eter w moim mózgu.

Och, powinienem wspomnieć o eterach. Przez lata myślałem o świecie, w którym ludzie żeglują po oceanach czegoś, co nie jest wodą. (Oceany niebędące płynem są czymś, do czego wraca mój mózg). Zacząłem od ludzi po prostu prześlizgujących się po powierzchni, ciągniętych przez latawce. To nie działało, ale później przypominałem sobie proces fluidyzacji, który sprawia, że piasek zaczyna przypominać płyn, jeśli od dołu wdmuchuje się weń powietrze. I tak skończyłem ze swoimi oceanami.

Ale mając taki element kreacji świata, chcę, by miał większe znaczenie niż tylko podmiana substancji. Jeśli mamy oceany zarodników, ale one zachowują się dokładnie jak woda, jaki to ma sens? Wizja jest ładna – i czasami to wystarczy. Ale ja chciałem czegoś, co naprawdę wpłynie na fabułę.

I dlatego wróciłem do pomysłu, który miałem jakieś dwadzieścia pięć lat temu – grupy pierwotnych żywiołów zwanych eterami. Zasugerowałem ich istnienie w cosmere, wzmianki na ich temat lub ukryte nawiązania pojawiają się w innych powieściach z cosmere. Wydawało się, że to właściwy czas, by je wprowadzić i przedstawić ich wybuchowy potencjał. W przyszłości będzie więcej o eterach, bo to nie jest pierwotna planeta, z której pochodzą.

Idea zarodników reagujących w niebezpieczny sposób z wodą i tworzących te oceany była pomysłem, którego potrzebowałem do tego świata. I tak oto miałem trzy elementy. System magii, który tworzył cały świat. Ton w postaci historii opowiadanej przez Hoida. I fabuła – misja, by uratować ukochaną osobę, która zaginęła na morzu.

Ale co z bohaterką? Cóż, w tym przypadku zrobiłem to, co często robię. Zacząłem pisać. I zgłębiałem, kim mogła być ta młoda kobieta. Lubię odkrywać postacie i budować opowieść wokół ich decyzji.

Pewnie nie powinienem był zrobić tego, co zrobiłem, czyli zacząć pisać tej książki w tajemnicy. Nikomu nie mówiłem, nawet zapisywałem pliki w ukrytym miejscu w chmurze, gdzie nie mogła zobaczyć ich reszta ekipy. Ale chciałem mieć coś tylko dla mnie i mojej żony. Coś, czym mogłem się z nią podzielić i nie martwić się terminami ani oczekiwaniami. Chciałem po prostu pisać, wolny od ograniczeń biznesowych i oczekiwań fanów. Zobaczyć, dokąd zaprowadzi mnie opowieść, i zbudować coś w taki sposób, jak to robiłem dawno temu, w czasach, kiedy nie miałem tak wielu ograniczeń.

Ukrywałem ją przez prawie dwa lata i podzieliłem się nią tylko z Emily. Ale teraz oddaję ją również Wam. Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście w czasie tej podróży i dołączycie do mnie przy trzech kolejnych projektach – z których każdy jest wyjątkowy na swój sposób.

Brandon Sanderson